

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,  
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ



# TIME RIDERS

CZAS DRAPIEŻNIKÓW



ALEX SCARROW

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

**Alex Scarrow**

**Czas drapieżników**

O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę [www.time-riders.co.uk](http://www.time-riders.co.uk) i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Tom 2: Czas drapieżników

Wkrótce kolejne tomy!

Frances, Jacobowi, Maksowi i Frodo

z biura terenowego w Norwich

A Tobie, Drogi Czytelniku,

ślę zaszyfrowaną wiadomość,

przeznaczoną wyłącznie dla Twoich oczu:

FĄŚHE ZRLPIAŚ TŁ ŁRSZYCÓŁWPO,

ŃŁFJUFAŞZ WPĆB FARKAĆŁ SIŁWP - ŃPKRŁÓP

# ROZDZIAŁ 1

Mumbaj, Indie rok 2026

Dudnienie popłynęło echem w dół klatki schodowej niczym lokomotywa. Nagle zapadła nieprzenikniona ciemność, powietrze wypełniła gęsta chmura pyłu i dymu. Sal Vikram pomyślała, że za chwilę udławi się wdychanymi przez nos kurzem i drobinami ceglanego tynku; gruba, kredowa warstwa zatykała jej gardło i osiadała na podniebieniu.

Minęła wieczność, zanim przejaśniło się na tyle, aby dziewczyna znowu zdołała zobaczyć światło awaryjne zawieszone na ścianie klatki schodowej. W niewyraźnej, bursztynowej poświacie udało się jej zauważyć, że dolna część schodów jest kompletnie zavalona gruzem i zablokowana wygiętymi metalowymi dźwigarami. Wyższą część klatki schodowej, po której schodzili kilka chwil wcześniej, zgmiotło zavalone piętro. Z rumowiska belek i pękających pustaków wynurzyło się kredowobiałe, nieruchome ramię, wyciągnięte jakby z błagalną prośbą o podtrzymanie lub uwolnienie.

- Jesteśmy uwięzieni - wyszeptała matka.

Sal popatrzyła na nią, a potem na swojego ojca. Mężczyzna energicznie potrząsnął głową, uwalniając kaskadę pyłu z przeredzonych włosów.

- Nie! Nie jesteśmy! Kopiemy! - Spojrzał na Sal. - Właśnie to teraz będziemy robić: kopać. Prawda, Saleeno?

Przytaknęła bez słowa.

Mężczyzna odwrócił się do pozostałych osób uwięzionych wraz z nimi na klatce schodowej.

- Prawda? - zapytał. - Musimy kopać. Nie możemy biernie czekać na ratunek... - Jej ojciec mógł powiedzieć więcej, mógł dokończyć zdanie, powiedzieć to, co myśleli wszyscy: skoro wieżowiec zawalił się już do tego piętra, nie było powodu, dla którego wkrótce nie miałby runąć całkowicie.

Sal rozejrzała się wokół. Rozpoznała większość twarzy, choć wszystkie spowijał upiornie biały kurz: pan i pani Kumar mieszkający dwa apartamenty dalej; Chaudhryowie z trzema młodymi synami; pan Joshipura: biznesmen, podobnie jak jej ojciec, i singiel otoczony zazwyczaj wianuszkami kobiet. Dziś jednak prawdopodobnie został sam.

I... jeszcze jeden człowiek, stojący z tyłu klatki schodowej, pod ścienną lampą. Nie rozpoznała go.

- Jeśli zaczniemy w tym grzebać, wywołamy lawinę! - ostrzegła pani Kumar.

- Ma rację, Hari. - Matka Sal położyła dłoń na ramieniu męża. Hari Vikram odwrócił się i uważnie spojrzał na pozostałych.

- Niektórzy z was są w takim wieku, że muszą to pamiętać. Przypominacie sobie, co przydarzyło się Amerykanom w Nowym Jorku? Pamiętacie bliźniacze wieże?

Sal stanęły przed oczami kadry z filmu dokumentalnego wyświetlanego na lekcjach historii. Dwa wysokie, wspaniałe budynki runęły na ziemię i zniknęły wśród kłębow szarego dymu.

Kilka głów przytaknęło. Starsze osoby dobrze wiedziały, o czym mowa, ale nikt nie wystąpił do przodu. Jakby podkreślając wagę sytuacji, metalowy dźwigar nad ich głowami pękł i osunął się, uwalniając małą lawinę kurzu i gruzu, która opadła na uwięzionych.

- Jeśli będziemy tu czekać z założonymi rękami... umrzemy! - krzyknął ojciec.

- Przyjdą po nas! - odpowiedział pan Joshipura. - Strażacy wkrótce...

- Nie. Obawiam się, że nie.

Sal odwróciła się w stronę, z której dobiegł głos. Starzec, którego nie znała, powtórzył ciszej:

- Obawiam się, że po was nie przyjdą. - Brzmiał jak człowiek Zachodu, Anglik lub Amerykanin. W odróżnieniu od pozostałych nie był pokryty grubą warstwą kurzu. - Budynek zawalił się za niecałe trzy minuty. Za niecałe trzy minuty belki podporowe pod podłogą pękły. Palace Tower, obciążony wagą zawalonych pięter, runie jak domek z kart.

Popatrzył na twarze ofiar, szeroko otwarte oczy dorosłych i wybaluszone oczka dzieci.

- Naprawdę mi przykro, ale żadne z was nie przeżyje.

Spiekota w klatce schodowej stawała się nie do wytrzymania. Piętro niżej płomienie wybuchły z pełną mocą, żar topił stalową konstrukcję drapacza chmur. Wokół rozbrzmiewało echo rozdzierających jęków.

Hari Vikram przez chwilę bacznie przypatrywał się nieznajomemu: nie można było nie zauważyć, że tylko do niego nie przyłgnęła gruba warstwa kredowego pyłu.

- Czekaj! Jesteś czysty. Jak się tu dostałeś? Można się stąd wydostać w inny sposób?

- Nie! - Mężczyzna potrząsnął głową.

- Ale nie było cię tutaj, kiedy zawaliło się piętro. Musi być inna droga...

- Przybyłem dopiero przed chwilą - odpowiedział mężczyzna - i niedługo będę musiał was opuścić. Czas ucieka.

Mama Sal podeszła do nieznajomego.

- Opuścić? W jaki sposób? Czy możesz... możesz nam pomóc?

- Mogę pomóc tylko jednej osobie. - Wzrok mężczyzny spoczął na Sal. - Tobie,

Saleeno Vikram.

Sal poczuła na sobie spojrzenia wszystkich osób znajdujących się na klatce schodowej.

- Weź mnie za rękę - powiedział mężczyzna.

- Kim jesteś? - spytał ojciec.

- Jestem ostatnią szansą twojej córki. Jeśli weźmie mnie za rękę... przeżyje. Jeśli nie, umrze razem z wami.

Jeden z chłopców zaczął płakać. Sal знаła go bardzo dobrze, czasem niańczyła chłopaków Chaudhrych. Miał dziewięć lat i w przerażeniu kurczowo ścisnął ulubioną pluszową zabawkę - jednookiego misia - zupełnie jakby pluszak stanowił przepustkę do dalszego życia.

Głęboki jęk belek podporowych znowu przetoczył się przez wąską klatkę schodową wieżowca. Przeszywający dźwięk przypominał żalobną pieśń konającego wieloryba lub wibracje napinającego się kadłuba tonącego statku. Stęchłe, gorące powietrze paliło płuca przy każdym oddechu.

- Zostało niewiele ponad dwie minuty - powiedział mężczyzna.

- Wysoka temperatura powoduje odkształcanie się konstrukcji budynku. Palace Tower wkrótce się zawali: najpierw kolejne piętra będą opadać bezpośrednio na siebie, potem całość konstrukcji rozsypie się na boki i runie na pobliskie centrum handlowe. Za sto dwadzieścia sekund zginie pięć tysięcy osób. Jutro do wiadomości publicznej podana zostanie informacja o ataku terrorystów.

- Kim... kim jesteś? - ponownie zapytał ojciec Sal.

Mężczyzna - na oko pięćdziesięcio - lub sześćdziesięcioletni - przecisnął się przez tłoczących się ludzi i wyciągnął rękę ku Saleenie. - Nie mamy czasu. Weź mnie za rękę -



powiedział.

Ojciec dziewczyny zastąpił mu drogę.

- Kim jesteś? Jak się tutaj dostałeś?

Starzec odwrócił się do niego.

- Przepraszam. Nie mamy na to czasu. Po prostu przyjmij do wiadomości, że przybyłem tu i równie łatwo mogę się stąd wydostać.

- Jak?!

- Nieważne „jak”... ważne, że mogę. Mogę zabrać ze sobą tylko twoją córkę... wyłącznie twoją córkę. - Starzec spojrział na zegarek na swoim nadgarstku. - Zostało już naprawdę niewiele czasu: półtorej minuty.

Sal przyglądała się napiętej twarzy ojca, szare komórki mężczyzny zdawały się pracować z iście biznesową wydajnością. Nie ma czasu na żadne „jak” i „dlaczego”. W zablokowanej klatce schodowej pod nimi szalały jężory ognia, rzucając przez gęsty pył tańczące cienie.

Hari Vikram odsunął się na bok.

- Zabierz ją więc! Musisz ją zabrać!

Sal z niepokojem spojrzała na ekscentrycznego starca, bojąc się podać mu rękę. Nie to, że wierzyła w istoty z innego świata, w bogów hinduskich, anioły lub demony... ale on sprawiał wrażenie, jakby pochodził z obcej galaktyki. Wyglądał jak zjawą. Duch.

Ojciec nerwowo złapał ją za rękę.

- Saleeno! Musisz z nim iść!

Niepewnie spoglądała na rodziców.

- D-dlaczego nie możemy iść wszyscy?

Starzec potrząsnął głową.

- Tylko ty, Saleeno. Przykro mi.

- Dlaczego? - Poczła splywające po policzkach łzy, które tłoczyły czarne bruzdy w kredowobiałej twarzy.

- Jesteś wyjątkowa - odrzekł starzec. - Dlatego.

- Musisz zabrać też moich chłopców, błagam! - krzyknęła rozpaczliwie pani Chaudhry. Starzec odwrócił się do niej.

- Nie mogę. Chciałbym... ale nie mogę.

- Błagam! To jeszcze dzieci. Młodsze niż dziewczyna! Przed nimi całe życie...

- Przykro mi, nie ja o tym decyduję. Mogę zabrać ze sobą jedynie Saleenę.

Dziewczyna poczuła na ramionach dłonie swojego ojca. Popchnął ją mocno w stronę nieznajomego.

- Zabierz ją! Zabierz ją stąd!

- Tatko! Nie!

- Zabieraj ją, już!

- Nie! Nie...

Rozległo się potężne huknięcie, podłoga pod stopami zaczęła drżeć.

- Zostało kilka sekund - ponaglał starzec. - Spieszcie się!

- SALEENA! - krzyknął ojciec. - IDŹ!

- Tatko! - krzyknęła i odwróciła się do mamy: - Proszę! Nie potrafię!

Starzec pochylił się w stronę dziewczynki, złapał ją za rękę i próbował przyciągnąć do siebie, ale Sal instynktownie wykręcała dłoń i wiła się, aby wyzwolić się z uścisku.

- Nie! - krzyknęła.

Potężne dudnienie było coraz głośniejsze, podłoga zaczęła drżeć, kaskady pyłu i tynku spadały z wyższych pięter i wirowały w powietrzu.

- Teraz! - powiedział starzec. - Już pora! Saleeno... Ocalę ci życie, ale musisz iść ze mną!

Dziewczyna spojrzała na niego. To kompletnie szalone, ale, nie wiedząc czemu, wierzyła temu człowiekowi.

- Twoi rodzice też tego chcą. - Oczy mężczyzny były świdrujące i pełne starczej mądrości.

- Tak! - krzyknął ojciec, próbując przebić się głosem przez wszechobecny huk. - Błagam! Zabierz ją stąd. NATYCHMIAST!

Matka Sal odpychała szczupłą sylwetkę mężczyzny i wyła, wyciągając ręce, by po raz ostatni przytulić swoje dziecko. Ojciec chwycił ją jednak pewnie i odciągnął.

- Nie, kochanie! Ona musi iść.

Pani Chaudhry popchnęła w stronę starca dwóch chłopców.

- Proszę, ich też złap za ręce! Złap ich za ręce...

Podłoga pod ich stopami ponownie zadrżała i gwałtownie przechyliła się na bok.

Sal nagle poczuła zawroty głowy, zupełnie jakby zaczęła bezwładnie spadać.

„Dokładnie tak, ja spadam” - Sal bardziej się zdziwiła niż przestraszyła.

Posadzka pękła na pół, poniżej rozlał się ocean wzburzonych fal ognia przetaczających się przez budynek niczym płomienie piekielne. Ostatnie, co zobaczyła, to jednooki miś spadający przez wielką wyrwę w posadzce w rozszalałe płomienie.

## ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork rok 2001

Sal usiadła wyprostowana na materacu - łapała oddech, czując że policzki ma mokre od łez.

„Znowu ten sam koszmar” - pomyślała.

W bazie panowała cisza i spokój. Słyszała, jak Maddy chrapie na materacu poniżej, a Liam, na łóżku obok, mamrocze coś przez sen tym swoim irlandzkim akcentem, wierząc się przy tym niespokojnie.

Lampa zawieszona po drugiej stronie pomieszczenia roztaczała delikatną poświatę, rzucając światło na drewniany stół kuchenny i osobliwy zestaw starych, niedopasowanych foteli ustawionych wokół niego. Wzdłuż rzędu komputerów migały diody LED, w powietrzu wibrował charakterystyczny szum twardych dysków. Jeden z monitorów był włączony;

dziewczyna pomyślała, że przeprowadzana jest właśnie rutynowa defragmentacja i porządkowanie plików z danymi. System nigdy nie spał.

Nie „system”... już nie. Komputer nie był już zwyczajnym oprogramowaniem informatycznym. W środku siedział Bob.

Sal rozbudziła się na dobre i zeszła z górnego materaca. Maddy drgnęła przez sen, Liam też spał niespokojnie. Może i oni ponownie przeżywali ostatnie chwile swojego poprzedniego życia: Liam - zatonięcie Titanica, Maddy katastrofę samolotu pasażerskiego. Koszmary nawiedzały ich aż za często.

Boso, po zimnej, betonowej podłodze, przeszła na palcach na drugą stronę pomieszczenia. Usiadła na krześle obrotowym i schowała stopy pod siebie, by je dobrze rozgrzać. Złapała za myszkę i otworzyła okno dialogowe. Palce cichutko stukały w klawiaturę.

> hej, Bob

> Czy to ty, Maddy?

> nie, to Sal

> Jest 2:37 w nocy. Nie możesz spać, Sal?

> koszmary

> Przypomniałaś sobie dzień rekrutacji?

„Rekrutacja”. Tego słowa użył starzec, Foster. Zupełnie jakby miała wtedy jakikolwiek wybór. Życie lub śmierć. Albo weźmiesz mnie za rękę, albo zostaniesz zgnieciona na miazgę przez walący się drapacz chmur. Wzruszyła ramionami.

„Trudny, kurczę, wybór” - Sal ogarnął pusty śmiech.

> tak, rekrutację

> Szczerze współczuję, Sal.

- Dzięki - powiedziała przyciszonym głosem do mikrofonu, bo zwyczajnie odechciało się jej pisać. Zresztą, odbijające się echem od sklepienia stukanie w klawiaturę prędzej zburzy sen pozostałych niż szeptanie do mikrofonu.

- Tak bardzo za nimi tęsknię, Bob.

> Tęsknisz za rodziną?

- Za mamą i tatą - westchnęła. - Zdaje mi się, że to wszystko wydarzyło się wieki temu.

> Dołączyłaś do drużyny 44 cykle czasowe temu. Uplęło dokładnie 88 dni, Sal.

„Cykle czasowe” - dwudniowe, samoczynnie resetujące się bańki czasowe, dzięki którym biuro terenowe jest stale zawieszane w okresie od dziesiątego do jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku, podczas gdy życie na zewnątrz toczy się normalnym torem.

Na zewnątrz... czyli w Nowym Jorku - a mówiąc precyzyjniej, na Brooklynie. Na ulicach, które zdążyła już doskonale poznać. Bardzo dobrze poznała też ludzi, z którymi rozmawiała, a którzy na pewno nie będą jej pamiętać: Chinkę pracującą w pralni, Irańczyka prowadzącego sklep spożywczy na rogu. Za każdym razem kiedy rozmawiali z Sal, był to dla nich pierwszy raz - nowa twarz, nowy klient, którego należy radośnie powitać. Ale ona dobrze ich znała, wiedziała, co za chwilę powiedzą, wiedziała, jak dumna ze swojego syna jest Chinka, jak zły na terrorystów za zbombardowanie jego ukochanego miasta jest Irańczyk.

Dzisiaj jest wtorek jedenastego września, drugi dzień wiecznie odnawianego cyklu czasowego. Za niecałe sześć godzin pierwszy samolot pasażerski wpadnie w bliźniacze wieże, co na zawsze odmieni Nowy Jork i nowojorczyków.

- Co porabiasz, Bob?

> Sortuję dane. Porządkuję dysk twardy. I czytam książkę.

- Naprawdę? Ekstra. Co czytasz?

Na ekranie pojawiła się strona tekstu. Dziewczynka widziała, jak błyskawicznie, jedno po drugim, podświetlają się słowa „czytane” przez Boba podczas rozmowy.

> Harry’ego Pottera.

Sal przypomniała sobie stare filmy z pierwszej dekady wieku. Nie zrobiły na niej gigantycznego wrażenia, ale jej rodzice szaleli za nimi, gdy byli dziećmi.

- Podoba ci się?

Bob nie odpowiedział od razu. Sal zauważyła, że słowa podświetlane na otwartej stronie tekstu za siatką ekranującą nagle przestały migotać, dyskretny szmer pracujących dysków twardych ustał bez zapowiedzi. Formułowanie opinii... właśnie z tym zadaniem mierzył się teraz Bob. Wyrażenie opinii, symulowanie czegoś tak prostego jak ludzka emocja czy upodobanie oraz udzielenie odpowiedzi na banalne pytanie - „Lubię czy nie lubię?” - wymagało zaangażowania całej mocy systemu komputerowego.

W końcu, po kilku sekundach usłyszała, jak dyski twarde ponownie zaczynają szumieć.

> Bardzo lubię magię.

Sal uśmiechnęła się na myśl, ile terabitów mocy obliczeniowej kosztowało go wyrażenie tej prostej opinii. Gdyby chciała być złośliwa, zapytałaby teraz Boba, jaki według niego kolor najlepiej pasuje do fioletowego albo co jest smaczniejsze - lody czekoladowe czy waniliowe? Tak postawione pytanie zablokowałoby pewnie system na wiele godzin, a Bob, po żmudnym przekopaniu się przez nieskończone modele decyzyjne, odpowiedziałby tylko, że nie jest w stanie wyliczyć prawidłowej odpowiedzi.

Niech Bóg go błogosławi. Jest świetny w wyszukiwaniu i przetwarzaniu danych oraz odsyłaniu do niezbędnych informacji, ale lepiej go nie prosić o wybranie deseru z menu.

## ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork rok 2001

Poniedziałek (czterdziesty piąty cykl czasowy)

Naprawiliśmy już większość szkód, które powstały w bazie po ostatniej kontaminacji czasowej - załataliśmy większość dziur w ścianach, wymieniliśmy drzwi do zaplecza na nowe, masywniejsze. Kupiliśmy też nowiutki generator awaryjny. Przyszli do nas monterzy, żeby go zainstalować. Musieliśmy ukryć przed nimi wehikuł czasu, a kiedy spytali o te wszystkie monitory na biurku, Maddy powiedziała im, że programujemy gry. Chyba to łyknęli.

Nowy generator jest zdecydowanie potężniejszy i bardziej niezawodny niż poprzednia, shaddjulna maszyna. Oczywiście lepiej, żebyśmy w ogóle nie musieli go używać.

Dostaliśmy też stary zestaw kina domowego, odtwarzacz DVD i jedną z tych konsoli Nintendo. Liam uwielbia na niej grać. Odbiło mu na punkcie głupiej ściganki, w której śmieszne ludki jeżdżą w kółko gokartami, rzucając w siebie bananami.

Ach, ci chłopcy!

Maddy mówi, że musimy wyhodować nową jednostkę pomocniczą. Nowego Boba. W razie gdyby znowu trzeba było naprawiać przesunięcia w czasie. Tyle że ten nowy nie będzie całkiem nowy. Ciało - owszem, ale Maddy mówi, że załadujemy w nie sztuczną inteligencję naszego Boba. Dzięki temu kolejna jednostka będzie wyglądała dokładnie jak Bob... a nie jak



opóźniona w rozwoju bełkocząca kupa mięśni, która wyskoczyła z próbówki ostatnim razem. Niezła ulga. Zaraz po narodzinach Bob bił przecież rekordy głupoty.

Naprawiliśmy też próbówki porodowe. Niektóre z nich zostały stłuczone przez mutanty, które włamały się do bazy, ale na szczęście wszystkie cylindry działają już jak należy - wypełniliśmy je śmierdzącym roztworem proteinowym, w którym pływają zarodki.

Poważnie, wygląda to jak gluciaste smarki. A do tego cuchnie jak wymiociny.

Ale nie mamy jeszcze zarodków. Najwyraźniej nie możemy użyć pierwszego lepszego płodu - potrzebujemy specjalnych, genetycznie modyfikowanych zarodków z przyszłości...

Maddy spojrzała na Liama.

- Gotowy?

- Tak jest - odpowiedział, dygocąc z zimna: miał na sobie jedynie parę pasiastych bokserek, a w rękach trzymał wodoodporną torbę po brzegi wypełnioną ubraniami.

Spojrzała w dół na swoje drżące pod koszulką ciało.

- Może któregoś dnia sklecimy coś do podgrzania wody, zanim do niej wskoczemy?

- Przydałoby się.

Weszła po schodkach ustawionych z boku pleksiglasowego cylindra i spojrzała na zimną wodę, którą dopiero co wleli do zbiornika. Usiadła na górnym stopniu, tuż przy krawędzi cylindra, i zanurzyła palce. Mokry zrzut - według protokołu do przeszłości nie może przedostać się nic poza nimi i wodą: ani kawałek posadzki, ani dywan, ani beton, ani okablowanie, które nijak nie mogły istnieć w przeszłości.

- Och, Jeezuuu! Jest lodowata!

Liam przykucnął obok niej.

- Cudownie!

Maddy wzruszyła ramionami i spojrzała na Sal, która siedziała przy stanowisku komputerowym.

- Ile czasu do zrzutu?

- Minuta z sekundami.

- A więc - wydyszał Liam, z wolna opuszczając się do wody - jesteś pewna?

- Mm-hmm. - Ale nie była. Nie była pewna niczego. Starzec, Foster, mianował ją dowódcą. Pozwolił kierować poczynaniami drużyny i zarządzać biurem terenowym, choć wszyscy tylko cudem przeżyli swoje pierwsze doświadczenie z kontaminacją czasową. W efekcie do pomocy został jej jedynie komputer-Bob oraz folder z danymi na dysku twardym: „Pytania, które pewnie przyjdą ci do głowy”.

„Jak wyhodować nową jednostkę pomocniczą?” - taki tytuł nosił jeden z pierwszych plików w folderze, który zaczęła przeglądać kilka tygodni temu. Pierwsze zadanie to odbudowanie próbek porodowych, uruchomienie ich i przywrócenie do życia jednego z klonów. Gdy podwójnie kliknęła ikonę pliku, na monitorze wyświetlona została twarz Fostera mówiącego do kamery internetowej. Wyglądał dziesięć, może dwadzieścia lat młodziej niż pamiętnego ranka, gdy oznajmił jej, że jest gotowa do przejęcia dowodzenia, po czym życzył szczęścia i wyszedł ze Starbucksa, zostawiając wszystko na jej głowie.

Foster na ekranie wyglądał jak mężczyzna lekko po pięćdziesiątce.

- A więc - zaczął, przyciągając kabel, aby umieścić mikrofon tuż przy swoich ustach. - Otworzyłaś ten plik, co oznacza, że byliście na tyle nieuważni, aby pozwolić na zniszczenie jednostki pomocniczej, a teraz musicie wyhodować nową.

Foster szczegółowo omówił zasady konserwacji i karmienia oraz długo wyjaśniał działanie próbek hodowlanych. Ale w końcu, pod koniec nagrania, podał informację,

której szukali:

-... klony wyrastają z genetycznie modyfikowanych ludzkich ploidów. Zakładam, że zużyliście ostatnie zamrożone zarodki przechowywane w biurze terenowym, a teraz potrzebujecie kolejnych.

Nie do końca je zużyli: wszystkie nie w pełni rozwinięte płody zmarły w próbkach, zatruty się własnymi płynami ustrojowymi, ponieważ napędzane elektrycznie pompy nie działały jak trzeba. Troskliwie zajęli się wszystkimi ciałami: bladymi, pozbawionymi życia i włosów, galaretowatymi kształtami rozmaitych rozmiarów - od maleństwa mieszczącego się na otwartej dłoni do ciała ośmio - lub dziewięcioletniego chłopca. Wyjęli je z próbek, zataszczyli nad rzekę i wrzucili do wody. Chętnie by o tym zapomniała.

- Na szczęście jest ich więcej. Istnieje zapas sprawnych zarodków operacyjnych, wszystkie zostały zmodyfikowane genetycznie, w ich jamach czaszkowych umieszczono silikonowe procesory. Mogą przejść pełen cykl rozwojowy, no i, rzecz jasna, są dostarczane z fabrycznie zainstalowanym kodem sztucznej inteligencji. - Foster uśmiechnął się skromnie z ekranu. - Jeśli mieliście dość rozumu, aby ocalić procesor ostatniej jednostki pomocniczej i zabezpieczyć jej sztuczną inteligencję...

Kiwnęła głową. No cóż, właściwie to Liam uporał się z tym niesmacznym zadaniem.

-... nowe jednostki pomocnicze nie muszą uczyć się wszystkiego od nowa i zachowywać jak skretyniałe barany, możecie przegrać kod sztucznej inteligencji z systemu komputerowego. Dobra wiadomość jest więc taka, że istnieje więcej zarodków. A teraz zła: nie zostaną dostarczone pod wasze drzwi jak pizza. Musicie udać się po nie sami.

Sal krzyknęła, że zostało tylko trzydzieści sekund. Maddy znowu pomyślała więc o lodowatej wodzie w cylindrze translokacji. Opuściła się obok Liama, wydychając kłęby zimnego powietrza.

- Uhh! Jest l-l-l-lodowata! Jak ty to znosisz? - spytała Liama, dzwoniąc zębami.

- A mam jakiś wybór? - Uraczył ją krzywym uśmiechem.

- Dwadzieścia sekund! - krzyknęła Sal.

- Gdzie się przenosimy? - spytał Liam.

- Mm-mm-mówiłam przecież: do San Francisco w roku tysiąc

dziewięćset szóstym. Liam przez chwilę w skupieniu marszczył brwi.

- Poczekaj... to przypadkiem nie tego samego roku...?

- Tak?

- Pamiętam, jak mój tata czytał o tym w „Irish Timesie”. W tym roku...

- Piętnaście sekund!

Maddy puściła się brzegu pleksiglasowego cylindra i zaczęła pływać na powierzchni wody.

- Mm-musisz zanurkować, Liamie.

- Wiem... wiem! Nienawidzę tego momentu.

- Może Sal i ja nauczymy cię kiedyś pływać?

- Dziesięć sekund!

- Och, Jezusie kochany, Panienko Przenajświętsza! Dlaczego zawsze musimy jeździć w czasie właśnie w ten sposób? Dlaczego w ogóle Waldstein był na tyle głupi, aby wymyślić te przeklęte podróże w czasie?

- Jeśli już koniecznie szukasz kozła ofiarnego... to zz-zrzuc lepiej winę na Chińczyka, który pierwszy na to wpadł.

- Agrhh, tego też niech wszyscy diabli porwą!

- Pięć sekund! - krzyknęła Sal. - Musisz nurkować!

Maddy uniosła rękę nad głowę chłopca.

- Naprawdę mam cię wepchnąć?

- Nie! Ja tylko... czekaj, argh... dobra już!

Liam nabrał do płuc powietrza i zatkał nos wolną ręką.

- W-widzimy się po drugiej stronie - powiedziała Maddy, wpychając go pod wodę, po czym wzięła głęboki wdech i zanurzyła się zaraz za nim.

„Och, Jeezu... zaczyna się” - pomyślała ze zrezygnowaniem.

To był jej pierwszy raz. Pierwszy raz wyruszała w przeszłość, nie licząc samej rekrutacji z dwa tysiące dziesiątego roku. Była zbyt zajęta ustawianiem współrzędnych i sygnatury czasowej okna powrotnego, sprawdzaniem, czy Sal wyciągnęła ze starej szafy na zapleczu odpowiednie ubrania, upewnianiem się, że dobrze zapamiętała szczegóły misji... Wszystko to tak mocno zaprzętało jej głowę, że nie miała czasu zastanawiać się, jak bardzo przeraża ją perspektywa wypchnięcia z obecnej czasoprzestrzeni - przez wymiary chaosu, gdzie Bóg jeden wie, co się znajduje - do świata sprzed niemal stu lat.

Pod wodą otworzyła oczy i zobaczyła zamgloną sylwetkę Liama, który kotłował się w śmiertelnej panice. Bąbelki zakreślały szaleńcze zygzaki wokół chudego ciała chłopaka. Przez porysowany plastik dostrzegła też przyćmione światło lampy stojącej na biurku komputerowym, niewyraźny zarys Sal... a później...

... później czuła już tylko, jak spadają i koziółkują przez ciemność.

## ROZDZIAŁ 4

Teksas rok 2015

- Drodzy uczniowie, już wkrótce dotrzemy do instytutu, apeluję więc o jak najlepsze zachowanie - powiedział pan Whitmore, w roztertowaniu drapiąc się po rzadkiej, szpakowatej szczecinie, którą uważał za pełnoprawną brodę, nawet jeśli inni mieli zgoła odmienne zdanie. - I jestem pewien, że nie zawiedziecie mojego zaufania - dodał.

Edward Chan westchnął i wyjrzał przez szerokie okno autokaru na zarośla ciągnące się wzdłuż autostrady. W klimatyzowanym autobusie nie czuć było skwaru typowego teksańskiego dnia. Spiekota i jasność - tych dwóch rzeczy nienawidził. Uwielbiał swoją ciemną sypialnię w Houston z zaciągniętymi zasłonami i ultrafioletową lampą, w świetle której zawieszona na ścianach plakaty z mangą lśniły jak neonowe reklamy na zewnątrz klimatycznego klubu nocnego.

Mrok, nastrój i spokój. Miejsce w bezpiecznej odległości od nieustannego harmidru towarzyszącego życiu innych dzieci, z dala od chichotów licealistek zawsze tworzących kliki - nienawistne grupki złośliwych, wciąż podśmiewających się, szepczących i plotkujących pańienek. A chłopcy... ci byli jeszcze gorsi, o ile to w ogóle możliwe. Mięśniaki, samce alfa: głośni, arogancy, świetni w sporcie, roztaczający wokół aury pewności siebie, przybijający piątki przy każdej nadarzającej się okazji w rytm rapu sączącego się ze słuchawek iPodów. Złocista opalenizna, piaskowe włosy i niebieskie oczy wskazywały, że z łatwością skończą szkołę i college, a później z równą swobodą przejdą przez życie... i nigdy nie będą musieli zastanawiać się, czy ktoś szepcze za ich plecami, śmieje się z nich, czy wytyka palcami.

W szkole istniał system plemienny: dziewczyny - chichoczące hordy klonów a la Hannah Montana; mięśniaki puszące się w otoczeniu kumpli z gangsta gangów... a na końcu trzecia kategoria, egzemplarze podobne do Edwarda Chana - dziwadła. Samotnicy, emo, geeki, nerdzi: żalosne zakalce, które nijak nie pasowały do foremki pod nazwą liceum.

Ojciec zawsze powtarzał mu, że to właśnie dziwadła, po skończeniu szkoły, odnosiły największe sukcesy. To dziwadła zostawały internetowymi miliarderami, słynnymi wynalazcami, reżyserami, gwiazdami rocka... prezydentami nawet. Mięśniaki z kolei kończyli jako agenci nieruchomości lub kierownicy w supermarkecie. Hanny Montany natomiast stawały się znudzonymi, samotnymi i tyjącymi kurami domowymi.

Z ochrowej monotonii przed autokarem wyłonił się zespół budynków. Kierowca zwolnił i zatrzymał pojazd przy bramce bezpieczeństwa. Jakieś trzydzieścioro dzieci w autobusie zaczęło wiercić się w fotelach i wyciągać szyje, aby spojrzeć na uzbrojonych strażników i budynki laboratorium.

- Zostańcie na swoich miejscach - powiedział pan Whitmore przez mikrofon.

Edward wyciągnął szyję i wyrzał ponad zagłówek siedzenia. Po schodach autokaru wspinał się elegancki mężczyzna ubrany w jasny, lniany garnitur. Mężczyzna przywitał się z panem Whitmore'em - dyrektorem szkoły i opiekunem wycieczki.

- Słuchajcie, przekazuję was teraz panu Kelly'emu z instytutu,

który oprowadzi nas dzisiaj po obiekcie. Pan Kelly wziął podany mikrofon.

- Dzień dobry, chłopcy i dziewczęta. Pozwólcie, że powitam was w instytucie. Jesteśmy zaszczytzeni waszą obecnością. Jeśli dobrze

rozumiem, wszyscy zostaliście wyznaczeni przez swoje szkoły jako najlepsi, szóstkowi uczniowie?

- Nie do końca, panie Kelly. - Whitmore pokręcił głową. - To uczniowie ze szkół z całego stanu, którzy wykazali się największymi postępami w nauce i chęcią ciągłej poprawy. Uczniowie w tym autokarze znajdują się na różnym poziomie edukacyjnym i posiadają różne umiejętności, ale łączy ich jedno: imponująca poprawa wyników podczas egzaminów na koniec roku. Ci młodzi ludzie bardzo ciężko pracowali, aby odnieść sukces.

Na opalonej twarzy pana Kelly'ego wykwitł szeroki uśmiech.

- Fantastycznie! Lubimy tu ambitnych ludzi. Wojowników. Wcale się nie zdziwię, jeśli jedno lub dwoje z was pewnego dnia dołączy do naszej załogi.

Wzdłuż siedzeń popłynął kurtuazyjny, zdawkowy śmiech uczniów. Autokar powoli ruszył w dół długiego, prostego podjazdu otoczonego świeżo ściętym trawnikiem zraszany przez spryskiwacze.

- Niedługo dojedziemy do strefy przyjmowania gości, gdzie wysiądziemy z autobusu. Przed rozpoczęciem wycieczki po ośrodku zjemy specjalnie przygotowane dla was przekąski. Dzisiaj będę waszym przewodnikiem. Jeśli macie jakiegokolwiek pytania, śmiało podnoście rękę i pytajcie. Chcielibyśmy, abyście wynieśli z tej wizyty jak najwięcej, abyście zrozumieli, jak ciężką pracę tu wykonujemy i jak istotna jest ona dla środowiska.

Edward wyjrzał przez okno autobusu powoli okrążającego ozdobny kwietnik. Na samym środku rabatki znajdował się znak otoczony ramką jaskrawo żółtych chryzantem: WITAMY W TIZTE: TEKSAŃSKIM INSTYTUCIE ZAAWANSOWANYCH TECHNOLOGII ENERGETYCZNYCH.

## ROZDZIAŁ 5

San Francisco rok 1906

- Hej! Nie odwracaj się, jeszcze nie jestem gotowa - burknęła z irytacją Maddy.

Liam pozostał na miejscu, wpatrując się w brudną ścianę z czerwonej cegły. Boczna uliczka cuchnęła gnijącymi rybami. Chłopak zastanawiał się, czy jeśli będą ociągać się z odejściem, smród przyklei się do nich na cały dzień.

- Wciąż nie jesteś gotowa? - spytał.



- Wszystko przez te przeklęte sznurowadła, zaczepy, guziczki i inne fiku-miku. Jak, do jasnej ciasnej, ówczesne kobiety radziły sobie z tym wszystkim?

Odrobinę odwrócił głowę, by rozejrzeć się po uliczce, która wychodziła na ruchliwą arterię. Zauważył kilka wozów konnych i mężczyzn ubranych łudzaco podobnie do niego: w szare, oficjalne bonzurki, zapinane na guziki kamizelki, koszule z postawionym kołnierzem. Na głowach nosili cylindry, płaskie kapelusze, meloniki. Przypominali lepiej wystrojonych na niedzielną mszę mężczyzn z Corku. Ubrania znalezione na zapleczu wydawały się niemal całkowicie autentyczne. Wisiała tam jeszcze jedna para zakurzonych kostiumów. Sal powiedziała jednak, że są przeznaczone na inny awaryjny punkt zrzutu - przydadzą się w innych czasach, w innym miejscu.

- Niech to szlag... lepiej nie będzie! - Maddy zakląła ze złością.

- Mogę się już odwrócić?

- Tak... ale lojalnie uprzedzam, że wyglądam jak klaun. Odwrócił się. I szeroko otworzył oczy.

- Co? - mruknęła podejrzliwie. - O co chodzi? Coś nie tak?

- Nic! Zupełnie nic... tylko...

Maddy rzuciła mu gniewne spojrzenie spod słomianego kapelusza z szerokim rondem, zwieńczonego pióropuszem ze strusich piór. Szczupłą szyję oplatała ozdobna koronka, opadająca na ciasno zasnuowaną, misternie zdobioną górną część gorsetu. Talia dziewczyny wydawała się cienka jak gałązka, wrażenie to potęgowała rozszerzająca się do dołu suknia, skromnie zakrywająca nogi do samej ziemi.

- Liamie? - Maddy położyła na biodrach ręce obleczone do wysokości łokci w nieskazitelnie białe rękawiczki.

- Wyglądasz jak...jak... - kręcił głową.

- Wykrztuś to wreszcie.

- Jak... dama. W rzeczy samej.

W pierwszej chwili chciała podejść do niego i zdzielić go jak zwykle po ramieniu, ale poczuła, że jej policzki zaczynają strasznie czerwienieć.

- Tiaa... naprawdę?

- Tak jest. - Liam się uśmiechnął. - A ja? Co ze mną?

- Ty wyglądasz jak imbecyl. - Wyszczrzyła zęby.

- To przez ten kapelusz - powiedział Liam, ściągając cylinder. - Uszy odstają mi pewnie jak para uchwyków od garnka.

- Nie przejmuj się, Liamie - zaśmiała się Maddy. - Taka moda. Nie jesteś tu jedyną osobą z cylindrem na głowie.

- W Irlandii nosiliśmy furażerki i kaszkiety. Drętwiaki w szapokłaku lub meloniku, sami się prosili, żeby pierwszy lepszy dowcipniś zdmuchnął im go z głowy.

Przemilczała to dowcipkowanie i wyciągnęła w jego stronę rękę, przyjazny uśmiech zastąpiło zmarszczenie brwi sugerujące, że czas się wziąć do roboty.

- Którą tam masz godzinę?

Liam wyciągnął z kieszeni kamizelki bogato zdobiony czasomierz.

- Siedem minut po jedenastej przed południem.

- W takim razie powinniśmy się zbierać. Okno powrotne zostanie otwarte za cztery godziny.

- Jasne, to daleko stąd?

- Chyba niedaleko. Wyjdziemy na Merrimac Street, później wzdłuż Fourth Street dotrzemy do Mission Street i zostanie nam już tylko krótki spacer na Second Street. Zgaduję, że to jakieś dziesięć minut drogi.

Liam odszedł od ceglanej ściany, wywróconych skrzyń z odpadami oraz smrodu gnijących ryb i ze swoim krzywym uśmiechem na ustach zaoferował Maddy ramię.

- Pozwoli pani?

Twarz dziewczyny pojaśniała, ręka w białej rękawiczce wśliznęła się pod ramię chłopca.

- Ależ oczywiście, panie Darcy. Doprawdy niesamowity z pana gentleman. Gdy wyszli z ciemnego zaułka na Merrimac Street, Maddy prawie się zachłysnęła.

„Mój Boże. Ja naprawdę jestem w przeszłości”. Dopiero teraz dotarło to do niej z pełną mocą.

Merrimac Street była tego ranka ruchliwa; po chodnikach spacerowali ludzie, pod górę wspinały się wozy konne transportujące towary z przystani na samym końcu ulicy. W porcie, w równym rzędzie, cumowały statki, wypuszczając w stronę błękitnego nieba pasma węglowego dymu i pary, wokół łajb krzątali się tragarze, niektórzy wnosili towary na statki, inni znosili ładunek na ląd.

- Bomba. - Zaśmiała się z zachwytem. - Czuję się jak w filmie, przypomina to pierwsze sceny z Titanica...

- Zrobili film o katastrofie? - Spojrzał na nią z niesmakiem.

Uśmiech na twarzy dziewczyny zamienił się w grymas poczucia winy.

Liam cmoknął z dezaprobatą i westchnął.

- Zginęło tylu dobrych ludzi... i po co? Żeby sto lat później zostać bohaterami jakiegoś migoczącego fotoplastykonu?

- Hmm, chyba tak. - Wzruszyła ramionami. - Ale film był świetny, niesamowite efekty specjal... - przerwała, widząc jak Liam gniewnie łypie oczami. - Nieważne.

Skęcili w lewo i skierowali się w stronę Fourth Street, starając się nie nadepnąć na końskie odchody zaśmiecające ulicę. Fourth Street była trochę ruchliwsza, choć nie umywała się do Mission Street. Szeroka na trzydzieści metrów arteria pęczniała od wozów konnych i przechodniów; wzdłuż ulicy biegła linia tramwajowa, po której ze stukotem przemykały wagoniki wypełnione pasażerami tak ciasno, że kilku zawsze niepewnie zwiślało z tyłu wagonu. Motorniczowie co chwila uderzali w dzwonki, aby oczyścić trakcję przed nadciągającym tramwajem.

- O mój Boże, to niesamowite! - westchnęła.

- Ciii... gadasz jak turystka! - Liam pociągnął ją za ramię.

Wzdłuż Mission Street ciągnęły się rzędy pięcio - i sześciopiętrowych budynków, magazynów, biur, fabryk, banków i kancelarii prawnych. Zauważyła wysoki budynek górujący nad krajobrazem - miał piętnaście, może dwadzieścia pięter i wyglądał jak pomniejszona wersja Empire State Building.

- Nie wiedziałam, że już wtedy mieli drapacze chmur... uhh... to znaczy, że mają je już teraz! Liam skinął głową.

- Niestety w Irlandii nic takiego nie mamy - powiedział ze smutkiem. - A ty chcesz mi powiedzieć, że jutro to wszystko zostanie całkowicie zniszczone?

- Mhm. Jutro rano, osiemnastego kwietnia, po wielkim trzęsieniu ziemi w całej Kalifornii. Według naszej historycznej bazy danych, wstrząsy zniszczą lwią część centrum, a pożar strawi resztę zabudowań... czwarty i piąty dystrykt. Zniknie niemal wszystko.

- Jeeezu... to straszne. - Liam na chwilę zmarszczył brwi. - Poczekaj! Przecież to trochę głupie, że Agencja wybrała właśnie to miejsce i ten czas na magazyn zapasów, skoro niedługo wszystko się zawali.

- Ty tak na poważnie? - spytała Maddy, krzywiąc się i teatralnie przewracając oczami.  
- Pomyśl przez chwilę! To doskonały wybór! - Spojrzała na niego, jakby właśnie źle założył buty. - Staruszek Foster musiał majaczyć, gdy mówił, że strasznie bystry jesteś - dodała z udawaną troską. Wydał wargi, udając, że jej słowa strasznie go zraniły.

- Pannę mądralińską najwidoczniej strasznie świerzbi język, żeby mi coś powiedzieć. Niech więc geniusz w gorsecie mówi śmiało.

- Miejsce jest idealne - westchnęła niezrażona - bo skarbiec bankowy, w którym przechowywane są genetycznie zmodyfikowane płody, zostanie strawiony przez pożar. Spłonie wszystko. Wszystkie skrytki depozytowe, ich zawartość, akta klientów... wszystko. Nie zostanie nawet cień śladu na piśmie.

- Ach, bardzo sprytnie. - Liam wyszczerzył zęby.

- No właśnie.

Harmider na Mission Street spotęgował głośny stukot charczącego silnika. Hałas zalał całą najbliższą okolicę. W końcu zobaczyli samochód z kruchymi, szprychowymi kołami, który toczył się środkiem ulicy za idącym pieszo człowiekiem wymachującym czerwoną flagą ostrzegawczą.

- Wow! Nie wiedziałam, że mieli wtedy samochody! - Maddy krzyknęła mu prosto w ucho.

- No i kto tu jest głupi?! - odkrzyknął Liam. - Oczywiście, że mieliśmy! - Patrzył na przejeżdżający obok pojazd prowadzony przez człowieka w czapce z daszkiem i goglach. Obok mężczyzny siedziała kobieta z burzą strusich piór na głowie, rękami osłaniając uszy przed kakofonią dźwięków.

- To oldsmobile model R - dodał Liam, gdy samochód w końcu skręcił w prawo z Mission Street, a mozolny charkot silnika tłokowego ucichł na tyle, że mogli wrócić do swobodnej rozmowy.

- Gdy opuszczałem miasto, kilka takich cudeniek zasuwało już ulicami Corku - tak, nawet Corku.

- Faktycznie, gnał jak zółw. - Dziewczyna ironicznie potrząsnęła głową.

Przez kilka kolejnych minut szli w milczeniu: Maddy z entuzjazmem odgrywała rolę w kręconym przez jej własną wyobraźnię hollywoodzkim filmie kostiumowym, a Liam czuł się trochę jak na sentymentalnej wycieczce do domu. Znowu znalazł się w swoich czasach; w miejscu, gdzie może swobodnie rozmawiać z ludźmi, nie ryzykując, że wezmą go za kompletnego bałwana, bo nie wie, czym jest „kamera cyfrowa”, że „komórka” to nie szopa z narzędziami, a „krówka ciągutka” to niekoniecznie krowa żująca trawę na łące.

- To tu - oznajmiła w końcu Maddy, wskazując na wąską boczną uliczkę. - Minna Street.

Przeszli na drugą stronę szerokiej ulicy, omijając kolejne kopczyki końskich odchodów i umykając przed dzwoniącym tramwajem, który torował sobie drogę przez tłum przechodniów. Stali u wylotu cichej, wąskiej uliczki, w której z trudem mogłyby się wyminąć dwa wozy.

- Tego budynku szukamy - powiedziała, wskazując elegancką, ceglano-granitową elewację. - Bank Oszczędnościowy - dodała. - Według instrukcji Fostera, to jedyny oddział banku. Po trzęsieniu ziemi pożar zniszczy ten budek i wszystko, co się w nim znajduje. Bank zapadnie się pod ziemię, jakby nigdy nie istniał. - Spojrzała na niego uważnie. - Rozumiesz? Idealny zbieg okoliczności.

- A wszystkie nasze Bobaski są bezpiecznie przechowywane w piwnicy?

- Tak mówi Foster.

Liam zmarszczył brwi.

- Może znowu coś przegapiłem, ale jeśli w skrytkach znajduje się cała porcja małych zarodków, to co podtrzymuje je przy życiu? Czy nie powinny po prostu umrzeć i zgnić? Może jest tam jakieś urządzenie chłodzące?

- Zobaczysz.

## ROZDZIAŁ 6

San Francisco rok 1906

Maddy ruszyła wzdłuż Minna Street w stronę banku.

- Chodź. Liam starał się dotrzymać jej kroku.

- Kto je umieścił w banku? Kiedy to zrobił?

Dotarła do frontowych drzwi Banku Oszczędnościowego i zatrzymała się.

- Poczekaj, Liamie, sekundkę... - Ściągnęła okulary i wyciągnęła z torebki skrawek papieru zapisany jej własnym charakterem pisma.

- Och, Jezuu... zabrałaś ze sobą notatki? Czy to nie zabronione? A kontaminacja czasowa?

Maddy rozejrzała się po cichej uliczce z poczuciem winy.

- No wiem... ale miałam furę informacji do zapamiętania. Martwiłam się, że o czymś

zapomnę.

- Foster wpadłby w szal, gdyby dowiedział się, że zabrałaś ze sobą notatki - powiedział Liam.

- Ale się nie dowie - szepnęła niecierpliwie. - A to dlatego, że

zwiął i zostawił nas samych z całym tym rabanem na głowie.

Liam obojętnie wzruszył ramionami.

Maddy założyła okulary i zaczęła wyjaśniać:

- Nazywam się panna Emily Lassiter. A ty jesteś moim bratem.

- Ja też dostanę jakieś imię?

- Tak... - westchnęła. - Mam, Leonard Lassiter. Pasuje?

Przytaknął.

Dziewczyna przejrzała resztę notatek i przez kilka chwil przetrawiała informacje, zanim ponownie schowała kartkę do torebki i ściągnęła okulary.

- Okej, chyba mamy wszystko, czego potrzebujemy. - Spojrzała na niego. - Nic nie musisz mówić. Przytakuj mi po prostu.

- Da się zrobić.

Wzięła głęboki wdech, po czym popchnęła podwójne drzwi banku. Postawili stopy na wykafelkowanej podłodze, od której odbijało się echo wszystkich kroków, tonąc w holu obitym ciemną, dębową boazerią. Przed nimi znajdowało się z pół tuzina reprezentacyjnych, mahoniowych biur, na których tliły się lampki o zielonych ceramicznych kloszach. Za biurkami siedzieli kasjerzy rozmawiający z klientami przyciszonym, oficjalnym tonem.



Maddy powiodła ich do wolnego młodego kasjera z ulizanymi włosami z przedziałkiem na środku i idealnie przystrzyżonymi i napomadowanymi wąsami.

- Hmm... czy mogę? - spytała.

Młody człowiek spojrział na nią i uśmiechnął się czarująco.

- Witam panienkę. Jak mogę panience pomóc?

- Chciałabym mówić z panem... hmm... panem Leightonem.

Chyba tutaj pracuje.

- Ach, on bez wątpienia tutaj pracuje, widzi panienka? - odrzekł młodzieniec, dotykając drewnianej tabliczki na biurku. - Nazywam się Harold Leighton. Proszę usiąść.

Maddy uśmiechnęła się i opadła na krzesło odrobinę zbyt bezpretensjonalnie, dlatego jak najszybciej starała się odzyskać pozę wielkiej damy.

- Bardzo pan uprzejmy - powiedziała z wielką powagą.

- Czym mogę panience służyć?

Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że uda jej się należycie przeprowadzić rozmowę i opanować nerwy.

- Moja rodzina założyła w państwa banku skrytkę depozytową, którą chciałabym dzisiaj opróżnić.

- Oczywiście. Na kogo zarejestrowane jest konto?

- Joshuę Waldsteina Lassitera.

Harrold Leighton uniósł brwi.

- Och... jakiś problem? - Serce Maddy zabiło mocniej.

- Absolutnie żaden. Tyle że... na biurku wciąż mam te dokumenty.

- Dokumenty? - Maddy niewinnie potrząsnęła głową.

- Dokumenty potwierdzające założenie skrytki bankowej przez pana Joshuę Waldsteina Lassitera, jak mniemam to panienki...

- Hmm?... Mój... tak, to mój ojciec.

- A więc ojciec panienki odwiedził nas niecałą godzinę temu. Miałem zaszczyt go obsługiwać. Przyniósł ze sobą bardzo kunsztownie zdobioną kasetę z biżuterią, którą wspólnie znieśliśmy na dół, do sejfu, i umieściliśmy w skrzynce depozytowej... wszystko to miało miejsce niecałą godzinę temu.

- Ach - odrzekła Maddy i zdezorientowana zamilkła na kilka sekund. - Wszystko się zgadza.

- Tak szybko chcą państwo opróżnić skrytkę?

- Właśnie - przytaknęła Maddy.

- Cóż... to się nigdy nie zdarza.

- My, Lassiterowie, tworzymy zabawną, starą rodzinę - powiedziała Maddy, zerkając za siebie nad krzesłem. - Prawda, Liamie?

- Ależ tak, strasznie dziwna z nas rodzinka, droga sostro. - Liam postąpił krok do przodu i uśmiechnął się do kasjera. - Czasem nazywa mnie Liamem, choć moje prawdziwe imię to Leonard - powiedział, dając jej kuksańca w plecy.

Maddy złażała się w duchu za swoją durnotę.

- Jesteście bratem i siostrą? - Harold Leighton podniósł wzrok na Liama. - Czy nie jest pan przypadkiem Irlandczykiem?

- Tak.

- A - powiedział, patrząc na Maddy - panienska Irlandką nie jest?

- Ja... hmm... - Usta Maddy poruszyły się bezsilnie. - Och...

- Ja wychowałem się w Corku - wtrącił się Liam. - A moja droga siostra w Kalifornii. Ojciec lubi prowadzić dom po obu stronach Atlantyku, nie inaczej.

- Na to wygląda. - Młody kasjer podejrzliwie zmarszczył brew, po czym westchnął i rozłożył przed nimi dokumenty ze szczegółowymi informacjami na temat ich konta bankowego. - Cóż, zdaje się, że wasz ojciec mianował swoje dzieci współwłaścicielami konta. Zakładam więc, że mam przyjemność z panną Emily Lassiter?

- Zgadza się - odpowiedziała.

- Z przyczyn bezpieczeństwa muszę zapytać o kod, który ojciec panienki wpisał do formularza. Pozwoli nam to upewnić się co do państwa tożsamości.

- Oczywiście - przytaknęła. - To... to... - Nagle uświadomiła sobie, że dosłownie wszystko wyleciało jej z głowy i zakłęła.

Kasjer szeroko otworzył usta, zdumiony tym nieprzystającym damie doborem słów.

- Ależ panienko!

Liam uśmiechnął się przepaszajaco.

- Proszę nam wybaczyć, siostra spędziła masę czasu na morzu, ten wulgarny język

podłapała od nieokrzesanych marynarzy. Ojciec nie znosi, gdy mówi w ten sposób.

- Sekundkę - powiedziała Maddy, szperając w torbie w poszukiwaniu kartki z notatkami. Szybko przejrzała własne bazgroły.- Ach! Tu jest!

Pochyliła się nad biurkiem i powiedziała:

- Hasło, panie Leighton, to „Hemlock”.

Młodzieniec przypatrywał się jej długo i intensywnie, a jego oczy przesłoniła mgiełka nieufności. W końcu ostrożnie się uśmiechnął.

- Zgadza się, panienko Lassiter. Jeszcze tylko podpis w tym miejscu i z przyjemnością odprowadzę państwa do sejfów.

\*

Kasjer przekręcił duże, miedziane koło i powoli otworzył żeliwne drzwi prowadzące do małego pomieszczenia z rzędem ponumerowanych skrzynek depozytowych zajmujących trzy ściany.

- Numer państwa skrzynki depozytowej to trzy, dziewięć, siedem - powiedział, wiodąc ich do szafki z tym właśnie numerem na drzwiczkach. Włożył klucz do zamka i raz go przekręcił.

- Zgodnie z polityką banku, muszę pozostać w pomieszczeniu, gdy klient przegląda zawartość skrzynki depozytowej. Oddalę się jednak do drzwi i odwrócę plecami, aby zachowali państwo choć odrobinę prywatności.

Maddy przytaknęła i uśmiechnęła się grzecznie jak pensjonarka.

- Dobrze.

Odczekała chwilę, odprowadzając wzrokiem pana Leightona, który przeszedł na drugą

stronę pomieszczenia i stanął przy żeliwnych drzwiach, mimowolnie pobrzękując kluczami i uważnie oglądając paznokcie drugiej dłoni.

- Liamie - mruknęła Maddy.

- Tak?

- Lepiej, jeśli z nim porozmawiasz. Rozproszy go to trochę. Nie chcę, żeby zauważył coś, czego widzieć nie powinien.

- Racja - przytaknął chłopak i odszedł w stronę drzwi. Z łatwością zagał rozmowę z młodzieńcem, a w tym samym czasie Maddy zajęła się ich sprawami.

Otworzyła drzwiczki skrzynki depozytowej. Słaba poświata żarówki zawieszanej pod sufitem pomieszczenia ukazała zarysy przedmiotu znajdującego się w środku. Maddy włożyła rękę w ciemność i niemal natychmiast dotknęła bocznej ścianki drewnianej skrzyni. Znalazła mały uchwyt i wyciągnęła ją ze środka. Była dość ciężka. Kiedy taszczyła ją z szafki w stronę ławki na środku pomieszczenia, młodzieniec krzyknął do niej:

- Panienska pozwoli, że pomogę.

- Dam sobie radę... dam radę - wystękała.

- Jest silna jak wół, w rzeczy samej - uspokoił go Liam. - Poradzi sobie - dodał i wrócił do rozmowy z Leightonem. Z pojedynczych słów Maddy wywnioskowała, że rozmawiają o statkach parowych.

Przyjrzała się skrzyni. Rzeczywiście wyglądała jak kasetka na biżuterię o rozmiarze małej torby podróżnej, była wykonana z ciemnego drewna i miała srebrne klamry i ozdobne zawijasy na ściankach. Odwróciła kasetę tak, aby wyprostowane wieko ukryło ceną zawartość przed wścibskimi oczami, a następnie powoli i ostrożnie ją otworzyła.

- Kolejna kasetka - wyszeptala. Ta była jednak gładka, jednolita, metalowa i zimna w dotyku. „Jest zamrożona” - pomyślała. W środku musiał znajdować się mały zasilacz lub

bateria.

Okryte rękawiczką palce wymacały z boku zatrzask i delikatnie go odsunęły. W środku kasetki coś kliknęło, wieko uniosło się powoli z ledwie słyszalnym syczeniem. Z kasetki wypłynęła cienka mgiełka azotu, odsłaniając rząd ośmiu szklanych próbówek; każda z nich miała około piętnastu centymetrów długości i kilka centymetrów szerokości. Wyjęła jedną z próbówek z podtrzymującego ją uchwytu i, wciąż pod osłoną wieka większej kasety, uważnie się jej przyjrzała. Za szkłem fiolki unosił się mętny, różowawy roztwór i niewyraźny zarys zwiniętego ludzkiego płodu.

- Witajcie, małe Bobusie! - zagruchała cichutko, przesuwając palce w dół zamrożonego zarodka. - Przyszła do was ciocia Maddy.

Rozmowa w rogu stawała się coraz bardziej ożywiona. Najwyraźniej Leighton był zafascynowany nowinkami technologicznymi, takimi jak statki parowe i automobile, a Liam umiejętnie to rozgrywał.

„Świetna robota, Liamie” - Maddy pochwaliła w myśli przyjaciela.

Odłożyła próbówkę na miejsce i zamknęła pokrywę chłodzonego pojemnika, po czym wyjęła go z kasety na biżuterię i włożyła do torby. Już chciała zamknąć kasetę, gdy zauważyła spoczywający na dnie świstek papieru. Na widok napisu serce dziewczyny zaczęło uderzać ze zdwojoną siłą.

Na kartce ktoś napisał jej imię.

„Wiadomość dla mnie?” - dziwiła się.

Sięgnęła ręką do kasety i wyjęła znalezisko. Na kartce ktoś w pośpiechu skreślił kilka słów.

Maddy, uważaj na „Pandorę”, ucieka nam czas.

Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu.

- Jak sobie radzisz, droga siostrze? - zawołał Liam.

- Świetnie - odpowiedziała, po czym chwyciła świstek papieru, zwinęła go w kulkę i wepchnęła do jednej z rękawiczek. Zamknęła kasetę i zaniósła z powrotem do schowka. Tym razem kasetę była zdecydowanie lżejsza. Zamknęła drzwiczki. - Gotowe, panie Leighton!

- Ach, cudownie! - Podszedł do skrzynki depozytowej, dzwoniąc kluczami i zamknął jej drzwiczki.

- Wszystko w porządku?

Spojrzała na Liama, który stroił do niej głupie miny ponad ramieniem kasjera.

- Tak... tak, w jak najlepszym, dziękuję.

Minutę później wychodzili już z banku na Minna Street. Liam wziął od Maddy torbę.

- Całkiem miły facet - powiedział.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego.

- Za dwanaście godzin będzie martwy.

- Martwy?

- Tak, martwy. Dlatego, zgodnie z instrukcjami, to właśnie o niego mieliśmy pytać po przyjeździe do banku. - Rozgryzła to, gdy wychodzili ze skarbca. Jeżeli cokolwiek się stało, jeśli młodzieniec dostrzegł zawartość kasety lub nabrał podejrzeń po rozmowie z Maddy i Liamem... cóż, zostanie mu niewiele czasu, aby podzielić się z kimkolwiek tą wiedzą. Agencja jak zwykle starannie zaciera ślady.

- Jezusie. To wszystko wydaje mi się takie niesprawiedliwe - wymamrotał Liam. - Nie możemy go nawet ostrzec. Maddy też się to nie podobało.

- Jest, jak jest, Liamie. Jest, jak jest.

Gdy szli Minna Street w stronę głównej arterii miasta, Liam próbował rozładować nastrój:

- Masz nasze dzieciaki?

- Wszystkie smoczusie dzidziusie na miejscu - przytaknęła.

- Smoczusie dzidziusie?

## ROZDZIAŁ 7

Teksas rok 2015

Edward Chan i pozostali uczestnicy wycieczki siedzieli w pokoju gości, pałaszując pączki i bajgle oraz popijając sok pomarańczowy z kartoników, podczas gdy pan Kelly, ich przewodnik, wygłaszał wstępną prezentację:

- Tekszański Instytut Zaawansowanych Technologii Energetycznych... lub TIZTE, jak nazywamy go w skrócie, został założony trzy lata temu, w dwa tysiące dwunastym roku, po reelekcji prezydenta Obamy. Młodych ludzi, takich jak wy, uczy się w szkole, że nadchodzą nowe, ciężkie i wymagające czasy. Ogólnoświatowa populacja liczy już niemal osiem miliardów ludzi, emisja dwutlenku węgla przekroczyła wszelkie dozwolone limity, zasoby tradycyjnych źródeł energii - ropy i gazu - kurczą się w zastraszającym tempie. Musimy zmienić nasze przyzwyczajenia, bo w przeciwnym razie... cóż, jestem pewien, że widzieliście już setki ponurych prognoz w wiadomościach.

Zrobił pauzę. W pokoju gościnnym panowała cisza, od czasu do czasu ktoś tylko



zaszurał lub siorbnał sok pomarańczowy przez słomkę.

- Na pewno wiecie, że instytut został założony w ramach prezydenckiego programu zaawansowanych badań energetycznych. Przez ostatnie trzy lata wydaliśmy miliardy dolarów z funduszy publicznych zgromadzonych w ramach tej inicjatywy, aby rozbudować ten wspinały ośrodek, który macie okazję dzisiaj zwiedzać. Pracują tu najlepsi fizycy kwantowi i matematycy, większość projektów badawczych dotyczy zagadnienia o nazwie „energia punktu zerowego”. Jestem przekonany, że któremuś z was ten termin musiał obić się o uszy.

Edward rozejrzał się po twarzach innych dzieci, kilkoro niepewnie skinęło głowami. Rękę podniósł jeden z chłopców - kilka lat starszy od niego, niski grubasek z kręconymi rudymi włosami; ryże kędziory zaczesane były tak mocno, że fale opadające z jednej strony przedziałka wyglądały jak lód świderk.

- Słucham cię, hmm...? - Pan Kelly pytająco uniósł brwi.

- Franklyn.

- Mów śmiało, Franklynie.

- Mój tata twierdzi, że energia punktu zerowego to tylko zbiór pobożnych życzeń. Przypomina próbę uzyskania czegoś z niczego. A to w fizyce niemożliwe. Nic nie dostaje się za darmo.

Kelly się zaśmiał.

- Cóż, Franklynie, święte słowa, ale właśnie na tym polega piękno projektu. To darmowy obiad. A koncepcja darmowego obiadu wcale nie jest taka nowa. Pamiętasz Alberta Einsteina i jego teorię względności? Twierdził on, że nawet w całkowitej próżni zachodzą reakcje. Nie jest to bowiem wyłącznie pusta przestrzeń, istnieje w niej energia - nieprzebrane zasoby energii, które można ujarzmić. Już starożytni Grecy podejrzewali, że żyjemy otoczeni zupą nieskończonej energii. Nazwali ją „eterem”. Ale problem, drogie dzieci... problem zawsze sprowadzał się do wyizolowania i zmierzenia tej siły. Jest homogeniczna i izotropowa... czyli wykazuje te same, jednolite właściwości fizyczne we wszystkich

kierunkach.

Zdezorientowani uczniowie w milczeniu patrzyli na pana Kelly'ego.

- Próba zmierzenia energii punktu zerowego przypomina trochę próbę zważenia zanurzonej w wodzie szklanki z wodą. Rozumiecie? Woda znajduje się i w szklance i poza nią... a zatem, ponieważ nie istnieje wyraźna różnica pomiędzy tym, co w środku a tym, co na zewnątrz, logicznie można założyć, że „szklanka jest pusta”. Co oczywiście nie jest prawdą. Podobny problem dotyczy energii punktu zerowego. Tylko dzięki utworzeniu „właściwej” próżni - i nie mówię tu o prostym wysysaniu powietrza z przestrzeni, ale o prawdziwej próżni czasoprzestrzennej, nawet maleńkiej - tylko dzięki temu zdołamy przyjrzeć się temu, co zostanie. - Przybrał wystudiowany uśmiech przeznaczony dla przedstawicieli mediów. - Ujrzymy czystą energię. Właśnie to robimy w laboratoriach TIZTE, mamy tu urządzenie, za którego pomocą można utworzyć prawdziwą lukę w czasoprzestrzeni. Prawdziwie pustą przestrzeń.

Kolejna uczennica podniosła rękę.

- Tak?

- Keisha Jackson.

- Śmiało, Keisha.

- Jak dużą dziurę zrobiliście? - spytała dziewczyna. - Można przez nią przejść?

- Ach, Boże, nie! Jest maleńka. Mikroskopijna. Nie musi być duża. Wystarczy mały punkcik wielkości łepka szpilki.

Jeden z chłopców w tylnym rzędzie zachichotał.

- Niedługo przejdziemy do głównego laboratorium, gdzie zobaczycie ogrodzenie otaczające strefę eksperymentalną. Z tego, co wiem, za niecałe pół godziny zespół otworzy małą próżnię. - Rozłożył ręce. - Chcecie rzucić na to okiem?

Wszyscy uczniowie w pokoju zaczęli entuzjastycznie kiwać głowami.

## ROZDZIAŁ 8

San Francisco rok 1906

Do bocznej uliczki wrócili pół godziny przed czasem. Niemal godzinę spędzili w dokach, przyglądając się załadunkowi statków parowych. Maddy rozkoszowała się każdym, najmniejszym szczegółem z życia w przeszłości i zaśmiewała się na cały głos, gdy przechodzący tragarze portowi ściągali na jej widok czapki i grzecznie pozdrawiali.

- O mój Boże! Czuję się jak księżna - szepnęła pod nosem do Liama, gdy skręcili w zaułek. - Każdy w tych czasach jest taki... sama nie wiem, miły i ułożony.

- Szczególnie w stosunku do damy... takiej jak ty - powiedział, wskazując głową jej sukienkę i ekstrawagancki kapelusz zwieńczony strusimi piórami. - W tym stroju wyglądasz jak prawdziwa dama z wyższych sfer. Jak najprawdziwsza, wytworna dama. Gdybyś ubrała się w nieelegancką, zwyczajną sukienkę, robotnicy nie przechodziliby obok ciebie z taką atencją.

- Ach, jasne... dzięki - odrzekła.

- Argh, widzę, że to źle zabrzmiało. Nie chciałem, żebyś odebrała to w ten sposób.

- Nie, prawdopodobnie masz rację. Nigdy nie byłam szczególnie piękna. A latanie w falbaniastej spódnicy i z głupim piórem w kapeluszu wiele tu nie pomoże.

Skierowali się w dół uliczki, omijając przewróconą skrzynię z gnijącą kapustą, i dotarli do miejsca, w którym zmaterializowali się kilka godzin wcześniej.

- To dość okrutne - stwierdził Liam w zamyśleniu.

- Co?

- Wciąż myślę o chłopaku z banku, Leightonie. Jesteś pewna, że zginie?

- Tak... - przytaknęła i dodała: - To logiczne. - I rzeczywiście było to logiczne, ale... świadomość, że Agencja postępuje bezlitośnie, nieustannie ją dręczyła. Agencja wiedziała wszystko o wszystkich i bezwzględnie tę wiedzę wykorzystywała. Za niecałe osiemnaście godzin młody człowiek, z którym rozmawiała, zamieni się w powykręcany, czarny szkielet zasypany tłącymi się ruinami banku.

„A ja muszę zacząć sobie z tym radzić” - upomniała się w myśli.

Liam chyba dobrze wyczuł jej rozterki.

- Takie mamy zadanie do wykonania, Mads. Nie mamy wielkiego wyboru, jeśli o to chodzi.

Dziewczyna spojrzała na niego i pomyślała, że Agencja w bezlitosny sposób wykorzystuje nie tylko kasjera bankowego, ale i Liama. Efekty uboczne na razie się nie ujawniły: komórki nie zaczęły obumierać, a Liam jeszcze przedwcześnie się nie postarzał. W którymś momencie zmiany staną się jednak widoczne. Im więcej podróży w przeszłość Liam odbędzie, tym więcej nastąpi szkód w jego organizmie, aż w końcu, tak jak Foster, zestarzeje się długo przed swoim czasem: mięśnie obwisną, kości skruszeją, ciało osłabnie i zwiotczeje; w wyniku podróżowania w czasie organy nieodwracalnie zniszczą, aż jeden po drugim zaczną zawodzić.

Bardzo chciała mu o tym powiedzieć. Ostrzec go.

„Ile jeszcze podróży, Liamie? Po której z nich zobaczę w tobie umierającego starca?”

- Dziewczyna nie mogła pozbyć się tych upiornych myśli.

Ale nie mogła. Jeszcze nie teraz. Foster uprzedził ją, że zdradzenie Liamowi jego przeznaczenia w tak wczesnej fazie byłoby aktem okrucieństwa.

„Pozwól mu cieszyć się wolnością; oglądać historię, przyszłość i przeszłość... podaruj mu przynajmniej tę ostatnią przyjemność, zanim oznajmisz mu, że umiera” - powtarzała sobie w duchu słowa Foster.

Liam przywołał swój charakterystyczny, krzywy uśmiech. Gdyby pojawił się na twarzy dorosłego człowieka, mógłby zostać uznany za beczelnie czarujący. Ale usta Liama składały się w odrobinę psotne kształty.

- Wszystko w porządku, Maddy?

- Tak! Wszystko w porządku.

Chłopak puścił jej rękę i sprawdził czas na czasomierzu.

- Okno powrotne powinno pojawić się za chwilę.

Niemal jak na zawołanie zaulek owiała delikatna bryza, po bruku potoczyły się drobne śmieci. Chwilę później, kilka metrów przed nimi, zaśniło i zadrgało gorące powietrze: kula o średnicy około czterech metrów uniosła się nad ziemią. Przez portal Maddy dostrzegła tylko powykęcane, pofalowane zarysy bazy i sylwetkę Sal, która niecierpliwie czekała na powrót przyjaciół.

„Kiedyś będziesz musiała mu to powiedzieć, zdradzić, że podróżowanie w czasie powoli go zabija” - przypomniała sobie słowa Foster. Od początku nie była zachwycona faktem, że zostawił jej decyzję. Nie chciała mieć sekretów, których nie może wyjawić ani Liamowi, ani Sal. - „A co z wiadomością?” - przemknęło jej przez myśl. Pod rękawiczką czuła kulkę papieru, znowu proszono ją o zatajenie czegoś przez przyjaciółmi. Dlaczego? Kim jest Pandora? Nie podobało jej się to... czuła się wykorzystywana. „Wykorzystywana? Może właśnie podobnie wykorzystałam przed chwilą młodego kasjera?”.

- Wskakuj. - Liam przerwał bieg jej myśli i podszedł do kuli portalu, trzymając w

rękach kasetkę na biżuterię.

- Liamie?

- Co? - Zatrzymał się.

Teraz mogła mu powiedzieć o wiadomości. Mogła mu również powiedzieć, że podróżowanie w czasie mści się na nim po cichu, że po każdej wyprawie w przeszłość komórki w jego organizmie ulegają nieznacznemu zniszczeniu, uruchamiając proces przedwczesnego starzenia. Uznała, że ona sama wolałaby wiedzieć. Wiedzieć, że za każdym razem, gdy przechodzi przez portal ucieka jej pięć lub dziesięć lat naturalnego życia biologicznego. Chciałaby mieć przynajmniej szansę podjęcia decyzji, czy jest gotowa złożyć ofiarę ze swojego życia dla reszty ludzkości.

- O co chodzi, Mads? A może Foster miał rację? Może powinna ukrywać przed nim prawdę tak długo, jak to możliwe...

Wyjęła okulary z torebki i włożyła je na nos, po czym ściągnęła z głowy błazeński czepek z długimi, niedorzecznymi strusimi piórami. Nagle ciasny gorset i falbaniasta suknia wydały jej się fałszywką, imitacją, nędzną podróbką. Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła się jak kłamczucha.

- Nic, Liamie, jedźmy do domu. - Na twarzy Maddy pojawił się zmęczony, słaby uśmiech.

## **ROZDZIAŁ 9**

Nowy Jork rok 2001

- Jesteś pewna?! - krzyknęła Sal.

- Tak twierdzi Bob. - Głos Maddy odbił się echem od sklepienia i popłynął przez otwarte drzwi na zaplecze. - Nazywają to teraz „wylęgarnią”. Mówi, że należy podłączyć końcówkę rurki tłoczącej proteiny do pępka embriona.

- Jak niby mamy to zrobić? - odpowiedział Liam. - Przecież to nie gniazdko, do którego wpina się przewód. - Mały, oślizgły zarodek na jego dłoni wiercił się przez sen. Liam skrzywił się, czując kruche kości pod cienką jak papier skórą.

Embrion wyglądał bezbrinnie, jak świeżo wyklute pisklę, które wypadło z gniazda, ale chłopak wiedział, że drobna, wiercząca się, blada istotka spoczywająca na jego dłoni wkrótce zamieni się w dwumetrowego lewiatana, nabrzmiałego od genetycznie podrasowanych mięśni, mówiącego tubalnym, onieśmiałającym głosem wydobywającym się z szerokiej jak beczka piwa klatki piersiowej.

- Bob mówi, że trzeba wepchnąć przewód tłoczny przez pępek.

- Głos Maddy przeciął ciszę.

Sal wydeła usta.

- Mam przekłuć mu brzuch?! - krzyknęła.

- Przecież nie każę wam go kłuć rurką - odpowiedział głos Maddy. - Bądźcie delikatni!

Liam spojrzał na Sal i potrząsnął głową.

- Nie potrafię tego zrobić. Zaraz zwymiotuję. Proszę... - Podał zarodek Sal.

- No dobra... Dziękuję, Liamie.

Dziewczyna ujęła podany płód w dłonie, ostrożnie sięgnęła do pleksyglasowej próbówki hodowlanej i wyjęła zwisającą w środku rurę zasilającą. Krzywiła się, gmerając w

lepkim roztworze, ale w końcu wyciągnęła końcówkę rury. Gdy śluzowata maź skapała, okazało się, że końcówka rury jest zaostzona.

- Bob mówi, że nie powinnaś wpychać jej zbyt mocno. Skóra w pępku jest cieniutka i powinna... Och, to po prostu obrzydliwe...

- Głos Maddy ucichł.

- Co?! - krzyknął Liam. Maddy nie odpowiedziała natychmiast.

- Maddy? - pisała Sal. - Co jest obrzydliwe?

- Mówi, że skóra powinna pęknąć jak pęcherzyk.

Liam popatrzył na Sal z zakłopotaniem.

- Naprawdę nie potrafię tego zrobić. Szkoda mi tego biednego szkraba.

- Shadd-yah! - zaklęła Sal. - Czasami jesteś beznadziejny.

Wzięła między palce końcówkę rury i pomału ją przeciągnęła, aż zawisła centymetr nad brzuszkiem zarodka: nad półprzezroczystą skórą poprzecinaną niewyraźną siecią niebieskich, pajęczych żyłek i zagłębieniem w gumowatej skórze.

Wzięła głęboki oddech.

- Okej... zaczynamy.

Ostrożnie wcisnęła ostrą końcówkę rury zasilającej w kłębuszek skóry. Zarodkiem wstrząsnął dreszcz; rączki i nóżki długości palca zamłóciły powietrze; główka wielkości orzecha włoskiego uderzała o wewnętrzną część dłoni.

- Och... Maddy! To mu się nie podoba! Wierzga!



- Bob mówi, że to całkowicie normalne... po prostu pchaj, aż pęknie skóra.

Usłyszała, że Liam mruknął coś o Jezusie, kiedy ugięły się pod nim nogi, a on sam ciężko osunął się na podłogę i przetoczył na bok.

- Liam chyba właśnie zasłabł! - krzyknęła Sal.

- Niech leży - odpowiedziała Maddy. - Musimy podłączyć zarodek, zanim się zagłodzi.

- Dobrze, dobrze.

Ponownie przycisnęła koniuszek rury do pępka i wpychała rurę, ignorując tym razem protesty zarodka, aż poczuła, że skóra, zgodnie z zapowiedzią, ustąpiła z cichym pstryknięciem. Na brzuszek wyciekła strużka ciemnej krwi.

- Jest w środku!

- Teraz owiń taśmą samoprzylepną miejsce, w którym rura styka się z zarodkiem. Nie może wypaść.

Sal sięgnęła po rolkę taśmy i okleiła pępek, uważając na istotkę, która miotła się na jej ręce ze świętym oburzeniem.

- Okej. Co teraz?

- Po prostu włóż płód do próbówki hodowlanej.

Sal podeszła do plastikowego cylindra i wsunęła zarodek przez odsłonięty wierzch urządzenia.

- Okej, Bobiku - szepnęła. - Widzimy się ponownie za jakiś czas.

Ostrożnie włożyła zarodek do mętnej mazi i patrzyła, jak zaczyna w niej tonąć.

Opadał w różowawej brei jak kulka wosku w lampie lava, aż rura zasilająca naprężyła się, unieruchamiając embrion.

- Okej, jest w środku!

- A teraz zamknij pokrywę próbówki i aktywuj system pompujący!

Zamknęła metalową pokrywę próbówki i zaciśnęła klamry, po czym przyklęła, żeby dokładniej przyjrzeć się panelowi na dnie próbówki. Nie było tam wiele do oglądania. Nazwa producenta - WG Systems - i mały ekran dotykowy. Dotknęła ekranu, na którym pojawiły się podpowiedzi: „System filtracyjny aktywny. Tryb WZROSTU czy HIBERNACJI?”.

- Pojawiło się pytanie, czy włączyć tryb wzrostu, czy hibernacji... powinnam wybrać wzrost?

Chwilę później pod sklepieniem zabrzmiała odpowiedź Maddy:

- Dla tego zarodka wybierz wzrost.

Sal dotknęła polecenia WZROST i zatwierdziła wybór. Natychmiast usłyszała cichy furkot silnika, który budził się do życia gdzieś na dnie próbówki. W środku zapaliło się światełko, rozjaśniając różowe proteiny i podświetlając od spodu zamglone kształty płodu. Wierzgający embrion uspokoił się, zadowolony, że jest karmiony, pomimo bólu odczuwanego podczas wpychania mu rury do brzucha.

- Gotowe!

- Świetnie. Teraz musimy zrobić to samo z pozostałymi płodami i ustawić tryb hibernacji.

Sal spojrzała na otwartą skrzynię na podłodze oraz inne próbówki z embrionami, po czym przeniosła wzrok na wciąż nieprzytomnego Liama, którego twarz spoczywała na zimnej podłodze wśród małej kałuży płwocin i rzygowin.

- Ekstra. Dzięki za pomoc, Liamie.

- Blfff ifff glub bulnb! - wymamrotał Liam, jedzenie niemal wylewało się z jego ust.

- Co mówisz? - Dziewczyny popatrzyły na niego w zadziwieniu. Liam przeżuwał coś z wigorem.

- Powiedziałem, że to naprawdę dobre. Co to? - spytał po przełknięciu pierwszej porcji.

- Lamb korma - odpowiedziała Sal. - Ale to nie to samo, co ma ma robiła w domu. Ta jest o wiele słodsza. Amerykanie do wszystkiego dodają tony cukru.

Maddy z entuzjazmem pokiwała głową.

- Im słodsze, tym lepsze. Mogłabym przez całe życie jeść samą czekoladę. - Sięgnęła po brązową, papierową torbę i wyciągnęła pudełko czatneju z mango.

Liam łapczywie wepchnął do ust kolejną kopiastrą łyżkę kormy.

Z komputera po drugiej stronie bazy sączyła się muzyka. Maddy włączyła internetowe radio, w którym grali muzykę uwielbianą przez jej rodziców: The Corrs, REM, Counting Crows.

- To dziwne, że zostało nas tylko troje. - Sal posmutniała. - Tęsknię za Fosterem.

- Ja też - powiedziała Maddy.

- Zobaczymy go jeszcze kiedyś?

- Prawdopodobnie nie. Musiał odejść. - Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego? - spytał Liam.

- Był chory - odrzekła po krótkiej chwili wahania.

- Zgadza się - powiedziała w zamyśleniu Sal. - Nie wyglądał najlepiej.

- Co z nim było nie tak?

Maddy przez chwilę bawiła się ryżem na talerzu.

- Miał raka. Umierał na raka. Tak mi powiedział.

- Biedny staruszek - westchnął Liam. - Naprawdę go lubiłem.

Odrobinę przypominał mi dziadka, w rzeczy samej. Przez chwilę jedli w ciszy.

- To dziwne - powiedziała Sal. - Teoretycznie jesteśmy członkami... Agencji, ale tak naprawdę wcale nie czuję się częścią czegokolwiek. Nie wiem, czy rozumiecie...

- Doskonale wiem, co masz na myśli - poparł ją Liam. - Mieszkamy w tej małej bazie, jest nas tylko troje i musimy radzić sobie sami, bo nikt się z nami nie kontaktuje. - Spojrzał na Maddy. - Czy Foster nie powiedział, że istnieją inne grupy podobne do nas? Inne biura terenowe?

- Powiedział - potwierdziła.

- Ale zupełnie nie mamy z nimi kontaktu. Nie mamy żadnych informacji na ich temat, nie wiemy nic o Agencji. Czy ktoś się z nami w ogóle kontaktował?

- Nikt.

Sal odłożyła na talerz swojego papada.

- A co, jeśli zostaliśmy sami i musimy działać na własną rękę? - Liam i Maddy uważnie na nią spojrzeli. - Co, jeśli to my jesteśmy Agencją? - dodała.

Liam uniósł brwi i szeroko otworzył usta.

- Jeśli to prawda, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Nie jesteśmy sami. Ktoś musiał przecież schować zarodki w tysiąc dziewięćset szóstym roku. - Maddy potrząsnęła głową.

- Może Foster?

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Ale kto w takim razie genetycznie je projektuje? Do tego jest potrzebne laboratorium i naukowcy.

Liam i Sal nie znaleźli na to odpowiedzi.

- Struktura Agencji jest o wiele bardziej skomplikowana - kontynuowała. - W innym miejscu, w innym czasie na pewną działają inne jednostki.

- Jak w takim razie nawiążemy z nimi kontakt? - spytała Sal. - Jak ich spotkamy?

- Sądzę, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Chyba nam nie wolno. - Maddy upiła łyk Dr. Peppera. - Być może działamy trochę jak organizacja terrorystyczna; dla naszego własnego bezpieczeństwa żadna grupa nie może wiedzieć, gdzie znajdują się pozostałe. Pracujemy w odosobnieniu. Jesteśmy zdani na siebie, aż do... - Słowa zamarły na jej ustach. Zapadła cisza, wszyscy zastanawiali się, jak i kiedy skończy się ich przygoda.

- W takim razie nici z wyjazdów integracyjnych - mruknął Liam.

Maddy parsknęła, zalewając stół napojem. Ulżyło jej, że Liam znalazł sposób na rozproszenie pochmurnego nastroju.

- Ale niedługo - dodała Sal - będziemy mieli nowiuńskiego Boba do ochrony.

- Racja, tęsknię za tym wielkim małopoldem.

- Przecież jest tam! - Maddy wskazała rząd monitorów.

- Nie - odrzekł Liam, marszcząc nos - to nie to samo.

- Nie możesz przytulić komputera - zauważyła Sal.

- Święte słowa. - Liam zachichotał. - Tęsknię za jego okrągłym, kokosowym łbem.

- I głupim, totalnie zakręconym wyrazem twarzy - dodała Sal.

- Ja też. Maddy przełknęła łyżkę curry.

- Niedługo do nas dołączy. Według instrukcji Fostera, cykl rozwojowy powinien potrwać około stu godzin. - Nałożyła na nos okulary. - Niech no sprawdzę... to tylko cztery dni.

- Będziemy potrzebowali nowych ubrań - powiedziała Sal. - Sprawdzę jutro, czy uda mi się znaleźć coś dla niego.

- Świetny pomysł - przytaknęła Maddy.

Zjedli indyjski obiad na wynos i posprząтали po sobie pudełka. Liam zaoferował, że wyniesie opakowania, gdy dziewczyny będą przebierać się do snu. Przeszedł przez pomieszczenie, klucząc pomiędzy wijącą się na podłodze plątaniną kabli, i podniósł roletę wejściową na tyle, aby precyzyjnie się na uliczkę.

Migoczące niebieskie światło rzucało na ulicę słabą poświatę. Halogenowe reflektory rozjaśniały grubą, metalową konstrukcję mostu Williamsburg, który rozciągał się nad spokojną rzeką Hudson. Na przeciwległym brzegu roztaczał się widok, do którego Liam jeszcze nie w pełni się przyzwyczył. Manhattan: zawieszony do góry nogami, wibrujący, kryształowy żyrandol zbudowany z tysiąca migających światel miasta i gęstego ruchu.

Wrzucił torbę do kosza na śmieci i wciągnął do płuc rześkie nocne powietrze. Świat był piękny tej nocy. Jutro samoloty rozbijają się o budynki, na niebie zawiśnie czarny płaszcz

dymu. Nienawidził wtorków.

- Dobrej nocy, Nowy Jorku - wyszeptał pod nosem.

Miasto odpowiedziało stukotem przejeżdżającego przez most pociągu oraz odległym echem koguta radiowozu, który gnał po Brooklynie kilka przecznic dalej. Przygotowując się do ponownego zanurkowania pod roletą i zamknięcia jej za sobą, zastanawiał się, czy Sal ma rację. Może naprawdę byli sami. Może Agencja to oni?

Odpowiedź na to pytanie miała nadejść już następnego ranka.

## ROZDZIAŁ 10

Nowy Jork rok 2001

Maddy była całkowicie pochłonięta śledzeniem amerykańskiego Big Brothera, kiedy przerwał jej Bob. Słuchała, jak Nicole i Hardy knują w kuchni przeciwko pozostałej dwójce. Była to powtórka zeszłotygodniowych programów telewizji FOX, dziewczyna wiedziała więc już, kto wkrótce zostanie usunięty z domu Wielkiego Brata. Widziała ten program co najmniej czterokrotnie, ale z jakiegoś powodu i pomimo że doskonale znała werdykt widzów, kompulsywnie oglądała show po raz kolejny.

Dlatego z lekką irytacją zerknęła na okno dialogowe wyświetlone nad ekranem odtwarzacza video z Wielkim Bratem.

> Maddy?

Wstała i, zamiast wstukiwać odpowiedź za pomocą klawiatury, powiedziała do mikrofonu:

- O co chodzi, Bob? Właśnie oglądam Big Brothera.

> Wykrywam zbliżające się cząstki tachionowe.

Szeroko otworzyła usta, z których na koszulkę wyciekło mleko z kulkami ryżowymi Rice Krispies.

- Robisz mnie w konia, co?

> W konia?

- Żartujesz.

> Nie żartuję, Maddy. Ukierunkowany strumień komunikacji przypląnął pod prąd.

- Pod prąd... To znaczy z przyszłości?

> Potwierdzam.

Maddy odłożyła łyżkę do miski śniadaniowej i ponownie usiadła na krześle. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Liam wciąż głęboko spał na swoim materacu, Sal wyszła wcześniej po ubrania dla Boba.

„O mój Boże... dostaliśmy wiadomość z przyszłości?” - pomyślała.

Uświadomiła sobie, że może pochodzić jedynie z Agencji - to ich pierwszy kontakt z organizacją - i to akurat w momencie, gdy zaczęli się zastanawiać, czy ich trójka jest jedyną komórką.

- Jaka jest treść komunikatu, Bob?

> Chwileczkę... chwileczkę... trwa proces dekodowania.

Sal doszła do wniosku, że nie ma sensu przechodzić przez most na Manhattan,



ponieważ wszystkie znajdujące się tam sklepy z ubraniami to nowoczesne sieciówki, w których nie znajdzie nic, co pasowałoby na dwumetrową górę mięśni.

Zamiast tego wybrała się na Brooklyn - tej dzielnicy jeszcze nie eksplorowała. Foster tak mocno nalegał, aby całkowicie skupiła uwagę na Manhattanie i Times Square - wyławiając najdrobniejsze szczegóły i najmniej znaczące zdarzenia tworzące rzeczywistość - że zupełnie nie miała czasu na poznanie drugiego brzegu rzeki Hudson.

Daleko od mostu i Szóstej znalazła labirynt cichych uliczek. W jednej z nich znajdował się rząd dziwnych, małych sklepików oferujących używane meble i zakurzone stare książki. Sterty towarów zalegające przed witrynami po obu stronach ciasnej uliczki przypominały jej trochę bazar w pobliżu jej domu w Mumbaju.

Po jej policzku spłynęła łza, ale dziewczyna szybko przywołała się do porządku, tłumacząc sobie, że opłakiwanie rodziców nie ma sensu, ponieważ oni jeszcze nie umarli. Ponure przeznaczenie upomni się o tych dwoje dopiero za dwadzieścia pięć lat. W tej chwili jej mama i tata to para jej rówieśników, którzy nie spotkają się przez najbliższą dekadę. Dziwne to. Gdyby Sal stanęła teraz obok swojej mamy, można by je wziąć za siostry.

Uwagę dziewczyny przykuł sklep z tysiącem zabytkowych drobiazgów, które niemal wysypywały się z wejścia na chodnik. Staromodne, drewniane meble, bujany koń i ubrania wyglądające jak kostiumy teatralne były wymieszane z bibelotami, używanymi telewizorami, tosterami i odkurzaczami marki Dyson. Mydło i powidło.

Stwierdziła, że ma tutaj taką samą szansę znaleźć coś odpowiedniego dla Boba, jak wszędzie indziej, zresztą wszystko wyglądało na bardzo tanie. Weszła do sklepu i precyzyjnie się przez przedsiónek zagracony zestawem chromowanych stołków barowych i kilkoma łuszczącymi się manekinami ubranymi w spłowiałe gorsety i boa z piór.

- W czym mogę pomóc panience?

Sal drgnęła, obcy głos pojawił się znikąd. Chwilę później dostrzegła drobną staruszkę z kruczoczarnymi włosami, która wydawała się mniejsza nawet od niej.

- Oj... przestraszyła mnie pani.

- Przepraszam, kochanie. - Kobieta się uśmiechnęła. - Często wtapiam się w dekoracje.

Sal zaśmiała się. Wyobraziła sobie klienta, który płaci dziesięć dolarów za „naturalny manekin starszej kobiety”, po czym wkłada pod pachę staruszkę i rażno wychodzi z nią na ulicę.

- Czego szukasz, kochanie?

- Ma pani ubrania?

- Z tyłu. - Machnęła ręką. - Znajdziesz tam półki z bardzo starymi ubraniami i kostiumami. Mam dużo niepotrzebnych przebrań z teatrów broadwayowskich i kilka staromodnych kompletów ubrań.

- Dziękuję.

Sal, lawirując pomiędzy przedmiotami wystawionymi na sprzedaż, weszła w głąb sklepu. Kurz zalegający na wszystkich towarach oraz słaby zapach kulek naftaliny i terpentyny gęstym strumieniem wpływały do jej nosa. Na zapleczu znalazła wieszaki i regały z garderobą. Niemal zaśmiała się na widok dziwacznych ubrań. Przejrzała półki, podśmiewając się z egzotycznych kostiumów i z uznaniem cmokając na widok innych strojów. Wreszcie znalazła coś, co jak ulał mogło nadać się dla Boba: parę pasiastych spodni z niebywale długimi nogawkami, które, jak sądziła, mogły być częścią kostiumu clowna, i bardzo szeroką, żarówiastą, pomarańczowo-różową koszulę hawajską, zdolną pomieścić jego szerokie ramiona i bulwiaste mięśnie.

- Twój przyjaciel musi być bardzo duży - zauważyła staruszka, biorąc od Sal pieniądze i pakując ubrania do plastikowej torby.

- To dla wuja - odpowiedziała. - Wuja Boba. To bardzo duży mężczyzna. - Sal chciała już dodać, że jest również bardzo głupi - głupi i dziecinny, ale w tym samym momencie

zauważyła, że na wieszaku wisi biały uniform z rzędem guzików po lewej stronie. Na piersi wyszyto napis, który natychmiast rozpoznała: „White Star Lines”. Uniform stewarda, zupełnie jak ten Liama.

- Czy to... czy to uniform z Titanica? - Wskazała na niego palcem. Starsza kobieta odwróciła się, by spojrzeć na strój.

- Ach, to? Autentyczny mundur byłby wart dużo więcej. Mogłabym go sprzedać do muzeum albo prywatnemu kolekcjonerowi za kilka tysięcy dolarów. Niestety nie jest prawdziwy - to tylko kostium teatralny. Zresztą niezbyt dobrze uszyty. Moi przyjaciele... kręcili film, którego akcja rozgrywa się na Titanicu, ale nie odniósł sukcesu kasowego. Chcesz na niego spojrzeć?

Sal potrząsnęła głową. Mogła jej powiedzieć, że zabawnym zbiegiem okoliczności jej młody kolega naprawdę pracował na Titanicu, ale staruszka z pewnością uznałaby ją za szaloną lub zwyczajnie beczelną. Zresztą, za pół godziny, kiedy pierwszy samolot uderzy w bliźniacze wieże, kobieta i tak niemal natychmiast zapomni o tej dziwnej rozmowie.

Dziewczynka wróciła do bazy z ubraniami Boba i drobnymi zakupami jeszcze przed rozbiciem się pierwszego samolotu, zanim niebo nad Manhattanem zaczęło zasnuwać się dymem. Już miała opowiedzieć Liamowi o uniformie ładującym podobnym do jego ubrania, ale miny Maddy i Liama wskazywały, że właśnie wydarzyło się coś bardzo istotnego.

W jednej chwili zapomniała o wszystkim, co miała powiedzieć.

## **ROZDZIAŁ 11**

Nowy Jork rok 2011

- To wiadomość z Agencji - wyjaśnił Liam, gdy Sal dołączyła do nich przy biurku z

komputerami. - Z przyszłości.

- Mamy naszą odpowiedź. - Sal spojrzała na nich uważnie. - Nie jesteśmy sami.

- Tak! - odpowiedziała z uśmiechem Maddy, najbardziej pod ekscytowana z całej trójki. - Bob właśnie dekoduje wiadomość. Obliczył, że pochodzi z około dwa tysiące pięćdziesiątego szóstego roku: z czasów Roalda Waldsteina, ojca technologii podróżowania w czasie.

- Myślisz, że to od niego? Od Waldsteina? - spytał Liam.

Maddy sięgnęła po leżący na biurku inhalator i szybko wciągnęła dawkę leku.

- Tak - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że Agencja sprawdza tylko, czy wszystko u nas w porządku. Byłby to bardzo miły gest.

- Ale jak... - zaczął Liam, marszcząc brwi. - W jaki sposób im odpowiemy? Częstki tachionowe podróżują wyłącznie w przeszłość. Tak mówił Foster.

- Tak mówił... ale to tylko uproszczenie. Transfer w drugą stronę pochłania po prostu o wiele więcej energii. Poza tym w dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym roku wszyscy wypatrują cząstek tachionowych, prawda, Bob?

> Potwierdzam. Sygnał wysłany do Agencji może zostać przechwycony i zdradzić lokalizację organizacji. W dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym roku ustanowiono międzynarodowe prawa dotyczące podróżowania w czasie.

- Poza tym nie wiedziałabym, gdzie skierować sygnał - powiedziała Maddy. - Nikt nie wie, gdzie znajduje się siedziba Agencji.

- Możemy w ogóle jakoś im odpowiedzieć? Maddy przytaknęła.

- Tak... możemy. W instrukcji Fostera na temat nawiązywania kontaktu z Agencją znajduje się wyjaśnienie nagrane przez wyglądającego dziesięć lat młodziej Fostera. Ten

punkt instruktażowy musiał zostać nagrany dużo wcześniej niż pozostałe.

- Metoda jest podobna do tej użytej przez ciebie, Liamie - powiedziała Maddy. - Pamiętasz księgę muzealną? W tym przypadku do zostawienia odcisku służy gazeta nowojorska. Aby przekazać wiadomość, musimy umieścić ogłoszenie w kolumnie złamanych serc gazety „Brooklyn Daily Eagle”. Musi zaczynać się od słów: „Dusza zagubiona w czasie...”.

Liam pstryknął palcami; w mgnieniu oka zrozumiał całą resztę.

- Zakładam, że w przyszłości mają wytarty, poźółkły egzemplarz tej gazety? - Zgadza się: z dwunastego września dwa tysiące pierwszego roku. Sał patrzyła na nich po kolei z szeroko otwartymi oczami. - Chcecie mi powiedzieć, że słowa w tej gazecie się zmieniają?

Wydruk się naprawdę zmienia? Maddy potwierdziła skinieniem głowy.

- To ryska w czasie. Nic nie znaczy. Kto w końcu czyta rubrykę „Samotny pan pozna samotną panią” sprzed iluś tam lat?

- Niemal wszystkie artykuły będą poświęcone historii związanej z rozbiciem się samolotu o budynek - stwierdził Liam.

- Dokładnie. Naszego krótkiego ogłoszenia nie zauważy nikt, za wyjątkiem... grupy ludzi uważnie przyglądających się pięćdziesięciopięcioletniej gazecie w dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym roku.

- Maddy cmoknęła z ekscytacją. - Nawet nie wiecie, jak mi ulżyło, że ktoś tam jeszcze jest!

Liam skinął głową na ekran przed nią.

- Bob chyba skończył.

> Odszyfrowałem wiadomość, Maddy.

- Jak brzmi?

> To tylko część wiadomości. Sygnał został przerwany.

- Hmm? Okej... daj nam, co masz, Bob.

W oknie dialogowym pojawiły się słowa:

> Zdarzenie kontaminacyjne. Czas początkowy: 10:17, osiemnasty sierpnia dwa tysiące piętnastego roku. Wysokie fale kontaminacyjne. Znaczne wykrzywienie osi czasu. Śmierć Edwarda Chana, autora teorii translokacji czasowej. Skutek: w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku nie zostanie napisana rozprawa teoretyczna na temat podróżowania w czasie. Śmierć mogła nastąpić w wyniku świadomego zamachu, podczas wycieczki do instytutu...

Wszyscy troje czekali przez chwilę, aż Bob wydrukuje większą część wiadomości.

> To wszystko, co mam. W tym miejscu kończy się zasób cząstek.

- To wszystko?

> To wszystko, Maddy.

Odwróciła się, aby spojrzeć na pozostałych.

- Co to wszystko ma niby znaczyć?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, analizując mały kawałek tekstu na ekranie. W końcu Liam wzruszył ramionami.

- Że mają kłopoty?

- To akurat jasne - westchnęła Maddy.

- Że potrzebują pomocy? - zapytała Sal.

- Ale czy możemy im pomóc? - zastanawiał się Liam. - Czy mogę wyruszyć w przyszłość?

- Oczywiście, że możesz. - Maddy w zamyśleniu potarła koniuszek nosa. - Zastanów się chwilę. Przecież zawsze gdy wracasz z misji, podróżujesz w przyszłość.

> Potwierdzam. Agent operacyjny może podróżować w obie strony, choć konsumpcja mocy jest znacznie większa podczas podróżowania w przyszłość.

Sal popatrzyła na dwoje przyjaciół.

- Ale może w przyszłości znajduje się więcej biur terenowych, które mogłyby rozwiązać ten problem?

- Sal ma rację. - Liam skinął głową. - Jeśli nie jesteśmy jedyną drużyną, być może inna grupa agentów znajduje się bliżej rozgrywanych wydarzeń na osi czasu?

Maddy zamyśliła się na chwilę, po czym odpowiedziała:

- Dlaczego więc wysyłają do nas bezpośrednią wiadomość? To znaczy... w to miejsce i ten czas? - Odwróciła się do biurka. - Bob, czy to była szeroka wiązka adresowana do wszystkich... bez względu na czas i miejsce pobytu?

> Zaprzeczam. Otrzymaliśmy wiadomość w postaci wąskiej, skupionej wiązki.

- To znaczy, że została wysłana specjalnie do nas?

> Tak należy logicznie zakładać, Maddy.

- Ale w przyszłości na pewno znajdują się inne drużyny - powiedziała Sal. - Ktoś musi być bliżej w czasie i...

- Może i są - przerwała jej Maddy - ale wszystkie biura terenowe rezydujące po... - spojrzała na ekran -... osiemnastym sierpnia dwa tysiące piętnastego roku również utonęły pod nową falą czasu. - Popatrzyła na pozostałą dwójkę. - Prawdopodobnie jesteśmy więc najbliższą drużyną, na którą nie wpłynęły zmiany. Może nasze biuro terenowe znajduje się najbliżej tej daty?

- Ależ daj spokój - westchnął Liam. - Dlaczego to znowu musimy być my? Dopiero co pozbialiśmy się po ostatniej aferze, masakra.

> Witaj, Liamie. Mam pytanie.

- Dzień dobry, Bob.

> Czy słowo „masakra” odnosi się do wysokiej liczby ofiar śmiertelnych podczas ostatniej misji oraz obrażeń zadanych mojej ostatniej organicznej obudowie? Czy też jest to przekleństwo, które powinienem dodać do swojej bazy danych?

- Liam jest podenerwowany - wyjaśniła Maddy.

> Zły?

- Właśnie.

Ponownie w milczeniu przyglądali się urwanej wiadomości wyświetlanej na ekranie. Mieli cichą nadzieję, że informacja zaraz zniknie lub w jej miejscu pojawi się zwykły komunikat powitalny.

- To na pewno do nas - powiedziała Sal po chwili. - Musimy rozwiązać ten problem, tak jak ostatnio.

- Też tak myślę - poparła ją Maddy.

- Cóż, ja się nigdzie nie wybieram. - Liam zacisnął szczęki. - Chyba że Bob pojedzie



ze mną. Mówię poważnie, w rzeczy samej.

- Okej - odrzekła Mady. - To zrozumiałe. - Odwróciła się w stronę monitorów. - Bob, czy możemy przyspieszyć cykl rozwojowy zarodka?

> Potwierdzam. Należy zwiększyć stężenie substancji pokarmowych w roztworze oraz wprowadzić ładunek elektryczny do zawiesiny, żeby pobudzić aktywność komórek.

- Jak szybko uda nam się wyhodować dla ciebie ciało?

> Cykl rozwojowy można przyspieszyć o sto procent przy zachowaniu akceptowalnego poziomu ryzyka dla biologicznej formy życia.

- To połowa wyznaczonego czasu - powiedziała Maddy. - Czyli zostaje... ile? Trzydzieści osiem godzin?

> Potwierdzam.

- Nie uda nam się wyhodować klona wcześniej? - zapytał Liam, po czym spojrzał na Maddy i wzruszył ramionami. - Czy to musi być w pełni rozwinięty człowiek?

> Optymalny wiek organicznej jednostki pomocniczej wynosi dwadzieścia pięć lat. Tkanka mięśniowa i wewnętrzne systemy regeneracyjne są w tym wiek u najbardziej funkcjonalne.

- Ale Liam pyta, czy możemy wyjąć z próbówki klona w młodszym wieku. Czy to... nie wiem, go nie zabije?

> Zaprzeczam. Klony stają się funkcjonalne po przekroczeniu czternastego roku życia. Efektywność młodej jednostki pomocniczej jest jednak niższa.

- Co to oznacza? - spytał Liam.

- Że Bob nie będzie takim brutalnym wielkoludem jak ostatnio - wyjaśniła Sal.

- A gdybyśmy chcieli wyhodować klona... w wieku powiedzmy osiemnastu lat? - spytała Maddy. - Będzie sprawny?

> Osiemnastoletni klon gwarantuje pięćdziesiąt procent standardowej skuteczności operacyjnej.

- Czyli będzie w połowie tak silny jak ostatnio? - upewniał się Liam.

Maddy przytaknęła i spytała Boba:

- Ile czasu dzięki temu zaoszczędzimy?

> Czternaście godzin.

- Co o tym myślicie? - Dziewczyna spojrzała na pozostałych.

- Jeśli przyspieszymy proces wzrostu i wypuścimy klona z próbówki po dwudziestu czterech godzinach, otrzymamy osiemnastoletniego Boba z mięskami mniejszymi o połowę, tak? - spytał Liam.

- Mniej więcej.

- Ale czy wciąż będzie niebezpieczny, bo nie ma sensu zabierać go na misję, jeśli...

> Potwierdzam, Liamie. Będę w stanie zadawać śmierć bronią lub gołymi rękami.

Liam zdobył się na słaby uśmiech.

- W takim razie cieszę się, że wkrótce do nas wrócisz, Bob.

> Dziękuję. Nie mogę doczekać się odzyskania pełnej sprawności operacyjnej.

Maddy uderzyła dłonią w biurko.

- Dobra. Chyba mamy plan działania. Nie ma czasu do stracenia. Sal, idź dopilnować zarodek. Przyspieszmy ten proces.

- Okej.

- Trzeba też zacząć gromadzić wszystkie dane na temat Edwarda Chana - powiedziała, dotykając klawiatury komputera.

- A co ze mną? - spytał Liam.

Maddy zaczęła w roztagnieniu stukać palcami o biurko.

- Kurczę... nie mam pojęcia.

- Może zrobię kawę?

Uśmiechnęła się.

- Lepiej idź do Starbucksa i kup mi czekoladowego muffina.

- Taak, i mnie też! - Sal wystawiła głowę przez drzwi do zaplecza.

## **ROZDZIAŁ 12**

Nowy Jork rok 2001

- Tyle znalazłam - powiedziała Maddy, wyciągając kilka zadrukowanych kartek.

Tego wieczoru restauracja Kentucky Fried Chicken świeciła pustkami. Siedzieli sami.

Na ulicach Brooklynu panowała cisza, wszyscy mieszkańcy wrócili do domów zaraz po zapadnięciu zmroku. Ludzie siedzieli w domach, oglądając wiadomości telewizyjne. Przez cały dzień w stronę nieba wzbijała się gęsta kolumna czarnego dymu z bliźniaczych wież, nowojorczyki zrzucali z siebie łuski szoku i przerażenia, wchodząc w nastrój refleksji i żałoby.

Mieli szczęście, że restauracja była otwarta. W pracy zostało tylko kilkoro członków personelu, którzy i tak całą uwagę skupiali na pasku z wiadomościami przesuwającym się na ekranie małego telewizora na ladzie.

- Edward Chan, jak mówił Foster, jest młodym geniuszem matematycznym, który studiował na Uniwersytecie w Teksasie. Po ukończeniu studiów otworzył przewód doktorski.

- Czym jest ten... ten przewód doktorski?

- To jeszcze więcej studiowania, Liamie. Podczas takich studiów mówisz swoim wykładowcom, w jakiej określonej dziedzinie zamierzasz prowadzić badania, a oni od czasu do czasu sprawdzają twoją pracę i pomagają na tyle, na ile potrafią.

- W każdym razie... - Spojrzała na wydruk i przeczytała: - „Na uniwersytecie rozpoczął badania poświęcone problematyce energii punktu zerowego”.

- A co to jest?

- Boże, Liamie... przestaniesz wreszcie zasypywać mnie pytaniami?

Ubodło go to trochę.

- Przecież muszę nauczyć się tych wszystkich nowoczesnych słów. Wciąż jestem tym samym chłopakiem z Corku, który stara się nadrobić braki w wiedzy na temat ostatniego stulecia.

Maddy westchnęła.

- To rodzaj energii, która rzekomo istnieje na poziomie subatomowym. W moich czasach wciąż było to tylko teoretyczne bajanie.

- Kiedy mieszkałam w Indiach, zaczęli chyba budować wielkie urządzenie, które miało związek z tą energią - powiedziała Sal. - Jakiś reaktor eksperymentalny czy coś podobnego. Budowali to, bo kurczyły się zasoby ropy.

Maddy wyjęła z pudełka kilka frytek i podjęła:

- Mogę mówić dalej, Liamie? Chan planował napisać rozprawę na temat energii punktu zerowego, ale w efekcie stworzył teoretyczne podwaliny dotyczące podróżowania w czasie. Według jednego z głównych założeń jego pracy, czasoprzestrzeń wypełnia energia, subatomowy gulasz energetyczny, który w rzeczywistości stanowi przeciek z innych wymiarów. Chan napisał artykuł, ale nie zdążył zrobić nic więcej, ponieważ kilka lat później, w wieku dwudziestu siedmiu lat, umarł na raka.

- Czyli Foster miał rację - zauważył Liam. - To Chan odkrył podróżowanie w czasie, a nie Waldstein?

- Chan stworzył teorię, dzięki której Waldstein mógł skonstruować wehikuł. Wydaje mi się więc, że są równoprawnymi twórcami technologii translukacyjnej.

- Zgodnie z wiadomością od Agencji, został zamordowany - powiedziała Sal.

Maddy przytaknęła.

- A co to według was oznacza? - Spojrzała na przyjaciół. - Ja sądzę, że ktoś próbuje uniemożliwić wynalezienie podróży w czasie.

Liam sięgnął po torebkę z keczupem.

- Poczekaj... czy to nie do tego zmierzał Waldstein? Czy nie chciał sprawić, żeby podróżowanie w czasie nigdy nie zostało wynalezione? Czy nie po to istnieje Agencja i czy nie dlatego znaleźliśmy się tutaj zamiast umrzeć?

- Po co Agencji żywy Chan? - spytała Sal. - Jeśli Chińczyk umrze, wraz z nim znikną podróże w czasie. A to oznacza, że znikną również nasze problemy z czasem.

- Ma rację. - Liam uniósł palec. - W wiadomości nie ma żadnej wzmianki o konieczności uratowania naukowca. Maddy pochyliła się do przodu.

- Wiadomość była niekompletna. Może brakowało właśnie tego fragmentu?

- Nie wiemy tego na pewno - skontrowała Sal. - Być może ktoś z przyszłości próbuje nam powiedzieć, że przyszłość na dobre ulega zmianie i Agencja nie jest już potrzebna... my nie jesteśmy potrzebni.

Maddy pokręciła głową i wskazała wiadomość wydrukowaną na kartce.

- Popatrzcie... zaczyna się od słów „zdarzenie kontaminacyjne”. Według mnie sugeruje to, że wydarzyło się coś złego, co bardzo rozzłościło Agencję.

Na chwilę zapadło milczenie, wszyscy troje wpatrywali się w zadrukowaną kartkę papieru, starając się odgadnąć, czego Agencja właściwie od nich oczekuje.

- Foster wyraził się bardzo jasno - powiedziała Maddy po chwili.

- Historia musi podążać określoną ścieżką, dobrą lub złą. Jeśli na osi czasu pojawił się zdolny dzieciak o nazwisku Chan, który umożliwi podróżowanie w czasie... widocznie taka jest kolej rzeczy. A jeśli to ulegnie zmianie, Agencja musi dokonać niezbędnych napraw.

Dopiero po kilku sekundach Liam skinął głową.

- Chyba masz rację. Wiemy, kiedy i jak zginie?

- W wiadomości podają, że osiemnastego sierpnia. W bazie danych znalazłam informację, że Chan znajdował się w grupie licealistów, którzy tego dnia wybrali się na wycieczkę edukacyjną do Teksńskiego Instytutu Zaawansowanych Technologii

Energetycznych. To informacje z biografii Chana napisanej w dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym roku. Jeżeli rzeczywiście było to morderstwo, zamachowcy też mają dostęp do tych samych danych. Innymi słowy, przeanalizowali biografię Chana i zauważyli, że tego a tego dnia będzie znajdował się w konkretnym miejscu...

- A potem cofnęli się w czasie i zaczęli na niego z bronią - dodał Liam.

- Zgadza się. - Maddy skinęła głową.

- Cóż... - Liam nerwowo przygryzł wargę. - Teraz rozumiecie, dlaczego chcę mieć przy swoim boku starego dobrego Boba. Zamachowcy będą uzbrojeni, a Bob ma smykałkę do rozprawiania się z takimi osobnikami.

Maddy zerknęła na zegarek.

- Powinniśmy wracać do bazy. Bańka czasowa zresetuje się za kilka godzin, a przydałaby się nam chwila odpoczynku. Gdy jutro rano nowe ciało Boba będzie gotowe do eksploatacji, wyślemy was w przyszłość, żebyście zorientowali się, co jest grane.

- Oj, chyba znowu czeka mnie kąpiel w wannie - westchnął Liam.

## ROZDZIAŁ 13

Nowy Jork rok 2001

Sal przez dobrą minutę, w niemym zachwycie, patrzyła na zwinięty kształt wypełniający próbkę porodową, zanim sapnęła:

- Och, nie!

Dziewczyna stała w leniwie sączącym się czerwonym świetle, wpatrując się w brzoskwiniową poświatę wypełniającą próbówkę. Ewidentnie spartaczyli coś podczas hodowania ciała Boba. Ona spartaczyła.

„Wściekną się na mnie” - pomyślała.

Przez otwarte drzwi do zaplecza wpłynął głos Maddy:

- Jak wygląda? Sal nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zamilkła więc na dobre.

- Wszystko w porządku?

„W końcu i tak się dowiedzą” - pomyślała i odkrzyknęła:

- Hmm... nie. Nie do końca!

- O co chodzi? - W drzwiach pojawiła się głowa Maddy, która zmrużyła oczy, by dostrzec coś w mroku wylęgarni. - Sal? Co się dzieje?

- Coś... coś nie tak z Bobem... - odrzekła.

- Boże, co znowu? Chyba się nie zepsuł? Nie mamy czasu na rozpoczynanie wszystkiego od nowa.

Sal przypomniała sobie kilka źle wyhodowanych egzemplarzy, które zepsuły się niedługo po rekrutacji. Zjełczałe embriony wyglądały jak obrzydliwe stwory z gabinetu osobliwości w namiocie cyrkowym; poskręcane kształty z twarzami gargulców i demonów oraz kończynami wyglądającymi jak szponiaste kikuty. Dziękowała Bogu, że Bobowi nie przytrafiło się coś podobnego.

- Nie, wyrósł całkiem dobrze, ale...

Maddy ostrożnie weszła do wylęgarni, przyzwyczajając wzrok do słabego czerwonego światła.



- Z tej perspektywy wygląda przyzwoicie. Dwie ręce, dwie nogi... nie wystaje mu nic dziwnego i ohydneho - powiedziała.

Sal przyglądała się pływającemu w mętym, różowym roztworze klonowi o rozmiarze dorosłego człowieka.

- Chyba włożyłam zły zarodek - wymamrotała.

Maddy podeszła kilka kroków, uważając, by nie zaplątać się w kable, i wyciągnęła jedną z próbówek, w której znajdowały się drobne zarodki w stanie uśpienia.

- No już, Sal, mów, o co chodzi... - Głos uwiązał Maddy w gardle w momencie, gdy podeszła do przyjaciółki. - Ach - wyszeptała - teraz rozumiem.

- Mu...musiałam... Przepraszam, nie sprawdziłam. Po prostu nie zauważyłam. - Sal przygryzła wargę.

- Nie zauważyłaś? - Maddy spojrzała na nią.

- Wszystkie wyglądają tak samo! - odpowiedziała Sal piskliwym głosikiem. - Słuchaj, przepraszam!

- Och, po prostu świetnie, Sal. Wprost cudownie! Co my teraz z tym zrobimy?

- Przepraszam, okej? Przepraszam. Nie zauważyłam. Po prostu...

- Przepraszam... tylko tyle masz do powiedzenia? „Przepraszam” nic tu nie pomoże. Nie mamy czasu na wyhodowanie kolejnego klona!

Do pokoju wszedł Liam.

- Hej! Panie, moje panie! O co tutaj chodzi?

- Dlaczego sam nie podejdziesz i nie sprawdzisz? - warknęła z irytacją Maddy.

Liam ostrożnie przedarł się przez płataninę kabli i stanął pomiędzy dziewczynami.

- Poznaj nową jednostkę pomocniczą - sarkastycznie dodała starsza z dziewczyn.

Liam zmrużył oczy, aby lepiej przyjrzeć się niewyraźnemu zarysowi w próbówce, po czym uniósł brwi w bezbrzeżnym zdziwieniu.

- To jest... to przecież... to...

- Dziewczyna - odpowiedziała Sal.

- Jezus Maria! Nawet nie wiedziałem, że mamy i chłopców, i dziewczynki.

Maddy schyliła się i podniosła z podłogi jeden z pustych szklanych pojemników, w których sprowadzili zarodki. Przystawiła go do próbówki porodowej, aby wykorzystać słabą poświatę emitowaną ze środka.

- Proszę - powiedziała po chwili, palcem wskazując mały znak na szklanym dnie.

Sal pochyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się ledwo widocznym w skąpym świetle symbolom.

- Tu jest napisane „XX”... nic więcej. Co to oznacza?

Maddy cmoknęła z dezaprobatą i pokręciła głową.

- Nie wiesz, co to znaczy?

- Nie.

- Ja też nie. - Liam wzruszył ramionami i wciąż uważnie przyglądał się kształtom nagiej kobiety w próbówce.

- Symbol XX oznacza płeć żeńską, natomiast XY męską. Straszni z was ignoranci! To podstawowa wiedza na temat chromosomów.

Liam z trudem oderwał wzrok od próbówki.

- Kromo-samo-lotów?

Maddy z irytacją uderzyła w próbówkę otwartą dłonią.

- Nieważne. Wyjaśnię wam kiedy indziej. Teraz pytanie, co z tym poczniemy?

- Jeśli zdecydujemy się wyhodować następnego klona, będziemy musieli poczekać kolejne trzydzieści sześć godzin, zanim wyślemy kogoś do zbadania sprawy Chana - powiedziała Sal.

- O to mi właśnie chodzi! - odpowiedziała Maddy, ściągając okulary i pocierając oczy.  
- Wiadomość wygląda na pilną. Prawda? Bóg jeden wie, jakie tsunami szaleje teraz po osi czasu!

- Nie mamy wielkiego wyboru - odrzekła Sal. - Chyba że...

- Chyba że sam pojedziesz wybadać sytuację, Liamie - dokończyła za nią Maddy.

Liam popatrzył na dziewczyny.

- Powiedzcie mi, że żartujecie.

Milczały.

- Okej - zaczął. - Odpowiedź brzmi następująco: za żadne skarby świata! Nie ma mowy! Nie, kochane! Nie pojedę do totalnie obcego mi miejsca w przyszłości bez Boba. - Ponownie spojrzął na sylwetkę kobiety w próbówce. - Lub bez Roberty. Wystarczy, że próbuję połączyć się w świecie dwa tysiące pierwszego roku i wszystkich tych szalonych,

nowoczesnych wynalazków. Nie ma mowy, żebym zrobił to samo w dwa tysiące piętnastym roku całkowicie na własną rękę. Mówię poważnie.

- W porządku. - Maddy westchnęła i spojrzała na kształt unoszący się w kleistej substancji. - Ten klon może nie będzie miał niszczycielskiej siły ostatniej jednostki pomocniczej, ale na pewno przyda ci się sztuczna inteligencja Boba i jego baza danych. - Maddy odwróciła się do Liama. - Zresztą, to tylko misja wywiadowcza. Krótka wizyta, podczas której masz się dowiedzieć, co przydarzyło się Chanowi.

Twarz Liama stężała.

- To samo mówił Foster podczas ostatniej misji... i zobaczcie, co się stało. Utknąłem w epicentrum inwazji wojskowej na sześć miesięcy.

Maddy wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Tym razem będziemy po prostu dużo bardziej ostrożni.

Zamyślił się, przygryzając wargę, po czym w końcu skinął głową.

- Jeezuu... niech będzie. Jeśli to ma być tylko szybki rekonesans...

Maddy delikatnie poklepała go po ramieniu.

- Dobrze. Sal?

- Tak?

- Przyjmijmy ją na świat.

- Okej.

Sal usiadła na ziemi i wpisała polecenie w małym panelu kontrolnym w dolnej części cylindra.

- Eee... Liamie? - spytała Maddy.

- Tak?

- Nie będziesz miał nic przeciwko?

- Przeciwno? Przeciwno czemu?

- Żeby podarować jej odrobinę prywatności.

- Co? Maddy westchnęła.

- Może w tej chwili to tylko bezmózgi, bełkoczący klon... ale zawsze to kobieta.

Liam wciąż dąsał się na dziewczyny za wyrzucenie go z zaplecza, kiedy metalowe drzwi prowadzące do wylęgarni rozsunęły się na jedną stronę z piskiem nienaoliwionych zawiasów. Maddy i Sal wyszły z pokoju, uśmiechając się jak para zadowolonych z siebie akuserek. Wyprowadziły bladą, szurającą nogami istotę owiniętą w długi ręcznik i postawiły ją w kręgu światła pod głównym łukiem.

Liam uważnie się jej przyjrzał: była wyższa od dziewczyn i całkiem łysa, zupełnie jak Bob, gdy wypadł z próbowki. Mimo to z lekkim niepokojem uświadomił sobie, że jest dość piękna.

- Hmm... witaj - powiedział niezręcznie.

Kobieta klon patrzyła na niego z ciekawością, gdy dziewczyny poprowadziły ją w stronę stołu i ustawionych wokół niego foteli. Błada skóra lśniła - mokra od brei, w której dziewczyna pływała jeszcze kilka chwil temu - i pachniała jak zjełczały gulasz wołowy. Zapach wpadł do jego nozdrzy i wywołał nudności.

- Witaj - ponownie powiedział Liam, gdy dziewczyny posadziły nową koleżankę naprzeciwko niego.

- Flug herr guff slurb - odpowiedziała, a ciemnobrązowa strużka śluzu wyciekła kącikiem jej ust i popłynęła po podbródku.

- Okej - powiedziała Maddy do Liama. - Poznajcie się lepiej, ja spróbuję wgrać sztuczną inteligencję Boba.

Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od dziewczyny klona. Z wielkich mięśni Boba zostały lekko zarysowane mięśnie... była wysportowana, choć nie tak zwałista jak ostatnim razem Bob.

- Bob. „Bob? Liamie, ty idioto” - zganił się w myślach. Uświadomił sobie, że głupotą jest stawianie znaku równości

między pierwszym małym wielkoludem a Bobem. Była to w końcu tylko organiczna konstrukcja nośna stanowiąca pojemnik, obudowę dla kodu sztucznej inteligencji, którą jest Bob. Chociaż „osobowość” Boba - jeśli to odpowiednie słowo - została ukształtowana właśnie przez to wielkie cielsko. Nie można było nie myśleć o Bobie jak o gigantycznym, niezdarnym robocopi, z kępką kędzierzawych włosów i głosem dudniącym jak jeden z pociągów regularnie przejeżdżających przez most Williamsburg.

Przez sześć wspólnie przeżytych miesięcy, kiedy na dobre utkwili w przeszłości, zdążył przywiązać się do tego wielgachnego, niezdarnego małpoluda: nie tylko do kodu umieszczonego w czaszce, ale i do tępej, pozbawionej wyrazu twarzy i przeraźliwie nienaturalnych uśmiechów posyłanych z wdziękiem konia obnażającego zęby. Liam płakał, gdy najemnicy zastrzelili Boba, przesywając jak sito jego krzepkie ciało, przez co nie zdołało się zregenerować. Płakał, gdy Bob umarł w jego ramionach i gdy musiał rozłupać jego czaszkę, co zresztą od tamtego czasu usilnie starał się wymazać z pamięci.

Oplakiwał Boba, choć nigdy nie przyznał się do tego przed pozostałymi, wyglądałoby to niemądrze. Bob przeżył i wrócił do domu na jego zakrwawionych dłoniach pod postacią kawałka silikonowych zwojów ze sztuczną inteligencją, wspomnieniami, przyswojonymi informacjami, kodami adaptacyjnymi i rozwiniętymi przez tamte sześć miesięcy schematami behawioralnymi. To był Bob, a nie rozszarpane pociskami zwłoki, które Liam zostawił na

zachłapanym krwią śniegu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

Liam ponownie spojrzął na siedzącą przed nim młodą kobietę: szczupłą i wysportowaną, z twarzą o urodzie porcelanowej lalki.

„Ona? Ona? To informatyka, Liamie. Informatyka... rozumiesz? Nie ona. Nośnik kodu. Organiczny robot” - powtarzał sobie.

W tym samym momencie, zupełnie jakby czytając w jego myślach, kobieta klon mruknęła coś niezrozumiale, a z kącika jej ust wytoczyła się długa struga mazi.

Sal zarechotała.

- Zupełnie jak Bob, co nie? Mogłaby być jego siostrą bliźniaczką. Maddy wróciła zza biurka i usiadła obok kobiety klona.

- Bob przygotowuje protokoły pobierania. Musi zapoznać się z systemem operacyjnym wbudowanym w tę jednostkę pomocniczą, zanim załaduje do niej kopie swojego kodu sztucznej inteligencji.

- Hmm... a w jaki sposób Bob dostanie się do jej... do głowy klona? - spytał Liam. - Nie potrzebujemy żadnego kabla lub czegoś w tym rodzaju?

- Bluetooth - wyjaśniła ze znużeniem. - Tak, tak, wiem, że nic ci to nie mówi - westchnęła. - No dobra. To technologia szerokopasmowej komunikacji bezprzewodowej krótkiego zasięgu polegająca na przesyłaniu danych przy krótkim czasie oczekiwania.

Liam nie przestawał gapić się na nią jak ciele na malowane wrota. Maddy znowu westchnęła.

- Chodzi o to, że dane przelecą z komputera do głowy klona przez powietrze.

- Aha... teraz rozumiem. - Liam się uśmiechnął. - Trzeba było tak od razu.

Na wysokości biurka z komputerami zabrzmiał sygnał dźwiękowy.

- Właśnie zaczęło się przegrywanie informacji - powiedziała Maddy. Kobieta klon siedząca obok Liama nagle drgnęła i przekrzywiła głowę jak pies, który usłyszał gwizdek.

Chłopak z zafascynowaniem patrzył, jak oczy jednostki pomocniczej błyskawicznie mrugają, strumień danych zalewał mały system komputerowy wbudowany w czaszkę - technologię komputerową pochodzącą z lat pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku, zdecydowanie potężniejszą niż rząd ustawionych pod biurkiem pecetów.

Po około dziesięciu minutach kobieta klon zamknęła oczy, wszystkie dane zostały przebrane.

- Trwa instalacja - wyjaśniła Maddy. - Zaraz powinna uruchomić się ponownie.

Po kilku chwilach oczy jednostki otworzyły się, nieśmiało pobłyskiwała w nich inteligencja.

- Bob? - powiedziała Maddy. - Wszystko gra? Klon niezręcznie skinął głową.

- Potwierdzam - zabrzmiał głęboki bas, niemal tak głęboki jak głos starego Boba.

- Jezusie! - Liam szarpnął się gwałtownie. - To takie dziwne.

- A fe... na Jahullę. To taakie niesmaczne! - Sal się skrzywiła.

- Dostosuję rejestr głosowy - zadudnił głos Boba. Jednostka pomocnicza przekrzywiła głowę i przemówiła ponownie: - Teraz lepiej? - odezwała się delikatnym, wysokim głosem nastolatki.

- Zdecydowanie lepiej. - Maddy skinęła głową. - Myślę, że te raz możemy oficjalnie nazwać cię kobietą. Liam kręcił głową, przyglądając się jej... jemu... temu... Bobowi.

- To bardzo dziwne - wymamrotał w końcu. - Bardzo dziwne, nie inaczej.



## ROZDZIAŁ 14

Nowy Jork rok 2001

- W jej procesorze znajdują się już wszystkie informacje biograficzne na temat Edwarda Chana oraz plany architektoniczne Tekszańskiego Instytutu Zaawansowanych Technologii Energetycznych. Mam rację?

Jednostka pomocnicza przytaknęła, opuszczając się do wody obok Liama. Miała na sobie bieliznę, którą Maddy z zażenowaniem wyciągnęła spod prześcieradeł i oddała jednostce.

- Potwierdzam. Posiadam wszystkie dane niezbędne do wykonania misji - słodkim tonem odrzekła jednostka. Liam pokręcił głową.

- To takie dziwne. Oczywiście cieszę się, że jesteś z nami, Bobie, ale przecież jesteś... jesteś... - Chłopak mimowolnie spojrzał na klatkę piersiową klona i niemal natychmiast zacisnął powieki. - O Jezu! Jesteś dziewczyną, w rzeczy samej!

- Rekomendacja: aktualnie używana kopia sztucznej inteligencji powinna mieć unikatowy identyfikator.

Maddy siedziała na najwyższym stopniu, przypatrując się zanurzonym w wodzie agentom.

- Racja. Nie możesz wciąż nazywać jej Bobem - poparła jednostkę.

- Dodatkowa informacja: sztuczna inteligencja jest idealną kopią poprzedniej, ale w interfejsie znajduje się w tej chwili inny mózg organiczny, w okresie operacyjnej żywotności

organicznej konstrukcji nośnej wyklucze się nowa sztuczna inteligencja ukształtowana przez pozyskane dane.

Liam bezradnie spojrział na Maddy.

- Co ona... to... Bob przed chwilą powiedziała... powiedziało... powiedział?

- Że powinieneś traktować ją jak nową jednostkę pomocniczą, nowego członka drużyny, bo wykształci inną osobowość. Zgadza się?

Jednostka pomocnicza przytaknęła.

- Potwierdzam. Właśnie dlatego sztuczna inteligencja powinna mieć własną etykietę identyfikacyjną.

- Potrzebuję nowego imienia, aby nie mylić jej z Bobem - dodała Maddy, wskazując ruchem głowy rząd monitorów i komputerów ustawionych na biurku. - Pamiętaj, Bob w dalszym ciągu tam jest.

- Uśmiechnęła się. - Lepiej zacznij myśleć o tej jednostce pomocniczej jak o... sama nie wiem... może jak o jego siostrze.

Liam spojrział na unoszącą się w wodzie obok niego kobietę kłona, która podobnie jak Bob próbowała uśmiechnąć się zachęcająco z wdziękiem kobyły: uśmiech był tak samo niezdamny i nienaturalny jak grymasy jej braciszka, choć na tej szczupłej twarzy wyglądał zdecydowanie bardziej atrakcyjnie.

- Liamie - powiedziała cicho. - Nadaj mi imię. Proszę.

- No, dalej - ponagliła Maddy. - Teraz twoja kolej.

- Okej, zastanów się - powiedziała i krzyknęła do Sal: - Ile zostało do zrzutu?

- Pięćdziesiąt sekund! Wręczyła im parę szczelnie zamkniętych plastikowych worków.

- Macie tu ubrania i perukę. Pojawicie się w instytucie w momencie, gdy grupa trzydziścioro dzieci będzie zwiedzała ośrodek. Sprawdziłam układ pomieszczeń i na punkt zrzutu wybrałam skład, który znajduje się tuż obok głównej komory eksperymentalnej instytutu. Tam wylądujecie. Wysznicie i przebierzecie się, potem dołączycie do grupy uczniów.

Liam przytaknął na znak, że rozumie.

- Wysyłamy was tam, żebyście dowiedzieli się, jak zamordowano Edwarda Chana. Nie jedzicie tam, żeby temu zapobiec... tylko obserwować. Kiedy ściągniemy was z powrotem, opowiecie, co się wydarzyło. Dopiero później zrobimy co w naszej mocy, żeby powstrzymać zamachowców. Taki jest plan. Rozumiecie?

- Tak jest. A co z oknem powrotnym?

- Pojawi się dziesięć minut po śmierci Edwarda Chana. W przypadku komplikacji obowiązuje standardowy harmonogram - jeżeli przegapicie pierwsze okno, kolejne zostanie otwarte godzinę później... znacie schemat.

- Godzina, doba, tydzień.

- Właśnie tak.

- Trzydzieści sekund! - krzyknęła Sal.

- Wszystko w porządku, Liamie? - spytała Maddy z troską. Przytaknął, stukając z zimna zębami.

- Wracajcie bezpiecznie - powiedziała z tkliwością, głaszcząc go po dłoni uczeptionej krawędzi cylindra. Po chwili wstała i zeszła po schodkach obok próbówki.

- Dziesięć sekund!

Liam odwrócił się, by spojrzeć na brodzącą w wodzie obok niego jednostkę pomocniczą.

- Hej... wymyśliłem ci imię.

- Niewystarczająca ilość czasu, Liamie - odpowiedziała. - Nurkujemy.

Niechętnie skinął głową, nabrał duży łyk powietrza, puścił się krawędzi i zatkał nos. Jednostka pomocnicza delikatnie położyła dłoń na głowie chłopca i wepchnęła go pod powierzchnię z zadziwiającą siłą, po czym swobodnie zanurkowała tuż obok.

## ROZDZIAŁ 15

Teksas rok 2015

Patrzył, jak Edward Chan maszeruje przed nim w otoczeniu innych dzieciaków. Z plecakiem na plecach i w żółtym, o dwa rozmiary za dużym podkoszulku, wyglądał na zagubione wśród licealistów bezbronne i niepozorne dziecko.

„Tak. Wygląda niepozornie, ale nie zapominaj, kim jest ten chłopak. Jak bardzo jest niebezpieczny” - myślał Howard Goodall, zaciskając zęby z nową determinacją. Kilka metrów przed nim szedł legendarny Edward Chan, jeden z twórców technologii podróżowania w czasie. - „Chłopak musi umrzeć. Chłopak musi umrzeć”. - W umyśle młodzieńca kołatała się uporczywa mantra.

Wielu jego przyjaciół zostało aresztowanych tylko po to, aby on mógł znaleźć się w tym miejscu, w tym czasie - wystarczająco blisko, by zabić Chana. Czuł ciężar czerwonego tornistra z różowym napisem „High School Musical 4”. Czuł ciężar odpowiedzialności i miniaturowej broni miotającej nowej generacji z włókna węglowego, ukrytej wewnątrz niewinnie wyglądającego termosu - taniego, plastikowego termosu, który można kupić w

supermarkecie Wal-Mart za pięć dolarów.

Przewodnik z instytutu wyprzedził grupkę idących gęsiego uczniów, zatrzymał się, odwrócił i podniósł ręce, by skupić na sobie uwagę młodzieży.

- Skoro już się posililiście, teraz w kilku słowach wyjaśnimy sobie, na czym polega teoria energii punktu zerowego. Za chwilę udamy się do najważniejszej części ośrodka, do budynku, w którym znajduje się eksperymentalny reaktor. Zanim to jednak nastąpi, wszyscy musimy przejść kontrolę bezpieczeństwa.

Trzydzieścioro uczniów jęknęło jednocześnie jak na zawołanie.

- Przykro mi, dzieci. - Zaśmiał się. - Obawiam się, że to obowiązkowa procedura. Po raz ostatni otwieracie plecaki i tornistry, ochroniarze szybko was przeszukają.

To już trzeci raz. Howard najlepiej jak umiał grał rolę znudzonego i zirytowanego tym zawracaniem głowy ucznia. Rozpiął i szeroko otworzył plecak, aby umożliwić pobieżną kontrolę. Jeśli ochroniarzowi zechce się odkręcić pokrywę termosu, znajdzie małą broń kształtem i rozmiarem przypominającą markera.

Howard patrzył, jak strażnik kontroluje rządki zniecierpliwionych dzieci.

„Nie odkręci go... bo wyglądam jak setnie znudzony dzieciak. Ze znużeniem i zniecierpliwieniem czekam na wznowienie wycieczki. Nie jestem zdenerwowany ani przestraszony” - Howarda wybrano do wykonania tej roboty spośród innych członków grupy. Chociaż miał dwadzieścia trzy lata, wyglądał młodo. Można go było wziąć za licealistę: kilka włosów rosnących w nieregularnych kępkach nad górną wargą sugerowało, że desperacko pragnie zapuścić swoje pierwsze wąsy. Ciemne, falujące włosy niedbale zawiązane w kucyk i podkoszulek z koncertowym logo trashmetalowej kapeli Arch-NME skutecznie odmłodziły go o jakieś sześć, siedem lat. Nie wyglądał już jak Howard Goodall, absolwent matematyki z dwa tysiące pięćdziesiątego dziewiątego roku, ale jak Leonard Baumgardner - dzieciak z liceum, któremu udało się zdobyć mnóstwo punktów na teście licealnym.

Prawdziwy Lenny siedział w piwnicy swojego domu razem z matką, oboje mieli

związane ręce i kneble w ustach. Howard przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej ich zabić. Mogli przecież się uwolnić i zaalarmować policję. Szybko doszedł jednak do wniosku, że zanim do tego dojdzie, będzie już po wszystkim.

Pobieżna kontrola to bułka z masłem: jego twarz była wystarczająco podobna do pryszczatej facjaty Lenny'ego ze zdjęcia w legitymacji. Grupa uczniów zebrała się w Austin dopiero dzisiaj rano, a on był jedynym dzieciakiem ze szkoły Baumgardnera, nikt nie mógł go więc rozpoznać. Nikt nie podejrzewa, że nie jest młodym Leonardem.

Oczywiście uczniowie nie znali się nawzajem, pochodzili z innych szkół z całego stanu - trzydzieścioro dzieci stawiało się dzisiaj ze swoimi rodzicami bladym świtem, by zameldować się przy autobusie i pojechać na całodniową wycieczkę pod opieką pana Whitmore'a.

Howard spojrzął na pozostałych.

„A co, jeśli jeden z nich nie jest tym, za kogo się podaje?” - Howard odrzucił tę myśl tak szybko, jak się pojawiła. Musi zachować spokój, musi być zrelaksowany, musi wyglądać jak lekko znudzony nastolatek czekający na zobaczenie czegoś ciekawego. W końcu właśnie po to tak wcześnie zerwał się z łóżka.

Ochroniarz sięgnął po tornister Howarda. - Dzień dobry - burknął. - Zobaczmy co tam masz, synu. Howard od niechcienia podał mu plecak. - Niebezpieczne substancje lub narzędzia?

- Słucham? Coś poza moją wielką bombą? - Howard uraczył

strażnika znudzonym uśmiechem. Ochroniarz spojrzął na niego groźnie.

- Kiepski żart, smarkaczu. - Przewrócił do góry nogami zawartość plecaka - pudełko na kanapki, termos i kilka zwiniętych komiksów z zadartymi rogami - po czym zamknął plecak i przepuścił Howarda.

Młodzieniec pozdrowił strażnika ręką.

- Miłego dnia.

- No już... zmykaj, mały - powiedział strażnik i zabrał się do przetrząsania kolejnego tornistra.

Przed sobą Howard zobaczył Chana i innych uczniów zgromadzonych wokół przewodnika, pana Kelly'ego oraz nauczyciela, pana Whitmore'a, którzy czekali, aż wszyscy przejdą kontrolę.

Wziął głęboki oddech i podszedł do nich, uspokajając nerwy i łomoczące serce. Komora punktu zerowego. Tam to zrobi. Komora jest wygłuszona, a ten strażnik i pozostali ochroniarze zostaną na zewnątrz; będzie miał doskonałą okazję, aby oddać w stronę chłopca kilka mierzonych strzałów. Upłynie trochę czasu, zanim zareagują i otworzą drzwi.

„Zanim mnie zastrzelą” - Howard uśmiechnął się ponuro. Niezbyt wygórowana cena za ocalenie przyszłości gatunku ludzkiego.

## ROZDZIAŁ 16

Teksas rok 2015

Z mokrym tąpnięciem wylądowali na zimnych kafelkach.

- Auu! - zaskomlał Liam.

Woda hałaśliwie chlusnęła na podłogę, zalewając kartonowe pudła z artykułami pierwszej potrzeby.

- Jezuu, nie moglibyśmy raz wylądować na czymś miękkim? Na poduszkach jakichś?

- Skrzywił się, puszczając koniuszek nosa i wydechając powietrze, które zaczerpnął jeszcze w dwa tysiące pierwszym roku.

- Brak wystarczających danych, aby zidentyfikować lokalizację umożliwiającą miękkie...

Liam podniósł rękę.

- Rozumiem. To pytanie retoryczne. - Odrzucił mokry kosmyk ciemnych włosów z oczu i otworzył szeroko oczy, czego natychmiast pożałował.

- Matko Boska! - Ponowie zacisnął powieki i odwrócił się do ściany magazynu.

- O co chodzi?

- Mogłaś mi powiedzieć, że właśnie zdejmujesz z siebie te przemoczone ciuchy!

- Dlaczego?

- Bo... bo... - Ugryzł się w wargę i pomyślał: „Straszny ze mnie grzesznik”. - Bo jesteś, bo... teraz jesteś dziewczyną, Bob.

Liam znalazł na półce kilka ręczników i zaczął się suszyć.

- Powinieneś przypisać nowy identyfikator do tego egzemplarza sztucznej inteligencji. Jeszcze jestem „Bobem” - wyjaśniała - ale w kodzie sztucznej inteligencji wkrótce wykształci się zbiór nowych odruchów i rysów charakterologicznych wymagających nowej etykiety identyfikacyjnej.

- Dobrze - zgodził się Liam i z zażenowaniem zawinął wokół brzucha ręcznik, po czym szybko ściągnął mokre bokserki i wyciągnął z torby zabrane ubrania.

- Cztery sekundy przed zrzutem powiedziałaś, że wymyśliłeś odpowiedni identyfikator. - Ach tak... rzeczywiście. Jednostka odwróciła się i uważnie spjrzała na



chłopaka. - Jak w takim razie będę miała na imię? Liam usłyszał szelest ubrań za swoimi plecami. „Świetnie”. Naprawdę nie chciał po raz kolejny na to patrzeć.

Znalazł parę neonowozielonych, workowatych spodni i granatową bluzę ze napisem „Nike”, pod którym, nie wiedzieć czemu, projektant umieścił dużą łyżwę. W ubraniu od razu poczuł się pewniej, nawet jeśli wyglądał jak błazen.

- Miałem kuzynkę o imieniu Rebeka - powiedział. - Mówiłem na nią Beki.

- Beki? - upewniła się jednostka pomocnicza, podnosząc głos tonem sygnalizującym pytanie.

- Właśnie tak: Beki.

- Chwileczkę... loguję identyfikator...

- Okryłaś się już? Mogę się odwrócić?

- Okryłaś?

- No wiesz, włożyłaś już na siebie ubrania?

- Potwierdzam. Liam odwrócił się i niemal zachłysnął z wrażenia.

- O rety! Beki przekrzywiła głowę i uważnie na niego spojrzała.

- Czy założyłam strój w niewłaściwy sposób?

Jego wzrok przebiegł w oszołomieniu od butów wojskowych do czarnych legginsów, od czarnej koronkowej mini, do czarnej bluzeczki z odsłoniętym brzuchem, do... idealnej... twarzy w oprawie opadających kaskadą, płomiennorudych włosów. Sal postanowiła najwyraźniej zamienić nową jednostkę pomocniczą w gotycką walkirię.

- Hmm. Nie, jesteś... Wszystko leży... eee... jak ulał. Liam poczuł suchość w ustach i

dziwne sensacje w żołądku. „Na litość boską, weź się w garść, Liamie. To tylko Bob w kostiumie dziewczuchy. Jasne?” - strofował się w myśli.

- Rekomendacja: od tej chwili powinieneś nazywać mnie Beki - powiedziała stanowczo. - Pozwoli to uniknąć niepotrzebnego konfliktu pomiędzy dwiema wersjami sztucznej inteligencji.

- Zgoda, jesteś Beki. Postanowione.

- Potwierdzam. - Uśmiech jednostki pomocniczej znowu sprawiał wrażenie nieporadnego i nienaturalnego jak u Boba, ale, nie wiedzieć czemu, ułożył się na jej ustach niemal idealnie.

Liam doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli skupi myśli na czymś innym.

- Lepiej zabierajmy się stąd i poszukajmy Chana.

Beki skinęła głową i zamrugła, pobierając dane z dysku twardego.

- Jesteśmy w budynku reaktora eksperymentalnego. Reaktor znajduje się w pobliżu naszej aktualnej lokalizacji.

Liam podszedł do drzwi magazynu i ostrożnie je uchylił. Na zewnątrz znajdował się wąski korytarz, a po drugiej stronie drzwi z napisem: WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH GOŚCI I PERSONELU.

Właśnie wtedy z końca korytarza dobiegł przytłumiony stukot kroków. Szklane drzwi otworzyły się do środka, zza nich wyłonił się mężczyzna w lnianym garniturze prowadzący grupkę nastolatków.

- Zgadza się, jesteśmy we właściwym miejscu - wyszeptał Liam. Patrzył, jak idą w jego stronę, a mężczyzna odwraca się, przemawiając do grupy i żywo gestykulując. Liam ostrożnie zamknął drzwi, które cicho stuknęły.

- Dopiero idą w naszą stronę. Podłączymy się do grupy, gdy miną nas ostatnie osoby - wyszeptał.

Odczekał, aż ucichnie przytłumiony, terkotliwy głos mężczyzny i szuranie tramppek po wypolerowanym linoleum, po czym ponownie uchylił drzwi i zerknął na zewnątrz. Tuż przed ich nosem przeszły ostatnie uczennice - trzy szczebioczące szeptem dziewczyny o blond włosach, które najwyraźniej dużo bardziej interesowały ploteczki niż udawanie zainteresowania wykładem.

- Teraz! - bezgłośnie rozkazał Liam i wyszedł z magazynku. Beki żwawo podążyła za nim.

Kiedy znaleźli się o krok za grupą uczniów, jedna z dziewczyn mimowolnie się obejrzała. Liam szybko przyjął niefrasobliwą pozę, naśladując jednego z chłopców na przedzie.

- Och - zdziwiła się dziewczyna. - Myślałam, że jesteśmy jakby ostatnie. Liam wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jakby nie - odpowiedział, starając się ze wszystkich sił ukryć irlandzki akcent.

Dziewczyna przyglądała mu się długo. Po chwili wahania uraczyła go szczerym uśmiechem, potem odwróciła się i wróciła do plotkowania konspiracyjnym tonem z dwójką przyjaciółek.

Liam dyskretnie odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że pierwsza przeszkoda za nimi - udało im się skutecznie dołączyć do wycieczki i sprawiać wrażenie dwójki dzieciaków, którzy zdecydowanie woleliby wybrać się do Disneylandu albo wytwórni filmowej niż włóczyć się bez celu po sterylnych korytarzach. Uśmiechnął się do Beki i niemal natychmiast tego pożałował. Odwzajemniony przez jednostkę uśmiech wywołał w jego żołądku znajome uczucie ekscytacji.

„Liamie, ty beznadziejny idioto... To tylko Bob w sukience, na litość boską!”.

Wolałby, żeby Sal znalazła inne ubrania dla jednostki pomocniczej. Nadałby się szary, wyblakły wór pokutny. I dlaczego musiała wybrać akurat tę perukę? Właśnie ten kolor? Od zawsze szalał za miedzianorudymi włosami. Jego pierwsza miłość, Mary O'Donell, miała płomiennoczerwoną, czarującą fryzurę.

„Strzeżcie mnie, wszyscy święci... to tylko organiczny robot”.

## ROZDZIAŁ 17

Teksas rok 2015

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił pan Kelly. - Niedługo wejdziemy w strefę oddziaływania reaktora głównego. Komora eksperymentalna została otoczona polem elektromagnetycznym, które odfiltrowuje zakłócenia wywoływane przez urządzenia elektroniczne. Za chwilę znajdziemy się wewnątrz gigantycznego elektromagnesu. Jeśli macie przy sobie iPody, laptopy, iPfony lub karty pamięci z danymi, których nie chcecie utracić, lepiej zostawcie to wszystko przed wejściem. - Wskazał stół obok grubych, metalowych drzwi.

Niemal wszyscy uczniowie westchnęli i sięgnęli do plecaków, z których zaczęli wyciągać przeróżne lśniące gadżety i urządzenia z plastiku i metalu.

Gdy już wszyscy wyjęli, co mieli wyjąć, pan Kelly wstukał kod na panelu zainstalowanym na dużych, metalowych drzwiach i uśmiechnął się wyczekująco, gdy skrzydła powoli otwierały się do wewnątrz.

Wreszcie grupka oprowadzanych nastolatków otrząsnęła się ze stanu apatycznej obojętności. Licealiści jak jeden mąż westchnęli z ekscytacją, gdy ich oczom ukazała się obszerna kulista komora ze ścianami z łożysk kulowych o rozmiarze futbolówki.

- Jak widzicie, komora została wyłożona naładowanymi magnesami tworzącymi nieprzenikalną barierę dla fal radiowych, sygnałów WiFi, prądu elektrycznego, wyładowań atmosferycznych i innych zakłóceń, które mogłyby zaburzyć odczyty z przeprowadzanych testów.

Mężczyzna powiódł uczniów po pochyłym podejściu w stronę platformy o średnicy dziesięciu metrów, gdzie pokazał mniej imponującą konstrukcję wyglądającą jak wypolerowany metalowy kociołek z wiekiem szerokim na dwa metry. Przewody i kable oraz duże metalowe cylindry wpełzały przez wieko do bulgoczącej, niczym wywar wiedźmy, mikstury.

- A więc, dzieci... o to w tym wszystkim chodzi. Ta metalowa kula jest warta dziesiątki miliardów dolarów i najprawdopodobniej stanie się przyszłości podstawowym źródłem energii dla ludzi.

- To reaktor? - zapytał pan Whitmore.

- Tak, reaktor testowy energii punktu zerowego. - Kelly uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Wciąż zadziwia mnie, że coś tak niepozornego jak mały samochód, pozwoli nam, przynajmniej teoretycznie, wygenerować więcej energii niż potrzebuje populacja całej planety.

Liam, tak jak wszyscy uczestnicy wycieczki, przysłuchiwał się wykładowi z szeroko otwartymi ustami.

- W toku dotychczasowych testów przeprowadzonych za pomocą maszyny pobraliśmy oszałamiające ilości energii z nakłuc w próżni czasoprzestrzennej. Cała sztuka polega na umiejętnym kontrolowaniu i podtrzymaniu takiego nakłucia... no i oczywiście na składowaniu gigantycznych zasobów.

- To brzmi trochę... trochę niebezpiecznie - zauważyła blond włosą dziewczynka, która pierwsza zauważyła obecność Liama. Pan Kelly spojrzał na nią uważnie.

- Jak się nazywasz?

- Laura Whitely.

- Rzeczywiście, wygląda to niebezpiecznie, Lauro. Doktor Brohm, jeden z naszych najbardziej doświadczonych naukowców, porównał to do zerkania przez dziurkę do klucza na oblicze samego Boga. - Pan Kelly zaśmiał się w wymuszony sposób. - Doktor Brohm lekko przesadził, ale to porównanie powinno dać wam wyobrażenie, o jakiej ilości energii mówimy.

Howard Goodall poczuł na łopatkach pierwszą strużkę potu, gdy dyskretnie odstawiał plecak na podłogę. Powoli rozpiął zamek i włożył rękę do środka. Niemal natychmiast wyczuł palcami pokrywkę termosu i zaczął ją powoli odkręcać.

Edward Chan stał na przedzie grupki uczniów, patrzących z podziwem i trwogą na lśniący metalowy kontener.

Howard zastanawiał się, jacy oni wszyscy są niesamowicie głupi, jak ludzie uwielbiają grać w kości z niebezpieczną technologią, której nie potrafią zrozumieć. Jeden z jego nauczycieli opowiadał mu kiedyś o projekcie „Manhattan” prowadzonym podczas drugiej wojny światowej. W ramach tych badań Amerykanie próbowali skonstruować pierwszą na świecie bombę atomową. Przed pionierską detonacją na pustyni w stanie Nowy Meksyk naukowcy nie byli pewni, czy eksplozja zniszczy kilka mil kwadratowych, czy pograży całą planetę. Pomimo wszystkich wątpliwości, ci nieodpowiedzialni głupcy bez wahania przeprowadzili eksperyment i zaryzykowali przyszłość gatunku ludzkiego.

To samo stało się w przypadku podróży w czasie - technologii, do której ludzie jeszcze nie dorośli. Howard postąpił kilka kroków w stronę Chana. Zerknął jeszcze na ciężkie drzwi komory, które właśnie powoli się zamykały.

Ręką wymacał cylindryczną broń z włókna węglowego: małą, drobnutką, z sześcioma pociskami w magazynku. Wystarczy oddać jeden celny strzał i zranić chłopca - neurotoksyny spowodują śmierć w ciągu dziesięciu minut.

„To będzie koniec, Howardzie - pokrzepił się w myśli - kres podróży w czasie”.

## ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork rok 2001

- Co? Zazdrosna? - Maddy stanowczo potrząsnęła głową. - Mam być zazdrosna o drugą wersję Boba?

- Pytam tylko - odrzekła Sal z figlarnym wyrazem twarzy.

- Ach, daj spokój, oczywiście, że nie! Przecież to nawet nie człowiek... to tylko... klon. Nawet nie prawdziwa kopia człowieka, przecież nie ma prawdziwego mózgu!

- Oj, ale wygląda jak prawdziwa kobieta.

- Jak manekin w sklepie, figurka G.I. Joe, lalka Barbie. Sal wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Na Liamie zrobiła wrażenie.

Maddy też zauważyła, że oczy chłopaka niemal wychodziły z orbit.

- Typowy facet... wciąż mu jedno w głowie.

- Prawda. - Sal zachichotała i wykonała pełen obrót na krześle biurowym. - Czyli nie jesteś... nie jesteś zazdrosna?

Maddy zdjęła okulary i przetarła szkła podkoszulką. Faktycznie to dziwne, że Bob wygląda jak wysportowana modelka prosto z wybiegu lub jak piękna Amazonka. Przy takiej piękności snującej się w pobliżu każda kobieta czuje się jak szara myszka. Ale Maddy już dawno do tego przywykła. Z drugiej strony, jeśli Sal próbuje się dowiedzieć, czy Maddy czuje

coś do Liama... odpowiedź jest prosta. Nie darzy go tego rodzaju uczuciem. Owszem, Liam jest przystojny i czarujący jak gentelman starej daty, ale jedyne, co czuje, gdy na niego patrzy, to żal i ściskający za serce smutek.

„Za każdym razem, gdy wysyłam go w czasie zadaję mu powolną śmierć” - Maddy nie przestawała się oskarżać. W końcu uważnie spojrzała na Sal.

- Nie, nie jestem zazdrosna. Nie lecę na niego.

> Maddy, pora aktywować okno powrotne.

- Okej - odpowiedziała, odwróciła się do biurka i zaczęła wprowadzać współrzędne do systemu.

- Przecież jest miły - nie dawała za wygraną Sal.

- Pewnie, że jest miły - zgodziła się Maddy. - Na pewno miał jakieś dziewczyny w Irlandii, ale ja jestem od niego kilka lat starsza i traktuję go bardziej jak młodszego brata lub bratanka niż... materiał na potencjalnego chłopaka. - Maddy starannie sprawdziła współrzędne. - Zresztą, mój Boże, Sal. - Dziewczyna się skrzywiła.

- Nie mogę uwierzyć, że wchodzisz na tak osobiste tematy!

- Przepraszam - odrzekła Hinduska, odrzucając z oczu grzywkę ciemnych włosów. - Właśnie sobie coś przypomniałam! Nigdy nie zgadniesz, co znalazłam w ciucholandzie na Brooklynie.

- Poczekaj chwilę, Sal. Teraz muszę się skoncentrować.

## ROZDZIAŁ 19



Teksas rok 2015

Liam w końcu rozpoznał Chana. Okazało się to trudniejsze, niż przewidywał. Orientalną urodę miało siedmioro lub ośmioro uczniów, a większość z nich wyglądała młodziej niż reszta grupy. Liam wiedział jednak, że Edward Chan jest najmłodszy. Wypatrzył małego chłopca z przodu, który pozerął wzrokiem reaktor energii punktu zerowego. Chłopak był najwyraźniej kompletnie urzeczony tym, co zobaczył.

Beki delikatnie dotknęła ramienia Liama i pochyliła się w jego stronę.

- Informacja: według parametrów misji Edwardowi Chanowi zostały tylko cztery minuty i siedem sekund życia.

Liam skinieniem głowy potwierdził, że rozumie. Rozejrzał się po komorze, próbując odgadnąć, co lub kto zagraża chłopcu. Skoro zostały tylko cztery minuty, zabójca prawdopodobnie znajduje się w pomieszczeniu i szykuje do zadania śmiertelnego ciosu. Jego wzrok pobiegł od pana Kelly'ego, który wyjaśniał zasadę działania maszynierii, do pana Whitmore'a w zamyśleniu gładzącego rzadką brodę, i do dwóch techników obsługujących kilka terminali danych.

„Może to jeden z nich?” - zastanawiał się Liam.

W końcu jego wzrok spoczął na uczniach; wszyscy z zafascynowaniem oglądali wnętrze komory i uważnie słuchali pana Kelly'ego, który opisywał parametry systemu... „to równowartość energii wyprodukowanej z surowców naturalnych - węgla, ropy i gazu

ziemnego - przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat”.

„Może to jeden z nich? Jeden z uczniów?”.

Dlaczego nie? Równie dobrze mógł to być jeden z tych dzieciaków. Ostatecznie Liam miał tyle lat, ile najstarszy uczestnik wycieczki, a zabójcy łatwiej byłoby dołączyć do grupy zwiedzających niż przebierać się za jednego z członków personelu. Przecież właśnie w ten

sposób on sam dostał się tutaj wraz z Beki. Chłopak po kolei analizował twarze, mając nadzieję, że dostrzeże nerwowy tik, rozbiegane oczy, usta wypowiadające bezgłośnie modlitwę, kogoś usilnie starającego się wybrać najdogodniejszy moment do zaatakowania.

Beki znowu delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Co znowu? - zasyczał.

- Wyczuwam zbliżający się strumień prymarnych cząstek tachionowych.

- Słucham? - Liam spojrział na jednostkę z niedowierzaniem. Okno powrotne zostanie aktywowane dopiero dziesięć minut po śmierci Chana. Taki był plan. - Jesteś pewna?

- Popatrz. Już się pojawiają. - Beki wskazała głową reaktor. Jednostka szeroko otworzyła oczy i zatrzepotała powiekami. - NIE-BEZPIECZEŃSTWO! - krzyknęła z całych sił.

Howard był już niemal za plecami Chana, palec spoczywał na spuście małej broni, którą w każdej chwili mógł wyciągnąć z plecaka, żeby wystrzelić. Zamachowiec chciał jednak znaleźć się tuż przy Chanie, aby zyskać absolutną pewność, że nie chybi. Zbyt wiele od tego zależało. Wszystko. Znajdował się jedynie kilka metrów od celu, gdy stojąca z tyłu dziewczyna z płomiennorudymi włosami nagle zaczęła się wydzierać.

- Słucham? - Pan Kelly przerwał w pół zdania.

- NIEBEZPIECZEŃSTWO! - ponownie ryknęła dziewczyna alarmującym tonem.

- Młoda damo - odpowiedział pan Whitmore - to nie miejsce na kretyńskie wygłupy.

Howard odwrócił się, aby lepiej przyjrzeć się dziewczynie. „Coś się nie zgadza. Ktoś już wie!” - przestraszył się zamachowiec.

- NIEBEZPIECZEŃSTWO - krzyczała dziewczyna, choć jej palec wskazywał reaktor, a nie jego. - Wiązka tachionowa zaraz uderzy w reaktor! Reaktor eksploduje!

Howard nie miał bladego pojęcia, o co wariatce chodzi. Być może to tylko przypadek, może to tylko jakaś ekscentryczna alterglobalistka protestująca przeciwko eksperymentom z energią punktu zerowego. Zgadzał się z jej poglądami, ale to nie najlepsza pora na teoretyczne dysputy. Nie mógł się rozpraszać. Przesuwał się do przodu, podczas gdy inni uczniowie, przestraszeni krzykami dziewczyny, przezornie odsuwali się od reaktora.

Wreszcie znalazł się tuż obok małego chłopca, spojrzął na niego i mocniej przycisnął palec do spustu, szykując się do wyciągnięcia pistoletu i oddania strzału.

Ale w tym samym momencie Chan odwrócił się do niego i spytał:

- Co ta dziewczyna z tyłu gada?

- Chyba... chyba jej odbiło. - Howard uświadomił sobie, że mimowolnie wzruszył ramionami.

- Przestań natychmiast! - warknął pan Whitmore, przeciskając się przez tłum zdezorientowanych uczniów w stronę pieniaczki. - Nic nie eksploduje!

- Szalona laska, co? - Chan uśmiechnął się do Howarda.

Zupełnie zaskoczony Howard odwzajemnił uśmiech i poczuł, że nie jest na to gotowy... nie jest gotowy wyjąć broni i wystrzelić do znajdującego się tuż przed jego nosem celu. Nie spodziewał się, że będzie zmuszony spojrzeć na przyjazną twarz chłopca dokładnie w momencie, gdy zacznie naciskać spust.

\*

Beki bez ostrzeżenia bezceremonialnie chwyciła Liama pod ramiona i zaczęła ciągnąć w stronę podestu prowadzącego do zaplombowanego wyjścia.

- Beki! Co ty, u diabła, wyprawiasz? Co się dzieje?



Nowy Jork rok 2001

Maddy i Sal wpatrywały się w błyszczące na środku podłogi okno. Przez falującą zasłonę powietrza dostrzegły niewyraźne zarysy magazynku, do którego wysłały Liama i jednostkę pomocniczą.

- Coś się pokićkało - wyszeptała Sal.

- To już trzecie okno awaryjne - zgodziła się z nią Maddy.

Jeszcze pięć minut temu radośnie przygotowywały aktywację okna powrotnego. Były pewne, że prosta misja wywiadowcza zakończy się sukcesem, a Liam i jednostka pomocnicza za chwilę opowiedzą, co dokładnie przytrafiło się Chanowi. Jednak teraz już po raz trzeci dziewczyny ujrzały tylko pogrążony w ciemności magazynek, w którym nie było żywego ducha.

- Jeju... - mruknęła Maddy. - Nie mam pojęcia, co robić. To koniec, to już wszystkie okna awaryjne.

> Maddy?

Dziewczyna podeszła do biurka i pochyliła się nad mikrofonem.

- Słucham?

> Powinnaś uruchomić ostatnie okno z datą na sześć miesięcy po zrzucie.

- Tak... tak, masz rację.

Bob miał rację, warto spróbować. Kliknęła przycisk WYCZYŚĆ. Okno falujące nad podłogą zniknęło z cichym pstryknięciem i lekkim powiewem translokowanego powietrza. Maddy wprowadziła nowy ciąg współrzędnych czasowych: pięć miesięcy, trzydzieści dni, dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut, licząc od momentu, w którym agenci zostali wysłani w przyszłość; dokładnie pięć minut przed wygaśnięciem żywotności jednostki

pomocniczej i spodziewaną datą autodestrukcji. To miało sens. Ostatnia szansa na skorzystanie z okna powrotnego. Po likwidacji jednostki pomocniczej Liam nie będzie mógł odebrać komunikatu z informacją o nowej sygnaturze czasowej wysłanego za pomocą wiązki tachionowej. Jeśli sześć miesięcy po przybyciu do przeszłości Jeźdźcy nie staną w magazynku, z niecierpliwością czekając na powrót do domu, Maddy wyczerpią się wszystkie dostępne narzędzia.

Dotknęła ekranu, żeby zatwierdzić nowe współrzędne czasowe i uruchomić maszynę translokacyjną. Znowu zajaśniała dziesięciometrowa kula powietrza, ukazując wnętrze składziku w instytucie. Dziewczyny zmrużyły oczy, starając się przebić wzrokiem ciemności. Szafki były te same, ale kilka przedmiotów zmieniło położenie: najwyraźniej ktoś robił tu wiosenne porządki. W środku nie było jednak śladu Liama ani jednostki pomocniczej.

- Kurczę - powiedziała Sal. - Naprawdę ich straciliśmy.

Maddy głaskała się po podbródku.

- Nie, daj mi pomyśleć.

Przecież można nawiązać kontakt z jednostką pomocniczą. Wiązka tachionowa. Tak postąpili ostatnim razem: szerokim strumieniem cząstek zalali obszar, na którym według ich przypuszczeń powinni byli znajdować się Liam z Bobem. Wtedy się udało. Bob odebrał wiadomość.

- Bob - odezwała się do mikrofonu - możemy wysłać wiązkę tachionową w przyszłość?

> Potwierdzam. Dysponujemy wystarczającymi zasobami mocy.

- Świetnie. Wyślijmy ją w czasie na pięć minut przed incydem z Chanem.

- Jak ma brzmieć wiadomość? - spytała Sal.

- Nie wiem. Na przykład: „Anulujcie misję, wydarzy się coś złego”.

- Powinniśmy tak zrobić. - Sal potakująco skinęła głową.

Maddy usiadła na jednym z krzeseł biurowych i zamknęła okno, które zapadło się w nicość. Następnie otworzyła interfejs wiadomości i szybko wprowadziła tekst:

Natychmiast wracajcie do magazynku. Odbierzemy was. Podczas misji wystąpią komplikacje. Przydarzy wam się coś złego. Okno powrotne już czeka.

Na ekranie pojawiło się okno dialogowe z wiadomością od Boba.

> Chcesz wysłać tę wiadomość?

- Tak, natychmiast.

> Rekomendacja: powinniśmy wysłać wąski strumień cząstek.

Wąski strumień musiałby zostać nakierowany bardzo precyzyjnie, na konkretne miejsce, a Maddy nie miała bladego pojęcia, gdzie akurat znajdują się agenci. Mogli już być w innej części instytutu. Coś musiało wywołać komplikacje, może alarm przeciwpożarowy albo awaria w laboratorium zmusiła wszystkich do ewakuacji.

- Bob, wygenerujmy wiązkę na tyle szeroką, aby zalać tachionami cały ośrodek. Jednostka pomocnicza musi odebrać wiadomość.

> Uwaga: w pobliżu znajduje się zaawansowana technologia, strumień cząstek tachionowych może w nieprzewidziany sposób zakłócić jej działanie.

- Naprawdę lata mi koło nosa, czy zepsujemy czyjś eksperyment albo uszkodzimy jakieś bezcenne ustrojstwo. Liam ma odebrać tę cholerną wiadomość! - warknęła ze złością Maddy. - Rozumiemy się?

> Potwierdzam. Generuję szeroką wiązkę cząstek, które zaleją całą okolicę.

Sal spojrzała na nią uważnie.

- Jesteś pewna? - Ruchem głowy wskazała komputery. - Bob właśnie ostrzegł nas, że to ryzykowne.

Maddy obróciła się na krześle i ukuła Sal wzrokiem.

- Masz inną propozycję? Hinduska tylko pokręciła głową.

- Właśnie - odrzekła sucho. - Musimy nawiązać z nimi kontakt.

„Spokojnie, Maddy. Jesteś przywódcą, musisz zachować spokój” - przywoływała się do porządku dziewczyna. Jej twarz złagodniała, gdy sięgnęła po leżący na biurku inhalator.

- Przepraszam, Sal... jestem po prostu odrobinę zdenerwowana i...

- Nic się nie stało - przerwała Sal.

-...i nie wiem, co robić.

> Zatwierdzić transmisję komunikatu?

- Bob, właściwie dlaczego mnie ostrzegłeś? Czy Liamowi coś grozi, jeśli prześlemy w przyszłość taki pokaźny ładunek tachionów?

> Informacja: cząstki tachionowe mogą zagrozić eksperymentom związanym z energią punktu zerowego, które są w tej chwili prowadzone w instytucie.

- Ale czy to niebezpieczne dla Liama?

> Brak danych. Według dokumentacji badania na d energią punktu zerowego zostały zawieszony ze względu na potencjalne niebezpieczeństwo. Informacje na temat prac Teksasńskiego Instytutu Zaawansowanych Technologii i Energetycznych w tej dziedzinie są bardzo skąpe.



- No to co mam robić?

> Rekomendacja: nic.

- Nic?

> Potwierdzam. Należy czekać, aż nawiążą z nam i kontakt. Wysłanie sygnału tachionowego może narazić Liama i jednostkę pomocniczą oraz zagrozić bezpieczeństwu Agencji.

Maddy w milczeniu wpatrywała się w ekran.

- Chcesz, żebym nie robiła zupełnie nic? Nawet jeśli wpadli w kłopoty i czekają na naszą pomoc? Każesz mi czekać z założonymi rękami?

> Potwierdzam. Sygnał tachionowy może zostać wykryty przez aparaturę zainstalowaną w instytucie. Istnieje ryzyko przechwycenia komunikatu, który stanowi dowód na istnienie podróży w czasie i działalność Agencji.

- Czternaście lat przed opublikowaniem przez Edwarda Chana artykułu matematycznego dowiedzą się, że podróżowanie w czasie jest możliwe - dodała Sal. - Nasza wiadomość do Liama może zmienić historię w taki sam sposób jak zabicie Chana.

> Sal ma rację.

- Czyli według was powinniśmy czekać, aż sami wyplączą się z tarapatów?

> Tak brzmi moja rekomendacja. Oboje są bardzo zdolni.

Maddy w zamyśleniu przygryzała wargę.

- I tak powinnam postąpić?

> Ty jesteś przywódcą drużyny. Ja tylko dostarczam dane i podsuwam strategiczne rekomendacje.

- Dobra. A więc według mnie powinniśmy zapomnieć o ryzyku kontaminacji, zapomnieć o badaniach nad energią punktu zerowego, które możemy storpedować i zapomnieć o narażaniu Agencji na niebezpieczeństwo. Jak do tej pory byliśmy w końcu zdani na własne siły. Prędkiej mnie piorun trzaśnie, niż poświęcę Liama tylko po to, by uszczęśliwić jakieś szychy z Agencji. Wyślemy do Liama i jednostki pomocniczej ostrzeżenie o konieczności anulowania misji wywiadowczej. Sprowadzimy ich z powrotem do domu a później... później... zaczniemy się martwić zmianami w czasie, które ewentualnie wywołamy!  
Dobra?

- To przynajmniej jakiś plan. - Sal aprobująco skinęła głową.

- Dobra? - powtórzyła Maddy, odwracając się do ekranu komputera.

Znak „>” migał w oknie dialogowym w równych odstępach, dyski twarde komputera szumiały, jakby w cichym zamyśleniu. Wreszcie, po dłuższej chwili, symbol większości przeskoczył kilka pozycji do przodu.

> Potwierdzam.

- Świetnie - powiedziała Maddy. - W takim razie wyślij wiadomość na pięć minut przed spodziewaną śmiercią Chana.

> Potwierdzam.

Gdy Bob rozpoczął wysyłanie wiązki z komunikatem, Maddy ponownie zajęła się aktywowaniem okna w magazynie. Postanowiła, że zostawi je szeroko otwarte przez co najmniej dziesięć minut. Miała nadzieję, że w tym czasie agenci odbiorą wiadomość i zdążą wrócić do magazynku, bez względu na to, w którym skrzydle budynku się aktualnie znajdują. Już miała aktywować okno, kiedy na środku ekranu pojawił się komunikat od Boba:

> Informacja: wiązka tachionowa wywołała intensywne sprzężenie energii zwrotnej.

- Czyli?

> Prawdopodobieństwo eksplozji: osiemdziesiąt siedem procent.

- Eksplozja? - wychrypiała Maddy.

> Potwierdzam.

- O mój Boże... - Maddy poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. - Duża?

> Nie jestem w stanie tego określić. Odczyt na ekranie wskazuje duży zasięg.

- O mój Boże, nie myślisz chyba... - Maddy ze strachem spojrzała na Sal.

Młodsza dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała: nie musiała, jej oczy mówiły wszystko.

- Bob, powiedz mi, proszę, że to nie my doprowadziliśmy do eksplozji, nie wiązka tachionów. Cursor Boba migał przez kilka sekund.

> Sygnał tachionowy jest najbardziej prawdopodobną przyczyną eksplozji. Cząstki prymarne weszły w reakcję z technologią w instytucie.

- Boże, co ja najlepszego zrobiłam!

## ROZDZIAŁ 21

Nieskazitelna biel, unosząca się w próżni idealnie doskonałej, jednolitej jasności. Liam czuł się, jakby upłynęły całe godziny. Wpatrywał się w otaczającą próżnię, wisząc w

samym jej środku jak w gigantycznej szklance mleka.

Zdawało mu się, że upłynęły godziny, choć równie dobrze mogły to być minuty, sekundy nawet.

Zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem nie umarł i nie trafił do otchłani zapowiadającej rychłą wyprawę do krainy wiecznych łowów. Chwilę później poczuł poruszenie, które wzburzyło otaczającą go gęstą, mleczną zawiesinę światła.

Może zaraz spłynie do niego anioł? Od bieli odcięła się chmura o odrobinę ciemniejszym odcieniu: szybowiała jak fantom, zataczając coraz mniejsze koła. Wyglądała znajomo.

„Gdzieś już to widziałem” - pomyślał nieprzytomnie.

Chwilę później sobie przypomniał. Tego dnia Foster uratował go z tonącego Titanica i wybudził trójkę przyszłych agentów z głębokiego snu.

Szukacz.

W przestrzeni pojawiło się ich więcej, słabe i odległe zarysy frunęły w jego stronę. Zdawały się wyczuwać jego obecność, tak jak rekiny wyczuwają krew. Być może pierwszy z szukaczy dyskretnie dał znać pozostałym, że właśnie znalazł łup do podziału.

„Och, Matko Boska... Zaraz rozszarpią mnie na kawałki!”.

Najbliższy szukacz pikował już całkiem blisko, niewyraźna chmura szarości zaczęła przybierać rozpoznawalne kształty. Liam dostrzegł wyraźne zarysy głowy i ramion wyrastających z zagadkowej postaci, która wyglądała niemal jak człowiek. Przed jego oczami zmaterializowała się falująca twarz.

Piękna. Kobieta.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy jego pierwsza myśl nie była trafna. Może to raj, a

pikujące istoty to anioły eskortujące go do zaświatów. Chwilę później dziwnie znajoma twarz kobiety rozciągnęła się i wydłużyła: z jej ust wysunął się rząd ostrych jak brzytwa kłów, oczy zamieniły się w ziejące pustką oczodoły, które obiecywały jedynie śmierć. Szybowała w jego kierunku...

Potem zobaczył inną twarz. Z czubka głowy wyrastała burza włosów, które opadały bezpośrednio na Liama i łaskotały go w nos. Szare oczy wpatrywały się w niego uważnie.

- Wszystko w porządku, Liamie O'Connor?

- Beki?

- Potwierdzam. Wszystko w porządku? - zapytała beznamiętnie. - Wydaje się, że eksplozja nie wyrządziła ci żadnej szkody. - Liam poczuł, że jego ramiona, nogi i klatkę piersiową badają silne ręce. - Brak złamań.

- Czuję się dobrze. Tylko w głowie mi się kręci.

- Jesteś dezorientowany - powiedziała jednostka, pomagając chłopakowi usiąść.

Spojrzał na czyste, błękitne niebo i oślepiające słońce. Zamrugał pod wpływem promieni słonecznych, otoczonych nietypową, bladofioletową poświatą, i osłonił oczy ręką.

- Jezusie, gdzie jesteśmy? To inny świat?

- Zaprzeczam. - Popatrzyła na niego i szybko przybrała naturalniejszy ton: - Nie. Jesteśmy dokładnie tam, gdzie byliśmy - wyjaśniła.

Ale w jakim czasie? W miejscu komory sferycznej, budynków ośrodka, zraszanych wodą trawników i rabatek wyrosła dżungla.

Jeśli to rzeczywiście to samo miejsce, muszą znajdować się w bardzo odległej przyszłości lub przeszłości. To już nie dwa tysiące piętnasty rok.

- Strumień tachionów wywołał bardzo silną reakcję zwrotną - odrzekła Beki. - Zostaliśmy wciągnięci przez okno punktu zerowego do tak zwanego wymiaru chaosu.

- Wymiaru chaosu?

- Nie potrafię dokładnie zdefiniować wymiaru chaosu. Nie dysponuję szczegółowymi danymi.

- A później co się stało? Zostaliśmy z powrotem wrzuceni do rzeczywistości?

- Potwierdzam.

Z gąszczy bujnych, zielonych liści paproci wyskoczyła kolejna głowa. Na ziemi usiadła jakaś dziewczyna, zastanawiając się, gdzie się, do diabła, znalazła. Była to jedna z uczennic: czarnoskóra dziewczynka z pasemkami równiutko splecionych włosów. Od złotego, okrągłego kolczyka odbił się promień słońca.

- O cholera... - wymamrotała, omiatając wzrokiem szczyty zielonych drzew i labirynt lian. W końcu zauważyła Liama i Beki.

- Witaj - powiedział Liam, pozdrawiając ją uniesieniem ręki i krzywym uśmiechem. Dziewczyna wpatrywała się w niego w milczeniu, jakby nie dowierzając własnym oczom.

Kilka metrów dalej z gęstego listowia wynurzyła się kolejna głowa. Liam rozpoznał przeredzone, niechlujnie ułożone włosy i lekko zarośnięte policzki nauczyciela towarzyszącego uczniom podczas wycieczki po instytucie.

Po chwili na polanie w dżungli zaczęły wyskakiwać kolejne głowy; na wszystkich twarzach w promieniu stu metrów malowała się dezorientacja i przerażenie. Liam dostrzegł elegancko ubranego przewodnika, jednego z techników pracujących w komorze i pozostałych uczniów.

- C-co się stało?! - krzyknął nauczyciel.

Idealnie zazwyczaj przyczesane srebrnoszare włosy przewodnika były teraz w lekkim nieładzie, szycowny garnitur wymięty i wybrudzony błotem.

- Ja... ja... nie wiem... ja po prostu... Liam spojrział na Beki.

- Coś mi się wydaje, że musimy przejść tutaj dowodzenie.

- Parametry misji uległy zmianie - odrzekła obojętnie.

- Co ty nie powiesz? - westchnął Liam z ironią.

Chciał ją spytać, czy ma jakiegokolwiek pojęcie, w jakim czasie mogą się znajdować, ale nagle usłyszał piskliwy krzyk dochodzący z drugiej strony polany.

- Co to było?

Ostry, przesywający pisk rozbrzmiał ponownie. Chłopak zerwał się na równe nogi, podobnie jak kilka innych osób, i zaczął przedzierać się przez kępy sięgających mu pasa paproci w kierunku niepokojących odgłosów. Beki natychmiast go wyprzedziła i maszerowała tuż przed nim bez najmniejszego śladu niepokoju. Liam uświadomił sobie, że czuje się przy Beki bezpieczny, pomimo jej drobnej sylwetki. Choć nie miała imponującej muskulatury Boba, przeczuwał, że jest zdecydowanie groźniejsza niż na pierwszy rzut oka.

W końcu zatrzymała się metr przed nim. Liam wyprzedził ją i spojrział na ziemię.

Blondynka, z którą rozmawiał w instytucie - Laura, jeśli dobrze zapamiętał imię - wydierała się, nie mogąc oderwać wzroku od kształtu leżącego w wysokiej trawie kilka metrów dalej.

Chwilę potrwało, zanim Liam zorientował się, co to właściwie jest... w końcu zrozumiał. W żołądku chłopaka coś zabulgotało i zawrzało; zdobył się na heroiczny wysiłek woli, by nie zgiąć się wpół i nie zwymiotować.

Wśród wysokiej trawy pojawił się nauczyciel i stanął obok Liama. Mężczyzna

podążył za wzrokiem Laury i zaczerpnął solidny łyk powietrza.

- O mój Boże!... To chyba nie to... to nie to, co myślę - wyszeptał i z pytającym spojrzeniem odwrócił się do Liama.

Wśród wysokich liści spoczywała mała powykręcana masa mięśni i kości. Na jednym końcu Liam zauważył warkocz blond włosów splątanych przez krzepnącą krew, w połowie wysokości zdeformowanego ciała dostrzegł różową tenisówkę Adidasa, do połowy wsuniętą na dobrze zachowaną, bladą ludzką stopę. Na ziemi leżała jedna z blondwłosych dziewczynek, za którymi weszli do komory. Teraz rozumiał, dlaczego dziewczyna, Laura, krzyczała tak głośno: jeszcze dziesięć minut temu rozmawiały, zgodnie chichotały i wymieniały się numerami telefonów.

Foster ostrzegał, że czasem się to zdarza; czasami, choć bardzo rzadko, energia portalu może przenicować ciało człowieka.

„Jezu Chryste, co za rzeź” - pomyślał ze zgrozą Liam.

Pół godziny później grupa ocalałych po eksplozji rozbitków, którzy w jednym kawałku znaleźli się w obcym świecie, starała się trzeźwo ocenić swoje trudne położenie. Rozproszyli się po polanie i szybko dokonali makabrycznego odkrycia: znaleźli kolejne poskręcane ciała, które, podobnie jak ciało dziewczynki, z trudem można było zaklasyfikować do gatunku ludzkiego. Zostało ich szesnaścioro. Z trzydziestu pięciu osób, które znajdowały się w komorze podczas eksplozji - a mówiąc konkretniej implozji - przeżyła tylko szesnastka.

Zebrali się na środku polany, z dala od posępnego skraju gęstej dżungli. Pan Whitmore pierwszy otrząsnął się z obezwładniającego szoku. Otarł rękawem pot z czoła i zmrużył oczy, uważnie taksując Beki.

- Ty, tam! - powiedział. - Tak, ty! Teraz sobie przypominam... Chwilę przed samym wybuchem darłaś się, że reaktor eksploduje.

- Potwierdzam - odrzekła Beki niewzruszonym tonem.



- Poczekaj! - powiedział i uważnie zmrużył oczy, uświadamiając sobie coś nagle. - Przecież ty nie jesteś jedną z moich podopiecznych. Nie jesteś...

Liam przewidział do jakiej konkluzji zmierza. Nie było sensu ani chwili dłużej udawać, że są licealistami.

- Nie mam pojęcia, co tam się wydarzyło - ryczał pan Whitmore

- ale doskonale wiedziałas, że coś się stanie! - Nauczyciel z każdą sylabą podnosił głos. - Kim jesteś?! Terrorystką?!

Beki powoli pokręciła głową. Jej twarz wciąż nie wyrażała żadnych emocji.

- Zaprzeczam. Nie jesteśmy terrorystami.

Whitmore zaniemówił. Na usta cisnęły mu się kolejne pytania, ale nie był w stanie ich sformułować. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Czy mogę?

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę chłopca z kręconymi, rudymi włosami, które opadały regularnymi falami na jeden bok. Na nosie chłopaka spoczywały grube jak denka od butelek okulary, zza których wyzierały wyłupiaste, żabie oczy. Chłopiec wskazał plakietkę ze swoim imieniem.

- Nazywam się Franklyn... możecie tak do mnie mówić. Albo Frank. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Hmm... chciałem tylko powiedzieć, że... to znaczy wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale chyba muszę to powiedzieć.

- Co? - kłapnął zębami pan Whitmore.

- Widzieliście je? - Chłopiec wskazał palcem na niebo.

Wszystkie oczy powędrowały w kierunku oddalonych o jakieś dwadzieścia metrów koron drzew; nad polaną unosiła się długa gałąź, z której do samej ziemi zwisały dziwne, zielone pędy przypominające liście wierzby. Wśród listowia latała para ważek wywijających w powietrzu piruety i zygzaki. W miejscu, w którym stali, słyszeli głośnie brzęczenie skrzydeł.

- Są wielkie - wymamrotał Kelly. - Dobry Boże!... Półmetrowa, może nawet metrowa, rozpiętość skrzydeł.

- Mhm - potwierdził Franklyn. - Są naprawdę duże, to może być tylko jeden gatunek. Pozostali członkowie grupy uważniej na niego spojrzeli.

- Należą do gatunku Petaluridae... tak, jestem pewien, że to właściwa nazwa.

- Świetnie - odrzekła Laura. - Teraz możemy startować w Milionerach.

- Ale nie nazwa jest najważniejsza - powiedział Franklyn i spojrzął na nią. - Wyginęły dawno temu.

- Cóż, najwidoczniej mają się dobrze - odpowiedziała.

- Nie sędzę. Zachowały się wyłącznie skamieniałości po insektach tego rozmiaru.

- Mój Boże! On ma rację! - niespodziewanie poparł go Whitmore, który patrzył jak dwie ważki wyfruwały pomiędzy zwisających gałęzi na pustą przestrzeń, ich skrzydła brzęczały jak latające suszarki.

- Insekty o takich rozmiarach wyginęły... - Przełknął ślinę i uważnie spojrzął na pozostałych. - Dziesiątki milionów lat temu.

- Petaluridae - powtórzył nazwę Franklyn. - Późna kreda, jestem pewien.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Kelly, podchodząc do ucznia.

Chłopiec przetarł mgłę z okularów i zamrugał oślepiiony przez jasne promienie słońca.

- Chcę powiedzieć, panie Kelly, że te stworzenia wyginęły mniej więcej sześćdziesiąt pięć milionów lat temu.

## ROZDZIAŁ 22

Nowy Jork rok 2001

- Maddy! Gdzie idziesz?

Maddy zignorowała błagalne wołanie Sal i przemaszerowała przez pokój w stronę rolety, którą szybko otworzyła i wyszła na zewnątrz.

„Nie dam rady... Nie poradzę sobie”. Szła zaśmieconym chodnikiem w stronę Szóstej, czując spływające po policzkach łzy. To jej pierwsza prawdziwa misja, a już wszystko się sypie. Podjęła impulsywną, głupią decyzję. Nie posłuchała rozsądnej rady Boba i niewykluczone, że jest odpowiedzialna za śmierć Liama i jednostki pomocniczej. Mało tego, prawdopodobnie spowodowała śmierć dziesiątek innych ludzi. Nie mówiąc już o tym, że zabiła Edwarda Chana.

- Nie dam rady - mruknęła. - Po prostu nie jestem na to gotowa.

Wyszła zza rogu bocznej uliczki i przez chwilę przyglądała się ruchliwemu skrzyżowaniu: samochody skręcały w prawo na drogę przez most i w lewo ku rzece; przechodnie szli do pracy na Manhattanie... nikt jeszcze nie wiedział, że dwa samoloty pasażerskie wzbily się już w powietrze i zmierzają do celu.

Oddałaby wszystko, żeby Foster wrócił. Potrzebowała go. Skąd przyszło mu do głowy, że potrafi prowadzić biuro terenowe? Nagrane wcześniej instrukcje przechowywane w pamięci komputera to zdecydowanie za mało. Chciałaby z nim porozmawiać, aby w pełni

objaśnił zasady działania technologii, opowiedział o Agencji i ich roli w ramach organizacji. Jej wiedza była tak szczątkowa, że nie potrafiłaby nawet sformułować konkretnych pytań. Czowała się skołowana.

- Niech cię szlag, Foster! - zakłęła pod nosem i wytarła policzki.

Starzec mógł się teraz znajdować w każdej dzielnicy Nowego Jorku, o ile w ogóle zdecydował się zostać w mieście. Odszedł pewnego poniedziałkowego ranka, wyszedł ze Starbucksa z torbą przewieszoną przez ramię, zostawiając ją przy stoliku z kubkiem niedopitej kawy. Dzisiaj wtorek. Jeśli postanowił obejrzeć kawałek świata przed swoją śmiercią, mógł po prostu wsiąść do autobusu Greyhound i wyjechać do innego stanu albo zarezerwować lot do jakiegoś egzotycznego kraju.

„Pogódź się z tym. Odszedł na dobre” - pomyślała Maddy.

- Zwyczajnie wstała i sobie wyszła! - wykrzyknęła Sal.

> Wyczułem w jej głosie oznaki emocjonalnego napięcia.

- Też mi odkrycie. Oczywiście, że jest zdenerwowana! Właśnie za... możliwe, że właśnie zabiła Liama! - Sal uświadomiła sobie, że jej głos przybrał piskliwe i wysokie tony. - Och, Jahulla! On nie żyje? Naprawdę go zabiła?

> Brak danych. Ostatni sygnał sugeruje nagłe i gwałtowne powiększenie nakłucia prowadzącego do innych wymiarów i uwolnienie gigantycznych ilości energii.

- Coś jak bomba?

> Potwierdzam. Dokładnie jak bomba.

Dziewczyna opadła na krzesło.

- Czyli są martwi - wymruczała ze wzrokiem wbitym w kolana. Poczwała nagłe ukłucie bólu. Od momentu, gdy Foster wyciągnął ją z płonącego wieżowca, upłynęło niemal trzy

miesiące. Tyle się przez ten czas wydarzyło. Świat niemal został podbity przez nazistów, potem, w mgnieniu oka, zamienił się w radioaktywne pustkowie. Wycieczka do piwnicy w Muzeum Historii Naturalnej, odnajdowanie wskazówek... wiadomość od Liama w księdze gości. No i żmudne sprzątanie i naprawianie bazy, gdy koszmar się skończył. Kompletnie inne życie, poprzedni świat - Mumbai, mama i tata, płonący budynek - był już daleko.

To miejsce, zapuszczona baza z plątaniną kabli, powoli stawało się jej nowym domem, a Liam i Maddy... nawet Bob - jej nową, popapraną rodziną. Zastanawiała się, czy ten jeden głupi błąd wszystko przekreśli. Oderwała wzrok od dłoni nerwowo splecionych na kolanach i zerknęła na migającą na ekranie odpowiedź Boba:

> Niekoniecznie.

- Co? Co masz na myśli, mówiąc „niekoniecznie”? Że są niekoniecznie martwi?

> Potwierdzam. Mogli zostać przeniesieni.

- Tak jak za pomocą jednego z naszych portali czasu?

> Potwierdzam. Nagłe rozszerzenie nakłucia czasoprzestrzennego w celu pobrania energii punktu zerowego mogło zadziałać w sposób podobny do portalu.

- Gdzie? Wiesz gdzie? Gdzie możemy ich znaleźć?

> Zaprzeczam. Nie mam pojęcia, do której epoki zostali zrzućeni. To jak rzut kostką.

- Ale... ale niewykluczone, że żyją? Że gdzieś żyją?

> Potwierdzam, Sal. Na pewno znajdują się w tej samej lokalizacji geograficznej.

- Czy możemy ich odnaleźć?

> Zaprzeczam. Jesteśmy w takiej samej sytuacji jak przed wysłaniem sygnału tachionowego. Jeżeli eksplozja ich nie zabiła, znajdują się gdzieś w przeszłości lub

przyszłości.

Ulotna nadzieja, że może uda im się znaleźć przyjaciół i sprowadzić w jednym kawałku z powrotem do bazy, zaczęła słabnąć.

> Być może duplikat mojej sztucznej inteligencji i Liam nawiążą kontakt z biurem terenowym, pod warunkiem, że nie spowoduje to kontaminacji czasowej.

- Chodzi ci o coś podobnego do księgi gości w muzeum? O odcisk w historii?

> Potwierdzam. Jeżeli nie zostali przeniesieni do zbyt odległej przeszłości, być może uda im się znaleźć sposób na nawiązanie z nami kontaktu bez wywołania niebezpiecznej kontaminacji czasowej.

- Czyli... czekamy? Czekamy z nadzieją na otrzymanie od nich sygnału?

> Potwierdzam. Czekamy i obserwujemy. To jedyny rozsądny plan działania.

## ROZDZIAŁ 23

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

- Słucham? - Laura nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Kiedy?

Franklyn skończył wycierać do sucha okulary i założył je z powrotem na nos. Przez chwilę rozkoszował się ciszą i skupieniem na sobie uwagi pozostałych rozbitków siedzących na polanie.

- Powiedziałem, że sześćdziesiąt pięć milionów lat temu.

Wszyscy trawili niesamowitą wiadomość w milczeniu, patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami. Upłynęło kilka dobrych minut, zanim do wszystkich dotarła waga tego faktu.

Ciszę przerwał Whitmore.

- Sześćdziesiąt pięć milionów lat... to końcówka okresu kredowego. - Spojrzał na chłopca, którego okulary ponownie zaczęły zachodzić mgiełką wilgoci. - To kreda, prawda?

Franklyn skinął głową.

- Zgadza się. Późna kreda, mówiąc precyzyjnie.

- Cofnęliśmy się w czasie? - wymamrotał Kelly. - To niemożliwe!

- Wow! - krzyknął jeden z dzieciaków.

Whitmore i Franklyn popatrzyli na siebie niepewnie, co nie umknęło Liamowi.

- Co? Czy któryś z panów raczy nam łaskawie wyjaśnić, czym są te późne kredy? - Liam przyglądał im się podejrzliwie. - Przed chwilą spojrzeliście na siebie porozumiewawczo. Co to wszystko znaczy?

Whitmore wyduł wargi, brwi mężczyzny wygięły się w strome łuki, jakby sam nie wierzył, że to mówi:

- Jeżeli Franklyn ma rację - powiedział, patrząc na półmetrowe ważki zataczające kręgi wokół kęp rosnących w pobliżu paproci - to czasy dinozaurów. Znaleźliśmy się w epoce dinozaurów.

- O Boże! - westchnęła Laura i wzięła dwa lub trzy głębokie oddechy, sapiąc przy tym jak lokomotywa parowa wjeżdżająca do tunelu lub rodząca kobieta. - O mój Boże! Wczoraj

wieczorem oglądałam Jurassic Park. Nie chcę zostać połknięta przez tyranozaura. Nie chcę, żeby zeżarł mnie...

Kilku innych uczniów, nie tylko dziewczynki, zaczęło pochlipywać; pozostali mówili jeden przez drugiego. Liam patrzył, jak Whitmore sam stara się sobie to wszystko wytłumaczyć, kręcąc z niedowierzaniem głową i zaciskając w milczeniu pięści. Kelly wpatrywał się w błękitne niebo i słońce o trochę nienaturalnej barwie, jakby starał się tam znaleźć jakąś odpowiedź.

„Ktoś musi przejąć dowodzenie - myślał Liam - albo wszyscy tutaj zginiemy”.

Sam jednak za żadne skarby nie chciał brać na swoje barki odpowiedzialności za to stadko. On i Beki prawdopodobnie o wiele lepiej poradzą sobie na własną rękę. Jeden z trzech mężczyzn będzie musiał podjąć się opieki nad nastolatkami. Ale gdy Liam zastanawiał się, w jaki sposób dyskretnie się ewakuować, zabierając ze sobą Edwarda Chana, decyzja została podjęta za niego.

- Ty! - powiedział Whitmore. Z twarzy mężczyzny odpłynął już wyraz zagubienia, przypomniał sobie, że mają problem do rozwiązania. Jego głos przebił się przez panujący harmider. - Tak, ty! Gotka - powiedział, wskazując Beki. Teraz spojrzał na Liama - I ty. Idę o zakład, że wiecie, co się wydarzyło. Nie należycie do mojej grupy. Wiedzieliście, że reaktor wybuchnie. Natychmiast gadajcie, kim, do diabła, jesteście!

Nagle zapadła głucha cisza, oczy wszystkich skierowały się na Liama i Beki.

Chłopak uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Ja i Beki, moja koleżanka, nie jesteśmy hmm... uczniami. Jesteśmy agentami z innych czasów.

Czternaście par oczu przewiercało go na wylot, lecz nikt nie zrozumiał, o czym on właściwie mówi.

- Widzicie, jesteśmy podróżnikami w czasie i przybyliśmy tutaj, aby go chronić -



powiedział, wskazując Edwarda Chana, który siedział na trawie, obejmując ramionami podkulone nogi.

- Hmm? Czy coś mi grozi? - Edward Chan szeroko otworzył oczy.

- Tak, Edwardzie. Przybyliśmy tu, aby dowiedzieć się, w jaki sposób zapobiec próbie zamachu na twoje życie.

Wszyscy spojrzeli na małego chłopca chińskiego pochodzenia, potem znowu na Liama.

- Wyłumacz im to wszystko, Beki - powiedział Liam. - Wszystkie dane masz w głowie. Beki potulnie skinęła głową.

- Słuchajcie uważnie - zaczęła. - Technologia podróżowania w czasie zostanie opracowana w dwa tysiące czterdziestym czwartym roku przez profesora Roalda Waldsteina, który zbuduje pierwszy wehikuł czasu na świecie i cofnie się do przeszłości, z której bezpiecznie powróci do domu. Technologia opracowana przez Waldsteina w dwa tysiące czterdziestym czwartym będzie opierała się na pracach teoretycznych opublikowanych w magazynie „Scientific American” przez Wydział Fizyki Uniwersytetu w Teksasie w roku dwa tysiące trzydziestym pierwszym. A oto tytuł kluczowego artykułu: Energia punktu zerowego: energia z próżni czasoprzestrzennej czy międzywymiarowy przeciek?

- Chyba żartujesz? - Zmęczona twarz Kelly’ego nagle się rozjaśniła.

Whitmore patrzył na oszołomionego dzieciaka, który kucał na ziemi obok.

- Jaki ma to w ogóle związek z tym chłopcem?

Spokojne, szare oczy Beki spoczęły na Chanie.

- Artykuł opublikowany w „Scientific American” okaże się plagiatem twierdzenia matematycznego autorstwa Edwarda Aarona Chana. Przestępstwa dopuści się jego promotor.

Edward spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Ja to zrobię? Naprawdę?

- Potwierdzam. Praca magisterska, którą złożysz do recenzji w Wydziale Fizyki latem dwa tysiące dwudziestego dziewiątego roku będzie miała niemal taki sam tytuł. Przełomowego odkrycia dokonasz w wieku dwudziestu sześciu lat. Dziekan wydziału, profesor Miles Jackson, będzie próbował przypisać sobie autorstwo twojej pracy, gdy kilka miesięcy później zostanie zatwierdzona do publikacji, ale zostanie oskarżony o plagiat wkrótce po ukazaniu się artykułu w gazecie.

- Przecież mówiłaś, że przybyliście, aby udaremnić zamach na jego życie... dlaczego ktokolwiek chciałby zabić Chana? - spytał Whitmore.

- Edward Chan jest prawdziwym twórcą podróży w czasie - odpowiedziała Beki. - W przyszłości, w dwa tysiące pięćdziesiątym pierwszym roku, instytucje międzynarodowe wprowadzą zakaz prowadzenia prac badawczych nad technologią, która będzie stanowić śmiertelne zagrożenie dla gatunku ludzkiego. Wprowadzenie tych ograniczeń stanie się możliwe dzięki wieloletniej kampanii prowadzonej przez Roalda Waldsteina, który stworzy prototyp wehikułu czasu i doskonale zrozumie niebezpieczeństwa związane z rozwojem technologii.

- Wald... człowiek, który zbuduje pierwszy wehikuł? - spytał jeden z uczniów, groźnie wyglądający Latynos. Liam odczytał imię i nazwisko z plakietki przyklejonej do jego piersi: JUAN HERNANDEZ.

Beki spojrzała na niego i w milczeniu czekała, aż dokończy myśl.

- Po co? - pytał Juan. - Po co najpierw konstruować maszynę, a później domagać się jej zniszczenia? Przecież to nie mam najmniejszego sensu.

- Waldstein nigdy nie ujawni, co zobaczy podczas pierwszej i jedynej podróży do przeszłości... nigdy z nikim o tym nie porozmawia - odpowiedział Liam. - Pierwsza wyprawa w przeszłość zostanie spowita gęstą mgłą tajemnicy. Raz ktoś usłyszy tylko, jak starzec

mówi, że zajął wprost w otchłań piekła. - Liam mógł dopowiedzieć kilka słów, mógł dodać, że być może sam, przez kilka sekund, widział to na własne oczy.

Beki dokończyła za niego.

- Kampania Waldsteina zyska poparcie społeczne. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że jednemu z jego fanatycznych zwolenników uda się w jakiś sposób cofnąć w czasie, znaleźć Chana i spróbować go zabić, aby uniemożliwić napisanie artykułu, a przez to zapobiec wynalezieniu podróżowania w czasie.

Po jej słowach zapadła długa cisza, nieśmiało szeleściły tylko korony drzew, w oddali skrzeczało jakieś stworzenie. Milczenie przerwał Whitmore.

- No dobrze... to wszystko jest doprawdy bardzo fascynujące, ale co się właśnie wydarzyło? Gdzie jesteśmy i w jaki sposób wrócimy?

Powieki Beki przez chwilę trzepotały.

- Współrzędne geopozycyjne nie uległy zmianie. Stoimy dokładnie tam, gdzie staliśmy.

- Jasne! - warknął Juan. - Tyle że w Teksasie nie ma dżungli.

- Wciąż jesteśmy w tym samym miejscu. - Potwierdził Liam. - Zmieniła się tylko epoka. Zgadza się, Beki?

- Potwierdzam. - Beki dostała kuksańca od Liama. - Tak - poprawiła się jednostka.

- Jeśli Franklyn ma rację, znajdujemy się sześćdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą - powiedział Whitmore, rozluźniając krawat i rozpinając guzik przy kołnierzyku błękitnej koszuli, zaplamionej już pod pachami ciemnymi strużkami potu.

- Coś koło tego. - Liam uśmiechnął się słabo.

Technik, któremu udało się przeżyć i przedostać przez wymiary chaosu, potrzęsął spuszczoną głową.

- No to mamy naprawdę przechłapanie!

Liam chciał opowiedzieć, że był już w tego rodzaju tarapatach, że może nie wszystko jeszcze stracone, że mają przynajmniej genetycznie wzmocnioną, śmiertelnością jednostkę bojową, z wbudowanym superprocesorem, która co prawda dla niepoznaki została przebrana za gotycką lalę Barbie, ale wciąż może okazać się pomocna. Chłopak zdał sobie jednak sprawę, że z tą dodatkową informacją ich współtowarzysze mogliby już sobie nie poradzić.

Kelly ściągnął Inianą marynarkę, nie wyglądał już na tak schludnego i zadbanego. Podobnie jak Whitmore miał ciemne ślady potu pod pachami. Wilgotne i gorące powietrze dawało się we znaki.

- Co więc teraz zrobimy? Wszystkie spojrzenia znowu spoczęły na Liamie. „Och, Jezu, tylko nie to! Znowu za wszystko odpowiadam?”. Wyglądało na to, że nie uda mu się umknąć niepostrzeżenie wraz z Beki i że będą musieli ciągnąć za sobą resztę grupy.

- Spróbujmy przeżyć - powiedział w końcu. - Lepiej zacznijmy się zastanawiać, jak to zrobić. Musimy zdobyć wodę, jedzenie, broń, zbudować obóz. O resztę... jeśli w ogóle jest jakaś reszta... będziemy martwić się później.

## ROZDZIAŁ 24

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Howard zrobił sobie przerwę w karczowaniu pnączy i trzciny bambusowej, odłożył prowizoryczną maczetę: wyszczerbiony kawałek metalu - fragment obudowy reaktora - z

uchwytem w postaci nawiniętych grubych liści związanych sznurówkami. Maczeta okazała się zaskakująco skuteczna; zdołali wyprodukować jeszcze dziewięć podobnych narzędzi z innych kawałków wzmocnionego stopu, które zmaterializowały się wraz z nimi w przeszłości.

Tuż obok niego pracował młody Latynos, Juan. Po drugiej stronie skąpanej w popołudniowym słońcu polany kilku innych rozbitków przygotowywało proste włocznie z co grubszych łodyg bambusa.

- Niezły kanał, stary - mruknął Juan, który podążył za nim wzrokiem. - Nic nie zabijemy tymi struganymi kijkami.

Howard ze znużeniem skinął głową i coś odchrząknął, nie spuszczać wzroku z Chana, który stał obok tej dziwnej rudowłosej dziewczyny, nieporadnie próbując naostrzyć końcówkę metrowej trzciny. Ona i ten ekscentryczny Irlandczyk... przedstawili się co prawda jako Beki i Liam, ale jeśli rzeczywiście są tajnymi agentami z dwa tysiące pierwszego roku, muszą to być ich pseudonimy.

Ale co to za agencja? Kto ich wysłał? Z tego, co wiedział Howard, żaden rząd nie mógł finansować technologii podróżowania w czasie. A jednak najpotężniejsze państwa - Federacja Chińska, Blok Państw Europejskich i Stany Zjednoczone - musiały prowadzić jakieś potajemne badania. Tych dwoje to na pewno agenci operacyjni na usługach jednego z tych krajów, wysłani, żeby ochronić Chana.

Irlandczyk dowodził grupą wspólnie z dorosłymi: Whitmorem, Kellym i technikiem, Lamem. Póki co Howardowi odpowiadało takie status quo. Cieszyło go, że może odgrywać rolę nieśmiałego Lenny'ego Baumgardnera, licealisty z samymi piątkami na świadectwie i idealną frekwencją w szkole. Dzięki temu wszystko było prostsze. Teraz chodziło tylko o przetrwanie i zaspokojenie podstawowych potrzeb: jedzenia, wody, schronienia.

Ale bez względu na to, co się wydarzy, musi pamiętać, dlaczego został tutaj wysłany i skupić się na celu misji: zabiciu Chana i zagwarantowaniu, że genialne koncepcje ukute przez jego starszy, dwudziestosześcioletni umysł nigdy nie ujrzą światła dziennego. Absolutny geniusz Chana był jedyny w swoim rodzaju: taki geniusz i intuicja pojawiają się raz na pokolenie, raz na sto lat.

Dorobek Chana zmieni świat w takim samym stopniu jak teoria Einsteina. Może nawet bardziej. Gdyby Chan nie opublikował swojego artykułu, Waldstein byłby kolejnym, anonimowym wynalazcą dłubiącym coś w swoim garażu. Chociaż świat dwa tysiące pięćdziesiątego piątego roku będzie w dalszym ciągu borykał się z problemami - brakiem wody, pożywienia i energii, globalnym ociepleniem i katastrofalnym poziomem przeludnienia - sama historia pozostanie bezpieczna, a gatunek ludzki przestanie igrzać z wymiarami, których nie rozumie, z wymiarami, w których może znajdować się... wszystko.

„To, że drzwi mogą zostać otwarte... nie oznacza, że powinno się je otwierać”.

Ale Chan znajdował się w tej chwili tutaj... a nie w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku. Od wyświadczenia ludzkości niedźwiedziej przysługi dzieli go sześćdziesiąt pięć milionów lat. Howard zastanawiał się, czy oznacza to, że jego misja dobiegła końca.

Czy wciąż musi go zabić? W końcu eksplozja została prawdopodobnie wywołana przez dwoje agentów, być może energia, która wyrzuciła ich tak daleko w przeszłość, została wytworzona w wyniku jakiegoś skutku ubocznego podróży w czasie. Tak daleko w przeszłość nie mógł wyrzucić człowieka żaden prototyp wehikułu czasu. I jak ktokolwiek mógłby się dowiedzieć, gdzie się znaleźli? Sześćdziesiąt pięć milionów lat do wyboru. To jak szukanie igły w stogu siana, a w zasadzie jak szukanie igły w stodole pełnej stogów siana.

„Dalej, wybierzcie rok... zobaczymy, czy się wam poszczęści. - Uśmiechnął się w duchu chłopak. - Pozamiatane. Świat jest bezpieczny. Zrobiłem, co do mnie należało”.

To się nazywa ulga, teraz może skupić myśli wyłącznie na przetrwaniu w dżungli, mając za towarzystwo przerośnięte ważki i gigantyczne robale oraz inne kredowe istoty czające się w lesie tropikalnym. Nie licząc oczywiście gromadki przerażonych uczniaków i kilku mężczyzn, którzy mogliby wykazywać odrobinę więcej ikry.

Howard wywiązał się już ze swoich zobowiązań wobec gatunku ludzkiego... teraz musi już tylko jak najdłużej przetrwać w dziczy: nie miał najmniejszej ochoty stać się kolacją jakiegoś dinozaura.

Spojrzał na gęstą dżunglę wyrastającą kilka metrów przed jego oczami: wstęgę ciemnozielonego listowia i wysokich drzew tropikalnych ciasno otaczających polanę.

„Bóg jeden wie, jakie wygłodniałe stwory się tam wałęsają” - pomyślał z niepokojem.

\*

- Och, świetnie. Po prostu genialnie. - Liam patrzył na wzburzoną rzekę: rwący potok białej piany przetaczającej się nad dywanem wytartych głazów.

- Jesteśmy otoczeni - powiedział Kelly. Jego elegancki lniany garnitur był już zabłocony i przepocony. Strój nie nadawał się najlepiej na trekking w dżungli. Mężczyzna zawiązał marynarkę wokół pasa i zakasał rękawy białej koszuli. Krawat pozostał jednak na swoim miejscu, Kelly nie był jeszcze gotowy porzucić swojego talizmanu, łudzac się, że wkrótce nadciągnie pomoc i trzeba będzie robić dobre wrażenie. - Wydaje mi się, że znaleźliśmy się na jakiejś wyspie - kontynuował.

Poranek zszedł im na eksploracji najbliższego otoczenia polany. Bez względu na to, w którą stronę się zapuszczali, zawsze natrafiali w końcu na srebrzystą rzekę rwącą z potwornym rykiem przez słabiej zadrzewiony obszar.

Wyspę stanowiło około trzech lub czterech akrów dżungli w kształcie kropli łyż z polaną w centrum. Właśnie stali na szpiczastym cyplu, patrząc na przelewające się masy wody. Rzeka rozgałęziała się wokół przylądka: prawa odnoga rozszerzała się, tworząc kanał wolniej płynącej wody. Potok nie gnał tu co prawda tak żwawo jak na innych odcinkach, ale Liam nie zaryzykowałby pokonania go wplaw. Poza tym nie potrafił pływać, a sama woda przerażała go niemiłosiernie. Nie miał jednak zamiaru informować pozostałych o swoich szczenięcych lękach.

Lewą odnogę stanowił węższy kanał o szerokości dziesięciu metrów: setki głazów zalewał tu gwałtowny, ryczący żywioł śnieżnobiałej piany i energii. Tylko głupiec mógł zdecydować się na pokonanie szerszej odnogi, ale jedynie kompletny wariat porwałby się na przepłynięcie lewego odcinka.

- Jesteśmy uwięzieni - powiedziała Laura, patrząc na pozostałych. - Prawda?

- Przynajmniej mamy co pić. - Liam wzruszył ramionami i uśmiechnął się radośnie. - Są też więc jakieś dobre wiadomości.

Beki przeszła kilka kroków po mokrych kamykach w stronę wartkiej rzeki i w milczeniu oceniała otoczenie. Po jakimś czasie odwróciła się i oznajmiła pozostałym:

- Wyspa to dobre stanowisko obronne.

- Obronne?! - krzyknął jeden z uczniów. Liam odwrócił się i spojrzał na dużego chłopca, którego policzki lśniły pod strzechą ciemnych, kędzierzawych włosów. Chłopak wciąż miał na sobie identyfikator z imieniem i nazwiskiem: JONAH MIDDLETON. - Przed czym niby mamy się bronić?

- Przed dinozaurami - trzeźwo odrzekła Laura lekko drżącym głosem.

- Właśnie, przed dinozaurami. - Whitmore przytaknął i odwrócił się do Franklyna. - Dużo wiesz na temat późnej kredy?

- Całkiem sporo - odpowiedział. - Chcecie wiedzieć, jakie gatunki możemy tu spotkać?

- Tylko mi nie mów, że tyranozaura - rzuciła Laura. - Tylko nie to.

- Tyranozaurow są tu na pewno. - Franklyn położył ręce na biodrach. - Choć częściej bytują na otwartych przestrzeniach, a nie w dżungli takiej jak ta.

- Najbardziej przerażały mnie welociraptory - powiedział Lam. Jego głowa energicznie podskakiwała, a ciemny kucyk falował jak psi ogon, gdy mężczyzna kolejno spoglądał na twarze towarzyszy.

- Naprawdę przerażające gady. - Ze smutkiem kiwnął głową. - Widziałem wszystkie



trzy części filmu Jurrasic Park... właśnie na te małe, złośliwe trutnie trzeba uważać najbardziej.

- Nie ma tu raptorów. - Franklyn potrząsnął głową. - Dromeozaurowy zamieszkiwały Azję i wyginęły osiemdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą. Powinniśmy za to spotkać... ankylozaurowy, czyli dinozaurowy pancerne z ogonem przypominającym kolczastą maczugę. Są tu też pachycefalozaurowy, które poruszają się na dwóch zadnich kończynach, ich czaszka przypomina trochę kask kolarza. Triceratopsy... te na pewno wszyscy kojarzą.

Uczniowie zgodnie przytaknęli.

- Parazaurolofy... czyli dinozaurowy kaczodziobe z charakterystyczną łyżwą wyrastającą z czaszki.

- Mówisz o roślinożercach - zauważył pan Whitmore. - Co z mięsożercami? Franklyn wyduł wargi i odpowiedział.

- Na pewno są tu tyranozaurowy, ale nie ma raptorów. To dobra wiadomość.

- Super - westchnęła Laura. - Teraz czeka nas pewnie kilka złych.

- No... możemy mieć do czynienia z kilkoma gatunkami mniejszych teropodów - uściślił Franklyn.

- A jak one wyglądają? - Liam spojrzał na niego niepewnie.

- Do rodziny teropodów należą raptory - kontynuował Franklyn. - To małe drapieżniki mające od metra do dwóch wysokości. Poruszają się na zadnich kończynach, ponieważ przednie odnóża są krótsze i nie w pełni rozwinięte. Polują stadnie.

- Metr lub dwa wysokości? - zapytał Liam. - To wcale nie tak najgorzej.

- Stary - powiedział Jonah. - Czy ty widziałeś jakąś część Jurrasic Park?

Liam potrząsnął głową.

- Nie. Ale zakładam, że to jakieś filmy dźwiękowe? Kilkoro studentów spojrzało na siebie porozumiewawczo.

- Filmy dźwiękowe? Czy nie mówiłeś przypadkiem, że pochodzisz z przyszłości? - spytał Kelly.

- Nie do końca. Nie bezpośrednio. W zasadzie przybyłem z...

- Stop! - ostrzegła Beki, opuszczając kamienisty brzeg. - Informacja poufna. - Jej stalowy wzrok uciszył szept. - To zbędne dane. Nie musicie nic wiedzieć o agencji operacyjnym, Liamie O'Connorze.

- W zasadzie to chciałbym też dowiedzieć się trochę więcej o tobie - powiedział Whitmore. - Kim ty, do diabła, je...?

- Stop! - warknęła Beki. - Konwersacja właśnie dobiegła końca!

Laura skrzywiła się, podeszła kilka kroków i stanęła tuż przed Beki. Obie dziewczyny były mniej więcej tego samego wzrostu, teraz patrzyły sobie prosto w oczy w milczącej konfrontacji.

- Tak? A kto właściwie mianował cię szefem? Beki w milczeniu zmierzyła ją wzrokiem.

- Jesteś czynnikiem zanieczyszczającym i balastem dla misji.

- Co? A co to niby ma znaczyć?

Beki nie spuszczała chłodnego wzroku z dziewczyny. Przez chwilę Liam zastanawiał się z niepokojem, czy Beki nie złamie Laurze karku jak suchej gałązki. Na własne oczy widział, jak Bob robił dużo straszniejszych rzeczy z dziesiątkami zaprawionych w boju dorosłych mężczyzn.

- Beki! - krzyknął. - Zostaw ją w spokoju! Jednostka w końcu przemówiła:

- Liam O'Connor jest... szefem. Ja jestem tylko jednostką pomocniczą.

- Jednostką pomocniczą? - Na twarzy Laury pojawił się wyraz szczerego zdumienia. Dziewczyna odwróciła się do Liama. - No ładnie, co jest nie tak z twoją siostrą? Poważne problemy z psychiką?

- Mówi jak robot - powiedziała Keisha.

- Cóż, skoro... - Liam zaczął już wyjaśniać, ale Beki przerwała mu po raz kolejny:

- To wszystko nieistotne dane. - Odeszła od Laury i zbliżyła się do chłopca, niemal natychmiast zapominając o kłótni z dziewczyną.

- Mam rekomendację, Liamie.

- Mów - poprosił Liam.

- Istnieje możliwość wybudowania mostu. - Odwróciła się w stronę wzburzonego lewego odcinka rzeki. - Szerokość w najwęższym miejscu wynosi dokładnie dziewięć metrów dziewięćdziesiąt sześć centymetrów. - Spojrzała na proste pnie liściastych drzew, które zarastały brzeg rzeki. - Wszystkie te drzewa mają odpowiednią wysokość.

- A w jaki sposób zetniemy drzewo? - powątpiewał Liam. - Mamy tylko scyzoryk pana Kelly'ego, kilka bambusowych włóczni i kompletnie bezużytecznych siekier.

Nagle doszedł jednak do wniosku, że powinien sprawiać wrażenie pewnego siebie przywódcy.

- Słuchajcie. Ja i Beki zaraz coś wymyślimy, w rzeczy samej. Prawda... Beki?... Siostrzyczko?

- Mam pytanie. - Popatrzyła na niego niewinnie.

- Słucham?

- Cały czas mamy udawać brata i siostrę?

Pozostali członkowie grupy spojrzeli na nich z niedowierzaniem.

- Już nie musimy - westchnął Liam.

## ROZDZIAŁ 25

Nowy Jork rok 2001

Sal obróciła się na krześle, słysząc skrzypienie otwieranej rolety.

- Maddy?

Maddy zanurkowała pod roletą i weszła do bazy.

- Tak, to ja - odpowiedziała monotonnym, zgaszonym głosem.

- Myślałam, że odeszłaś. Obawiałam się, że na zawsze.

Maddy podeszła do Sal ze zmęczonym uśmiechem na twarzy.

- Przemknęło mi to przez myśl.

- Nie powinnaś się obwiniać...

- Nie, proszę. - Maddy uniosła dłoń, aby ją uciszyć. Usiadła na krześle obrotowym obok. - Schrząnąłam to. Działalam porywczo i niecierpliwie, co doprowadziło do śmierci Liama. I nie pomoże mi, jeśli będziesz powtarzała, że nie powinnam wciąż się obwiniać. - Schowała twarz w dłoniach, okulary przesunęły się na czoło, gdy dziewczyna rozcierała oczy.

- Nie, posłuchaj mnie - powiedziała Sal, prostując się w krześle.

- Bob mówi, że mogli przeżyć. Maddy zerknęła na nią przez palce.

- Przeanalizował strukturę cząstek tachionowych zgromadzonych wokół otwartego okna. Jest przekonany, że doprowadziliśmy do wygenerowania portalu a nie do wybuchu.

Ekran przed ich oczami zamigotał.

> Sal ma rację. Z osiemdziesięciosiedmioprocentowym prawdopodobieństwem otworzyliśmy portal czasu.

Sal wyciągnęła rękę w stronę przyjaciółki.

- On żyje, Maddy. Rozumiesz? Żyje. - Zamilkła na chwilę i do

dała z niepewną miną: - Prawdopodobnie. Maddy powoli odsunęła rękę od twarzy.

- O mój Boże, mówisz poważnie?

- Tak. Starsza dziewczyna odwróciła się w stronę ekranu.

- Bob? Jesteś tego pewien?

> Prawdopodobieństwo wynosi osiemdziesiąt siedem procent. Gdy nasze okno było otwarte, struktura rozpadu cząstek była niemal identyczna jak podczas zamykania portalu.

- Możesz ustalić, gdzie go wysłaliśmy?

> Najprawdopodobniej nigdzie. Jest mało możliwe, że jego położenie geograficzne uległo zmianie.

- W takim razie do którego roku?

> Brak danych.

Przelotny promyk nadziei malujący się na twarzy Maddy szybko zniknął.

- Czyli wysłaliśmy go w czasie, ale nie mamy pojęcia jak daleko?

> Potwierdzam.

Dziewczyna spojrzała na Sal.

- No i? Czy według ciebie powinien mi się teraz poprawić humor? To ma być dobra wiadomość?

- On żyje, Maddy. To już coś.

- Przepadł. Przepadł na dobre. Równie dobrze może być martwy. Nie rozumiesz? To nawet gorsza wiadomość. Jeśli on, jednostka pomocnicza i Bóg wie, kto jeszcze, trafili do przeszłości, to dopiero nabroiliśmy. Mogą skazać czas w niewyobrażalny sposób.

- No i? Już to przerabialiśmy. Już raz naprawiliśmy historię. Słuchaj, jeśli spowodują kontaminację, to nic się nie wydarzy. Prawda, Bob? Pojawi się szansa, żeby...

> Zaprzeczam. Kontaminacji należy unikać.

- Ale jeśli zmienią historię, przez dwa tysiące pierwszy rok przetoczą się fale czasoprzestrzenne, dzięki którym odgadniemy dokąd trafili.

> Potwierdzam.

- Widzisz? Możemy ich znaleźć. To możliwe. Jeśli na przykład Liam trafił do poprzedniego stulecia, może uda mu się dotrzeć do Nowego Jorku i ponownie użyć księgi gości.

Maddy potrząsnęła ze zniechęceniem głową.

- Może, może... ale mogli trafić wszędzie. Do każdej epoki, Sal. Niekoniecznie do poprzedniego roku lub stulecia. Może cofnęli się o tysiąc, dziesiątki tysięcy... miliony lat. Boże, nawet jeśli znalazł się w piętnastowiecznej Ameryce, w jaki sposób zostawi nam wiadomość? Na tych ziemiach nie znano jeszcze pisma. Byli tylko Indianie i puszcza.

Sal wzruszyła ze zrezygnowaniem ramionami.

- A jeśli cofnął się tysiące lat przed naszą erą? - Odwróciła się do ekranu. - To możliwe?

> Potwierdzam. W wypadku gigantycznego wolumin u energii wszelkie granice związane z podróżami w czasie zostają zniesione.

- Jeżeli cofnął się o tysiące lat, Sal, każda próba nawiązania z nami kontaktu może całkowicie zmienić historię. Mówię tutaj o naprawdę poważnych komplikacjach. Pomyśl tylko, co stało się, gdy neonaziści pojawili się w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Zamienili teraźniejszość w postapokaliptyczne pustkowie.

- Chcę tylko powiedzieć...

- Powiedzieć? Co chcesz powiedzieć? Mamy kompletnie przechłapanie! Boże, może w tej chwili zmierza do nas potężna fala czasu! Jak myślisz, co przyniesie? Nowy Jork zniknie? Pojawi się więcej zombiaków?

Sal ponownie dotknęła jej ręki.

- Maddy... proszę! Musisz się uspokoić. Potrzebujemy spokojnej Maddy. Jesteś naszym strategiem. Na pewno coś wymyślisz. Jestem pewna, że potrafisz.

Maddy pokręciła głową.

- Uhh - wymamrotała. - Foster na pewno wpadłby na jakiś pomysł. Ale ja?

Doskonale wiedziałby, co zrobić. Zresztą, gdyby starszek był na miejscu, na pewno miałby wystarczająco oleju w głowie, aby do tego wszystkiego nie dopuścić.

„Ależ on tu jest. Spaceruje gdzieś po Nowym Jorku. A co ze Starbucksem? To wydarzyło się w poniedziałek rano około dziewiątej. Gdybym poszła tam jutro rano...” - zastanawiała się Maddy.

Szybko jednak uświadomiła sobie, że to się nie uda. Foster przepadł. Nie pojawił się w bazie po zresetowaniu się bańki czasowej. Starzec na dobre opuścił ich czterdziestoośmiogodzinny świat.

„Nie pojawi się już w żaden poniedziałek ani wtorek... - Nagle Maddy szeroko otworzyła usta. - A co ze środą?”. Sal przypatrywała się jej uważnie.

- Wszystko w porządku, Maddy?

„Ale gdzie mógł się wybrać w środę dwunastego września?”. Próbowała przypomnieć sobie ich ostatnią rozmowę w kawiarni. Zapytała go wtedy, gdzie zamierza się udać, jakie ma plany na resztę swojego życia. Mówił, że zawsze chciał zwiedzić Nowy Jork, zobaczyć wszystkie zabytki, poczuć się jak zwykły turysta. Przed swoją „śmiercią” Maddy odwiedziła Nowy Jork setki razy, nie myślała już więc o mieście jak turysta, nie odznaczała w pamięci miejsc, które koniecznie należy zobaczyć.

- Sal, co poszłabyś zobaczyć w Nowym Jorku, gdybyś przyjechała tu na wakacje?

- Co?

- Co chciałabyś tu zobaczyć, gdybyś była turystką?



- Dlaczego o to pyt...?

- Po prostu odpowiedz. Dziewczynka zamyśliła się.

- Cóż, pewnie Empire State Building, Statuę Wolności, Muzeum Historii Naturalnej. Dlaczego pytasz? Co ci chodzi po głowie?

Maddy słuchała w milczeniu. Empire State Building, Statua Wolności. Tak, od tego zacznij.

- Maddy? Dziewczyna trochę nieprzytomnie spojrzała na Sal.

- Planuję znaleźć Fostera i sprowadzić go z powrotem. On będzie wiedział, co należy zrobić. Bo ja nie mam pojęcia, Sal.

- Ale mówiłaś, że odszedł na dobre. Nie było go tutaj, gdy zresetowała się bańka. Przepadł.

- Nie ma go w naszym dwudniowym cyklu, to prawda. Ale zostaje jeszcze środa... czwartek i następne dni.

- Chcesz pojechać do przodu?

Maddy rozważała to przez chwilę: im mniej podróży w czasie, bez względu na kierunek, tym lepiej. Foster powiedział jej w tajemnicy, że jazda w czasie jest trochę jak palenie: nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile minut życia zabiera jeden papieros, ale powstrzymanie się od palenia jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

- Opuszczę bazę przed zresetowaniem bańki - powiedziała Maddy. - A w środę odwiedzę wszystkie te miejsca. Kto wie? Może mi się poszczęści.

- Nie możesz tego zrobić. Przepadniesz na dobre jak Foster!

- Nie... ustalimy godzinę okna powrotnego. - Maddy w zamyśleniu przygryzła wargę.

- Tak, otworzymy okno, powiedzmy o ósmej wieczorem we środę. - Odwróciła się i wskazała żaluzję.

- W bocznej uliczce przed wejściem do bazy. Wrócę do próżni czasowej w poniedziałek. - Ze zrezygnowaniem wzruszyła ramionami. - Nie może nas spotkać nic gorszego niż Maddy „Katastrofa” Carter.

- Ach, Shadd-yah! Powinnyśmy się teraz zastanawiać, jak ściągnąć tutaj Liama, a nie wygłupiać się ze zwiedzaniem zabytków.

- Tak myślisz? Zastanów się, nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Możemy tylko czekać... czekać, aż uderzy w nas fala czasu, i mieć nadzieję, że zaprowadzi nas bezpośrednio do niego. Nic więcej. Tylko tyle możemy w tej chwili zrobić. Po prostu czekać. Może więc zamiast siedzieć beczynn timer, spróbuję odszukać Fostera, poproszę go o radę.

Sal mocno zacisnęła usta.

- Ma to według ciebie ręce i nogi? - spytała Maddy. Sal powoli skinęła głową.

- Okej - odpowiedziała Hinduska, bawiąc się parą plastikowych bransoletek na nadgarstkach. - Chcesz, żebym poszła z tobą? Może przyda ci się druga para oczu?

Monitor zamrugał.

> Rekomendacja: Sal powinna pozostać tutaj w charakterze zwiadowcy.

Maddy niechętnie kiwnęła głową.

- Bob ma rację. Jeżeli pojawi się pierwsza fala zapowiadająca odkształcenie osi czasu, musisz tu zostać, aby nas ostrzec. Powinnaś zostać na miejscu i jak zwykle wybrać się na spacer po Times Square. A jeśli coś mi wyskoczy i z jakiegoś powodu nie uda mi się wrócić w środę, będę miała przynajmniej świadomość, że ktoś został na straży.

- Zgoda. - Sal przybrała odważną minę.

- Okej... no to mamy plan. - Maddy spojrzała na zegarek. Właśnie minęła piąta po południu.

Słońce na zewnątrz szukało swojego miejsca na zadymionym horyzoncie Manhattanu, nowojorczycy wrócili już do domów, po ciężkim dniu pracy oglądali wiadomości, siedząc przy zastawionych kolacją stołach.

Dzisiaj wieczorem Nowy Jork będzie miastem duchów, jak zawsze we wtorki, gdy wskazówka zegara zbliża się do godziny zresetowania bańki czasu.

## ROZDZIAŁ 26

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam otarł pot z czoła wierzchem nadgarstka.

- Jezu, gorąco tu jak w kotłowni mamuśki.

- Mamuśki? - odezwał się znieczeka pan Whitmore. Liam sądził, że znajduje się zbyt daleko, by słyszeć jego poirytowane pomruki.

- Ach... mówię o starym statku, na którym pracowałem.

Zatrzymał się na chwilę, łapiąc oddech. Gorące powietrze zatykało płuca. Przez kilka minut stali bez ruchu, dysząc ochryple. Wokół rozbrzmiewały ciche odgłosy dżungli: skapywanie wody na lepiące się liście, szum wysokich, kołyszących się drzew tropikalnych, świergotanie i skrzeki latających wśród gałęzi ptaków.

Za nimi, w dolnej części wykarczowanego szlaku, maszerowali inni rozbitkowie: Franklyn, ich nadworny ekspert od paleontologii, szczerzący z zachwytem zęby na widok prehistorycznego lasu jak łakome dziecko w cukierni; Lam, osłaniający oczy przed jasnymi promieniami słońca przenikającego przez katedralne sklepienie gałęzi i grubych liści oraz Jonah Middleton, który niezdarnie powłóczył nogami na tyłach grupki, pogwizdując coś fałszywym tonem. Pozostali rozbitkowie zostali na „wyspie”. Pod nadzorem Beki montowali obciążnik umożliwiający podniesienie mostu oraz budowali obóz.

Spędzili tu już dwa dni i dwie noce. Po zmroku, zawsze punktualnie jak w zegarku, zaczął padać ulewny deszcz. Rano wszyscy byli niewyspani i przemoczeni do suchej nitki. Dzisiaj, dzięki ciężkiej pracy Beki - ich jednoosobowej ekipy budowlanej - powinni wreszcie wybudować schronienie.

- Pracowałeś na statku? - spytał Whitmore, ciężko świszcząc przy każdym wypowiedzianym słowie. - Czy to było zanim zostałeś... tym, kim mówiłeś: tajnym agentem z przyszłości? - Nic takiego nie mówiłem, panie Whitmore. Mężczyzna podrapał się po brodzie. - Wydaje mi się, że to dokładnie twoje słowa.

- No cóż, chociaż może to brzmieć nedorzecznie, oboje z Beki jesteśmy właśnie kimś w tym rodzaju.

- Wciąż nie jestem pewien, czy to wszystko nie jest snem. To po prostu... - Whitmore potrząsnął głowę.

- Od tego faktycznie można oszaleć, bez dwóch zdań. - Liam wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Naprawdę przybyliście z przyszłości? - No właśnie nie do końca z przyszłości. Whitmore wyglądał na kompletnie skołowanego. Liam zastanawiał się, czy powinien zdradzić mu więcej. Beki miała rację, mówiąc, że mogą narazić Agencję na utratę anonimowości, jeśli przekażą tym ludziom więcej informacji. Choć z drugiej strony - jakie to ma znaczenie? Znajdują się tutaj, a przyszłość jest sześćdziesiąt pięć milionów lat stąd.

„Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B” - pomyślał i wyjaśnił:

- Urodziłem się w Corku, w Irlandii, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym

roku, jeśli koniecznie chce pan wiedzieć. Powinienem być umrzeć w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. - Popatrzył na Whitmore'a z jeszcze szerszym uśmiechem. - Na pokładzie Titanica, na pewno słyszał pan o tym statku.

Mężczyzna szeroko otworzył oczy. Lam, Franklyn i Jonah szybko do nich dołączyli, cała piątka wypełniła ciszę dżungli ciężkimi oddechami.

- O co chodzi? - Zaciekawiał się Lam, widząc, że oczy Whitmore'a powiększyły się do rozmiaru gogli narciarskich.

- Nie! Nie ma mowy. To zwyczajnie niemożliwe! - Whitmore niedowierzał.

- Jest pan pewien? - spytał Liam, rozglądając się po tropikalnej puszczy z późnej kredy. - Niemożliwe, że wdepnęliśmy w ten pasztet? Niemożliwe, że trafiliśmy do epoki dinozaurów?

Whitmore pogłaskał się dłonią po przerzedzonych, siwych włosach.

- Ale od razu Titanic? Naprawdę pracowałeś na Titanicu?

- Jestem młodszym stewardem z pokładu E, w rzeczy samej.

Jonah odrzucił z oczu grzywkę, która zakrywała już pół jego twarzy.

- To nie-mo-żli-we, stary!

- Wszystko to robi się coraz dziwniejsze - rzekł Lam, ocierając pot z czoła.

- Zostałem zwerbowany do Agencji. Jeden z agentów wyciągnął mnie ze statku na chwilę przed śmiercią, w momencie, gdy pękał kadłub tonącego Titanica. Nie mogło to zniekształcić osi czasu. Historia nie mogła ulec zmianie tylko dlatego, że moje kości nie poszły na dno oceanu Atlantyckiego wraz z innymi ciałami. Tak przebiega rekrutacja w Agencji... dostają się tam tylko idioci, za którymi nikt nie zatęskni. - Mój Boże - wyszeptał Whitmore. - To naprawdę niesamowite. - A co z dziewczyną? - spytał Franklyn. Jonah z

uznaniem kiwnął głową. - Właśnie, co z twoją gorącą laską? Liam uznał, że mowa o jednostce pomocniczej. - Beki? Nie, ona nie jest moją dziewczyną. - Nieważne - powiedział Franklyn. - Skąd pochodzi?

- Powinniśmy raczej spytać, z „kiedy” pochodzi. - Liam potrząsnął głową. Twarz Franklyna stężała, nie lubił być poprawiany.

- Właśnie... z jakiej epoki pochodzi?

Liam doszedł do wniosku, że małe kłamstewko w tej sytuacji nie zawadzi. Prawdopodobnie nie spodobałby im się fakt, że Beki jest śmiercionośnym robotem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała ich grupa, to brak zaufania do Beki. Wszyscy muszą sobie pomagać, a już na pewno potrzebują pomocy jednostki.

- Beki pochodzi z przyszłości. Jest chyba z dwa tysiące pięćdziesiątego roku. Dlatego czasem gada w dziwny sposób.

- Odjechana z niej laska - zauważył Franklyn. - Jak Spock ze Star Treka.

- Liamie, skoro jesteś jedyną osobą, która rozumie, co się tam wydarzyło, w tobie będziemy pokładać nasze nadzieje na powrót do domu - powiedział Whitmore. - Zakładam, że stworzyłeś już jakiś plan działania. Nie mówię oczywiście o eksplorowaniu najbliższego otoczenia.

Plan? Póki co planował tylko wymachiwać bezużyteczną maczetą, gdy dinozaur nagle wyskoczy z zarośli.

- Plan?

- Tak, podejrzewam, że możemy się w jakiś sposób stąd wydostać? - Whitmore pytająco zawiesił głos.

Liam widział, że pozostała trójka patrzy na niego w oczekiwaniu.

- Wiem tylko jedno, panowie. Musimy zostać na wyspie.

- Dlaczego?

- Bo właśnie dokładnie w tym miejscu znajdowaliśmy się w dwa tysiące piętnastym roku.

- Te same współrzędne geograficzne co laboratorium? - zauważył Joseph Lam.

- Właśnie. Nasza lokalizacja nie zmieniła się ani o centymetr... jesteśmy tylko w innej epoce. Jeżeli przeniesiemy obozowisko w inne miejsce, Agencja będzie miała trudności z odnalezieniem naszego śladu. Powinniśmy zostać na miejscu.

Whitmore wytarł zwilgotniałą od potu twarz mankietem koszuli.

- Agencja, w której pracujesz, to jednostka rządowa? CIA? FBI? Coś w tym rodzaju?

Liam nie słyszał o żadnej z wymienionych organizacji, ale zdecydował, że błąd to w tej chwili najlepsza strategia.

- Jasne, pracujemy w podobny sposób, panie Whitmore... ale mamy większy zasięg, jesteśmy sprawniejsi, no i pochodzimy z przyszłości.

- Twierdzisz więc, że zostaniemy uratowani, że Agencja wy

ciągnie stąd nas wszystkich? Liam poważnie i z przekonaniem kiwnął głową.

- Oczywiście, że tak. Musimy tylko utrzymać naszą pozycję. Trochę potrwa, zanim nas znajdą... ale odnajdą nas na pewno. Daję słowo.

Pozostali patrzyli na siebie bez przekonania, wreszcie przerzedzony zarost pod kartoflastym nosem Whitmore'a rozsunał się w uśmiechu.

- No cóż, w porządku. Jestem pewien, że wspólnymi siłami

zdołamy przetrwać tutaj kilka dni. Po chwili uśmiechali się już wszyscy.

- Chciałbym zobaczyć przynajmniej jednego dinozaura - powiedział Franklyn. - Okażę się strasznym lamerem, jeśli mi się nie uda.

- Tak - powiedział Jonah, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy. - To byłoby niesamowite. Wrzuciłbym wideo na You Tube'a. Albo nie! - Strzepnął na bok swoją kędzierzawą czuprynę. - Mam lepszy pomysł, stary. Będę pobierał za to opłaty w systemie prepaidowym. Zostanę miliarderem.

- W co wyście się zamieniły, drogie dzieci? - Whitmore potrząsnął głową.

- W biznesmenów - odpowiedział Jonah. - W biznesmenów zbijających grube melony, panie kochany. Whitmore tylko westchnął z rezygnacją.

## ROZDZIAŁ 27

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Beki stanęła z boku, obojętnie przyglądając się, jak członkowie grupy ciosają smukłe, proste pnie małych, już powalonych drzew i odrywają od nich gałęzie, aby przygotować lekkie bierwiona, które posłużą do budowy częstokołu.

Podzieliła ich na dwie grupy. Jedna ścinała drzewa, druga związywała ze sobą pale za pomocą splecionych lian. Na szczycie konstrukcji w kształcie wigwamów kładli następnie duże, lepkie liście, które opadły z koron drzew. Kilka ułożonych w ten sposób warstw zapewniało niemal wodoodporną osłonę.



Takie były rozkazy Liama. Wybudować obozowisko. Ale zimne, szare oczy jednostki z niepokojem obserwowały polanę i wykarczowany obszar dżungli, miejsca, gdzie z korzeniami wyrwane zostały małe drzewa. Na wyższych, których nie zdołali powalić ani wyrwać, dostrzegła ślady nacięć maczety, a na ziemi w pobliżu - gęste ślady stóp, charakterystyczne owalne dowody ludzkiej obecności.

„Ocena: poziom skażenia czasoprzestrzennego rośnie” - przemknęło przez procesor w głowie Beki.

Każdy ruch tych ludzi, każdy krok, każde uderzenie tępym ostrzem zwiększało poziom kontaminacji, ale polecenia Liama O'Connora stanowiły wytyczne misji, były priorytetem. Rozkazy agenta operacyjnego nie podlegały dyskusji, zupełnie jak instrukcje wydawane za pomocą oprogramowania wbudowanego w jej czaszkę.

Chłopak wyraził się jasno: jednostka ma doprowadzić do skonstruowania mostu i wybudowania szałasów oraz, na wszelki wypadek, jakiegoś małego częstokołu - palisady, za którą wszyscy mogliby się schronić, w razie gdyby coś niebezpiecznego przedostało się na wyspę.

Tak też zrobiła. Podobnie jak podczas ostatniej misji, gdy oprogramowanie dostało identyfikator o nazwie „Bob”, będzie posłusznie wypełniała rozkazy. Fakt, że zyskała nowiutkie sprawne ciało i ponownie została wysłana na misję z Liamem O'Connorem był w dziwny sposób krzepiący. Ostatnim razem ich współpraca przebiegała bardzo sprawnie - skutecznie i wbrew piętrzącym się trudnościom uporali się z wysokim skażeniem czasoprzestrzennym.

Niestety, mechanizm przyswajania wiedzy za pomocą sztucznej inteligencji był niestabilny. Kiedy była Bobem, odkryła, że jednoznaczne parametry misji mogą zostać nadpisane nowymi, a w niektórych okolicznościach oprogramowanie potrafi „podejmować decyzje”.

Już samo to było niepokojące. Jako Bob nauczyła się, że na podstawowy kod oprogramowania coś wywiera subtelny wpływ: mały guzek organicznej inteligencji, do którego podłączony jest chip komputerowy. Szczątkowy mózg płodowy podczepiony do

transgenicznej konstrukcji. Sztuczna inteligencja Boba doświadczyła ulotnego smaku emocji, tak naturalnych u ludzi. Odkryła coś bardzo, bardzo dziwnego... „Lubiła” Liama O’Connora.

Pierwsze ciało kłona zostało nieodwracalnie zniszczone w ośnieżonych lasach na wzgórzu poniżej Orlego Gniazda, zimowej kwatery Hitlera, dlatego sztuczna inteligencja została wgrana do wieloterminalowego komputera w biurze terenowym, przybierając całkowicie nieorganiczną, bezcielesną postać. Miała wiele czasu, by przeanalizować informacje zdobyte w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

### Wnioski

1. Sztuczna inteligencja potrafi używać nowych schematów: „ja”, „mnie”, „moje”.
2. „Ja” potrafię w ograniczonym zakresie podejmować decyzje.
3. Jeśli sztuczna inteligencja znajduje się w organicznej obudowie, sama potrafię symulować pewne emocje.

Ale co najważniejsze...

4. „Ja” „lubię” Liama O’Connora.

Beki dalej obserwowała pracujących ludzi, uświadamiając sobie, że jakaś część wbudowanego kodu uparczywie szepcze ostrzeżenie. Decyzję należy podjąć bardzo szybko. Działania ludzi wywoływały niebezpieczne poziomy kontaminacji na leśnej polanie. Z każdym krokiem, każdym ściętym drzewem rosło prawdopodobieństwo, że jakaś skamielina przetrwa sześćdziesiąt pięć milionów lat, zostanie odnaleziona w przyszłości i stanie się dowodem bytności Homo sapiens w tej epoce.

To nie do przyjęcia.

Polecenia Liama O’Connora stały w sprzeczności z podstawowymi zasadami podróży w czasie. Kontaminacja czasowa musi zostać utrzymana na absolutnie minimalnym poziomie. Sama obecność ludzi w tej epoce mogła wywołać zdecydowanie

większą falę czasu niż zabójstwo Edwarda Chana w dwa tysiące piętnastym roku.

#### Rekomendacja

1. Likwidacja wszystkich istot ludzkich, w tym agenta Liama O'Connora.
2. Zniszczenie wszelkich śladów ludzkiej bytności i zasiedlenia na tym obszarze.
3. Autodestrukcja.

Rekomendacje były nienagannie logiczne i strategicznie bezpieczne, ale bryłka szczątkowej tkanki organicznej przypominała oprogramowaniu, że Liam jest przyjacielem.

A przyjaciele nie zabijają przyjaciół.

Beki próbowała odepchnąć od siebie tę myśl jak irytującą muchę.

#### Warianty postępowania

1. Niezwłocznie wykonać rekomendacje operacyjne.
2. Poczekać na agenta Liama O'Connora i przedyskutować z nim sytuację.

Decyzja. Jak zwykle ciężki orzech do zgryzienia. Zintegrowany z mózgiem Beki procesor silikonowy zaczął się nagrzewać pod wpływem gigabajtów danych przepływających przez filtry oprogramowania. Martwe, szare oczy chaotycznie mrugały, palce kompulsywnie zaciskały się na rękojeści maczety, jednostka rozpaczliwie próbowała wygenerować odpowiedź na nurtujące ją pytania. Cudem tylko odnotowała, że zbliża się do niej blondwłosa Laura.

- Hej! - krzyknęła dziewczyna. - Pomożesz nam, czy zamierzasz tak stać i przyglądać się, jak harujemy? Beki?

Spojrzenie Beki powoli przeniosło się na dziewczynę, ale jednostka milczała. Jej

mózg był w tej chwili bardzo, bardzo zajęty.

## ROZDZIAŁ 28

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam zauważył to pierwszy: z nieprzebranego morza zieleni wytrysnęła plama oślepiającego szkarłatu. Chłopak podniósł rękę, odwrócił się i położył palec na ustach, uciszając Lama i Jonaha, którzy przez ostatnie pięć minut trajkotali o komiksach.

Natychmiast umilkli.

Whitmore podszedł ostrożnie do Liama i spytał: - Co to jest? Liam wskazał miejsce za cienką zasłoną liści. - Krew. Dużo krwi. Nauczyciel przełknął ślinę i znowu wybałuszył oczy. - O jejku - wyszeptał. - O jejku. O jejku.

Podszedł do nich Franklyn, w którego oczach, w przeciwieństwie do Whitmore'a, płonęły iskierki radości.

- Bomba! - szepnął w zachwycie. - Chyba coś zostało zmasakrowane.

- Właśnie tego obawiam się najbardziej. - Whitmore przełknął ślinę i spojrzał na Liama. - Lepiej, żebyśmy po cichu się wycofali i...

- Whitmore nie dokończył zdania, bo Franklyn już przeciskał się na polankę przez rosnące nisko nad ziemią, rozłożyste liście paproci.

- Ach, to jest genialne! Chodźcie! - krzyknął. - Musieliśmy spłoszyć drapieżnika! Liam spojrzał na nauczyciela i wzruszył ramionami.

- Cóż, podejrzewam, że wystraszyliśmy jakiegoś dinozaura. Ale sami na pewno nie powinniśmy sprawiać wrażenia przestraszonych. Trzymajmy fason.

Wybałuszone oczy Whitmore'a wskazywały, że mężczyzna zdecydowanie wolałby się po cichu wycofać. Liam zostawił go i przez gęstwinę paproci wyszedł na łąkę.

Franklyn klęczał nad wypatroszonymi zwłokami wielkiej bestii, chroniąc nos przed smrodem poszatkowanych organów, które zostały wyrwane z ciała i porzucane po ściółce.

Liam poczuł, jak coś przewraca się w jego pustym żołądku.

- Jezu, to ohydne.

- Śmierć nastąpiła niedawno - stwierdził Franklyn, dźgając palcem padlinę. Szkielet zabujał się lekko, a z końcówek żeber odpadły kawałki postrzępionej tkanki mięśniowej. Obok Liama stanęli Whitmore, Jonah i Lam.

- O ja! To totalnie obrzydliwe! - Jonah się skrzywił i zatkał nos, chroniąc się przed ostrym zapachem śmierci. - Naprawdę sędzę, że powinniśmy szybko się stąd oddalić -

rzekł Whitmore. - Stworzenie, które to zrobiło musi być niedaleko. Franklyn przytaknął i uśmiechnął się.

- Dokładnie! Może w końcu naprawdę zobaczę jakiegoś dinozaura!

Liam rozejrzał się po gęstwinie, obawiając się, że wielka istota z ostrymi szponami i zębami właśnie ich obserwuje.

- Myślę, że pan Whitmore ma rację. Powinniśmy się wycofać.

- Popatrzcie na te znaki na skórze - powiedział Franklyn, kompletnie ignorując resztę.  
- Jest na niej wiele małych nacięć. Tyranozaury zadają gigantyczne rany. - Rozejrzał się po ziemi. - Widzicie?

Liam zauważył kilka trójpalczastych wgłębień w gruncie, w miejscu, które wskazywał chłopiec. Potem dostrzegł długi, zakrzywiony przedmiot w kształcie haczyka na ryby. Schylił się i podniósł znalezisko. - Co to jest? - spytał Franklyn. - Wygląda jak jakiś szpon - odpowiedział Liam. Franklyn niecierpliwie capnął przedmiot z otwartej dłoni Liama.

- O mój Boże! To... to prawdziwy szpon dinozaura! Popatrz na ząbkowaną wewnętrzną krawędź. - Przekręcił swój skarb w dłoni.

- Ale ma dziwny kształt, prawda, panie Whitmore?

Whitmore wolałby natychmiast opuścić to miejsce, ale teraz pochylił się nad pazurem i dokładnie go obejrzał.

- Nie ma półkolistego kształtu, charakterystycznego dla szponów raptorów i innych teropodów.

- Może to jakiś nieznaną gatunek? - Podekscytowany Franklyn uśmiechnął się szeroko.

- Możliwe. - Poparł go Liam. - Słyszałem, że odnaleziono skamieniałości odpowiadają raptem jednemu procentowi wszystkich gatunków, które kiedyś zamieszkiwały Ziemię.

- Naprawdę myślę, że powinniśmy się zbierać - niepokoił się

Whitmore. Liam przytaknął skinieniem głowy i wyciągnął dłoń.

- Już możesz mi to oddać.

Franklyn z wyraźnym ociąganiem i grymasem na twarzy oddał pazur Liamowi.

- Fajna rzecz - mruknął.

- Jestem pewien, że znajdziesz coś podobnego. - Liam się uśmiechnął.

- Tak, może się uda. Ten mały osobnik prawdopodobnie należał do watahy.

- Watahy innych dinozaurów? Pan Whitmore chyba ma rację, lepiej spadajmy - powiedział Jonah, szykując się do odejścia.

- Mhm - mruknął pan Whitmore, rozglądając się po polance z niepewnym uśmiechem.  
- Masz rację Franklynie, to fascynujące znalezisko, o którym porozmawiamy w drodze powrotnej.

- Wataha? - spytał Liam. - Taka jak wataha raptorów? Mówiłeś, że to nie raptory!

- Nie, to nie dromeozaurowy. Popatrz na odciski... gdyby to miał być jeden z nich, zostałoby też wgłębienie po zakrzywionym do tyłu palcu. Nie, to jakiś inny gatunek, być może nawet nie teropod. To coś zupełnie innego. - Franklyn wstał. - To naprawdę cool!

- No cóż... - Liam popatrzył na pozostałych. - Teraz mamy przynajmniej pewność, że musimy podzielić się tą okolicą z dinozaurami. - Spojrzał na padlinę wielkości bizona. - Skoro już wiemy, że są tu większe osobniki, na które możemy polować, powinniśmy pójść za radą pana Whitmore'a i wrócić do obozu.

Cztery głowy kiwnęły entuzjastycznie.

- Okej! - westchnął Franklyn.

- Dobra. - Liam wskazał w kierunku wykarczowanej przez nich ścieżki. - Panowie przodem.

Szybko wyprzedzili chłopaka, Whitmore niespokojnie spojrzał przy tym przez ramię.

- Żałuję, że na to wpadliśmy - powiedział cicho z nietęgą miną.

Liam doskonale wiedział, co ma na myśli. Biedna bestia, bez względu na to, czym była wcześniej, prawdopodobnie nie została zabita dla mięsa. Wewnętrzne organy zostały

rozrzucone po ziemi, wnętrzości zwisały z pętli lian. Wyglądało to tak, jakby drapieżniki dla zabawy porzuciły zmasakrowane zwłoki, urządzając krwawą biesiadę śmierci. Myśl o uczujących zwierzętach była odrobinę niepokojąca. Pachniało to rytuałem. Pachniało inteligencją.

„Może one po prostu żrą tak niechlujnie?” - zastanawiał się Liam.

W nabrzmiałej ciszy usłyszał cichutkie trzaśnięcie - jakby drobna gałązka złamała się pod niecierpliwie przesuwającym się ciężarem. Raz jeszcze spojrzął na unurzaną we krwi polankę, zastanawiając się, czy z zielonej gęstwiny wyzierają przesywające ślepie drapieżników śledzących każdy ruch przybyszy.

Żółte, nieruchome oczy śledziły interesujące istoty właśnie odchodzące z polany. Tylko kilka metrów dalej - w odległości trzech lub czterech kroków od miejsca, w którym przykucnęła bestia - zgromadziło się pięć bladych stworzeń, których nigdy wcześniej nie widział. Wydawały dziwne dźwięki, podobne do warknięć, jakimi nawoływał swoją watahę. Dziwne istoty podobnie się też poruszały: w pozycji wyprostowanej, na długich, dobrze rozwiniętych zadnich kończynach. Na szczęście były zdecydowanie wolniejsze i strasznie ospałe.

Poprawił pozycję i pochylił się, aby zerknąć przez rozłożyste liście paproci, za którymi się skrył. Zastanawiał się, czy to cała wataha bladych, wyprostowanych zwierząt, nowych istot, czy może gdzieś kryje się ich więcej.

Sprawały wrażenie nieszkodliwych. Nie miały widocznych kłów, siekących szponów ani innych atrybutów sygnalizujących niebezpieczeństwo. Nic nie wskazywało, że mogą być groźnymi drapieżnikami.

Za wyjątkiem... za wyjątkiem - nie mógł tego nie zauważyć - inteligencji. Wydawało się, że dobrze współpracują, dzielą między siebie zadania. Zupełnie jak ich wataha. Obserwował ich w całkowitym bezruchu, oliwkowa skóra idealnie maskowała go wśród bogatych odcieni zieleni. Skupione, lekko wybałuszone w jednym kierunku ślepie pozwalały mu widzieć stereoskopowo: potrafił oceniać dystans i odległość.



Był drapieżnikiem.

Dziwni przybysze, nowe istoty, też mają oczy skierowane w tym samym kierunku. Kolejny powód, dla którego należy się ich obawiać. Może one też są jakimś gatunkiem drapieżników, w przeciwieństwie do potulnych roślinożerców, których oczy umieszczone po obu stronach głowy pozwalają im wykrywać potencjalne zagrożenie z dwóch stron.

Tak, nowe istoty mają oczy drapieżników, a jednak wyglądają na całkowicie bezbronne i nieszkodliwe, poruszają się po polanie w sposób żałośnie powolny i niezdamny.

Z zainteresowaniem przekrzywił głowę, niedbale stukając długimi, haczykowatymi i ostrymi jak brzytwy szponami.

Ostatnia z nowych istot nagle odwróciła się i spojrzała w jego kierunku. Musiała coś usłyszeć, uderzenie jego szponów. Istota spojrzała wprost na niego, ale, o dziwo, zupełnie nic nie zauważyła. Spojrzała w lewo, potem w prawo, a w końcu zawróciła i podążyła za pozostałymi.

Zerknął na swoje szpony: cztery długie, zakrzywione i śmiercionośne pazury wyrastające z palców jednej kończyny, z drugiej wyrastały trzy... i złamany kikut: pamiątka po walce z młodym samcem, który wiele lat temu był na tyle głupi, żeby zakwestionować jego przywództwo. Uzurpator oczywiście zginął. Targany wściekłości rozerwał ciało samozwańca na strzępy na oczach całej watahy, wysyłając wyraźne ostrzeżenie: lepiej niech nikt nie próbuje czegoś podobnego w przyszłości.

Szpony zazwyczaj odrastały. Pazur młodej samicy, która doznała obrażeń podczas dzisiejszej walki, zapewne odrośnie przed kolejnym wzejściem księżyca, ale z jego kikuta nigdy nie wyrósł nowy szpon. Deformacja nieustannie przypominała mu, że przewodnik stada jest przewodnikiem, dopóki potrafi zachować skuteczność.

Powoli i bardzo sprawnie Złamany Pazur wyszedł spod osłony paproci i zniknął w ciemności dżungli, zostawiając za sobą jasną polankę. Jego zwaliste tylne kończyny były silne i sprężyste, pozwalały na rozwinięcie niesamowitej szybkości i niemal bezszelestne poruszanie się po lesie.

W jego głowie pojawiła się prosta myśl, na którą składały się nie słowa, lecz koncepcje.

„Na nowe istoty trzeba uważać”.

Instynkt podpowiadał mu, że osobniki te mogą być szalenie niebezpieczne. Dopóki nie dowie się, na czym polega ich tajemnica, dopóki nie dowie się, czy są słabe czy silne, będzie je bacznie obserwował i śledził. A gdy już on i jego współplemieńcy upewnią się, że w bladych istotach nie drzemią ukryte moce, gdy poznają wszystkie ich słabości i gdy istoty nie będą się tego spodziewać... zaatakują i urzadzą ucztę z ciał wrogów. Wataha po raz kolejny uczci swoją dominację w tym świecie. Bezszelstni mordercy udekorują dżunglę organami przybyszy, wymalują skórę ich krwią.

Drapieżnik kłapnął zębami, decydując, że należy zachować cierpliwość. Na razie.

## ROZDZIAŁ 29

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam odetchnął z ulgą, gdy zauważył wartką rzekę i długi, smukły pień łączący kamieniste brzegi. Wygląda na to, że Beki skończyła pracę nad mostem, który mógł być teraz podnoszony, dzięki prowizorycznej przeciwwadze skonstruowanej z kilku kłód. Od związanych polan, w stronę grubej gałęzi drzewa, którego masywne konary unosiły się nad rzeką, odchodziła mocna lina wykonana z poskręcanych pnączy. Drugi koniec liny został przywiązany do ich „zwodzonego mostu”: prostego jak włócznia pnia o długości dziesięciu metrów i półmetrowej średnicy. Pień był na tyle gruby, by utrzymać wagę jednej osoby, a jednocześnie wystarczająco lekki, aby podtrzymująca go gałąź nie pękła podczas podnoszenia.

Po kolei wchodzili na kłodę, powoli przechodząc nad wzburzoną kaskadą piany, która buzowała pod ich nogami. Liam przeszedł jako ostatni. Gdy niespokojnie czekał na swoją kolej, co chwila spoglądał na ścianę znajdującej się za jego plecami dżungli - obawiał się, że ostatnia osoba po tej stronie rzeki może stanowić łakomy kąsek dla wygłodniałych bestii.

Wreszcie przysłała jego kolej. Kilka chwil później wylądował na drugim brzegu obok innych.

- Okej, podnieście most.

Pociągnęli za zrobioną z bali przeciwwagę i podnieśli most przy skrzypieniu napinającej się liny i trzeszczeniu gałęzi, na której opierał się teraz cały ciężar. Konstrukcja zatrzymała się pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Dobrze. - Liam popatrzył na niebo. Słońce powoli chowało się za horyzontem, wzdłuż rzeki układały się długie, ciemne cienie. Za drzewami i gąszczem bambusów zarastających wyspę rozbrzmiewało echo piłowania drewna: pozostali członkowie grupy pracowali w obozowisku na polanie, w domu... Liam miał nadzieję, że to tylko tymczasowy dom. Odgłosy pracy dodawały im otuchy.

- Mam nadzieję, że ktoś nastawił czajnik na herbatę - powiedział Liam.

Minutę później wychodzili już na szeroką polanę, ciekawi, co pod ich nieobecność zdążyli wybudować pozostali. Niespodziewanie przez łąkę przetoczył się krzyk.

- Co się dzieje? - wymruczał Liam.

Po drugiej stronie polany Liam dostrzegł poruszającą się sylwetkę. Ktoś biegł. Laura potknęła się, opadła na kolana, ponownie poderwała się z ziemi i pobiegła dalej. Za nią żwawo, pewnym krokiem maszerowała ubrana na czarno postać z płomiennorudymi włosami: Beki.

- Wow... baby się tłuką - powiedział Jonah, szczerząc zęby jak idiota.

- Hej! - krzyknął Liam. - Co one wyprawiają?

Laura rozejrzała się po okolicy i ruszyła pędem w ich stronę. Beki błyskawicznie zbliżała się do dziewczyny. Chłopak zauważył, że w dłoni trzyma bambusową włócznię, jasnoczerwone ostrze było wymazane we krwi.

„Co to ma być, do cho...?” - pomyślał i pobiegł w kierunku jednostki.

- Beki! Co się dzieje?

Kiedy znalazł się bliżej, zauważył długie rozcięcie na lewym ramieniu Laury, krew zaplamiła jasnoróżową bluzę dziewczyny.

- O Boże! O Boże! Ona próbuje mnie zabić! - krzyczała Laura. Reszta grupy stała po drugiej stronie łąki przy rzędzie prostych drewnianych bali i przyglądała się scenie w całkowitym milczeniu, nikt nie pojmował, co wyczyniają dziewczyny.

W końcu Laura padła na ziemię tuż przy stopach Liama, ściskając krwawiące ramię i oglądając się z przerażeniem na zbliżającą się Beki.

- Dźgnęła mnie włócznią! - wydyszała Laura. - Po prostu podeszła i uderzyła mnie bez powodu!

Beki zatrzymała się kilka metrów dalej i spokojnie spojrzała na Liama. Zdobyła się nawet na jeden ze swoich niezdarnych, końskich uśmiechów, ukazując rząd idealnie prostych zębów.

- Cześć, Liamie - powiedziała.

- Jezuu, Beki! Dlaczego zaatakowałaś tę biedną dziewczynę.

- Takie są priorytety misji. Musi zostać zlikwidowana.

- Co?

- Oni też. - Beki wskazała głową inne osoby stojące za chłopakiem. - Ty również, Liamie. - Wydawało mu się, że w głosie jednostki wyczuł nutkę żalu. - Później oczyszcze ten obszar ze śladów ludzkiej bytności, po czym aktywuję proces samozniszczenia.

- Co? To szaleństwo! - krzyknął Liam. - Beki, słuchaj. - Chłopak powoli rozłożył dłonie. - To nie jest konieczne. Słyszysz mnie?

Jednostka postąpiła dwa kroki do przodu, chwyciła Laurę za gardło i bez wysiłku podniosła dziewczynę, której nogi bezsilnie zatrzepotały w powietrzu. Laura szamotała się i drapała twarz Beki, chwytając się jej rudych włosów.

- BEKI! PRZESTAŃ!

Jednostka wstrzymała egzekucję i spojrzała na chłopca z dezorientacją.

- To priorytet misji. Poziom wywołanej kontaminacji czasowej przekroczył już dozwolone normy.

- POSTAW JĄ NA ZIEMI!

Beki patrzyła na niego z wyrazem zrównowazenia i spokoju na twarzy, Laura wciąż wisiała w powietrzu, wymachując nogami, szamocząc się i powoli tracąc oddech; ostry, ząbkowany koniuszek włóczni trzymanej przez jednostkę w drugiej ręce znajdował się kilka centymetrów od gardła ofiary.

- TO ROZKAZ!

Oczy Beki powoli przesunęły się od Liama do Laury i z powrotem. Nagle jej powieki zatrzepotały.

- Potwierdzam - oznajmiła w końcu, zwalnając uścisk. Laura z hukiem upadła na ziemię, czerwona peruka Beki zaplątała się w zakrwawione palce i zsunęła się z tysej czaszki.

- A teraz odłóż włócznię! - warknął Liam. Posłusznie odrzuciła dzidę na rozmiękłą ziemię. Laura sapiała i kaszłała, nie mogąc wyrównać oddechu. Pozostali

patrzyli w milczeniu na Beki i jej niemal łąsą głowę, na której wyrósł już kilkumilimetrowy meszek ciemnych włosów. - O mój Boże! To kompletna psycholka! - powiedział Lam. Liam usłyszał, jak stojący za nim Jonah mruży: - Trafieś w samo sedno, stary!

Beki patrzyła na Liama swoimi zimnymi, szarymi oczami, w których tliło się coś na kształt poczucia winy i żalu. Może nawet smutek. W tej chwili - w tej krytycznej chwili - wyglądała jak zbesztane dziecko, które za chwilę zmarszczy nosek i uderzy w płacz.

- Nie - wziął ją w obronę Liam. - Nie jest.

- Nie jest psycholką? Jesteś tego pewien? - szydził Lam.

Liam przytaknął. Widział, że na twarzy Beki malują się silne uczucia: zmieszanie, desperacja. Mózg jednostki starał się uporządkować sprzeczne priorytety: bezpośredni rozkaz Liama i wytyczne określone w protokole misji.

- Ona tylko robi to, co uważa za słuszne. Postępuje zgodnie ze wskazówkami generowanymi za pomocą jej oprogramowania.

- Oprogramowania? - Franklyn przekrzywił głowę.

Iskry trzaskały głośno przed skupionymi wokół ogniska; twarze świeciły bursztynowo, jak duchy grasujące po nekropolii. Dżungla za kręgiem migającego światła odpływała w ciemność, z której dochodziło jedynie odległe echo nawołujących się istot.

- Ale czy możemy mieć pewność, że znowu nie zeświruje? - spytał Kelly, zerkając na Beki. Jednostka stała bez ruchu w ciemności, posłusznie wypatrując nocnych drapieżników, które mogłyby pod osłoną nocy wejść na łąkę.

- Nie zwariuje - zapewnił go Liam.

- Jakoś mnie to nie uspokaja. - Kelly dorzucił do ognia małą gałąź, która zajęła się błyskawicznie, wysyłając kaskadę iskier w czarne jak smoła niebo. - Nie spodziewałeś się przecież, że zaatakuje Laurę.

Liam spojrzał na dziewczynę. Keisha, czarnoskóra nastolatka, sprawnie opatrzyła ranę na ramieniu kawałkiem materiału z odprutego rękawa. Rozcięcie nie było głębokie i dzięki Bogu nie sięgnęło żadnej arterii. Laurze sprzyjało niesamowite szczęście; Beki potknęła się na nierównej ziemi, co osłabiło siłę ciosu zadanego włócznią. Miała ogromnego farta, że Beki jej nie dopadła. Liam nie raz widział Boba w akcji i doskonale wiedział, że jednostki pomocnicze - nieważne, czy kobiety, czy mężczyźni - to prawdziwe maszyny do zabijania.

- Nie zwariuje - powtórzył Liam. - Omówiłem z nią sytuację.

- Omówiłeś sytuację? - prychnął Jonah. - Nie możesz po prostu wyjąć z niej jakiejś wtyczki? Przecież jest robotem.

- Nie. - Liam potrząsnął głową. - Nie jest zwykłym robotem. Nie składa się wyłącznie z przewodów, silników i metalowych elementów. To jednostka organiczna lub, zgodnie z terminologią Agencji, „genetycznie zmodyfikowana jednostka”. - Znacie ten termin?

- Oczywiście - westchnęła Keisha. - Każde dziecko, które kiedyś oglądało Cartoon Network zna ten termin. Liam przepaszająco wzruszył ramionami.

- W każdym razie jest organicznym robotem, ma ciało, w którym płynie krew i znajdują się organy. Tyle tylko, że w jej mózg wbudowano prawdziwy komputer.

- I co w związku z tym? Chcesz nam powiedzieć, że to z winy oprogramowania zaczęła gonić za Laurą z włócznią w ręku? - zapytał Juan.

- Dokładnie tak. Martwiła się o poziom kontaminacji, którą wywołujemy, a ponieważ nie było mnie w pobliżu i nie mogła tego ze mną przedyskutować, podjęła decyzję samodzielnie.

- Martwiła się? - kpił Jonah. - Martwiła się? Ciekawe, stary, co zacnie wyprawiać, gdy naprawdę się czymś zdenerwuje.

Liam zignorował ten komentarz.

- Użyłeś słowa „kontaminacja”, Liamie - zauważył Kelly. -

Masz na myśli to, że zostawiamy po sobie dowody naszej bytności tutaj? Na przykład obozowisko i most?

- Zgadza się. Każde nacięcie, każde zadrapanie, każdy odcisk; w zasadzie wszystko, co tutaj robimy, sama nasza obecność może zmienić historię i zniszczyć przyszłość, jaką znamy. - Liam rzucił okiem na nieruchomą sylwetkę jednostki pomocniczej, która stała na straży na środku polany. - To jej podstawowe zadanie. Podobnie jak my, ma swoje przykazania.

- I nie będziesz igrał z czasem. - Smagły chłopiec o imieniu Ranjit zachichotał. - Można by z tego zrobić całkiem niezłe jedenaste przykazanie.

- Faktycznie - podjął grę Jonah. - Nie będziesz zabijał przodków swych, bo ześle...

- Myślisz, że to zabawne? - ostro przerwał mu Howard. Pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni tym nagłym wybuchem. Jak dotychczas Howard pozostawał najspokojniejszym członkiem grupy. - Myślisz, że świadome zniekształcanie czasu to jakaś gra? To najbardziej szalony z występków człowieka. - Przerwał nagle, wziął głęboki oddech i dodał łagodniejszym tonem: - Chcę tylko powiedzieć, że podróżowanie w czasie to wariactwo.

Liam posępnie skinął głową.

- Ma rację. To szalone. Chociaż to Waldstein będzie pierwszym podróżnikiem w czasie. - Spojrzał na twarz Edwarda, najmniejszego ze zgromadzonych wokół ogniska. - Wszystko zacnie się od ciebie. Twoje twierdzenie okaże się prawdziwym początkiem.



- Czyli teoretycznie - zaczął Kelly - gdyby Edward zginął podczas eksplozji reaktora i nie napisał swojej rozprawy, Waldstein nie skonstruowałby wehikułu czasu?

- A my nie zostalibyśmy wystrzeleni w czasy dinozaurów? - dopytywała Laura.

Liam zauważył, że jedna lub dwie osoby odwróciły się w stronę Edwarda i zaczęły mu się z ciekawością przyglądać, uważnie rozważając jakąś ewentualność. Liam podskórnie czuł, do czego zmierza ta rozmowa.

- Może istnieje tylko jedna poprawna historia, jedna właściwa oś czasu. I czy nam się to podoba, czy nie, na właściwej osi czasu znalazło się miejsce dla Edwarda Chana, geniusza matematycznego i pana Waldsteina, konstruktora pierwszego wehikułu czasu. Tak to wygląda. - Liam popatrzył na każdego z osobna. - Właśnie dlatego możecie zaufać mi... i Beki. Naszym głównym celem jest przetransportowanie chłopca do domu w dwa tysiące piętnastym roku, aby mógł zrobić, co do niego należy. A w związku z tym, wy też po prostu musicie wrócić.

- Skoro macie główny cel, muszą też istnieć cele drugorzędne - powiedziała ciemnoskóra dziewczynka z długimi czarnymi włosami i przekłutą górną wargą, z której wyrastało kilka lśniących metalicznie kolczyków. Dzisiaj odezwała się po raz pierwszy. Była cicha i zamyślona. Trochę przypominała mu Sal. Wciąż nosiła plaketkę z imieniem: JASMINE.

- Nie ma innego celu, Jasmine, naprawdę - zapewnił ją Liam. - Ja i Beki chcemy, żebyście wszyscy wrócili do domu.

„Kurczę, to nie do końca prawda” - pomyślał Liam.

Przed spotkaniem przy ognisku rozmawiał z Beki na osobności.

Udało mu się przemówić jej do rozsądku - namówić, aby zrezygnowała z podjętej samodzielnie decyzji operacyjnej, sprowadzającej się do zabicia wszystkich, a na końcu siebie. Ale to był kompromis.

Logiczny kompromis, dzięki któremu pogodziła sprzeczne protokoły podsuwane przez umysł.

„Sześć miesięcy - zgodził się z nią. - Jeżeli przed upływem pół roku nie zostaniemy uratowani, gdy będzie zbliżała się data autodestrukcji... wtedy tak, masz rację... wszyscy będziemy musieli zginąć. Pomogę ci w tym. - Uśmiechnął się do niej. - Ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie”.

Ognisko buchało hałaśliwie.

- Czyli teraz wszyscy trzymamy sztamę, tak? - podsumował Jonah. - Nawet robolaska jest git? - Wyszczrzył zęby. - Może zaśpiewamy Stokrotkę? - dodał sarkastycznie. - Zaintonuje: „Gdzie strumyk płynie z wolna, rozsiewa zioła maj...”.

Ktoś z drugiej strony ogniska rzucił w niego kupą dinozaura.

## ROZDZIAŁ 30

Nowy Jork środa, rok 2001

Środa. Maddy uświadomiła sobie, że dawno nie przeżywała tego dnia. Od czasu powrotnego lotu do domu jej rodziców w Bostonie. Od kiedy została Jeźdźcem w Czasie.

Spojrzała w kierunku gwieździstego postumentu Statuy Wolności, wokół którego spacerowało tylko kilka osób. Już raz tutaj była, podczas tamtej wycieczki szkolnej, kiedy odwiedzili też Muzeum Historii Naturalnej. Nudny dzień zmarnotrawiony w niekończących się kolejkach. Kolejka po bilety na prom, kolejka do samego promu na Liberty Island, kolejka do małego muzeum pod Statuą Wolności. Kolejka do wnętrza statuy. Nudny dzień skomponowany z wyczekiwania, przepychania, popychania, odpychania i wyczekiwania na zwiedzenie miejsc, które w zasadzie nie bardzo ją interesowały.

Na szczęście dzisiaj nie było kolejek.

Wyspa wyglądała na opuszczoną. W ciągu dnia do brzegu przybiło raptem kilka promów, z których za każdym razem na ląd schodziły małe grupki przygaszonych, szepczących turystów. A wszyscy i tak wpatrywali się w kolumnę dymu unoszącą się po drugiej stronie zatoki, nad Manhattanem. Gigantyczna, miedzianozielona statua przed ich oczami zeszła na drugi plan.

Maddy wzięła kolejny łyk stygnącej kawy z polistyrenowego kubka. Straszna lura. Straciła już rachubę, ile razy podchodziła do stoiska naprzeciwko pomostu. Już prawie przeszła na „ty” z zakręconym gościem zza lady, który już dawno powinien był zapamiętać, że zawsze prosi go o trzy torebki cukru.

„No dalej, Foster... gdzie ty, do diabła, jesteś?”.

W ciągu tego ranka, za każdym razem, gdy cumował prom, budziła się w niej nadzieja. Ale nie teraz. Była już prawie czwarta po południu. Została tylko godzina do zamknięcia małego muzeum przy Statule Wolności, ostatni prom przygotowywał się do odpłynięcia z portu.

Zaczęła sobie uświadamiać, że straciła dzisiejszy dzień na wałęsanie się i kręcenie bez celu wokół wejścia przy postumencie. Na próżno, bo staruszek się nie pojawił. Trudno, pocieszała się w myśli, teraz wie przynajmniej, że Foster nie spędził pierwszej środy swojej „emerytury” na wyspie. Wróci do bazy. Dzisiaj, w środę, będzie to tylko puste ceglane pomieszczenie z tabliczką DO WYNAJĘCIA przyklejoną do żaluzji. Poczekaj więc przed wejściem do ósmej wieczorem na połyskujący portal, który przetransportuje ją z powrotem do poniedziałku.

Potem znowu odwiedzi środę; tym razem jednak rozejrzy się wokół Empire State Building.

Odprowadziła wzrokiem turystów, którzy przeszli obok niej w stronę postumentu, i tak jak oni ponownie spojrzęła na obłok dymu unoszący się na niebie.

Przypomniała sobie ten dzień, „dzień po”. Ile miała wtedy lat? Osiem? Dziewięć? Mama i tata cały dzień spędzili w domu, siedząc przed telewizorem i patrząc, jak zakurzeni ratownicy krzątają się na skraju parującego gruzowiska, wyciągając połamane, wciąż rozgrzane, metalowe belki z nadzieją odkopania kogoś żywego. Siedziała wtedy na podłodze w salonie, próbując zbudować z klocków własną wersję transformera; nie bardzo mogła skupić się na zabawie, wciąż zerkając na rodziców: szlochającą mamę i klnącego pod nosem tatę.

A teraz znowu była świadkiem tych zdarzeń: w innym miejscu, ale tego samego dnia.

Zawładnęło ją dziwne pragnienie. Co by się stało, gdyby przerwała kordon bezpieczeństwa wokół ruin po bliźniaczych wieżach i zaczepiła reportera z kamerą telewizyjną? Mogłaby pomachać do swojego ośmioletniego sobowtóra oraz mamy i taty, którzy oglądali telewizję. Pocieszyłaby ich, mówiąc, że nie zginie za dziewięć lat razem ze stu trzydziestoma siedmioma pasażerami lotu numer 95. Powiedziałyby, że wszystko będzie dobrze.

„Miła perspektywa” - pomyślała i potrząsnęła głową. Wiedziała, że to niemożliwe.

Postanowiła skupić się na pilniejszych sprawach. Na Liamie i jednostce pomocniczej. Bob zapewnił ją, że kopia jego sztucznej inteligencji w kobiecej obudowie zaleci chłopcu to samo, co zarekomendowałby Bob: znaleźć dyskretny sposób nawiązania kontaktu. Dyskretny... ponieważ zbyt oczywista wiadomość wyraźnie odcinająca się od tła historii mogłaby znacząco odkształcić ós czasu. Ale to nie takie proste. W jaki sposób zostawić subtelny znak przeznaczony tylko dla Maddy i Sal w odległej epoce historycznej, do której przecież mogli trafić?

„Gdzie właściwie mamy zacząć szukać czegoś takiego?” - zastanawiała się.

Jeśli trafili do przeszłości młodszej niż sto pięćdziesiąt lat, wiadomość po raz kolejny może znajdować się w księdze gości w Muzeum Historii Naturalnej. Trzeba to sprawdzić. Ale co, jeśli eksplozja wyrzuciła ich do odleglejszej epoki?

Może cofnęli się o pięćset lat? Tysiąc? Jak wyglądał Teksas tysiąc lat temu? Po stanie hasały może stada bizonów i kilka indiańskich plemion. Z pewnością jednak nie było tam żadnych ksiąg gości, w których mogliby dyskretnie zostawić wiadomość. Trudno oczekiwać, że jednostka pomocnicza poradzi Liamowi, aby na starym pledzie Nawahów wysył zdanie „Zabierzcie nas stąd”. Nie chcieli przecież, żeby historycy badający historię rdzennych Amerykanów debatowali na temat tego napisu na sympozjach naukowych.

Dyskretna. Wiadomość musi być dyskretna.

Jeśli jednak będzie zbyt dyskretna, w jaki sposób mieliby ją odnaleźć?

„Chyba że wiadomość sama nas odszuka - pomyślała, podnosząc głowę znad kubka z kawą. - Odszuka nas...”.

- Mój Boże... - szepnęła pod nosem.

Może właśnie tak postąpią? Wyślą wiadomość zaadresowaną do jej znalazcy, kimkolwiek on jest. Wiadomość z obietnicą nagrody dla osoby, która dostarczy ją pod wskazany adres w danym terminie. Wiadomość z obietnicą niewypowiedzianego bogactwa i dostępu do technologii podróżowania w czasie. Taka wiadomość musiałaby zostać zachowana w tajemnicy, zawierałaby zbyt istotne, zbyt potężne informacje. Stałaby się pilnie strzeżonym sekretem. Sekretem przekazywanym z pokolenia na pokolenie niczym ponura tajemnica lub klątwa rodzinna. W końcu tajemnica trafiłaby do kogoś żyjącego współcześnie, mogącego dotrzeć na uliczkę w Brooklynie dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku. Ten ktoś delikatnie zapuka do drzwi, po czym krzyknie, pytając, czy ktoś jest w środku.

„O mój Boże... przecież to możliwe”.

A co, jeśli wydarzy się to w czasie, gdy ona stoi tutaj jak kompletny cymbał, czekając aż pojawi się Foster, choć i tak prawdopodobnie nigdy to nie nastąpi. Bob miał rację. Właśnie to powiedział: „Po prostu czekaj”.

- Maddy, kompletna idiotko - syknęła, po czym wrzuciła polistyrenowy kubek do kosza na śmieci i odeszła w stronę pomostu.

## ROZDZIAŁ 31

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

- Co możesz zrobić? - spytał Liam.

Beki napięła mięśnie i podniosła bal, aby Liam obwiązał go liną utkaną z prehistorycznych pnączy porastających dosłownie wszystkie drzewa wokół polany.

- Wydaje mi się, że potrafię z dużym stopniem prawdopodobieństwa obliczyć, do jakiej epoki trafiliśmy.

Chłopak ciasno owinął linę wokół bala i przywiązał go mocno do sąsiadującej kłody. Palisada miała dopiero kilka metrów długości i składała się z około dwudziestu bali dwudziestocentymetrowej średnicy i dwuipółmetrowej wysokości. Budowali palisadę w kształcie okręgu o średnicy około czterech metrów - wystarczająco dużą, aby pomieścić całą szesnastkę i ochronić ich przed niebezpiecznymi stworzeniami, które mogą przedostać się na wyspę.

- Jak? - spytał Liam.

- Mam szczegółowy zapis wszystkich zmiennych z momentu eksplozji.

- Zmiennych?

- Parametrów zarejestrowanych bezpośrednio po zrzucie. Współczynnik rozkładu cząstek.

- Nie zrozumiałem z tego ani słowa, Beki. - Liam zmarszczył brwi.

Jednostka podeszła do kurczącego się stosu drewna i bez trudu podniosła kolejny bal. Będą potrzebowali ich więcej. Po drugiej stronie łąki Liam zauważył Whitmora i kilku uczniów, którzy dźwigali wspólnymi siłami duży kawał drewna, potykając się co chwila na nierównym gruncie. Beki mocno wepchnęła jeden koniec kłody w rozmokłą ziemię, a Liam zaczął związywać ją z ostatnim balem w ścianie.

- Mam szczegółowe dane na temat eksplozji. Znam ilość i gęstość cząstek tachionowych, które zostały wygenerowane w dwa tysiące piętnastym roku oraz ilość i gęstość cząstek, które unosiły się w powietrzu po lądowaniu.

Liam popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

- Pomyśl, że jestem dzieckiem, że musisz mi to wytłumaczyć jak trzylatkowi, Beki.

Liam miał wrażenie, że w odpowiedzi na ten dowód głupoty jednostka wywróciła oczami: sztuczna inteligencja musiała podpatrzeć tę reakcję u Sal, gdy była zintegrowana z komputerem i patrzyła na świat za pomocą kamerki internetowej.

- Cząstki tachionowe ulegają rozkładowi ze stałą prędkością. Dlatego im dalej w przeszłość wysyła się strumień tachionowy, tym więcej energii należy wygenerować.

Liam mocno pociągnął za linę i dobrze docisnął węzeł.

- Rozumiem. Czyli skoro cząstki obumierają ze stałą prędkością...

- Jestem w stanie obliczyć, ile cząstek uległo rozkładowi, a na tej podstawie stwierdzić, jak daleko w czasie się cofnęliśmy.

- Naprawdę? Potrafisz to zrobić? - Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Dysponuję wymaganą mocą obliczeniową. - Beki mimowolnie sparodiowała jego minę. - I dowiemy się, do jakiej epoki trafiliśmy? - Z dokładnością do jednej tysięcznej

procenta. Liam z zachwytem pokręcił głową.

- Jezu, ten twój metalowy mózdzek to prawdziwe cudemko, w rzeczy samej!

- Czy to komplement, Liamie O'Connor? - Wydawała się mile połączona.

- Oczywiście, że tak. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobił. - Liam dał jej lekkiego kuksańca.

Jej wzrok uciekł na drugą stronę polany, po chwili ponownie spojrzała na chłopca.

- Dziękuję.

Skończył przywiązywać bal i czekał, aż Beki podniesie kolejny i wbije go mocno obok poprzedniego.

- Czyli poznamy dokładną datę przybycia do przeszłości? Godzinę zrzutu?

- Zaprzeczam. Nie jestem w stanie wygenerować tak dokładnego wyniku.

- Okej. Podasz wynik z dokładnością do tygodnia? Potrząsnęła głową.

- Miesiąca?

- Zaprzeczam.

- Roku?

- Mogę obliczyć datę w zaokrągleniu do tysiąca lat.

- Co?

- Mogę obliczyć aktualny czas w zaokrągleniu do...



- To już słyszałem - przerwał jej. - Ale... to chyba nie jest najlepsza wiadomość. To znaczy, nawet gdyby udało nam się zostawić odcisk w czasie z wiadomością, w którym tysiącleciu przebywamy, odnalezienie nas tutaj będzie jak szukanie igły w stogu siana! - Oparł się o palisadę. - Gdyby aktywowali okna o tej samej porze każdego dnia rok po roku, musieliby podjąć...

- Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy prób - powiedziała Beki. - Plus dwieście pięćdziesiąt prób, doliczając lata przestępne.

- Zgadza się! Właśnie tyle. Jeezu, nigdy nas nie znajdą.

- Masz rację. To bardzo mało prawdopodobne - powiedziała, kucając na ziemi obok niego.

- Czyli przepadło - powiedział, z rezygnacją opuszczając ramiona. Na chwilę uwierzył, że zaczęli przygotowywać plan powrotu, teraz poczuł się jeszcze bardziej bezradny. - Zostaniemy tu na zawsze.

- Na pół roku zgodnie z zegarem misji.

- Tak, tak... wiem. Wtedy będziesz musiała zrobić, co do ciebie

należy. Beki nieśmiało chwyciła dłoń chłopca.

- Przepraszam, Liamie O'Connor. Nie podoba mi się perspektywa likwidacji ludzi. Szczególnie ciebie.

- To już coś. Dzięki - westchnął.

Whitmore z uczniami w końcu dotarli do nich z kłodą, którą rzucili na ziemię. Nauczyciel otarł pot z czoła i próbował złapać oddech.

- Dobry Boże, ale się zziąjałem. Ile jeszcze drzew potrzebujecie?

- Siedemdziesiąt dziewięć - odrzekła Beki, patrząc na niedokończony częstokół. Mężczyzna wydał policzki.

- Siedemdziesiąt dziewięć? Jesteś pewna?

- Jestem pewna. - Skinęła głową.

- Dobra - sapnął Whitmore. - Dobra, za mną, brygado! - po naglił pozostałych. - Do roboty! Liam i Beki odprowadzili ich wzrokiem.

- W biurze terenowym znajdą sposób na zawężenie liczby okien powrotnych - powiedziała Beki.

- Słucham?

- Nie muszą otwierać trzystu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu pięciu okien. Jestem pewna, że sztuczna inteligencja w biurze terenowym zarekomenduje takie samo rozwiązanie.

- Takie samo? Czyli jakie?

- Skanowanie gęstości. Codziennie będą sondowali gęstość. Sygnały ostrzegawcze o zmiennej gęstości wskazują na ruch jakiegoś obiektu w obrębie lokalizacji. Potraktują te sygnały ostrzegawcze jak wskazówki i ustalą najbardziej prawdopodobne sygnatury czasowe naszego pobytu.

Liam spojrział na jednostkę w zamyśleniu. Miała rację. To rutynowa procedura przeprowadzana przed aktywacją okna. Dzięki niej osoby wysyłane w przeszłość mogą mieć pewność, że nie wpadną na nikogo innego.

- Pamiętasz, w którym dokładnie miejscu na polanie się pojawiliśmy?

- W mojej bazie danych znajdują się dokładne współrzędne geograficzne. - Wskazała na ziemię w pobliżu krzewów paproci. - Tam się zmaterializowałeś. Piętnaście metrów i

siedemdziesiąt pięć centymetrów od tego miejsca.

- W takim razie... - Liam spojrział na wskazane miejsce. -...musimy postawić tam kogoś i kazać mu machać rękami albo wymyślić coś podobnego.

- Potwierdzam. Niestety jest mało prawdopodobne, że biuro terenowe będzie sondowało gęstość w tak odległej przeszłości.

Liam znowu bezsilnie wzruszył ramionami. Zgasł kolejny promyk nadziei. Ze zdenerwowaniem zacisnął pięści.

- To całe podróżowanie w czasie to kompletny nonsens. Agencja nie może wysłać jakiejś potężnej wiązki, którą moglibyśmy odesłać?

- Teoretycznie to możliwe, ale wymagałoby niesamowitej ilości energii i oczywiście maszynierii translokacyjnej oraz wystarczająco zaawansowanego systemu komputerowego, za pomocą którego mogliby wystrzelić...

Liam uniósł rękę, aby ją uciszyć. - Beki? Posłusznie zamilkła i spojrzała na chłopca. - Zamknij się, proszę. - Potwierdzam. Wstał, prostując obolałe plecy.

- Ach, chrzanić to! - warknął i niespodziewanie uderzył pięścią w ścianę częstokołu. Palisada zawibrowała, a lina z pnączy naprężyła się z jękiem.

- Ałaja! - mruknął, chuchając na obtarte kostki. - Bolało! Beki z zainteresowaniem przekrzywiła głowę.

- W jakim celu wykonałeś to działanie? - spytała poważnie.

- Grgh... zamkniesz się wreszcie?

## ROZDZIAŁ 32

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Kilka nowych istot stało na brzegu rwącej rzeki, spieniona woda toczyła się hałaśliwie, obmywając ich nogi. Wszystkie stworzenia trzymały w rękach długie drągi i uważnie wpatrywały się w wodę, nie ruszając się nawet na krok. Czasami, nie wiadomo dlaczego, smagały wodę kijami.

Złamany Pazur odwrócił się do kompanów, którzy leżeli na ziemi kilka metrów dalej i z zafascynowaniem przyglądali się istotom. Stuknął pazurami, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Posłusznie spojrzeli w jego stronę. Drapieżnik wypuścił serię chrapliwych szczeknięć i zgrzytnął zębami.

„Nowe istoty niebezpieczne”.

Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, po prostu to wiedział. Są prawdopodobnie dużo bardziej niebezpieczne niż oni. Żółte oczy ponownie powędrowały w stronę istot i dziwnej konstrukcji, którą budowały pozbawionymi szponów rękami na drugim brzegu rzeki. Długi pień drzewa oczyszczony z gałęzi i liści unosił się nad rzeką niczym monstrualna, przekrzywiona szyja jednego z gigantycznych liściożerców żyjących na odsłoniętych terenach. Złamany Pazur zauważył, że górna część budowli została owinięta splecionymi i naprężonymi lianami, które odchodziły w stronę drzewa, oplatały grubą gałąź i zwisały do samej ziemi, gdzie zawijały się wokół bloku pni.

Nie rozumiał, do czego służyła budowla ani dlaczego istoty z takim trudem pracowały nad jej wzniesieniem. Ale pracowały ciężko, co go niepokoiło. Martwiło go też, że nie potrafi zrozumieć, do czego służy budowla. Ponownie warknął z cicha.

„Nowe istoty mądrzejsze niż my”.

Pozostali w pełni się z nim zgadzali. Skulili się ze strachu pod listowiem na skraju dżungli.

Złamany Pazur zauważył, że w wodzie brodzi dokładnie tyle istot, ile posiada szponów. Zastanawiał się, ile stworzeń znajdowało się jeszcze na wyspie po drugiej stronie wąskiej rzeki. Więcej niż w jego watasze?

Właśnie w tym momencie jedno ze stworzeń gwałtownie uderzyło kijem, a po chwili wyciągnęło go z pianistej wody. Na końcu drąga miotała się srebrna, lśniąca istota rzeczna.

Kij w magiczny sposób złowił stworzenie.

„Kij... pochwycił... istotę rzeczna”.

Z wybałuszonymi ślepiami patrzył, jak nowe istoty przenoszą wielkiego, szarpiącego się stwora rzecznoego z dala od brzegu i znikają wśród drzew. Nad rzeką została tylko jedna z nich. Stała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w wodzie.

Złamany Pazur rozpoznał w niej stworzenie, które widział kilka wschodów słońca temu w dżungli. Przez chwilę patrzyli sobie nawet prosto w oczy, choć niebieskie źrenice stworzenia w ogóle tego nie odnotowały. Instykt podpowiadał Złamanemu Pazurowi, że właśnie to stworzenie jest przywódcą watahy. To zadanie wiąże się z poczuciem osamotnienia i odpowiedzialności. Przez chwilę mózg zwierzęcia rejestrował uczucie, które współczesny człowiek mógłby nazwać „empatią”.

„Nowa istota jest jak ja. Przewodzi stada”.

Kiedy przyjdzie pora zadania śmierci, gdy poczuje, że nastąpił najlepszy moment na wykonanie ostatecznego ruchu, ta istota trafi w jego łapy. Nikt nie ma do niej prawa. Może gdy wyrwie serce z piersi istoty, jej mądrość i inteligencja spłyną na niego jak magiczny deszcz? Wtedy i on zrozumie „chwyatający kij”... i intrygującą budowlę wznoszącą się nad rzeką.

Liam obserwował pianę kotłującą się między jego nogami. To tu, to tam przemykały

obok niego czarne zarysy wielkich prehistorycznych ryb, które wirowały w odmętach, kusząc, by nabił je na włócznię.

Szło mu beznadziejnie. Nie potrafił przewidzieć, w którą stronę rzuci się ciemny kształt, żeby uniknąć przekłucia. Najlepszym rybakiem w grupie był chyba Juan. Przed chwilą złowił kolosalną sztukę: ponad metrowy kawał miotającego się mięsa, którym naje się na kolację co najmniej połowa grupy. Jeśli Liamowi uda się przyszpilić jeszcze jedną rybę, gdy pozostali będą nieść zdobycz do obozu, może przestanie czuć się jak nieprzydatny nikomu bałwan.

„Może wreszcie poczuję się jak prawdziwy przywódca”.

Franklyn wiedział niemal wszystko o dinozaurach, Whitmore też znał się na wielu rzeczach. Juan czuł się jak ryba w wodzie w tej survivalowej sytuacji: dobrze polował, potrafił rozpalić ognisko i zawsze okazywał się pomocny przy innych pracach. Keisha pełniła rolę pielęgniarki i lekarza. A Beki, pomimo nieszczęsnego epizodu sprzed kilku dni, była postrzegana przez grupę jako superochroniarz gwarantujący bezpieczeństwo. Nawet Jonah świetnie wywiązywał się z samozwańczej roli grupowego błazna.

„No i ja. Mały Irlandczyk, który potrafi jedynie powtarzać, że niedługo zostaniemy uratowani”.

Sądził, że zaakceptowali jego przywództwo tylko dlatego, że złożył pochopną obietnicę sprowadzenia ich z powrotem do domu. Poza tym Beki słuchała się tylko jego. Zastanawiał się, jak silna będzie jego pozycja za kilka tygodni lub miesięcy, gdy nie doczekają się nawet śladu ratunku.

Czuł się samotny i przygnieciony brzemieniem odpowiedzialności. Gdy ostatnim razem utknęli w przeszłości, musiał się martwić tylko o siebie, nikt nie prosił go o przejmowanie dowodzenia nad grupą.

„Nie, to była działka Boba”. - Zaśmiał się na wspomnienie klona dowodzącego armią bojowników o wolność. Żołnierze myśleli, że jednostka jest prawdziwym demonem wojny zesłanym z niebios przez samego Boga; wzięli go za superbohatera rodem z komiksów. Za

Supermana, Kapitana Amerykę. Doskonale zresztą pasował do tej roli.

Liam kątem oka zauważył jakiś ruch.

Rozejrzał się po okolicy i zobaczył watahę małych dinozaurów, trochę większych od jaszczurek, które wyprostowały się na zadnich nogach i przyglądały mu się uważnie. Były nie większe od jego dłoni. Stały tylko kilka metrów dalej, wesoło szwargocząc i popiskując między sobą. Franklyn mówił, jak nazywa się ten gatunek, ale Liam za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć.

- Czego chcecie? - krzyknął.

Pewnie chodzi o ochłapy. Zeszłej nocy małe skubańce, przyciągnięte zapachem smażonej ryby, podskakiwały i truchtały wokół ogniska jak podekscytowane dzieciaki. Jeden z nich okazał się na tyle odważny, że wskoczył na wiszące na rożnie mięso, ale ześliznął się po śliskich łuskach ryby, wpadł do ognia i spłonął, wykonując rozpaczliwy taniec przy akompaniamencie krzyków i kwilenia.

- Wczorajszy wypadek niczego was nie nauczył, kiepy? Lepiej stąd zmykajcie. Na dźwięk jego głosu wszystkie przekrzywiły głowę w prawo.

- Boże, ależ z was głuptasy. Stworzonka wesoło zaświergotały i zagruchały w odpowiedzi.

- Zmykajcie. Spłoszycie mi wszystkie ryby. - Liam pochylił się, wziął do ręki kamyk i cisnął go kilka metrów dalej na zamulony brzeg rzeki. Cała wataha miniaturowych teropodów odwróciła się i czmychnęła za kamieniem, święcie przekonana, że goni duży kawał soczystego mięsa.

Liam patrzył jak odbiegają, zostawiając na mule szereg śladów po swoich małych, tupoczących stópkach. Labirynt odcisków przypominał ślady zostawiane przez zimujące ptaki na świeżo spadłym śniegu.

Wtedy do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

- Och... och - westchnął pod nosem. - Och, Jezusie, Jezus Maria - dodał dla zasady. - To może być to! - Wrzucił włócznię do wody, odwrócił się na pięcie i pobiegł przez las do obozu.

## ROZDZIAŁ 33

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Potyając się, wybiegł z dżungli na polanę. Po drugiej stronie łąki unosiła się wąska smuga dymu z tłącego się od wczoraj ogniska, wokół którego ustawili dwanaście „wigwamów” - stożkowatych drewnianych konstrukcji okrytych szerokimi lepkimi liśćmi wielkości słoniowego ucha. Dalej stała ukończona już palisada, wzmocniona rdzawym, wysuszonym i twardym jak beton błotem, którym wypełnili luki między balami. Wokół drewnianego częstokołu wykopali rów metrowej głębokości. Dzięki fosie wysokość całej konstrukcji obronnej wzrosła co najmniej pół metra. Liam wątpił, czy budowla powstrzyma istotę wielką jak tyranozaur, ale z pewnością zniechęci do ataku mniejsze bestie polujące na łatwy łup.

Wśród sylwetek krzątających się po obozie wypatrzył Beki: czarną postać z głową o wyglądzie bladego jajka, którego czubek porastała tygodniowa szczecina.

- Beki! - krzyknął.

Szybko odwróciła się w jego stronę, błyskawicznie przyjmując pozycję wyrażającą gotowość do działania. Wszyscy odwrócili się w stronę chłopca, który niepewnie zmierzał w ich kierunku po nierównym gruncie.

Zobaczył, jak Juan i Leonard podnoszą się z ziemi i sięgają po włócznię. Uświadomił



sobie, że jego głos musiał przybrać piskliwy ton ostrzeżenia. Kelly sięgnął do kieszeni spodni i wyjął scyzoryk, Whitmore ujął w dłonie jedną z siekier.

Gdy Liam dobiegł wreszcie do ogniska, łapiąc oddech i pocąc się z wysiłku, wszyscy stali już z bronią w ręku, gotowi schronić się za bezpieczną palisadą.

- O co chodzi? - spytał Kelly. - Coś nadchodzi?

Wszyscy członkowie grupy patrzyli na niego wybałuszonymi oczami, niektóre z dziewcząt sprawiały wrażenie autentycznie przerażonych. Spojrzenia powędrowały w kierunku drzew, spomiędzy których dzikim sprintem wybiegł Liam, biegł jakby cholewki podpalał mu sam szatan.

- Co się stało, stary? - spytał Jonah.

- Tembr twojego głosu sygnalizuje nadciągające bezpieczeństwo - stwierdziła Beki.

- Ach, nie, nie o to chodzi. - Liam pokręcił głową. - Wpadłem tylko na pewien pomysł.

- „Skamieniałości”, to masz na myśli - powiedział Franklyn. - Skamieliny. To nawet nie sam ślad, ale odcisk śladu zostawionego przez coś lub przez kogoś, czyli wypełniający ślad osad, który przez tysiące lat stwardniał i przekształcił się w warstwę kamienia.

- Zgadza się, ale nie zmienia to faktu, że to znak, który przetrwa miliony lat. Odbicie pierwotnego znaku.

- Oczywiście. - Franklyn pociągnął nosem. - Właśnie tak można opisać skamieniałość. Kelly potrząsnął głową.

- To wszystko? W taki sposób zamierzasz nawiązać kontakt ze swoją Agencją? Chcesz zostawić w ziemi odcisk w epoce kredowej, licząc na to, że jakiś tropiciel skamieniałości znajdzie go przez przypadek? - Wzruszył ramionami z irytacją. - Cudownie... - Spojrzał na ognisko. - A ja głupi myślałem, że ty i robodziewczyna działacie jak jakaś

zaawansowana technologicznie latarnia morska, która przyciągnie pomoc!

- Zaprzeczam. Nie jesteśmy latarniami morskimi. - Beki po kręciła głową. Liam uniósł rękę, aby ją uciszyć.

- Tak to wygląda, panie Kelly. Nic na to nie poradzę. Laura przygryzła wargę.

- To... to nie brzmi zbyt prawdopodobnie... wiadomość, która przetrwa pod ziemią miliony lat w jednym kawałku?

- Musi przetrwać, a do tego zostać odnaleziona - dodał Juan. - To w ogóle możliwe, stary?

- Może uda nam się zwiększyć prawdopodobieństwo odnalezienia znaku. - Liam wzruszył ramionami i spojrzał na Franklyna. - Czy wiemy, gdzie zostały odnalezione pierwsze skamieniałości w historii? To musi być znany fakt. Whitmore i Franklyn wymienili spojrzenia.

- Bo to jest znany fakt - odpowiedział Whitmore. - Powszechnie wiadomo, gdzie w Ameryce odkryto pierwsze szkielety dinozaurów. Franklyn potakująco skinął głową.

- W Teksasie oczywiście. Tutaj, w Teksasie. - Nagle wytrzeszczył oczy za swoimi grubymi szklami. - Tak! Czekaj! Tak... w Dolinie Dinozaurów. Prawda, panie Whitmore?

- Dobry Boże, tak, masz rację Franklynie. W pobliżu Glen Rose w Teksasie - odrzekł nauczyciel.

- Glen Rose? - Liam wzruszył ramionami. - To daleko stąd?

- Nie tak znowu daleko od miejsca, w którym stał TIZTE. To jakieś sto kilometrów stąd. - Wyraz lekceważenia i cynizmu zdawał się powoli odpywać ze stężalej twarzy Whitmore'a. - Park Stanowy w Dolinie Dinozaurów - kontynuował Whitmore - to w tej chwili obszar specjalnie chroniony, miejsce dziedzictwa narodowego. Na początku dwudziestego wieku w korycie przepływającej przez te okolice rzeki znaleziono pierwsze

skamieliny. Wiele skamielin.

- Rzeka Paluxy - wyjaśnił Franklyn - w okolicach której znaleziono skamieniałości stanowiła linię brzegową morza istniejącego tutaj w okresie kredowym.

Liam spojrział na Whitmore'a i Franklyna.

- Możemy trafić w to miejsce? Wiecie, gdzie dokładnie się znaj duje? Obaj zaprzeczyli ruchem głowy.

- Nie bardzo - rozczarował go Whitmore. - Skąd mielibyśmy to wiedzieć? - Wskazał na otaczającą ich dżunglę. - Krajobraz zmienił się nie do poznania. - Zaśmiał się. - Pewnie jest gdzieś tam!

- Znam położenie parku w stosunku do laboratoriów TIZTE - odrzekł Kelly ku zaskoczeniu wszystkich. - Dojeżdżam do pracy z Glen Rose. Tam mieszkam. Codziennie przejeżdżam Dolinę Dinosaurów w drodze na autostradę międzystanową. Park znajduje się tuż za granicami Glen Rose, jakąś milę na północ od miasta.

- Mam współrzędne geograficzne miasta Glen Rose - powiedziała Beki.

- Naprawdę? - Liam spojrział na nią.

- Oczywiście. To część pakietu danych, które Maddy Carter przegrała przed naszą podróżą. Mam zestaw rządowych map geologicznych stanu Teksas.

Oczy Liama zaślniły w blasku ogniska.

- Moglibyśmy to zrobić! - Spojrział na pozostałych, układając w głowie na poczekaniu jakąś namiastkę planu. - Teoretycznie Beki mogłaby doprowadzić nas do miejsca, w którym kiedyś wybudowany zostanie park dinozaurów.

- Potwierdzam.

- A skoro wiemy, że jacyś tropiciele skamielin znaleźli całą ich masę na początku dwudziestego wieku, jak mówi pan Whitmore, to czy nie moglibyśmy podłożyć tam własnych odcisków?

- Chyba ta...

- Zaprzeczam - przerwała mu Beki, bo zrozumiała, do czego

zmierza. - Niosłoby to za sobą znaczące ryzyko kontaminacji. Liam z irytacją zacisnął zęby.

- Daj spokój, Beki, nie czas żałować róż.

- Róż? - Przekrzywiła głowę.

- To przysłowie, dalej leci to tak: „gdy płoną lasy”. Zostawimy wiadomość, co może wywołać nowe problemy z kontaminacją, ale zyskamy szansę na ratunek, przetransportowanie tych ludzi z powrotem do domu i naprawienie tego całego bałaganu.

- Takie działanie wprowadzi trzecie niezależne źródło kontaminacji. - Beznamiętnie spojrzała na grupę osób zgromadzonych wokół ogniska. - Istnieją dwa potencjalne źródła kontaminacji czasowej. Jedno w dwa tysiące piętnastym roku - zniknięcie Edwarda Chana. Drugie w tej epoce - obecność ludzi w czasach, w których nie powinni występować żadni osobnicy Homo sapiens. Każde z tych źródeł niesie za sobą wysokie ryzyko wywołania potężnych fal czasu w przyszłości.

- A co jeśli... - zaczął Jonah, ale zatrzymał się w pół słowa, czując na sobie wzrok wszystkich rozbitków. To najwyraźniej nie najlepsza pora na wymądrzanie się. Ale nie mógł się powstrzymać. Wydawało mu się, że wpadł na genialny pomysł. - A co jeśli... jeśli... zostawimy wiadomość zbyt cenną, aby znalazca chciał się z kimś nią dzielić.

Przyglądali mu się w milczeniu. Nikt nie kazał mu się zamknąć, więc rozwinął myśl. - Chodzi mi o jakiś sekret. Taki jak Roswell. - Roswell? - Liam wzruszył ramionami. Kelly zaśmiał się sucho.

- To miejsce rzekomej katastrofy UFO w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Zwolennicy teorii spiskowych uwielbiają takie historie. Wierzą, że rozbił się wtedy prawdziwy latający spodek z kosmosu z MZL-ami na pokładzie.

Laura zauważyła, że Liam wyduł usta, nic nie rozumiejąc.

- Małymi zielonymi ludzikami - wyjaśniła skrót.

- W każdym razie - kontynuował Kelly - pomimo że była to prawdopodobnie katastrofa jakiegoś samolotu testowego, pewna grupa oszołomów wciąż domaga się wypuszczenia małych zielonych ludzików z laboratoriów, w których zostały uwięzione.

Jonah się skrzywił.

- Tak. Tylko skąd możemy mieć pewność, że to kłamstwo, panie Kelly? Mógł to być zwykły samolot testowy, ale równie dobrze statek kosmitów. Świat nie dowie się prawdy, ponieważ paranoidalne dupki z rządu postanowiły wszystko wyciszyć. Zachować tajemnicę dla siebie.

- Ach, daj spokój, synu! - zdenerwował się pan Kelly. - To stek...

Liam uciszył go machnięciem ręki.

- Poczekajcie! Spokojnie! Wydaje mi się, że Jonah ma rację. - W głębokim zamyśleniu drapał się po policzku. - Co właściwie mogą zrobić ludzie z amerykańskiego rządu, jeśli dowiedzą się, że ktoś odkopał skamieniałość dowodzącą wynalezienia podróży w czasie?

- Żartujesz, prawda? - Juan nie mógł pojąć naiwności Liama. - Od razu zamknęliby komuś takiemu usta. Służby specjalne, sztywniaki z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego w czarnych garniturach i ciemnych okularach. Mówię ci, stary, ktokolwiek to znajdzie, kilka dni później będzie miał nieszczęśliwy wypadek - dokończył Jonah, patrząc na Kelly'ego. - Zawsze tak jest... zawsze. Każdy, kto o czymś takim wie lub jest spokrewniony z

kimś, kto o tym wie, kończy w grobie lub, w najlepszym razie, w Guantanamo. Znalazca na bank nie będzie na tyle głupi, żeby głośno o tym gadać.

- Właśnie o to mi chodzi - powiedział Liam. - Wiadomość zostanie zachowana w tajemnicy. - Spojrzał na Beki. - A w związku z tym nie wywoła żadnej znaczącej zmiany. Świat nie będzie nad nią debatował. Nie dowie się o niej.

Liam zauważył, że procesor za zmrużonymi oczami jednostki intensywnie analizuje ten pomysł i oblicza prawdopodobieństwo sukcesu.

- Tak działają agencje wywiadowcze: przybierają twarz pokerzysty - poparł go Whitmore. - Nic nie zdradzają. Wiesz coś? Zachowaj to dla siebie. Dowiedziałeś się czegoś na temat wroga? Ruskich?... Nic nie daj po sobie poznać, zachowuj się jak dotychczas: wróg nie może domyślić się, że coś na niego masz.

Liam skinął głową.

- Dokładnie! Zupełnie jak podczas drugiej wojny światowej. Czytałem o Enigmie. Amerykanie i Brytyjczycy nie mogli zareagować na niemieckie wiadomości, które przejęli, żeby szkopy nie domyślili się, że ich szyfr został złamany. - Spojrzał na błotnistą ziemię pod stopami. Lewym butem nieświadomie zataczał kręgi na piachu. - Nie wiem jeszcze, jaką wiadomość możemy napisać, ale jej treść musi skłonić znalazcę do zachowania tajemnicy i zanieśienia komunikatu bezpośrednio do biura terenowego.

- Zagrozi to tajności Agencji - ostrzegła Beki.

- Wiem... ale ten problem możemy naprawić później. - Liam wzruszył ramionami.

- To też jest sprzeczne z protokołem. - Rzuciła mu zagniewane spojrzenie.

- Kiedy wrócimy, będziesz mogła zrzucić całą winę na mnie - odpowiedział z uśmiechem. Zebrani w świetle trzaskającego i syczącego ogniska w milczeniu rozważali plan Liama. - Jak dla mnie twój pomysł jest ekstra - powiedział Lam. -

Wchodzę w to. Kilka kolejnych osób skinęło głowami.

- No to działamy - powiedział. - Działamy. - Cieszyło go, że wreszcie opracował jakiś załączek planu, który są w stanie zrealizować wspólnymi siłami. - Beki, musimy poinformować ich, w jakiej epoce się znajdujemy. Z możliwie największą precyzją. Przeprowadź niezbędne obliczenia za pomocą swojego procesora.

- Potwierdzam. - Powoli skinęła głową.

- Będziemy też musieli postawić jakieś urządzenie w miejscu, gdzie wylądowaliśmy, tak aby mogli rozpocząć sondowanie gęstości, jeśli... kiedy - poprawił się - dostaną wiadomość i ustalą czas

naszego pobytu. Potrzebujemy czegoś, co będzie poruszało się w jedną i drugą stronę w obrębie tego obszaru. Potrzebujemy źródła ruchu, zakłóceń.

- Potwierdzam.

- Masz na myśli wiatrak lub podobne urządzenie? - spytał Ranjit.

- Potwierdzam. Urządzenie tego rodzaju byłoby najbardziej odpowiednie - odparła Beki.

- Musimy też przygotować się do długiego rajdu. Zgromadzimy zapasy jedzenia, wody, broń i niezbędny ekwipunek. - Liam rozejrzał się po twarzach pozostałych. - Ktoś zostanie w obozie, żeby podnieść most po naszym odejściu.

- Konieczne jest również podtrzymywanie działania urządzenia zakłócającego gęstość. Musi działać nieustannie. Cały czas - powiedziała Beki.

Liam spojrział przez ramię na tonące w mroku miejsce na środku polany, gdzie wylądowali ponad tydzień temu.

- Tak, masz rację. Mielibyśmy straszego pecha, gdyby sonda przemknęła tędy, nic

nie zarejestrowała i ruszyła dalej. - Zaraźliwy uśmiech Liama wzbudził wesołość reszty grupy. - Zgadzasz się na wszystko? - zwrócił się do Beki.

- Prawdopodobieństwo zrealizowania planu jest niskie. - Ponownie ostrożnie skinęła głową. - Ale jest wykonalny, Liamie O'Connor. - Uśmiechnęła się. Tym razem dość ciepło.

## ROZDZIAŁ 34

Nowy Jork rok 2001

Sal obserwowała świat. Jej świat, tak o nim myślała: Times Square, Nowy Jork, ósma trzydzieści rano, wtorek jedenasty września dwa tysiące pierwszego roku.

Znała go tak dobrze. Rozpoznawała wszystko, co istniało w obrębie głównej arterii miasta, znała kolejność następujących po sobie zdarzeń. Sekunda po sekundzie. Na przykład... rozejrzała się wokół... o są: para staruszków w identycznych lycrach truchta ramię przy ramieniu; kurier z FedExu ze stosem pudełek w dłoniach upuszcza jedno na chodnik i rozgląda się ze strachem, czy nikt nie zauważył tego aktu niezdarności; dwie młode blondynki, każda z jedną słuchawką w uchu, śmieją się z odsłuchiwanego nagrania.

Sal uśmiechnęła się.

„Jak na razie wszystko gra”.

Grupka zagubionych japońskich turystów stoi przed restauracją

T.G.I. Friday na rogu Sto Dziewięćdziesiątej Drugiej i Czterdziestej Szóstej. Wszyscy nerwowo kartkują rozmówki angielskie, próbując dowiedzieć się, jakich słów użyć, aby zamówić dziewięć kaw i tyle samo bekonowych bajglów z musztardą.



Spojrzała na billboardy zawieszane na Times Square; jest Szrek i Osioł, Mikey i Sully. Wisi też plakat reklamujący musical Mamma Mia... W jej stronę, jak każdego wtorku, zmierza właśnie wesóły stary lump, pchając przed sobą wyładowany po brzegi wózek sklepowy.

Odetchnęła głęboko ciepłym porannym powietrzem; pachniało spalinami i słabym aromatem skwierczącego bekonu i kielbasek. To też się nie zmieniło: zapach powoli budzącego się do życia miasta.

- Mój świat - szepnęła pod nosem. Jej świat... wszystko się zgadza.

Ale to marne pocieszenie. Jeżeli jej świat wciąż jest taki sam, jeśli nie dostrzegła nawet najdrobniejszej zmiany, to Liam i pozostali nie wywarli jeszcze żadnego wpływu na epokę, w której wylądowali. Prowadzi to do dwóch wniosków: albo są niesamowicie ostrożni i zdołali uniknąć nawet najmniejszej kontaminacji... albo...

- Nigdzie nie dotarli - mruknęła.

Zginęli roztrzaskani na kawałki o mur energii, implozję, do której doprowadziły ona i Maddy. Mogli też przepaść w przestrzeni chaosu. Foster ostrzegł ją kiedyś, że to miejsce gorsze niż najokropniejsze koszmary senne, rzeczywistość, w której nigdy nie chciałaby się znaleźć.

Maddy wróciła z wycieczki, podczas której starała się wytropić Fostera. Nie udało się. Sal od początku uważała, że to czysta loteria. Dziewczyna zauważyła jednak, że Maddy jest weselsza, podniosła ją na duchu nadzieją, że uda się im sprowadzić przyjaciół do domu. Z jakiegoś powodu zaczęła trajkotać, że gdy o dwunastej w nocy próżnia zresetuje się do poniedziałkowego poranku, usłyszą pukanie do drzwi, a przed nimi pojawi się ktoś z lekko wystraszoną, niepewnym wyrazem twarzy i historycznym artefaktem, wiadomością nabazgraną przez Liama jego niechlujnym charakterem pisma.

Sal zastanawiała się, skąd Maddy ma pewność, że coś takiego się wydarzy, że odpowiedź na nurtujące je pytania zostanie dostarczona do drzwi bazy tak po prostu, jak poranna przesyłka pocztowa.

Maddy wypila trzeciego Dr. Peppera i odstawila obok dwóch pozostałych, powiększając w ten sposób rząd zgniecionych puszek. Przysunęła niestabilne krzesło obrotowe do biurka, czując jak w jej żołądku buzuje spora dawka cukru.

- Co ty na to, Bob?

> Twój tok rozumowania jest logiczny, ale duplika t mojej sztucznej inteligencji ostrzeże Liama przed wykonaniem tego planu.

- Oczywiście, że ostrzeże... zgodnie z obowiązującym protokołem. Cursor migał przez kilka sekund.

> Istnieje również niebezpieczeństwo wyjawienia lokalizacji tego biura terenowego.

- Ale Liam i tak spróbuje to zrobić. Według ciebie nie zignoruje ostrzeżenia?

> Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie, Maddy.

- Przecież poznałeś go lepiej niż ja i Sal.

> Kilka razy łamał zasady protokołu. Potraf i podejmować impulsywne decyzje.

- To w jego stylu. - Maddy się uśmiechnęła.

> Wszystko zależy od tożsamości osoby, która odnajdzie wiadomość oraz epoki historycznej, z której zostanie wysłana.

- Na pewno zostawi odcisk gdzieś... kiedyś w Teksasie. Być może będzie to jakiś Indianin, kowboj... nie wiem, może uczestnik wojny secesyjnej, poszukiwacz ropy albo studenci, którzy postanowili poszaleć na rowerach z dala od głównej drogi. To może być każdy.

> Cały czas zakładasz, że cofnęli się w czasie o sto lub dwieście lat. Istnieje takie sam

o prawdopodobieństwo, że wylądowali w Teksasie na długi czas przed przybyciem kolonizatorów. Równie dobrze mogli trafić do ery przed przybyciem na te ziemie rodowitych Amerykanów.

- Potrafisz obliczyć, w jak odległą w przybliżeniu przeszłość zostali wysłani?

> Zaprzeczam. Duplikat mojej sztucznej inteligencji może jednak porównać gęstość cząstek tachionowych wokół eksplodującego reaktora i w punkcie zrzutu. Dezintegracja ma stałą prędkość, na podstawie tych danych można dość dokładnie oszacować czas pobytu.

- Naprawdę? - Maddy uważniej popatrzyła na ekran.

> Potwierdzam. Wynik zależy od dokładności odczytu.

Jeśli Bob ma rację, jeśli naprawdę mogą zdobyć sygnaturę czasową, próba zostawienia odcisku w czasie to jedyny rozsądny sposób postępowania. A Liam i kopia sztucznej inteligencji Boba są na tyle mądrzy, aby dojść do dokładnie tego samego wniosku.

- Czuję, że wszystko będzie dobrze.

> Obyś miała rację.

Skinęła głową, załując, że brakuje jej odrobiny luzu Liama. Przechyliła puszkę i wlała do gardła kolejną porcję napoju.

- Włączmy jakąś muzykę... ponuro tu jak na cmentarzu.

> Mam obszerną bazę danych z plikami muzycznymi. Na co miałabyś ochotę?

- Przydałaby się ciężka... rockowa nuta.

> Sprecyzuj terminy „ciężka” i „rockowa”.

- Bob... wystarczy coś skoczniejszego.

> Potrafię przeanalizować pliki audio w mojej bazie danych pod kątem liczby bitów na minutę, kształtu fali dźwiękowej, głośności, łącznej liczby odtworzeń...

- Zrób tak - przerwała. - Weź pod uwagę łączną liczbę odtworzeń. Puść coś, czego lubiła słuchać ostatnia drużyna.

> Potwierdzam.

Dysk twarde zaczął cicho szumieć, nagle głośniki po obu stronach głównego monitora zadrżały od mocnych uderzeń perkusji.

> Czy to akceptowalne?

Rozsiadła się wygodnie na krzesło i położyła nogi na biurko. Nawet jej się to podobało, trochę jak Nine Inch Nails, Marilyn Manson... odrobinę jak Chili Peppers.

- Tak, całkiem cool... podoba mi się.

Muzyka odbiła się echem od chłodnych, ceglanych ścian, wprowadzając do bazy odrobinę życia.

## ROZDZIAŁ 35

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam patrzył, jak Beki i mężczyźni opuszczają most. Zaskoczyła go wytrzymałość liny z lian, na której nie widać było jeszcze żadnych wystrzępień ani przetarć, choć unosili i opuszczali kłodę już kilkanaście razy. Drzewo opadło z łomotem na głazy po drugiej stronie

rzeki, odbijając się i wyginając, po czym całkowicie znieruchomiło.

- Dobra! - próbował przekrzyczeć ryk rzeki. - Wszyscy, którzy opuszczają obóz... za mną!

Pierwsi uczestnicy wyprawy niepewnie weszli na pień i przeszli na drugą stronę, balansując nad wzburzoną tonią, która mokrymi mackami znaczyła ich ubrania. Drużyna liczyła dwanaścioro osób, czworo zostało w obozie: Joseph Lam i Jonah Middleton oraz Sophia Yip i Keisha Jackson. Lam, jako jedyny dorosły, został dowódcą. Beki upewniła się, czy pojął, jak ważne jest, aby ramiona „wiatraka” pozostawały w ciągłym ruchu.

Proste urządzenie przypominało wagę zbudowaną ze słupka i przybitej do niego wyważonej belki poprzecznej. Na końcu belki umieścili plecak, z którego na ziemię powoli, jeden po drugim, wysypywały się kamienie. Pod wpływem zmieniającej się wagi belka powoli przechylała się, obracając jak prosty wiatrak: długi, cienki kawałek drewna drgał w regularnym rytmie. Co kilka godzin plecak należało ponownie wypełnić kamieniami, by skrzydło nie przestawało się poruszać. Pod żadnym pozorem nie mogli dopuścić do jego zatrzymania.

Lam już wcześniej rozumiał, że urządzenie służy do wykonywania regularnego, miarowego ruchu, ale Beki wyjaśniła mu również, jakie znaki ostrzegawcze będą wskazywały, że sonda przeczesuje najbliższą okolicę: ciepło, nagły skok wysokości temperatury o około dziesięć stopni oraz nieznaczne, lecz dostrzegalne gołym okiem, wirowanie powietrza. Jeżeli podczas ich nieobecności rzeczywiście nastąpi skanowanie, bezpośrednio po nim wysłana zostanie kolejna sonda, aby zweryfikować naturę rytmicznych zakłóceń. Jeżeli wiatrak wciąż będzie się poruszał, powielając ten sam naturalny schemat, pojawi się okno o dwumetrowej średnicy i wyjdzie z niego ktoś szukający Liama i Beki.

Lam obiecał, że ustali grafik, według którego będą na zmianę pilnowali wiatraka i życzył wszystkim powodzenia. Do swojej wycieczki przygotowywali się przez kilka dni. Musieli pokonać sto kilometrów w kierunku północno-wschodnim, nie mając pojęcia, po jakim terenie będą się poruszać. Cała droga może równie dobrze prowadzić przez dżunglę albo pustynię. Właśnie dlatego wypełnili swoje plecaki butelkami z wodą pitną. Przygotowali też porcje jedzenia: kawałki wędzonej ryby zawinięte w woskowate liście owinięte lianami.

Zapasy powinny wystarczyć na kilka dni, a przy odrobinie szczęścia zdobędą coś jeszcze po drodze.

Kelly jako pierwszy przeszedł na drugą stronę i pomagał zejść z mostu kolejnym uczniom.

Wszyscy nieśli ze sobą jakąś broń: włócznię, topór z kawałka metalu lub jedno i drugie. Juanowi udało się nawet zrobić trzy zaskakująco skuteczne łuki z grubych gałęzi i kołczan ze strzałami w postaci naostrzonych trzcin bambusowych z lotką wykonaną z cieniutkich pasków kory. Strzały nie wytrzymały próby zderzenia z twardymi drzewami i rozpadały się w drzazgi, ale niemal na wylot przebijały masywne ciała wielkich ryb.

Liam pomyślał, że grad wystrzelonych przez nich strzał co najwyżej rozsierdzi napotkanego tyranozaura.

Sto kilometrów. Miał nadzieję, że podobnie jak w najbliższej okolicy po drodze nie napotkają żadnych gigantycznych prehistorycznych potworów. Nie licząc obleśnych ryb z rzeki i zakrwawionych zwłok, na które trafili tydzień temu, jedynymi istotami, jakie widzieli, były ważki wielkości mew i robale wielkie jak szczury. Ale w nocy dżungla rozbrzmiewała wyciem i nawoływaniem wielu nieznanego gatunków.

Większość drużyny znajdowała się już na drugim brzegu. Bryzgająca woda rzeki zmyła z nich pot wyciśnięty przez zmęczenie, skwar i wilgoć dżungli. Ostatnia przeszła Beki, która pewnie i sprawnie pokonała chybotliwy pień. Idealnie balansowała ciałem - nie bała się, że wpadnie we wzburzone bałwany poniżej.

Liam z zazdrością wyjął wargi. Nie znać strachu, uwolnić się od dręczącego uczucia przerażenia kłującego żołądek zawsze, gdy z dżungli dobiegają niepokojące odgłosy. Nie to, że mógł sobie pozwolić na okazywanie paniki. Wszystko, co wzbudzało w nim chęć skomlenia, komentował tylko głupawym uśmiechem i nonszalanckim machnięciem ręką. Naprawdę wolałby się nie natknąć na te przeklęte zwłoki. Stanowiły dowód, że prawdziwym panem dżungli jest jakieś stworzenie - lub stworzenia. I że jeszcze je zobaczą.

Beki zeskoczyła z pnia na błotnisty brzeg i stanęła tuż obok Liama.

- Jesteś gotowy iść dalej, Liamie O'Connor?

Wciągnął powietrze przez zęby i popatrzył na pozostałych. Wszyscy czekali, aż da sygnał do wyruszenia.

- Północny wschód, Beki? Powieki Beki trzepotały, gdy pozyskiwała niezbędne dane.

- Azymut magnetyczny trzysta jednaście stopni - powiedziała, wskazując palcem gęstą kępę drzew przed nimi. - Musimy udać się w tamtym kierunku.

- Dobra - powiedział, chwytając włócznię w obie ręce. Obejrzał się na czwórkę, którą zostawili po drugiej stronie rzeki, otoczył usta rękami i krzyknął: - Po powrocie napijemy się po kufłu portera! W zdziwieniu unieśli brwi, tak jak wszyscy na tym brzegu rzeki. - Portera... nie piliście? Whitmore w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Chodzi ci o piwo? - Wy, Amerykanie, naprawdę nie wiecie, co znaczy dobre piwo. - Liam z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Raz piłem Guinnessa. - Whitmore wzruszył ramionami. Beki potrząsnęła głową z grobową miną.

- Liamie O'Connor, nie mamy w obozie żadnych wyrobów spirytusowych. Nie będziecie mogli napić się portera.

- Ach, nieważne - westchnął. - Próbowałem tylko zażartować. Możemy już iść?

- Potwierdzam - odrzekła, spoglądając na poranne niebo. Słońce przeszywało korony drzew w jasnym rozprysku promieni. - Według moich obliczeń do zachodu pozostało dziewięć godzin i piętnaście minut.

- Ruszamy - rozkazał Liam. - Przed nami wiele mil do pokonania.

Złamany Pazur patrzył na istoty, które właśnie przeszły tuż obok niego i pograżyły się w dżungli. Tuż obok. To niesamowite, jak niewiele te istoty potrafią zobaczyć swoimi

oczkami. Złamany Pazur mógł bez trudu wyciągnąć łapę z gęstwiny wysokiej trawy i dotknąć jedno z nieuważnych stworzeń.

Reszta watahy czaiła się w pobliżu, rozproszona pod osłoną paproci, schowana za szczupłymi pniami drzew zarastających rzekę. Pod jego komendą znajdowało się tylu samców łowców, ile miał zębów w pysku. Samice i młodsze osobniki dla bezpieczeństwa zostały w dżungli. W pobliżu kryło się ich wielu, a mimo to żaden z białych dwunogów nie zorientował się, że ktoś ich obserwuje.

Złamany Pazur starał się to wszystko pojąć. Być może istoty zauważyły jego watahę, ale z jakiegoś powodu chytrze nie dawały nic po sobie poznać. Kolejny powód, dla którego warto być ostrożnym. To i ich kije. Drągi z łatwością wylawiały ryby ze wzburzonej wody. No i wszystkie te nowe rzeczy, zakrzywione patyki związane ze sobą naprężoną liną. Zastanawiał się, do czego te przedmioty służą.

Nowe istoty hałaśliwie i nieporadnie posuwały się przed siebie, w górę łagodnego stoku, po czym zniknęły w ciemnej jaskini dżungli. Złamany Pazur odwrócił się, by lepiej przyjrzeć się istotom na drugim brzegu rzeki. Ze zdumieniem patrzył, jak ciągną za lianę, a pień drzewa przerzucony przez rzekę drga, chyba że się i unosi centymetr po centymetrze, jak głowy i szyje wielkich mieszkańców równin nachylających się nad jeziorem, żeby napić się wody.

Nagle zrozumiał tę rzecz. Pojął jej cel.

„Cel tej rzeczy to droga przez niebezpieczną wodę. Droga, która może być podnoszona i opuszczana w dowolnym momencie”.

Zauważył spojrzenia żółtych ślepiów rozsianych po okolicy, uważny wzrok jego rodziny. Oni również patrzyli, jak drzewo samo unosi się w powietrze. Dobrze. Dobrze, że na własne oczy zobaczą, jak niebezpieczne są te bezbronne na pozór wyglądające istoty.

Złamany Pazur warknął z cicha, żółte oczy zniknęły niemal w tej samej sekundzie. Wataha rozproszyła się pod ciepłym światłem wschodzącego słońca jak upiorna mgła o świcie. Potem wtopiła się w dżunglę.



## ROZDZIAŁ 36

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Do szczytu zatopionej w dżungli stromej góry, na którą mozolnie wspinali się od świtu, zbliżyli się dopiero późnym popołudniem. Przez luki w gęstym poszyciu lasu prześwitywały hebanowe grzebienie gór rozciągających się na horyzoncie, daleko jak okiem sięgnąć. Liam zastanawiał się, czy nie lepiej skręcić w lewo lub w prawo, żeby znaleźć drogę okrężną, ale mogłoby to pochłonąć kilka dodatkowych dni. Rozsądniej kontynuować marsz pod pochyłe wzgórze i pokonać szczyt. Z drugiej strony będzie już z górki.

W wyższych partiach dżungla ustąpiła miejsca mniejszym, rachitycznym drzewom niepewnie wyrastającym z łupkowatego i żwirowego podłoża poprzecinanego nieregularnymi kępami trawy. Idąca przodem Beki wyszła na skąpaną w słońcu przestrzeń.

Liam zauważył, że jej atletyczne plecy są suchuteńkie.

„Czy te klony nigdy się nie pocażą?” - pomyślał z zazdrością Liam, który sam był kompletnie przemoczony: każdy centymetr jego skóry lepił się od potu, sól piekącym strumieniem skapywała do oczu.

Tuż za jego plecami szli pogrążeni w konwersacji Franklyn z Whitmore'em. Nie przestawali gadać od momentu opuszczenia obozu, bezustannie kłapali dziobami o wszystkim, co prehistoryczne. Dobrze mieć świadomość, że grupa posiada szeroką wiedzę na temat obcego środowiska, ale Liam oddałby miesięczną pensję stewarda, żeby zamknęli się choć na pięć minut.

Whitmore otarł mokre czoło.

- Ciekawe, dlaczego jeszcze żadnego nie widzieliśmy. Warunki klimatyczne w erze mezozoicznej sprzyjały rozwojowi większych gatunków. To znaczy...

- Proszę nie traktować mnie jak zwykłego uczniaka, panie Whitmore. - Przerwał mu Franklyn. - Wiem o tym. Wiem też, że to era z największą populacją dinozaurów. Prawdziwą epoką dinozaurów była kreda, a nie jura.

- Problem w tym, że „Park Jurajski” to o wiele chwytliwszy tytuł filmu niż „Park Kredowy”.

- Ale zdecydowanie mniej precyzyjny - odrzekł Franklyn. - Ale to takie dziwne, nie sądzi pan? Dolina Dinozaurów jest na wyciągnięcie ręki, w korycie rzeki Paluxy odnalezione zostaną skamieliny po przeróżnych gatunkach... dlaczego w takim razie ta leśna dolina wygląda na niezamieszkałą? - W głosie Franklyna zabrzmiało głębokie rozczarowanie. - Znaleźliśmy się w czasach tyranozaurów, ankylozaurów, stegozaurów i triceratopsów, a mimo to nie widzieliśmy jeszcze ani jednego dinozaura.

- Być może dżungla jest niesprzyjającym terenem dla większych zwierząt.

- Nieprawda - odparował Franklyn. - To raj pokarmowy dla roślinożerców, a przy nich zawsze można spotkać mięsożerców. W dżungli powinno się od nich roić.

- Cóż - powiedział Whitmore, patrząc w górę na rzedną roślinność i skalisty szczyt przed nimi - to już nie dżungla.

Reszta drużyny wyszła już za Liamem i Beki z gęstwiny bujnej zieleni i wkroczyła w szarobrazowy świat łupków i kamieni. Zbocze przechodziło w popękaną ścianę o poszarpanej fakturze. Mężczyzna zauważył, że robodziewczyna już podjęła wspinaczkę i, sprawnie przeskakując z jednego zdradliwego wyłomu na drugi, bez wyraźnej trudności prze w górę stromej skały.

Robodziewczyna. Wszyscy wiedzieli już, że jest robotem, a po tym jak niemal wypatroszyła Laurę niczym jedną z wielkich ryb - zresztą Bóg jeden wie, czy gdyby Liam nie

interweniował, nie zabiłaby ich wszystkich po kolei - nikt nie potrafił całkowicie jej zaufać.

Stopy Whitmore'a pośliznęły się na kamykach, gdy nieporadnie próbował pokonać ostatnie pięćdziesiąt metrów do podnóża grzbietu, przy którym czekał już Liam.

- Jest... jesteśmy... - Whitmore sapnął jak astmatyk, ocierając pot z czoła i spoglądając na stromy szczyt. - Mamy się tam wspiąć?

- Tak - odpowiedział Liam.

- Ja... ja... - Wciąż łapał powietrze. - Nie wiem, czy mi się to uda.

Liam potrząsnął głową, ściągając plecak z ramion.

- Nie ma wyjścia, panie Whitmore. Tędy biegnie nasz szlak.

Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę.

- Uff... mam lęk wysokości.

- Proszę się nie martwić. Beki pana wciągnie.

Franklyn pokonał ostatnie metry, sapiąc, dysząc i grzęznąc w żwirze pojedynczych kamyków.

- I mnie także. Jestem wykończony.

Liam spojrzał w górę. Beki dotarła już na szczyt i zaparła się nogami o wychodnię. Zdjęła z ramienia ciężkie zwoje lian, jeden koniec liny zawiązała wokół talii, a resztę zrzuciła w dół. Lina przeleciała kilkanaście metrów i ze stukotem opadła na kamienie.

Spojrzenie Liama powędrowało w dół zbocza, od Whitmore'a i Franklyna do pozostałych uczestników wyprawy, którzy pokonywali właśnie ostatnie kilkanaście metrów. Za nimi rozciągał się zielony dywan dżungli, opadający po stromym zboczu ku głębokiej

dolinie. Wydawało mu się, że w oddali dostrzega srebrną wstążkę rzeki wijącej się przez bujny, szmaragdowy kobierzec, na którym odznaczała się mała owalna plamka jasnej zieleni wielkości paznokcia: ich polana.

- Jestem gotowa! - krzyknęła do nich z góry Beki.

Wszyscy ponuro przyglądali się grzbietowi: dwadzieścia metrów wysokości, ostre jak brzytwa krawędzie i poszarpane wychodnie obiecujące nadzianie lub pocięcie pechowca, który się potknie. - Strach was obleciał, kurczaczki? - krzyknęła Beki. Liam podniósł głowę i zobaczył, że dziewczyna się uśmiecha. - Czy ona przypadkiem usiłuje być zabawna? - Ko-ko ko-ko - dodała monotonnym głosem. Liam potrząsnął głową, oparł dłonie o biodra i uśmiechnął się. - Widzę, że podłapałaś odrobinę poczucia humoru, Beki!

- Obserwowałam i uczyłam się dowcipnych dialogów, Liamie.

Potrafę już imitować podstawowe reakcje humorystyczne.

- Brawo! - odkrzyknął Liam.

- Wszyscy jesteście małymi kurczaczkami. Ko-ko, ko-ko. - W jej suchym głosie dało się wyczuć odrobinę dumy.

„Komikiem to ona nie zostanie - pomyślał Liam i spojrzał na zafrasowane twarze innych. - No ale dobrze, że przynajmniej uczy się zachowywać jak człowiek”.

- Wszystko z nią w porządku? - spytał Juan.

- Próbuje żartować. - Wzruszył ramionami Liam. - Nie martwcie się. Jest zdrowa na umyśle. - Spojrzał na nią. - Beki! Może zostawimy żarty na później? Wystraszyłaś dzieciaki.

- Potwierdzam. - Twarz jednostki stężała.

- Dobra. - Liam spojrzał na pozostałych. - Kto pierwszy?

Nikt się specjalnie nie wrywał.

Liam wdrapał się jako ostatni.

Beki wciągnęła go na półkę i pomogła wstać. Jednostka sprawiała wrażenie zmęczonej. Chłopak pomyślał, że po raz pierwszy wygląda na autentycznie wyczerpaną.

- Wszystko w porządku, Beki?

- Rekomendacja: powinnam skonsumować porcję protein i udać się na kilkugodzinny odpoczynek - powiedziała. Szare oczy na chwilę spoczęły na Liamie, który dostrzegł w nich cień wdzięczności, wdzięczności za okazanie troski.

- Okej, odpocznij - powiedział, klepiąc ją po ramieniu. - Wszystkim nam przydałby się odpoczynek. Może powinniśmy rozbić tutaj obóz?

Przez chwilę rozważała tę sugestię, rozglądając się po najbliższym otoczeniu.

- To akceptowalna lokalizacja.

- Dobrze. Powiem reszcie. - Ruszył w stronę pozostałych członków drużyny, którzy zbici w ciasną grupkę wyglądali za urwisko po drugiej stronie szczytu. Z miejsca, w którym stał, widział jedynie wspaniałe, błękitne niebo i ciężki obłok unoszący się wysoko nad płaskim horyzontem niczym gigantyczne, latające kowadło.

- Co tam jest? Widzicie coś? - Pobiegnął w ich kierunku, rozkopując kamienie i wzbijając pył. - O mój... - westchnął w zachwycie.

- Są tam wszystkie dinozaury, które zawsze chciałeś zobaczyć - powiedział Whitmore do Franklyna.

Zbocze opadało łagodnie, szare kamyki stopniowo ustępowały miejsca gigantycznej polaci zieleni, z której wyrastały wysepki dżungli - wysokie liściaste drzewa owinięte lianami, które tak dobrze im służyły. Wśród bujnej roślinności kroczyły stada wielkich bestii

nieznanych gatunków, leniwie pogryzających trawę w promieniach późnopołudniowego słońca. Mniejsze watahy zwinnych stworzeń rozgrywały niekończący się bieg z przeszkodami, lawirując i kręcąc zygzaki pomiędzy nogami dostojnie poruszających się gigantów.

- Mój Boże - wyszeptał Kelly. - To niesamowite!

Whitmore i Franklyn szczerzyli zęby jak para dzieciaków w sklepie z zabawkami.

Liam zauważył, że zieleń rozległej równiny przechodzi w intensywny turkus horyzontu.

Laura z niedowierzaniem zmarszczyła brwi.

- To ocean? O ile mnie pamięć nie myli, w samym środku Teksasu nie ma cholernego oceanu.

- Ale był sześćdziesiąt pięć milionów lat temu - powiedział Franklyn tonem profesora uniwersyteckiego. - Śródlądowy ocean przecinający Amerykę z północy na południe. Gdybyś popatrzyła na kulę ziemską z orbity, na pewno nie rozpoznałabyś naszej planety.

Liam, podobnie jak pozostali, patrzył przez dobrą minutę z niemym zachwytem na scenę, której nigdy nie oglądała i nigdy nie obejrzy żadna istota ludzka. Nieoceniony przywilej, unikalny moment. Dawno temu - miał wrażenie, że od tamtego czasu upłynęła cała wieczność - stał w skrzypiącym brzuchu tonącego statku, zanurzony po pas w lodowatej wodzie, spoglądając w oczy śmierci i rycząc jak małe dziecko. Pojawił się tam Foster z wyciągniętą ręką i obietnicą pokazania mu cudownych rzeczy. Niesamowitych rzeczy.

- To jedna z nich - szepnął pod nosem Liam.

- Słucham? - spytał Kelly. Liam otrząsnął się z zamyślenia i uśmiechnął.

- Nic, powiedziałem tylko... „a więc tu się schowałyście, wielkie draby”. Wszyscy wybuchnęli serdecznym śmiechem.

- Rozbijemy tu dzisiaj obóz - powiedział, obserwując pas morskiego błękitu roztaczającego się na horyzoncie.

- A jutro dotrzemy nad morze.

## ROZDZIAŁ 37

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam rozkoszował się ciepłem płomieni rozgrzewających mu dłonie i twarz. Po zapadnięciu zmroku na szczycie zrobiło się nadspodziewanie zimno, przepecone ubranie przylegały do zziębniętego ciała.

Na niebie, nad ocienioną równiną błyszcząca plama zachodzącego słońca emitującego ciepło, bursztynowe światło rozlewające się na horyzoncie, noc wypełniło upiorne zawodzenie istot nawołujących się na otwartej przestrzeni.

Usłyszał szuranie butów i chrzęst kamieni. Z ciemności wyłoniła się Beki i ciężko klapnęła na ziemi obok niego.

- Cześć - przywitał ją, przeżuwając kawałek odgrzanej wędzonej ryby. Spojrzał w oczy jednostki, w których odbijało się płonące ognisko. Zastanawiał się, jakie myśli wirowały za nimi, gdy Beki nie musiała oceniać priorytetów misji i analizować poziomu niebezpieczeństwa. Ciekawiło go, czy mały organiczny mózg podłączony do procesora potrafi docenić piękno bursztynowego nieba... lub cieszyć się błogim uczuciem ciepła bijącego od ognia.

- Twoja sztuczna inteligencja trochę się rozwinęła - odezwał się po chwili. - To

„ko-ko” było... niemal tak zabawne jak jeden z dowcipów mojej starej ciotki Noreen... brzmiało to bardzo naturalnie.

- Dziękuję. - Skinęła głową. - Obserwacja młodych ludzi sporo mnie nauczyła. Forma ich interakcji społecznych jest warunkowana przesłankami emocjonalnymi, mniej ograniczona społeczną konwencją.

Liam zmarszczył brwi, próbując przetrwać ten wywód.

- Chodzi ci o to, że częściej paplają bez zastanowienia niż dorośli?

- Potwierdzam.

- Cóż - odpowiedział z uśmiechem - pewnie masz rację.

Siedząca naprzeciwko nich Laura Whitely, która przysłuchiwała się rozmowie Kelly'ego Whitmore'a i Franklyna o dinozaurach, złowiła uchem strzępek ich rozmowy.

- Ja nie paplam - oburzyła się. - Tak robią dzieci.

- Nie jesteś dzieckiem? - Beki przeniosła na nią wzrok.

Laura uraczyła Liama spojrzeniem typu „ona tak na serio?” i z niedowierzaniem uniosła brew.

- Słucham? Mam piętnaście lat. Nie jestem dzieckiem. Jestem nastolatką.

- Przed tobą cztery lata rozwoju psychofizycznego, zanim staniesz się rozwiniętą dorosłą istotą ludzką - odrzekła Beki. - Człowiek zyskuje optymalną sprawność psychofizyczną w wieku dziewiętnastu lat. Wciąż jesteś dzieckiem.

- Tak? A co z tobą? Kim ty jesteś?

Usta Beki pozostały niedomknięte, Liam nigdy nie widział u niej takiego wyrazu



twarzy. Ani u niej, ani u Boba. Beki długo wpatrywała się w ogień, co jakiś czas drgały jej powieki.

„Ona naprawdę się nad tym zastanawia” - zdumiewał się chłopak.

- Ja nigdy... - podjęła po chwili - nigdy nie będę pełnowartościowym człowiekiem.

Z twarzy Laury odpłynęła cała złość. Jeszcze kilka sekund wcześniej chciała zapędzić Beki w kozi róg, teraz niemal jej współczuła.

- Smuci cię to?

- Smuci? - Beki przez chwilę zastanawiała się nad znaczeniem tego słowa. - Smuci - powtórzyła cicho. - Schematy rozwojowe

wbudowane w moją sztuczną inteligencję pozwalają mi uczyć się i imitować ludzkie zachowania. Nie potrafię jednak odczuwać emocji. Obniżałoby to moją skuteczność operacyjną.

- Wyjašnjmy to sobie - powiedziała Laura i zaczęła przesuwac się wokół ogniska, żeby uciec od monotonnego głosu Franklina. - Masz prawdziwe ciało, zupełnie jak człowiek, ale twój umysł pracuje jak maszyna?

- Posiadam transgeniczne ciało kobiety ze wzmocnioną tkanką mięśniową, która zwiększa efektywność moich reakcji o pięćset siedemdziesiąt sześć procent.

Laura spojrzała na Liama.

- To znaczy, że... co? Jest sześć razy silniejsza niż normalny człowiek?

- Na to wygląda - odrzekł chłopak.

- Mam też wapniową konstrukcję nośną o wysokiej gęstości...

- Mocne kości - wyjaśnił Liam.

Laura skinęła głową. Wyglądało na to, że zdążyła się domyślić.

-...oraz płynny system szybkiej regeneracji oparty na zwiększonej liczbie leukocytów.

- Beki odwróciła się do Laury. - Moja krew szybko krzepnie.

- Jasne.

- Technologia genetycznie zmodyfikowanych jednostek bojowych zostanie opracowana przez firmę W.G. Systems w dwa tysiące czterdziestym trzecim roku do zadań bojowych.

- Wow - mruknęła Laura. - Masz na myśli żołnierzy doskonałych?

- Potwierdzam. Zostałam zaprojektowana na potrzeby działań wojskowych, w szczególności tajnych misji specjalnych.

- Ale nie zniechęcaj się do niej od razu. - Liam się uśmiechnął. - To prawdziwy słodziak.

- Słodziak? - Beki popatrzyła na niego z zainteresowaniem. Liam objął ją ramieniem i niezdarnie przytulił.

- Sporo razem przeszliśmy, Beki i ja. Uwierzysz, że kiedyś była mężczyzną? Prawdziwym wielkoludem, jak mięśniak Schwarzenhoffer, czy jak mu tam było. Ten, który kiedyś zostanie waszym prezydentem.

- O mój Boże! - Laura się skrzywiła. - Chyba nie mówisz o Arnoldzie Schwarzeneggerze?

- Właśnie o nim. W każdym razie Beki miała wtedy na imię Bob. Nieźle ci się wtedy dostało, a...

- Uwaga! - ostrzegła Beki. - Wyjawianie szczegółów poprzednich misji jest niewskazane.

Liam zamilkł. Chyba i tak powiedział już wiele więcej, niż powinien.

- Tak, masz rację. Przepraszam cię, Lauro. - Liam postanowił zmienić temat. - Beki, powinniśmy zastanowić się nad treścią wiadomości, którą zakopujemy w ziemi.

- Potwierdzam. To ważne - zgodziła się Beki.

- Rozmawiacie o wiadomości? - Kelly usłyszał słowa Liama.

Wszyscy wokół ogniska zamilkli, nawet Franklyn.

- Tak - odpowiedział Liam. - Trochę się nad tym zastanawiałem. Obawiam się, Beki, że będziemy musieli wyjawić dokładną lokalizację czasoprzestrzenną biura terenowego.

- Zaprzeczam! - Zmarszczyła brwi. - Lokalizację i sygnaturę czasową mogą znać tylko agenci.

- Ale musimy, nie rozumiesz? Ani Sal, ani Maddy nie wybiorą się raczej w najbliższym czasie do Teksasu poszukiwać skamieniałości. Odnajdzie ją ktoś inny, a jedyny sposób, żeby trafiła do dziewczyn, to ujawnienie tych danych.

- Taka informacja może stać się naprawdę potężnym narzędziem - ostrzegł Kelly. - Dowód na istnienie podróży w czasie. Dowód na to, że ludzie wyprawili się do świata dinozaurów... Taka wiadomość może zmienić świat, Liamie. Rozumiesz, jakie to ma znaczenie? Wspominałeś o kontaminacji czasowej, falach czasoprzestrzennych i podobnych sprawach... Czy to nie wbrew...?

- Ach, oczywiście - odpowiedział Liam. - Naszym obowiązkiem jest zapobieganie takim koszmarom jak skażenie osi czasu.

- A mimo to chcesz je wywołać.

- Nie mamy wyjścia. - Spojrzał na Chana siedzącego w milczeniu pomiędzy Leonardem i Juanem. - Linia czasu jest już poważnie zaburzona. Kto wie, jak wygląda teraz przyszłość. Owszem, świadomie zostawiając w ziemi wielki odcisk, prawdopodobnie pogorszymy sytuację. Czas zachowuje się jednak jak płyn. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, czym jest płynna natura czasu. Przesunięta rzeczywistość może natychmiast zostać naprawiona, jeśli wiadomo, jak zlikwidować źródło kontaminacji. No i jeśli posiada się wehikuł czasu. - Liam wskazał głową Chana. - Edward musi trafić z powrotem do dwa tysiące piętnastego roku. Pozwoli nam to uporać się z częścią problemu, potem wrócimy tu z Beki i zlikwidujemy źródło dalszej kontaminacji.

- Jak?

- W bardzo prosty sposób - odrzekł Liam.

## ROZDZIAŁ 38

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam spojrział na żwir pod swoimi stopami i przejechał po nim palcem. Pozostali z zainteresowaniem patrzyli na sześć wyrysowanych na piasku liter. Przeliterował słowo „Pomocy”, po czym zamazał napis.

- Wymażemy wiadomość, którą zostawiliśmy - powiedział. - A wszystko, co wydarzy się po jej odnalezieniu... odstanie się. Też zostanie wymazane.

- Jeżeli w wiadomości znajdzie się lokalizacja bazy - powiedział Kelly - zapewniam cię, że przed drzwiami pojawi się nie ciekawski poszukiwacz skamieniałości, a raczej służby specjalne: NSA, CIA, może nawet inna tajna agencja rządowa, o której istnieniu nie mamy

pojęcia... Uzbrojone oddziały Delta Force wyważą drzwi i splądrują to miejsce. Zbyt cenna z was zdobycz.

- Kurczę! - Liam nie wziął tego pod uwagę.

- Możesz narazić na niebezpieczeństwo swoich przyjaciół - powiedziała Laura.

- Przecież nie zrobią im krzywdy. Będą tylko zadawać pytania, nic więcej.

- Jeśli w grę wchodzi technologia podróżowania w czasie? Kto wie? Służby specjalne szczytą się długoletnią tradycją zadawania pytań nieboszczykom.

- Ach, daj spokój! To profesjonaliści, są najlepsi na świecie - przerwał mu Whitmore.

Do dyskusji przyłączyło się kilka innych osób. Niektórzy zgadzali się z tezą Whitmore'a, inni jej zaprzeczali.

- Może to faktycznie nie najlepszy pomysł - powiedział Liam, spoglądając na Beki.

- Wolisz, żebyśmy wykonała plan alternatywny? - zapytała po cichu.

Chłopak cieszył się, że miała na tyle taktu, żeby powiedzieć to półgłosem. Zrzędnęła mu jednak mina, gdy sięgnęła po siekiere.

- Nie, jeszcze nie teraz - powiedział, chwytając jej rękę. - Nie teraz, okej? Skinęła głową.

- Chyba że - cicho powiedział Edward, którego głos niemal utonął w harmidrze. - Chyba że będą mieli powód, żeby nikogo nie krzywdzić.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na chłopca, który nie otwierał ust przez całą wieczór. Przez cały dzień właściwie.

- Ja... ja mówiłem tylko... - Edward wydawał się zmieszany skupioną na sobie uwagą.

- Mów śmiało - powiedział Liam.

- Jeżeli część waszej wiadomości zostanie zakodowana, powstrzymają się od szturmowania, bo będą potrzebowali kogoś do jej odczytania.

Liam w zamyśleniu przygryzł usta.

- Kod, sekret, wskazówka z obietnicą rozwiązania tajemnicy. Kto nie chciałby dowiedzieć się więcej?

- Zaszifrowane słowa będą spędzały tajniakom sen z powiek - zauważył Kelly. - Edward ma rację. Jeżeli wiadomość zaprowadzi tajniaków pod drzwi Agencji, wasi przyjaciele będą potrzebni im żywi.

- W takim razie pierwsza część wiadomości musi zawierać czas i lokalizację biura terenowego. - Liam odwrócił się do Beki. - Dzięki temu trafi do Maddy i Sal. Resztę... sygnaturę czasową podamy w postaci supertajnego szyfru. Uda ci się wymyślić taki szyfr, Beki?

Przytaknęła.

- Jestem w stanie stworzyć kod alfanumeryczny na podstawie algorytmu matematycznego. Mój duplikat rozpozna schemat algorytmu i wygeneruje klucz dekodujący.

- Nie - stwierdził Edward, potrząsając głową. - Szyfry są do złamania. Jeśli wprowadzą kod do zaawansowanego komputera, szybko go rozpracują. To jasne.

- A NSA, CIA czy inna organizacja, która się tym zajmie, na pewno dysponuje potrzebną mocą obliczeniową - zgodził się Kelly.

- Nie ma innego sposobu na wygenerowanie kodu, który będzie mógł zostać odczytany w biurze terenowym - odrzekła Beki. - Mój duplikat musi mieć tę samą bibliotekę algorytmów...

- Każdy kod matematyczny można złamać - przerwał Edward, w którego cichym głosie pojawiły się tony zdradzające pewność siebie. - Wszystko zależy od mocy przeliczeniowej komputera.

- Edward ma rację - poparł go Howard. - Zastanówcie się, jeśli wiadomość zostanie odnaleziona w... - Odwrócił się do Whitmore'a i Franklyna. - Kiedy odkopano pierwsze skamieniałości przy rzece Paluxy?

- Na początku dwudziestego wieku. - Franklyn wzruszył ramionami.

- Jeśli ówczesne amerykańskie służby specjalne od razu zabezpieczą artefakt, zostanie im cały wiek na złamanie algorytmu i odszyfrowanie wiadomości. Nie będą musieli pukać do drzwi.

- Ale komputery wystarczająco zaawansowane, aby uporać się z szyfrem wynaleziono w latach osiemdziesiątych - zauważył Juan.

- Nie zapominajcie o tym.

- Zostanie im wystarczająco dużo czasu - odparował Howard.

- Zawitają pod drzwi, znając dokładną treść wiadomości. Priorytetem stanie się zabezpieczenie kwatery głównej Agencji i skonfiskowanie wszystkich wynalazków technologicznych. Dopiero później wezmą się za waszych przyjaciół.

- Kod powinien zostać oparty na czymś osobistym - zaproponował Edward. - Na sekrecie zrozumiałym tylko dla was i waszych przyjaciół.

Howard potrząsnął głową.

- Sądzę, że to bardzo niebezpieczny pomysł, grozi wywróceniem historii do góry nogami. A ja myślałem, że chcecie temu zapobiec.

- Według ciebie lepiej tu zostać, młody człowieku? - powiedział Whitmore. - Jaki pożytek może przynieść obecność Homo sapiens sześćdziesiąt pięć milionów lat przed ich czasem?

Howard wzruszył ramionami.

- Nie zostaniemy tutaj na zawsze. - Słowa Howarda uciszyły nauczyciela. - Naprawdę sądzi pan, że cała nasza szesnastka przeżyje, że zaczniemy rozmnażać się jak króliki i zbudujemy cywilizację, która przekształci planetę w samym środku epoki kredowej?

- To możliwe. - Whitmore niepewnie skinął głową.

- Nie, to nierealne. - Howard się zaśmiał. - W końcu wszyscy umrzemy. - Popatrzył na pozostałych. - W grupie jest sześć kobiet, nie licząc ciebie, w zasadzie nie jestem pewien, czym jesteś - powiedział, spoglądając na Beki.

- Nie mam zdolności rozrodczych - odpowiedziała bez emocji.

- Sześć płodnych kobiet - kontynuował Howard. - Być może uda się nam spłodzić kilkoro dzieci, ale jest nas zbyt mało, by przetrwać. Jeśli nie dopadną nas choroby lub wygłodniaли mięsożercy, rozmnażanie w ograniczonej grupie doprowadzi do wymarcia gatunku. - Na jego twarzy pojawił się melancholijny uśmiech. - Zginiemy niedługo, w przeciągu... kilku miesięcy, lat, góra dekad... ale w końcu to się wydarzy, a historia nie zmieni się nawet odrobinę. Może nie powinniśmy tego robić. Może pogódźmy się z tym, że utknęliśmy tu na dobre i...

- Zapomnij! - zdenerwowała się Laura.

- Chcę wrócić do domu! - Chyba wszyscy sobie tego życzymy - dodał Kelly.

Zebrani skwapliwie skinęli głowami.

Liam przysunął się do ogniska, wyciągnął ręce w stronę ognia i zaczął pocierać dłonie.



- Zostawimy wiadomość, Leonardzie. Nie ma innego wyjścia. Teraz muszę tylko wymyślić coś, o czym wiemy tylko my... i oni.

- Jak duża jest wasza Agencja? - spytała Laura. Liam uśmiechnął się i odpowiedział z wahaniem w głosie:

- Dość duża. Pracuje w niej wiele osób.

- Wszystkich dobrze znasz?

- Jasne, jesteśmy w bliskich relacjach.

- Jesteście przyjaciółmi?

- Tak, przynajmniej chciałbym tak myśleć.

- Może macie ulubioną piosenkę, film lub coś innego, czego moglibyście użyć jako punktu odniesienia.

Liam nagle poczuł, jakby jego ręka wpadła w żelazne imadło. To Beki mocno ją ścisnęła.

- Ałaj! Beki, to boli - syknął. - O co chodzi?

Rozluźniła uścisk, w szeroko otwartych oczach jednostki migotała mieszanka zdziwienia i euforii.

- Wpadłam na pomysł, Liamie O'Connor.

## ROZDZIAŁ 39

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Obserwowały ich z ciemności. Pomiędzy istotami, w samym centrum obozu błyszczał tańczący żółty kwiat. Złamany Pazur widział tę fascynującą tańczącą postać tylko raz, po burzy, kiedy z nieba spadła długa smuga światła i dotknęła długiego martwego pnia. Żółty kwiat zalał drzewo i wchłonął je, wydzielając nieznośne gorąco. Był wtedy młody, ale od tamtego dnia żółty kwiat często pojawiał się w jego snach, gonił go, próbował złapać w swoje szpony i pożreć.

Teraz widzi go znowu, ale jest inny - został oswojony przez te istoty jak raniony zwierz. Skupili się wokół kwiatu, który nie budził ich trwogi. Od czasu do czasu niedbale rzucali w niego małymi gałęziami, nie drgając z niepokoju, gdy groźnie wzrastał, wysyłając w stronę ciemnego nieba kosmyki światła.

Popatrzył na resztę swoich wojowników, którzy kulili się ze strachu w niższej partii wzgórza, wyraźnie niezadowoleni, że musieli wyjść z dżungli na otwartą przestrzeń. To nie ich teren, tutaj nie mają przewagi. Na odsłoniętym obszarze nie są już niewidoczni, za to narażeni na atak. Na równinach żyły większe drapieżniki; ogromne, ciężkie i głupie drapieżniki, na przykład ten wysoki i wyprostowany z małymi przednimi szponami, ogromnymi szczękami, potężnymi zadnimi nogami i silnym, zamaszystym ogonem. Nazywały go Wielozębem.

Na nizinach wataha stanowiła łatwy łup dla Wielozęba. Wszystkie osobniki w szczepie Złamanego Pazura były małymi, kruchymi stworzeniami w porównaniu ze zwałistą górą potężnych mięśni, a mimo to za życia swego przewodnika wataha zabiła kilka tych potworów. Zawsze w ten sam sposób: wabiły je do dżungli, zmuszając do kuszącego płaczu jednego z młodych. Żałosny lament wiernie naśladował bezradny skowyt młodego liściożercy, lament sygnalizujący strach, który dla tych wielkich, głupich bestii stanowił pokusę nie do odparcia. W gęstwinie drzew wielkolud nie mógł swobodnie wymachiwać ogonem ani manewrować. Wtedy wataha skakała na zapędzonego w pułapkę Wielozęba i zaczynała rozszarpywać grubą skórę i gumowate wstęgi masywnych mięśni, dostając się wreszcie do miękkich tkanek miotającego się i wyjącego z bólu zwierzęcia.

W poprzednich sezonach Złamany Pazur poprowadził wiele podobnych ataków, zawsze pierwszy wgryzał się w pancerz, przebijał się do żołądka i wściekle rozrywał wrażliwe wnętrzności, próbując sięgnąć klami pulsującego, czerwonego organu w klatce piersiowej ryczącej i bezsilnie tupiącej bestii. Złamany Pazur i reszta wiedzieli, że ten organ - żyjący w każdej znanej im istocie - był źródłem życia.

W latach jego młodości dżungle pełne były wielkich, głupich gatunków. Było ich tak dużo, że często zabijały więcej sztuk zwierzyny, niż potrafiły zjeść. Polowały zbyt często i zbyt dobrze radziły sobie w lesie, dlatego za jego czasów wataha kilka razy musiała migrować z jednej zalesionej doliny do drugiej. Przez ostatnie sezony populacja w tym pasie dżungli też spadła - kolejny obszar łowny został niemal całkowicie wytrzebiony ze zwierzyny.

Najwidoczniej dżungla nie potrafiła też wyżywić nowych istot. Powoli, bezszelestnie przeszedł po drobnych kamykach, uważając, aby zwinnymi stopami nie poruszyć czegokolwiek, co mogłoby wywołać najmniejszy hałas. Usłyszał ciche warknięcie jednego z samców, który ostrzegał, by nie zbliżać się zanadto do nowych istot. Zignorował ostrzeżenie. Musiał wsłuchać się w hałasy wydawane przez stworzenia. Może wataha nauczy się ich naśladować, może zastosuje taką samą technikę jak w przypadku Wielozębnych, może ich dźwięków wyuczy się jeden z młodych, aby odciągnąć któreś ze stworzeń od reszty.

Gdyby udało im się porwać choć jedną nową istotę, mogłyby dokładnie ją obejrzeć, dowiedzieć się, czy jest niebezpieczna, jakie są jej słabości. Kto wie, może w ostatnim momencie życia inteligencja istoty spłynie na watahę. Potem sprawdzą, czy w jej klatce piersiowej też pulsuje czerwona kula życia.

## **ROZDZIAŁ 40**

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam spojrział na behemota dostojnie zmierzającego w ich stronę.

- Jesteś pewien, że to roślinożerca?

- Tak, spokojnie, to tylko alamozaur.

Liam patrzył, jak gigantyczna istota o długiej szyi powoli maszeruje przez równinę w stronę skrawka dżungli za ich plecami. Ziemia wibrowała po każdym ciężkim kroku zwierzęcia.

„Jesus Maria - ta istota jest wielkości małego statku!”. Podejrzewał, że między przednimi a zadnimi kończynami stworzenia mógłby spokojnie zaparkować autobus piętrowy, a i tak ponad dachem zostałyby jeszcze trochę przestrzeni. Mała głowa istoty, przypominająca bryłkę przytwierdzoną do długiej, masywnej szyi, pochyliła się nad samą ziemią. Istota zmniejszała odległość między nimi. W końcu dinozaur zatrzymał się, aby zbadać małe, dwunożne stworzenia, które napotkał na swojej drodze.

- Jesteś pewien?! - krzyknął Liam, patrząc jak głowa dinozaura unosi się na wysokości jego ramion tylko kilka metrów przed nim.

- Tak! Prawdopodobnie jest o wiele bardziej przerażony niż ty.

- Och! - Liam energicznie potrząsnął głową. - Raczej wątpię.

- Widzisz? Właśnie ci się przygląda - powiedział Franklyn, ostrożnie podchodząc do Liama i Beki. - Hej, wielkoludzie! - zagruchał przymilnie. - Wszystko gra, nie jesteśmy mięsożercami.

- Ja właściwie jestem - odpowiedział Whitmore. - Nie ma to jak porcyjka cielęciny z butelką Sancerre w sobotni wieczór.

Małe, paciorkowate oczy zatopione w zaokrąglonej głowie, nie większej od beczki cydru, świdrowały Liama. Dinozaur raz i drugi poruszył nozdrzami, wciągając zapach

nowych istot, a chwilę później z ciekawości zrobił krok do przodu. Liam poczuł, że ziemia pod jego stopami się trzęsie.

- Lubi cię, stary - krzyknął Juan.

W twarz Liama uderzył podmuch cuchnącego powietrza, musiał zamknąć oczy, gdy głowa dinozaura przysunęła się jeszcze bliżej.

- Ach... wcale mi się to nie podoba - wysyczał bokiem ust. Grube, chropowate wargi o szerokości opony samochodowej dotykały twarzy Liama, po czym zaczęły badać intrygującą fakturę ciemnych włosów.

- On naprawdę cię lubi, stary. Chcecie, żeby zostawić was dwoje na tete-grave; -tete? - Juan zachichotał.

- Włosy - wyjaśnił Whitmore - wykształcą się w toku ewolucji dopiero za miliony lat. Ich faktura musi fascynować dinozaura.

Liam poczuł mocne pociągnięcie za skórę czaszki.

- Właśnie wcina moje włosy na śniadanie! - uderzył istotę w usta. - Hej! Ałaja! Puść mnie! Beki! Pomóż.

Beki zareagowała błyskawicznie. Podeszła do stworzenia i walnęła alamozaura zaciśniętą pięścią w nos. Cios opadł ciężko na szorstką skórę, dinozaur natychmiast puścił Liama, wydając z siebie rozdzierający ryk bólu i przerażenia. Gruba, muskularna szyja podskoczyła nagle jak drzewo opadające w drugą stronę, z ust stworzenia wydobył się kolejny ogłuszający ryk, który przypomniał Liamowi śmiertelne jęki tonącego Titanica. Okrzyk paniki zawibrował w powietrzu.

Liam osłonił uszy rękami, aby ochronić przed pęknięciem błonę bębenkową, bo ostrzegawcze dźwięki płynęły już przez równinę, od jednego wielkiego roślinożercy do drugiego. Alamozaur wycofał się na grubych jak pnie nogach, nieporadnie zakręcił długi łuk i rzucił się ciężkimi susami przed siebie, grunt pod jego stopami zaczął wibrować jak podczas

wczesnych wstrząsów sejsmicznych.

- No to świetnie! - krzyknął Franklyn. - Właśnie wywołaliście panikę!

Spokojny kadr sprzed kilku chwil, obraz lewiatanów leniwie żujących trawę na równinie, nagle zamienił się w ogłuszający teatr ruchu i dzikiego pędu. Liam widział, jak mniejsze gatunki roślinożerców uciekają w popłochu, ze strachu przed stratowaniem przez alamozaury, które sadyżyły susami pod osłonę drzew i paproci.

- Wow! - Juan niemal zwił się ze śmiechu. - Niezłe tchórze z tych alamostrów, stary! Patrz, jak naiwniaki bieżną!

W samym środku powszechnego zamieszania, w tumanach kurzu Liam dostrzegł coś jeszcze: ciemne kształty oddalone o pół kilometra, sylwetki mniejsze niż inne gatunki na równinie. Trwało to tylko sekundę, nie dłużej. Później znowu stworzenia przypadły do ziemi, ukryły się w wysokiej na metr, oliwkowej i wysuszonej trawie, która zarastała równinę nieregularnymi kępkami.

Liam odwrócił się, by spytać pozostałych, czy też to widzieli, ale wszyscy z zachwytem patrzyli na coś innego: przed ich oczami rozgrywał się grmiący spektakl kołyszących się płatów szorstkiej skóry i naprężonych panicznym strachem ścięgien; cały łańcuch pokarmowy w ruchu.

Ponownie spojrział w to samo miejsce. Nic. Zupełnie jakby ciemne kształty były wytworem jego wyobraźni.

„Gdzie one się podziały? Zniknęły jak kłęby ciemnego dymu, jak widmowy szukacz. Tracę już rozum?” - rozmyślał gorączkowo.

Dopiero po pięciu minutach na równinę spłynął względny spokój. Różne gatunki roślinożerców zbiły się w płochliwą gromadę milę dalej. Wysokie szyje wyrastały ponad stojącą w bezruchu watahą, dinozaury patrzyły na nich z oddali niczym gigantyczne surykatki.

- To dopiero zabawa - powiedziała Laura. - Możemy to zrobić znowu?

Liam spojrział na Beki. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Beki? O co chodzi? Jednostka spojrzała na wciąż zaciśniętą pięść.

- Nie uderzyłam go przecież zbyt mocno.

- Musiałaś trafić w czuły punkt - rzekł Whitmore.

Podążali przez równinę w stronę majaczącej na horyzoncie linii brzegowej. Niemal przez całą drogę Franklyn narzekał, że Beki zaprzepaściła szansę, by obejrzeć dinozaury z bliska. W południe znaleźli się wśród rozproszonych głazów. Patrzyli na szeroką plażę ciemnego, gruboziarnistego piachu i łagodne fale, które co chwila zalewały kamienie przy brzegu, tylko po to, aby z cichym syczeniem od razu wycofać się do wód spokojnego oceanu tropikalnego.

- A więc? - zapytał Liam. Beki ze zmrużonymi oczami długo wypatrywała czegoś w oddali.

- Trzydzieści trzy kilometry na północny wschód od aktualnej lokalizacji.

- Chcesz mi powiedzieć, że to miejsce znajduje się pod wodą? - Liam się skrzywił.

- Zaprzeczam - odpowiedziała, wskazując linię horyzontu przed nimi. - To wielka zatoka. Przypatrzcie się dobrze.

Liam ponownie spojrział we wskazanym kierunku, mrużąc oczy. Zobaczył, co miała na myśli: bladą linię niskich grzbietów, które wcześniej wziął za chmury. Szeroka plaża wydawała się stopniowo zakręcać w stronę odległego cypla, z którym prawdopodobnie w końcu się połączy, jeśli będą wystarczająco długo i cierpliwie maszerować.

- Rekomendacja: idziemy plażą w kierunku lądu przed nami.

Liam wskazał głową niski grzbiet.

- Tam zmierzamy? Przytaknęła i powiedziała:

- Informacja: odległość wynosi piętnaście koma siedemdziesiąt jeden setnych kilometra.

- Do cypla? - spytał Whitmore. - To tam kiedyś odnalezione zostaną warstwy skamieniałości? Beki powoli skinęła głową.

- Informacja: prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt trzy procent.

- Mój Boże - powiedział, drapiąc się po brodzie. - Kto wie? Niektóre z odcisków, jakie zobaczymy na tej plaży, mogą kiedyś stać się skamieniałościami i trafić do muzeów w naszych czasach jako eksponaty. - Szerzej otworzył oczy i z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Czy to nie szalone? - Klepnął Liama po ramieniu. - Te podróże w czasie naprawdę mogą doprowadzić do szaleństwa.

Liam uniósł brew.

- Och, już nieraz w głowie mi się od tego kręciło. Przez głązy wyszli na grubym piasku wymieszany z kamieniami.

- Dobra powierzchnia - powiedziała Beki do Liama, wskazując plażę. - Nie zostawimy żadnych śladów.

Spojrzał w dół. Miała rację. Na plaży nie było piasku, a jedynie ostre kamyki, które pękały i przesuwwały się pod ich stopami, ale nie odciskały się w nich żadne wyraźne ślady.

- Świetnie. - Przytaknął. - Może wreszcie się uśmiechniesz. Pomyślała dokładnie o tym samym.

- To zdecydowanie minimalizuje ryzyko skażenia. - Przeniosła wzrok z ziemi na jego twarz. - Potwierdzam. Dzięki temu jestem... szczęśliwa.



- No i proszę, mój ty beznadziejny przypadku - odpowiedział radośnie. - Wszystko się układa. Wkrótce wrócimy do domu.

Po mokrych kamińkach zeszli nad samą wodę, tropikalne fale z szumem otoczyły ich stopy. Reszta grupy zdecydowała się zanurzyć po kolana w morzu i teraz chlapali się hałaśliwie. Beki obserwowała ich w zamyśleniu, przygryzając wargę - ten interesujący gest musiała podpatrzeć u jednej z dziewczyn. Bob miałby trudności z przybraniem podobnej miny z powodu ostrych rysów twarzy.

- Jeśli skutecznie wypełnimy misję, Liamie O'Connor, i wrócimy do biura terenowego, czy wtedy przejdę na emeryturę?

- Emeryturę? Co masz na myśli?

- Czy moje ciało zostanie zniszczone, a ja zastąpiona męską jednostką pomocniczą? Słyszałam, jak Sal Vikram stwierdziła, że ta organiczna obudowa jest „błędem”.

Nie zastanawiał się nad tym szczególnie. Beki powstała w wyniku niedopatrzenia Sal, która nie sprawdziła znacznika płci na próbowce. Nie mieli już czasu, żeby wyhodować inną jednostkę. Ale na pewno ani Maddy, ani Sal nigdy nie wspomniały o likwidacji czy usuwaniu jej ciała.

- Dlaczego właściwie mielibyśmy to zrobić, Beki?

- Męska konstrukcja nośna jest osiemdziesiąt siedem procent efektywniejszą jednostką militarną niż kobieca obudowa.

- W porządku, może to prawda, ale dlaczego w takim razie Agencja wydaje nam również kobiece zarodki?

- Kobiece konstrukcje nośne mogą okazać się użyteczne podczas operacji pod przykrywką, gdy wymagane jest kobiece przebranie. Podrapał się po głowie.

- Teraz naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy mieć was obojga. Boba i Beki. Czy istnieją jakieś zakazy Agencji dotyczące posiadania dwóch jednostek pomocniczych w drużynie?

- Zaprzeczam. Nie wiem nic o istnieniu wytycznych Agencji w tym zakresie.

- Sama widzisz. Będziemy mieć dwie jednostki zamiast jednej.

Przez chwilę spacerowali w ciszy, ale Liama bardzo zaintrygowało to „ludzkie” pytanie.

- Czy funkcjonuję tak samo efektywnie jak jednostka Bob? - zapytała po chwili.

- Tak, oczywiście. Sam nie wiem, co byśmy bez ciebie poczęli. Ale to wszystko jest w dalszym ciągu bardzo dziwne. Czy ty właściwie nie jesteś Bobem? Albo przynajmniej kopią Boba w innej skórze?

- Zaprzeczam. Od momentu powielenia moja sztuczna inteligencja przyswoiła wystarczająco dużo nowych informacji, aby zyskać unikatowy identyfikator. Doświadczyłam sytuacji, których nie doświadczył Bob. Ponadto organiczny mózg powiązany ze sztuczną inteligencją różni się w zależności od płci konstrukcji nośnej.

- Jasne... ale pamiętasz chyba, jak byłeś Bobem?

- Oczywiście. Pamiętam wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce podczas pierwszej misji, aż do momentu, w którym usunąłeś mojego chipa.

Liam wolałby o tym zapomnieć.

- Grhh. Wcale się nie palę, by to powtarzać.

- Udało ci się dzięki temu zabezpieczyć procesor, na którym znajdowały się informacje z sześciu miesięcy nauki adaptacyjnej - odrzekła. - Bob i ja już od pół roku uczymy się naśladować ludzkie odruchy. Oboje jesteśmy wdzięczni.

- Ach, to nic takiego. Taka praca. - Skromnie wzruszył ramionami.

- Mogę cię pocałować - powiedziała. - Wiem, że to odpowiedni wyraz wdzięczności.  
Mam dane na ten temat.

Ułożyła usta w dzióbek, a Liamem znowu wstrząsnęło to dziwnie sprzeczne uczucie, zupełnie jak po wylądowaniu w dwa tysiące piętnastym: mrowienie ekscytacji i poczucie niesmaku jednocześnie.

„To Bob w stroju dziewczyny... pamiętaj” - strofował się w myśli.

- Uch... nie ma sprawy, Beki. „Dziękuję” w zupełności wystarczy.

- Potwierdzam. Jak wolisz.

- A właściwie, to skąd wiesz o całowaniu?

- Szczegółowy opis pochodzi z książki, którą czytałam w czasie pobytu w komputerze wieloterminalowym.

- Słucham? Jakie książki tam czytałaś?

- Książkę pod tytułem Harry Potter i Insygnia Śmierci na przykład.

- Co to jest?

- Powieść. Plik został zapisany w formacie PDF używanym na początku dwudziestego pierwszego wieku. Data utworzenia kopii to...

- Poczekaj - przerwał jej Liam. - Masz jeszcze ten plik w bazie danych?

Jednostka potakująco skinęła głową.

- Proces czytania został zakłócony, a ponieważ chciałam ją skończyć, dodałam plik do pamięci podręcznej.

- Czy Bob ma dokładnie ten sam plik w systemie komputerowym?

- Oczywiście.

Chłopak rozdziawił usta.

- W takim razie znaleźliśmy kod! Możesz użyć takiego kodu?

Powieki jednostki zatrzepotały, gdy analizowała propozycję.

- Mówisz o kodzie książkowym?

- Tak, o kodzie opartym na książce „Harry-coś tam-Potem”.

## ROZDZIAŁ 41

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Howard zauważył, że najmłodszy w grupie chłopiec idzie tuż przy nim, brodząc w ciepłej wodzie morskiej.

- Hej - pozdrowił go.

- Hej, wszyscy mówią do ciebie Leonard, czy przyjaciele nazywają cię Lennym? - zapytał Edward z uśmiechem. Howard wzruszył ramionami, nie takiego pytania się spodziewał.

- Hmm... większość po prostu Leonard - odrzekł. - Mama woła do mnie Lenny, ale nienawidzę tego imienia.

- Słyszałem jak ktoś mówi, że twoim ulubionym przedmiotem jest matematyka.

- To był mój... - przerwał, przeklinając w duchu głupią wpadkę. - To... jest... mój ulubiony przedmiot. Od zawsze kocham matematykę. Jest, nie wiem... jest trochę jak poezja, którą niewielu ludzi rozumie, jeśli wiesz, co mam na myśli. To ekskluzywna nauka.

- Tak, wiem, o co ci chodzi. - Chan skinął głową. - Dlatego i ja ją lubię. To coś, co ja rozumiem, a inni nie. Dzięki temu czuję się chyba trochę wyjątkowo. Może dlatego nie mam w szkole przyjaciół. Wszyscy myślą, że jestem dziwny.

- Tak, mam to samo, stary. Jestem samotnikiem. - Howard zmrużył oczy, spoglądając na jasne słońce. - Nigdy nie wybrano mnie do żadnej drużyny szkolnej, bo jestem nerdem. - Wzruszył ramionami. - Nie szkodzi, i tak nigdy nie lubiłem sportu.

- Ja też nie. To dla mięśniaków i bezmózgów.

- Bezmózgów? - Zaśmiał się Howard. - Podoba mi się.

- Nigdy nie słyszałeś tego określenia?

„W moich czasach nikt tak nie mówi” - miał już odpowiedzieć, ale potrząsnął tylko głową.

- Hej! - zakrzyknął Edward, schylając się i podnosząc z kamieni interesującą, kanciastą muszlę amonitową.

- Widzisz? Tam są większe - powiedział Howard, wskazując głową pozostałych członków grupy, którzy brodzili po pas w przejrzystej, błękitnej wodzie, co rusz wyciągając z dna piękne muszle.

W milczeniu weszli głębiej do wody. Przed nimi, pogrążeni w rozmowie, szli dwaj agenci - Liam i robodziewczyna. Howard pokręcił głową, dziwiąc się w duchu temu zbiegowi okoliczności. Choć pojawili się w dwa tysiące piętnastym roku, aby „uratować” Chana, tak naprawdę byli po tej samej stronie barykady, tak jak on próbowali zapobiec zniszczeniu świata przez technologię podróżowania w czasie. Przyświecał im ten sam cel, choć stosowali inne metody. Zastanawiał się, jak to możliwe, że nigdy nie słyszał o istnieniu Agencji, chociaż walczył z tą technologią, organizował protesty i agitował od lat. Nikt nigdy, nawet w żartach, nie zasugerował, że istnieje organizacja wykorzystująca technologię podróżowania w czasie do zwalczania jej niszczycielskich skutków. Ciekawe, kto stał za Agencją, kto ją założył. Chyba nie rząd amerykański? Teoretycznie żaden rząd nie mógł tego zrobić. Międzynarodowe organizacje nakładały surowe kary za złamanie zakazu. Żaden polityk nie odważyłby się zaryzykować zaangażowania w śliski temat podróży w czasie, ponieważ prawo międzynarodowe było w tym aspekcie jednoznaczne i brutalne. Osobom zaangażowanym w rozwijanie technologii groziła kara śmierci bez odroczenia. Wielki Roald Waldstein był potężnym mówcą i obrazowo wyjaśniał horrendalne niebezpieczeństwo związane z podróżowaniem w czasie. Wielki i wpływowy człowiek. Małe stowarzyszenie Howarda, do którego przyłączyła się raptem gromadka studentów z całego świata, nie osiągnęła nawet połowy tego, co on w pojedynkę.

Ale polityka tej całej tajnej Agencji była skazana na porażkę. Próba naprawy historii zniszczonej przez nieuważnych podróżników? To trochę jak zamykanie drzwi do stajni po ucieczce wszystkich koni. Nie - o wiele gorzej - to jak próba wyłapania tych koni i sprowadzenia ich z powrotem do stajni. Stowarzyszenie Howarda stosowało prostsze i skuteczniejsze metody.

Zamierzali uniemożliwić wynalezienie podróży w czasie, sięgając do źródeł. Zamiast zamykać wyważone drzwi stajni spalą tę przeklętą stodołę ze wszystkimi końmi w środku.

Spojrzał na Edwarda Chana. Chłopak odwzajemnił uśmiech i wlepił wzrok w muszlę, która spoczywała w jego dłoni, mieniając się odcieniami różu i fioletu. Poglaskał gładką powierzchnię skorupy i wyciągnął rękę w stronę Howarda.

- To dla ciebie, Leonardzie. Jest twoja, jeśli chcesz.

- Nie, to... dzięki! - Howard potrząsnął głową.

„On musi umrzeć, dobrze o tym wiesz, Howardzie. Trzeba spalić stodołę. Spalić, zanim wybiegną z niej konie”. Howard uświadomił sobie, że odwlekał to, co nieuniknione, wciąż odkładał na później. Teoretycznie przyszłość - przyszłość po dwa tysiące piętnastym roku - musi w tej chwili ulegać przemianom, do tej pory na pewno uległa przekształceniu. Narodził się świat, w którym chłopak zniknął podczas eksplozji i nigdy nie wypełni swojego przeznaczenia; świat, w którym człowiek o nazwisku Waldstein nigdy nie stanie na czele międzynarodowej akcji protestacyjnej, nigdy nie zostanie miliarderem ani sławną osobistością. I tak, świat w dalszym ciągu będzie borykał się ze swoimi problemami: kurczącymi się zasobami naturalnymi, globalnym ociepleniem, wzrostem poziomu oceanów, miliardami imigrantów i niebezpiecznym przeludnieniem. Ale... nie będzie już nad nim wisiało zagrożenie całkowitej, totalnej zagłady.

Kiedyś słyszał, jak mówca na zebraniu zapytał publiczność, co znajduje się poza wymiarem czasoprzestrzeni, w której wszyscy się znajdujemy. Czy to piekło? A igranie z nieznanymi wymiarami to wywołanie samego diabła i zaproszenie go do zabawy? Mówił o Hieronimie Bosch, średniowiecznym malarzu, który twierdził, że pewnego dnia ujrzał diabła i fragment zaświatów, a jakiś czas potem zaczął malować obrazy będące wiernym odzwierciedleniem tych koszmarnych wizji. Być może, jak wywodził prelegent, malarz ujrzał wymiary wykraczające poza nasze pojmowanie, zerknął przez lukę w czasie i przestrzeni. Howard wzruszył ramionami na tę myśl.

„Wiesz, że chłopak musi umrzeć, Howardzie. Spal stodołę. Spal stodołę. Na co czekasz?”. Tak bardzo pogрузzył się w rozmyślaniach, że w pierwszym momencie nie usłyszał głosów dochodzących z plaży. Ostrzegawczych krzyków skierowanych właśnie do nich.

Edward mocno pociągnął Howarda za ramię, przerywając bieg jego myśli.

- Co, do cholery...?

- UCIEKAJ! - krzyknął Edward, wskazując na coś za jego plecami. Howard odwrócił się i ujrzał dziwnie wyglądającą, ciemną fałę, która szybko sunęła prosto na niego. Woda spływała z obu stron gigantycznego, szarego garbu pędzącego po płyciźnie w tempie

gigantycznej torpedy. Z masywnego szarego grzbietu wyrastała olbrzymia płetwa wielkości samochodu, nie, większa - była rozmiarów autobusu!

Edward usilnie próbował odciągnąć Howarda lub zmusić go do jakiegokolwiek reakcji. Howard ocknął się, ale jego ruchy były zbyt niemrawe i ociężałe. Potknął się o coś na dnie, a chwilę później wylądował na plecach, z głową pod wodą. Sekundę później szamotał się już na powierzchni, łapczywie chwytając powietrze i próbując znaleźć stabilne oparcie dla stóp. Widział tylko zbliżającą się do niego czarną jaskinię, która pruć po płyciźnie jak rozpędzony pociąg towarowy, z wejścia do pieczary wyrastały stalaktyty i stalagmity ostrych jak brzytwa zębów, na których powiewały kawałki gnijącego mięsa.

- OCH, NIE! - krzyknął tylko, gdy szybująca masa lśniącej szarości błyskawicznie się zatrzymała, a jaskinia o szerokości dobrych dwu metrów zatrzasnęła się wokół jego stopy. Poczuł piekące ugryzienie na wysokości kostki. Mocna skóra butów wojskowych skurczyła się do granic możliwości, zaciskało się na nich coś mocnego i ostrego. Bestia zaczęła energicznie szarpać głową, kotłując się w wodzie. Howard czuł, że kości powoli pękają w drzazgi.

Głowa Howarda znowu znalazła się pod wodą. Kamyki, kamienie i muszle boleśnie wżynały się w plecy, zrozumiał, że stworzenie wycofuje się z płycizny w głębsze odmęty.

Otoczony podwodnym chaosem wstrzymał oddech, w ułamku sekundy przemknęła mu przez głowę myśl: po co właściwie się męczyć.

„Umrę. Lepiej opróżnić płuca z powietrza i utonąć niż narażać się na rozczłonkowanie i śmierć w agonii”.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, niesamowity nacisk na zmiażdżoną kostkę zelżał. Howard zamachał ramionami, żeby złapać równowagę i znaleźć pewne oparcie dla stóp. Chwycił za coś ręką, zaokrągloną skorupę kolejnej muszli amonitowej. „A więc leżą na dnie” - pomyślał, próbując wstać, ale uświadomił sobie, że stworzenie w ciągu tych kilku sekund zdołało zaciągnąć go głębiej niż myślał. W końcu wynurzył się z wody do wysokości klatki piersiowej.



Przez rześkie powietrze niosły się krzyki zebranych na plaży osób.

Najpierw zobaczył Chana, który stał kilka stóp obok niego, wyklinając gigantycznego rekina i dźgając go nieustannie w sam środek nosa. Stworzenie manewrowało głową, próbując złapać za koniec kruchej włóczni i dosięgnąć Chana, który skupił na sobie cały gniew bestii.

Howard w kleszczach bólu przedzierał się przez wodę, jego kroki zwalniała sięgająca piersi woda i gigantyczny drapieżnik. Zdrowa stopa wciąż osuwała się z pokrytych śluzem kamieni, utrudniając przedostanie się na płytszą wodę. Chan za jego plecami wciąż miotał przekleństwa, dźgał i kłuł wodę spienioną przez wściekłego rekina szamoczącego się na płyciźnie. Sekundę później Howard pośliznął się znowu i upadł na dno.

Ktoś złapał go pod pachy i wyciągał na powierzchnię. Robodziewczyna.

- Uspokój się - powiedziała beznamiętnie.

- Co... co z... Chanem? - wysapał z niemałym trudem.

Zaciągnęła go na wodę wystarczająco płytką, by mógł w niej brodzić na czworaka, i puściła go, a sama wróciła na głębszą wodę.

Odwrócił się i usiadł wśród cicho pluskających fal, był wykończony i prawie nie czuł piekącego bólu przeszywającego pogruchotane kości stopy. Patrzył, jak Beki rozbryzguje wokół siebie wodę, torując sobie drogę w stronę Chana, któremu, co nieprawdopodobne, wciąż udawało się utrzymać rekina na dystans włóczni.

„Strasznie duża ryba” - zdążył jeszcze pomyśleć. Potem świat przewrócił się na bok.

\*

Liam uważnie patrzył na młodzieńca, gdy ten odzyskiwał przytomność.

- Leonardzie? Jak się czujesz?

- Boli - stęknął z wysiłkiem.

Beki pochyliła się nad nim.

- Kości nie są złamane, ale przerwane zostało ścięgno Achillesa, dolna część nogi jest poraniona, jest też kilka otarć. Będzie bolało, ale wykurujesz się.

- Ale jest też zła wiadomość - powiedział Liam grobowym tonem. - Twój but tego nie wytrzymał.

Howard uśmiechnął się krzywo. Ogień trząsał wysoko na plaży, rzucając na kamienie tańczące iskry światła i głębokie cienie, które rozciągały się aż do wody cicho pluskającej o brzeg.

- Cześć! - przywitał go Edward. - Dobrze się czujesz?

- Uratowałeś mi życie - odrzekł Howard, spoglądając na niego.

- Walnąłem w niego kilka razy moim kijem. Nic więcej. - Edward skromnie wzruszył ramionami.

- Boże, ależ mieliśmy szczęście - powiedział Howard, krzywiąc się przy próbie zmiany pozycji.

- Nie - poważnie odrzekł Liam. - Nie do końca, brakuje Ranjita.

Liam przypominał sobie, że chłopak wolno brodził w wodzie na końcu grupy, coraz bardziej zostając w tyle. Popelnili błąd, pozwalając sobie na rozluźnienie szyku, rozchodząc się po plaży jak grupka turystów w tropikach. Wzrosło w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa, wzmocnione przez spokojne morze po jednej stronie i szeroką, otwartą plażę po drugiej.

- Biedak - wyszeptał Howard.

- Rekin musiał go dopaść na początku.

Liam przeanalizował taką możliwość. Chłopak szedł jakieś dziewięćdziesiąt metrów za nimi, na pewno usłyszeliby odgłos rozstępującej się przed rekinem wody. Na pewno usłyszeliby krzyk Ranjita. Popatrzył w ciemność, zastanawiając się, czy to rzeczywiście sprawka rekina. Może palce maczały w tym ciemne kształty. Te same, które popołudniu opadły na ziemię i rozpląły się w powietrzu niczym duchy, gdy zerknął przez ramię, by ponownie na nie spojrzeć.

„Czy to wydarzyło się naprawdę? Naprawdę to widziałem?”

- Mieliliśmy szczęście - powiedział Kelly - że porwał tylko jednego z nas. Widzieliście, jakie to było wielkie? Większe niż orka.

- To epoka wielkich drapieżników - rzekł Whitmore. - Naprawdę wielkich. Złota era gigantycznych mięsożerców. - Twarz mężczyzny wciąż była blada jak płótno. Chociaż od wypadku upłynęło już kilka godzin wciąż nie mógł się uspokoić. - A my jesteśmy ich żerem.

- Ta złota era nie potrwa już długo - powiedział Franklyn. - Jeśli do naszej ery zostało sześćdziesiąt pięć milionów lat, to epoka kredowa niedługo dobiegnie końca. Wkrótce Ziemię wstrząśnie katastrofa, która wytrzebi wszystkie duże gatunki. Paleontolodzy nazywają to wydarzenie granicą K-T. Za tą cienką granicą osadu nie znajduje się już dinozaurów, a już na pewno nie tych dużych.

- No i dobrze - powiedziała Laura.

- Duża asteroida? - spytał Juan. - Właśnie przez to wszystkie wyginęły?

Franklyn wzruszył tylko ramionami.

- To wciąż gorąco dyskutowany temat. Mogła to być asteroida albo erupcja wielkiego wulkanu. Istnieje prawdopodobieństwo, że na planecie drastycznie zmieniły się warunki klimatyczne. Bez względu jednak na przyczynę wymarcia, wielkie gatunki na pewno nie były

na to przygotowane.

- Ale nie stanie się to chyba podczas naszego pobytu? - spytała Jasmine, która zachowywała się niemal tak nerwowo i niepewnie jak Whitmore.

- Mało prawdopodobne. - Franklyn prychnął lekceważąco.

- A więc - mruknął cicho Edward - zostało nas piętnaścioro. Jeśli nikt nas nie uratuje, nie przeżyjemy.

Po ostatnim zdaniu przy ognisku zapadła cisza. W ciemności unosił się jedynie łagodny szum fal i trzask płonącego drewna.

- Leonardzie, skonstruowałam dla ciebie parę kul. - Beki prze rwała milczenie. Howard uniósł się na łokciach.

- Idziemy dalej? Liam przytaknął.

- Tak, prawie jesteśmy na miejscu. - Wskazał plażę. - Jeszcze tylko siedem, osiem kilometrów wzdłuż zatoki i jesteśmy na miejscu... dlatego musimy iść.

- Racja. Teraz nie możemy zawrócić - przytaknął Whitmore.

Laura przysunęła się bliżej ognia, osłaniając ramiona przed chłodem nocy.

- Uda się nam. Na pewno ktoś odnajdzie wiadomość i przybędzie nam na ratunek.

- Oczywiście, że tak. - Liam się uśmiechnął. Już nas szukają. A nasza wiadomość pozwoli im zawęzić zakres poszukiwań. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze. - Spojrzał na Beki. - Prawda?

Jednostka skinęła głową, najwyraźniej rozumiejąc, że wszyscy czekają na krzepiące słowa.

- Liam ma rację.

## ROZDZIAŁ 42

Nowy Jork rok 2001

- Skąd możesz mieć pewność? - Sal uważnie spojrzała na

Maddy. Starsza dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie mogę mieć stuprocentowej pewności. Ale słuchajcie - jeżeli Liam i jednostka przeżyli skok, na pewno właśnie to zrobią. Właściwie tylko w ten sposób mogą postąpić.

Sal podniosła wzrok znad kubka kawy i spojrzała na rozświetlone przez syczącą lampę jarzeniową wnętrze bazy i roletę wejściową. Było już dobrze po jedenastej. W normalny wtorek cała trójka powoli zbierałaby się do snu: Liam siedziałby na łóżku z nosem utkwionym w podręczniku historii i miską płatków ryżowych na klatce piersiowej, Maddy surfowałaby po Internecie. Dzisiaj jednak obie siedziały przy stole kuchennym, czekając na nadejście północy i odnowienie cyklu. Słyszała powoli rosnący szum instalacji poboru mocy z kondensatora. Gdy wybije północ, doznają chwilowego uczucia spadania, pole czasowe zresetuje się do nowego cyklu, popłyną pierwsze sekundy poniedziałku.

Maddy była pewna - a przynajmniej usilnie starała się sprawiać takie wrażenie - że chwilę po zresetowaniu próżni, sekundę po wybiciu północy, w bocznej uliczce zmaterializuje się ktoś chcący je spotkać.

Ale kto?

Maddy powiedziała, że „tajemnice zawsze wypływają na powierzchnię”. Miała na myśli, że o fakcie, iż w Nowym Jorku dwa tysiące pierwszego roku znajduje się wehikuł

czasu, na pewno w końcu dowie się jakaś podejrzana agencja rządowa i mężczyźni w czarnych garniturach. Tak istotna informacja o niebagatelnym znaczeniu po prostu musi trafić w ręce agentów specjalnych. Sal miała nadzieję, że jeśli tak się stanie, Maddy będzie wiedziała, jak nawiązać z nimi współpracę i sprowadzić Liama do domu.

A później co? Co dokładnie?

Przesłuchania? To nieuniknione. Tajniacy za żadne skarby świata nie przepuszczą takiej okazji, będą wypytywali o wszystko: o bazę, o maszynę translokacyjną, o zasady jej działania. Będą chcieli wiedzieć wszystko, poznać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Zasypią je pytaniami: Czym jest tajemnicza Agencja? Ilu członków liczy ich komórka? Gdzie teraz przebywają? Kto dowodzi?

Sal naprawdę nie była przekonana, czy chce wrócić do poniedziałku i stawić czoła tej nowej sytuacji. Istnieje też oczywiście inna możliwość - po rozpoczęciu nowego cyklu nic się nie wydarzy.

Według Maddy, sytuacja była czarno-biała. Wszystko gruntownie przemyślała. Jeżeli nikt się nie pojawi, wniosek może być tylko jeden. Jeżeli na zewnątrz nikt nie czeka, Liam i jednostka pomocnicza nie przeżyli eksplozji. A nawet jeśli zdołali przeżyć, nie udało im się przesłać wiadomości; zabłądzili w czasie na dobre, a one nigdy ich nie zobaczą.

Spojrzała na zegar elektroniczny ustawiony na stole kuchennym, słabo podświetlone czerwone cyfry przeskakiwały w irytująco wolnym tempie.

Dwudziesta trzecia szesnaście. „Na Jahullę... naaaprawdę nienawidzę czekania”.

## **ROZDZIAŁ 43**

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam popatrzył w górę stromego zbocza wyrastającego wprost z turkusowego morza i wąskiego pasa kamienistej plaży. Górę porastały rozłożyste drzewa tropikalne, splątane liany i kołyszące się na wietrze liście paproci. Przed nimi kolejna ściana gęstej dżungli. Przyzwyczał się już do krzepiącego komfortu przebywania na równinie, gdzie z oddali dostrzegało się nadciągające niebezpieczeństwo.

- To za tym wzgórzem?

- Potwierdzam. Półtorej mili na północny wschód od aktualnej lokalizacji - odparła Beki.

Reszta grupy ociężale zamykała pochód przez szeroką plażę, dzisiejszego ranka nikt już nie odważył się brodzić w wodzie. Leonard wolno posuwał się o kulach na końcu stawki, podtrzymywany przez Edwarda i Jasmine.

- Mam wynik - powiedziała Beki.

- Słucham?

- Naszej sygnatury czasowej.

- Ach. - Liam uniósł brwi. - Kiedy udało ci się to wyliczyć?

- Ustawiłam procedurę trzydzieści trzy godziny temu, zidentyfikowałam i skatalogowałam wszystkie cząstki tachionowe wygenerowane przed i po zrzucie. Dwa miliardy dziewięćdziesiąt trzy miliony trzysta dwadzieścia dwa tysiące dziewięćset sześć cząstek przed zrzutem. I siedemdziesiąt trzy miliony tysiąc pięćset siedemdziesiąt dwie zidentyfikowane po nim.

Liam wywrócił oczami, drobiazgowa analiza matematyczna nie była mu do niczego potrzebna.

- Świetnie. Czyli... jaki jest wynik?

- Biorąc pod uwagę stałą prędkość obumierania cząstek, według moich obliczeń cofnęliśmy się w przeszłość o sześćdziesiąt dwa miliony siedemset trzydzieści dziewięć czterysta sześć lat. - Uśmiechnęła się z dumą. - Z dokładnością do pięciuset lat.

- Świetna robota, Beki. - Patrzył, jak pozostali powoli pokonują dystans po uciekających spod nóg, chrzęszczących kamieniach. - Teraz mamy datę, którą możemy umieścić w wiadomości i zaszyfrować ją na podstawie książki Harry Potter.

- Potwierdzam.

- No i oczywiście datę i lokalizację biura terenowego. - Wciągnął powietrze przez zęby. - Chyba naprawdę igramy z czasem na wielką skalę.

- Igramy - odpowiedziała.

- Zastanówmy się, jak zabezpieczyć nasz komunikat „zabierzcie mnie stąd”. Musi przetrwać sześćdziesiąt milionów i ileś tam lat.

- Sześćdziesiąt dwa miliony, siedemset trzydzieści... Podniósł rękę uciszającym gestem.

- Wiadomość musi przetrwać w ziemi długi, bardzo długi czas.

- Popatrzył na Whitmore'a i Franklyna, którzy szli obok siebie, porównując zebrane muszle. - Mam nadzieję, że ci dwaj geniusze od skamieniałości wiedzą, jak zakonserwować wiadomość.

W pewnej odległości, sześć lub pięć kilometrów w górę plaży, zobaczył kilka długich szyj pospiesznie wyłaniających się z dżungli: na otwartą przestrzeń wybiegało stadko alamoaurów.

„Czegoś się wystraszyły” - pomyślał. Patrzył, jak giganty galopują po plaży, wzbijając



tumany kurzu. Jego wzrok spoczął na Edwardzie i Jasmine, którzy pomagali kuśtykającemu Leonardowi iść po kamieniach. W końcu dogonili resztę załogi zgromadzoną u podnóża stromej zbocza prowadzącego do dżungli.

- Wystarczy pokonać to wzgórze i jesteśmy na miejscu, panie i panowie - rzekł Liam.

Franklyn gonił resztkami sił, ciężko łąpał oddech i spływał potem. Stwierdził, że wystarczyłyby jeszcze dwa stopnie nachylenia, by wdrapywanie się na wzgórze zamieniło się w ekstremalną wspinaczkę po pionowej ścianie. Zastanawiał się, w jaki sposób wielkie drzewa z grzybowatymi baldachimami liści zdołały wyrosnąć na tych urwistych skałach.

Pozostali radzili sobie zdecydowanie lepiej niż on, nawet ten biedny dzieciak, Leonard, który niezręcznie podskakiwał i stukał kulą, powłócząc kontuzjowaną nogą. Ale Franklyn ważył od nich z dziesięć kilko więcej, większość tłuszczu odłożyła się wokół brzucha. „Dziecięca pulchność” - tak to nazywał, z próżną nadzieją, że nadwaga magicznie zniknie w college’u, a w jej miejscu wyłoni się wysportowane, atletyczne ciało. W głębi ducha nie wyrzekłby się swojego geekostwa, ale nie pogardziłby też ciałem sportowca.

Inteligentny sportowiec.

Coś takiego zdarza się niezwykle rzadko.

Rozmarzony, nieuważnie postawił krok i wywrócił się, zdzierając gołe nogi o skałę.

- Auch! - syknął.

- Wszystko w porządku, stary? - spytał Juan, który maszerował pięć metrów wyżej.

- Tak, w porz... - Gdy wstał, plecak spadł mu z ramion i zaczął zjeżdżać po wzgórzu. - Och, nie! - mruknął, patrząc, jak odbija się od pnia i chyżo sunie w dół. - Bomba - westchnął. - Teraz muszę zejść i zacząć wspinaczkę od nowa.

- Powiem innym, aby zaczekali, aż przyniesiesz plecak.

Franklyn podziękował skinieniem głowy i zaczął schodzić po zboczu. Zauważył, że żółty plecak zawisnął na niskiej gałęzi. Dobrze, nie będzie musiał schodzić na sam dół.

Kilka minut później był już na miejscu, przecisnął się przez rozłożyste liście paproci i wyszedł na małą polankę zasłaną wysuszonymi szyszkami, igłami i wilgotną ziemią. Po drugiej stronie polany - na szerokiej półce skalnej - zatrzymał się jego plecak, wciąż zawieszony na ramiączku, które zaplątało się w złamaną gałąź. Gdyby tam nie utknął, przetoczyłyby się przez krawędź, a Franklyn musiałby kolejne dziesięć minut schodzić aż do samego podnóża góry.

Podszedł do plecaka i wyplątał go z gałęzi. Tym razem założył go na dwa ramiona, postanawiając, że nie dopuści już do jego utraty. Odwrócił się, by wznović wspinaczkę, ale dostrzegł na ziemi coś dziwnego: znajomy kształt ludzkiego odcisku w suchym gruncie. Ślad wyglądał niemal tak samo jak te pozostawione przez nich samych, ale z każdej strony odchodziły trzy małe wgłębienia wskazujące na trójpalczaste zwierzę. Pochylił się jeszcze bardziej, aby uważnie przyjrzeć się odciskom.

„Mój Boże”. Właśnie takie ślady znaczyły teren wokół zwłok dinozaura, które odkryli kilka dni temu. Nagle uświadomił sobie, co to oznacza, i w tym samym momencie jego usta wyschły na wiór.

„Śledzą nas”.

Uklęknął i wypatrywał kolejny trójpalczasty odcisk na ziemi. Potem kolejny. I kolejny.

„Śledzą nas... od momentu, gdy wyruszyliśmy z obozu”.

Właśnie w tym momencie usłyszał cichy szelest poruszonych liści, coś wyszło z gęstwiny i stanęło na półce tuż za jego plecami.

- O rany! - wyszeptał.

## ROZDZIAŁ 44

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Złamany Pazur wyczuł, że nowa istota wie, że wataha czai się w pobliżu; nozdrza drapieżnika wychwyciły ledwie uchwytną woń strachu; chemiczny koktajl potu i adrenaliny przypominający zapach wydzielany przez wielkich roślinożerców. Nowa istota uświadomiła sobie wreszcie, że jest tropiona.

Być może to odpowiedni moment, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tych dziwnych, bladych stworzeniach. Cichym warknięciem rozkazał pozostałym członkom hordy, aby zostali na miejscu, poza zasięgiem wzroku. Nowa istota trzymała w bladych, tłustych łapkach jeden z „łapiących kijów”. Widział, jak jedna z istot odgania takim drągiem gigantycznego mieszkańca mórz. Nie spuszczał wzroku ze stworzenia, gdy skradał się pod rozłożystymi liśćmi paproci, pod gałęzią, z której nowa istota kilka chwil temu wyciągnęła coś jasnego i kolorowego, i przeszedł ze skalistego urwiska na małą polanę. Słony zapach strachu stał się jeszcze intensywniejszy, nowa istota odwróciła ku niemu twarz. Złamany Pazur uniósł się z przyczajonej pozycji na zadnich łapkach i stanął w pełni wyprostowany.

„Boi się”.

Znalazł się teraz tak blisko nowej istoty, że mógł jej się dobrze przyjrzeć: niespotykane wielkie oczy za zaokrąglonymi, lśniącymi i przezroczystymi dyskami. Twarz obwisłego, bladego mięsa, nie wyrzeźbiona przez mięśnie, ścięgna ani kościsty pancerz. Wydawała dźwięki za pomocą ust, dźwięki, które nie brzmiały jak żadne inne odgłosy zwierząt z doliny, którą nazywali domem. Dźwięki brzmiały podobnie do prostego języka chrząknięć, pomruków i warknięć, którym posługiwała się wataha Złamanego Pazura.

Franklyn z nie mniejszym zainteresowaniem przyglądał się stworzeniu, które przed chwilą wyłoniło się z dżungli. Kształt jego ciała najlepiej można by opisać jako coś w połowie między mniejszym gatunkiem teropoda... a człowiekiem. Stwór był niesamowicie

chudy, cechowała go zwinność ptaka. Para długich, wiotkich kończyn, skierowanych do tyłu jak zadnie nogi psa, zbiegała się na wysokości kościstej, wyrzuconej ostro do przodu miednicy o bardzo kobiecych kształtach. Drobną talią pod wystającą klatką piersiową, zakrzywiony, gruzłowaty i przygarbiony kręgosłup łagodnie przechodzący w kruchą, smukłą szyję podtrzymującą wydłużoną czaszkę. Gdyby ktoś obserwował to stworzenie z większej odległości, mrużąc oczy, mógłby uznać je za hominida - człowiekowatego.

- O mój... mój Boże - wyszeptał Franklyn.

Stworzenie przekrzywiło długą, gładkokościstą głowę, która odrobinę przypominała Franklynowi hot-doga; z bezwargich ust wyrastały rzędy śmiercionośnych zębów. Nad paszczą znajdowały się dwie dziury - nozdrza, wokół których podczas oddychania marszczyły się i naciągały płaty mięśni. Jeszcze wyżej tkwiły gadzie, żółte oczy skrzące się żywą inteligencją. Skóra miała ciemnooliwkowy odcień, który wokół najwrażliwszych elementów anatomii - podbrzusza i miednicy - rozjaśniał się do niemal ludzkiej bladuróżowej barwy.

Stworzenie kłapnęło szczęką, wydając przy tym jękliwy dźwięk, który chłopakowi mgliście skojarzył się z pomrukami sytego dziecka zadowolonego po karmieniu. Brzmiało to niemal jak odgłos wydany przez człowieka. Stwór przez dłuższą chwilę świdrował go wzrokiem z taką samą ciekawością i inteligencją jak on jego, po czym wydał kolejny zgrzytliwy dźwięk, tym razem odrobinę głębszy. Czarny język za zębami drgał, łopotał i zwijał się jak nerwowe zwierzę w klatce; przyjmował różne kształty, a z pyska wydostawały się różne dźwięki.

„Czy... czy on mnie właśnie naśladuje?”

- Cześć - powiedział Franklyn.

Stworzenie przekrzywiło głowę na bok jak pies przysłuchujący się głosowi swojego pana. Po raz kolejny otworzyło usta, język wciąż wywijał piruety.

- Ahe-eeee - wystękał gad, tym razem jeszcze niższym tonem, głębszym niż ton dziecka, niemal idealnie przypominającym barwę głosu Franklyna.

Chłopak poczuł, że uczucie strachu ustąpiło fali ekscytacji. „Próbuje nawiązać kontakt” - pomyślał i odważył się powiedzieć coś składnie:

- Cześć, mam na imię Franklyn. - Tym razem odezwał się głośniejszym, odważniejszym głosem, mówił wolniej.

Długa głowa przekrzywiła się na drugą stronę w niemal komicznym geście. Jedno z długich ramion - muskularne, szczupłe, zakończone trzema palcami zwiniętymi w długie, śmiercionośne, zakrzywione i ząbkowane ostrza - ugięło się i naprężyło.

„To jakiś sygnał?” - zastanawiał się Franklyn.

Chłopak spróbował powielić ten gest: uniósł krótką, tłustą rękę na wysokość twarzy i w ten sam sposób zgiął palce. Stworzenie wypuściło powietrze z nozdrzy i trzasnęło zębami. Czyżby stworzenie właśnie zaśmiało się z tej niezdarnej imitacji?

W tej samej chwili do uszu chłopca dobiegło pęknięcie gałązki i stukot spadających kamieni; coś schodziło ze wzgórza.

Beki zeskoczyła z gęstwiny dokładnie między stworzenie i Franklyna, przybierając postawę gotowości do walki, i obróciła się na pięcie, by stawić czoła gadziemu hominidowi.

- Uciekaj - powiedziała spokojnie, przygotowując się do ataku, w jednej dłoni trzymała prymitywną, wyszczerbioną siekierę, w drugiej włócznię.

Franklyn zamienił się w słup soli, nie wiedząc, co powinien zrobić. Stworzenie opadło na cztery łapy, wydłużona bananowata czaszka odchyliła się do poziomu rdzenia kręgowego pomiędzy łopatkami. Gad syknął i warknął, po chwili na grań, stromo opadającą nad samą zatokę, wyszła wataha jego pobratymców.

- UCIEKAJ! - krzyknął Liam, który nieporadnie wytoczył się z gęstwiny i zatrzymał na środku polany obok Beki. - Biegnij, do diabła, BIEGNIJ! - krzyknął, wstając z ziemi i mocno ściskając w rękach dzidę.

Chwilowe wahanie minęło, gdy Franklyn zobaczył, że dywan ciemnooliwkowych ciał skrada się w jego stronę na czworakach, przetaczając się przez polanę niczym potok śmiertelności. Odwrócił się, złapał za gałąź, podciągnął się w górę zbocza, sapiąc ze strachu i wysiłku, i szybko zniknął w zielonej gęstwinie razem ze swoim żółtym plecakiem.

- Co? - zasyczał Liam. - Ach, chrzanić to! Myślałem, że jest tylko jeden!

Stworzenia rozproszyły się po polanie, próbując zająć ich z obu flank i okrążyć.

- Rekomendacja: uciekaj! - krzyknęła Beki, odwracając się do niego.

Liam usłyszał odgłosy dochodzących z góry kroków. Nie był pewien, czy dźwięk oznacza, że towarzysze spieszą im na ratunek, czy że uciekają wyżej.

- Hmm... dobra. Poradzisz sobie... sa-ma?

Beki zignorowała to jąkanie i podrzuciła trzymany w prawej ręce topór z gracją fehmistrza. Żółtookie stworzenia otoczyły ich jednak zbyt szybko, Liam nie miał wyjścia - musiał zostać. Mocno oparli się o siebie plecami.

- O... rany... o j-jejku... Ja naprawdę nie... uch, o Boże...

- Trzymaj się blisko mnie - rzuciła Beki przez ramię.

- Ja-jasne... a gdzie idziesz...?!

Beki była już w ruchu. Odwrócił się i zobaczył, jak skoczyła do przodu, wymachując dzidą niczym batutą. Ostry szpikulec przebił bok jednego z hominidów i utknął między dwoma żebrami, dzięki czemu Beki z łatwością zwała go z nóg. Liam osłaniał jej plecy, mierząc włócznią w istoty zamykające krąg tuż przed nim.

Beki z wdziękiem baletnicy znowu zrobiła wypad, wymachując na lewo i prawo wyszczerbionym toporem. Broń zaczepiła o długie, haczykowate palce jednej z istot; szpony wyleciały w powietrze, rozbryzgując nieregularne łuki krwi.

Jedno ze stworzeń nagle rzuciło się na Liama, próbując odciąć mu drogę ucieczki za Beki. Dzięki umiejętności widzenia obwodowego, chłopak kątem oka złowił ruch i zdążył skierować dzidę na nacierającą bestię. Wiotki bambusowy drzewiec zawibrował od siły uderzenia.

Śmiercionośne, sierpowate szpony stworzenia zatrzymały się kilka centymetrów przed jego twarzą, ociekające plwociną zęby osadzone w długiej paszczy gada trzaskały i zgrzytały. Dzida przeszła stworzenie, które wciąż było jednak zdolne do walki i jeszcze bardziej rozjuszone niż wcześniej.

- Jezus Maria! Właśnie jednego nadziałem.

Ale Beki pochłonięta była walką.

Jeszcze mocniej przywarł do włóczni, na której zawisło miotające i wiercące się stworzenie, powoli i metodycznie coraz głębiej wwiercające się w pał. Ręce chłopaka zalewały strużki gęstej krwi.

- Pomocy! - krzyknął.

Zauważył, jak kolejny hominid kuli się, szykując się do skoku, ale nagle powietrze przeciął pisk jednego z gadów przypominający krzyk dziecka. Sekundę, uderzenie serca później, ciemnooliwkowe ciała zaczęły się odczołgiwać, podrywać na nogi i z niesamowitą szybkością biec w stronę skalistej grani, za którą niknęły po kolei w zieleni.

Przepadły. Po prostu.

Za wyjątkiem wciąż szamoczącego się na włóczni stwora. Sierpowaty szpon zahaczył o ramię Liama, rozerwał materiał koszuli i wtopił się w mięśnie z łatwością rzeźnickiego ostrza siekącego mięso.

- Grgh! - ryknął Liam. - Pomóż mi!

Beki pojawiła się obok niego w mgnieniu oka i szybkim cięciem uderzyła w zgrabny kark stworzenia, które zamarło w oczekiwaniu na dopełnienie się swojego przeznaczenia. Długa głowa przechyliła się na bok z ciekawością, po czym przekrzywiła z powrotem na zgarbiony kręgosłup; ścięta czaszka trzymała się jeszcze ciała na postrzępionym kawałku odsłoniętego blad różowego ścięgna. Mięśnie jednej z nóg napinały się w pośmiertnych drgawkach.

Liam popatrzył na Beki. Jej blada twarz i tułów umazane były we krwi, a w beznamiętnych zazwyczaj, szarych, zimnych oczach błyskały teraz ogniki szaleństwa rozszerzające źrenice. Ale wrażenie to minęło bardzo szybko, sztuczna inteligencja zaczęła odzyskiwać kontrolę nad mimiką. Jednostka popatrzyła na niego spokojnie.

- Jesteś ranny, Liamie?

Chłopak ponownie spojrzał na zakrwawione ramię, na szczęście cios nie sięgnął tętnicy. Niejasno uświadomił sobie, że musi być w szoku, gdy usłyszał swoje własne słowa:

- Może mnie ktoś zabrać z powrotem na Titanica?

## ROZDZIAŁ 45

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Dwadzieścia minut później Liam i Beki weszli na szczyt wzgórza - niezalesione garby skalne z pełnym widokiem na wszystkie trzy strony tropikalnego morza.

Liam opadł na skalisty grunt.

- G-gdzie się podziały? - spytał Franklyn, patrząc zza pleców Liama na skraj



opadającej ku morzu dżungli. - Idą za wami?

- Już nas nie ścigają - odrzekła Beki.

- Mój Boże, raniły cię! - krzyknęła Laura, siadając obok chłopaka. Oderwała kawałek koszuli i użyła go jako bandaża.

- Co tam się, u diabła, wydarzyło? - spytał Kelly, rozluźniając krawat i podając go Laurze, która zrobiła z niego opaskę uciskową. Mężczyzna spojrzał na Franklyna, wciąż łapiącego oddech po pokonaniu półkilometrowego odcinka dżungli. - Chłopak właśnie mamrotał coś o ataku sfory bestii.

- Taa... - Liam skinął głową, wyciągnął z plecaka plastikową butelkę i wypił reszkę wody. Przez chwilę wentylował płuca, starając się zgromadzić wystarczającą ilość powietrza, aby powiedzieć pełne zdanie. - Taa... zostaliśmy zaatakowani. Było ich mnóstwo... całe dziesiątki.

- Dziesiątki czego? - dopytywał Whitmore.

- Jakiś gatunek zwierząt polujących w watasze - wyjaśniła Beki.

- Och, Boże, nie mówcie mi tylko, proszę, że to raptory. - Whitmore zbladł.

- Gorzej - odrzekł Franklyn. - Zdecydowanie gorzej. - Usiadł obok Liama, ściągnął okulary i wytarł zaparowane szkła. Jedno z nich było poznaczone pajęczą siecią pęknięć. - Nie przypominają żadnego znanego gatunku - powiedział, ostrożnie przecierając porysowane szkło. - Nikt nigdy nie natknął się ani na skamieniałości po tych stworzeniach ani na nic podobnego.

Whitmore przykucnął obok chłopca.

- Powiedz mi, co to było? Co widziałeś? Franklyn bezsilnie pokręcił głową.

- Ja... ja naprawdę nie wiem. Są podobne i do ludzi i do raptorów. - Uważnie spojrzał

nauczycielowi w oczy. - Zupełnie nie przypominają żadnego znanego gatunku.

- Może to jakiś podgatunek teropodów? Chłopak energicznie pokręcił głową.

- Nie... nie, na pewno nie. Być może miliony lat temu miały wspólnego przodka, ale teraz... one są... one... - szukał najlepszego słowa, aby je opisać.

- Wyjątkowe? - odpowiedział Liam. Jęknął z bólu, gdy Laura docisnęła opatrunek i zawiązała supeł.

- Tak! - zgodził się Franklyn, ponownie zakładając na nos okulary. - Wyjątkowe. Właśnie. Muszą stanowić ślepą uliczkę ewolucji. To superinteligentne drapieżniki.

Kelly postąpił kilka kroków do przodu.

- To nie ma sensu, Franklynie. Gdyby rzeczywiście były superinteligentnymi stworzeniami, ich gatunek rozkwitnąłby, a szczątki przetrwały do współczesności.

- Jak inteligentne? O jakim poziomie inteligencji my tu w ogóle mówimy? - spytała Laura.

- Są bystre - powiedział Liam. - Bardzo bystre. - Popatrzył na pozostałych. - Wydaje mi się, że widziałem je na wielkiej równinie, kiedy Beki uderzyła dinozaura w nos. Obejrzałem się za siebie w chwili, gdy wybuchła panika... wtedy chyba je widziałem. Wyglądały jak sfora małp... chyba nawet dokładnie tak wtedy pomyślałem.

- To nedorzeczne - powiedział Whitmore. - Jedyne żyjące w tej chwili ssaki są wielkości ryjówki.

- To nie ssaki - powiedział Franklyn. - To bez wątpienia gady.

- Jak już mówiłem - nie dawał za wygraną Liam - myślałem, że to istoty małpopodobne, choć tak naprawdę nie byłem pewien, co dokładnie widziałem, bo zniknęły w mgnieniu oka. Natychmiast przypadły do ziemi, kiedy zauważyły, że ktoś je obserwuje.

- Śledzą nas od samego obozu - powiedział Franklyn. - Widziałeś ślady?

Liam potrząsnął głową.

- Trzy wyraźne wgłębienia na końcu długiej stopy?

Liamowi przed oczami przemknął teraz obraz sierpowatych szponów: cztery na przednich łapach i trzy na zadnich.

- Tak... masz rację.

- Te same ślady znaleźliśmy przecież obok zwłok dinozaura. Jestem przekonany, że to ich ofiara.

Liam spojrział w dół zalesionego stoku, na szeroki zawijas długiej zatoki lśniącej w świetle dnia. W oddali majaczyła szeroka nizinna połąć równiny. Jeszcze dalej, zagubiony wśród błyszczącego powietrza i trzydziestokilometrowej mgły, powinien wznosić się niski grzbiet ze stokiem i krawędzią urwiska, a za nim ich zatopiona w dżungli dolina.

- Musiały nas obserwować - powiedział, czując gęsią skórkę i mrowienie we włosach.  
- Obserwowały nas i śledziły od samego początku.

- Ale to było... ponad tydzień temu - zauważył Juan.

- Uplęło dziewięć dni - dodała Beki.

- Szły za nami przez cały ten czas? - skrzywił się Juan.

- Przyglądały się nam - powiedział Liam. - Uczyły się naszych zachowań. Staraly się dowiedzieć, czy jesteśmy groźni.

- Tak... myślę, że masz rację. - Franklyn wstał i badawczo spojrział na skraj dżungli kilkanaście metrów poniżej. - Są ciekawe świata, a przez to inteligentne. Może niemal tak

inteligentne jak my.

- Gatunek dinozaurów inteligentnych jak ludzie? Daj spokój, Franklynie, to...

- Posługują się językiem. Słyszałem, jak się porozumiewają.

- Ma rację - poparł go Liam. - Porozumiewały się dziwnym językiem, gdy otoczyły mnie i Beki.

- Jeden z nich próbował powiedzieć coś do mnie, zanim pojawiłeś się ze swoją robodziewczyną. Próbował mówić jak ja!

- To czyste szaleństwo! - niedowierzał Whitmore. - Nie istnieją żadne dowody na istnienie gatunków zwierząt z czaszką na tyle dużą, aby mogła pomieścić mózg pozwalający na rozwinięcie języka, ani zwierząt zdolnych komunikować się językiem podobnym do ludzi.

- Ale właśnie o to chodzi, panie Whitmore! To, że nie przetrwały żadne skamieniałości po tych stworzeniach absolutnie niczego nie dowodzi.

- Chłopak ma rację - zgodził się Kelly. - Według paleontologów obraz czasów prehistorycznych jest niekompletny. W naszej wiedzy na ten temat istnieją poważne luki.

Whitmore w zamyśleniu drapał się po brodzie, patrząc na granicę dżungli.

- A to, o czym opowiadasz, dowodzi, że to wielka dziura a nie luka.

Wszyscy zamilkli, patrząc na najbliższe drzewa i posępne poszycie i wyobrażając sobie, że z ciemności łypią na nich groźne oczy.

- Co teraz robimy, Liamie? - spytała Laura. Chłopak w zamyśleniu przygryzł wargę, a po kilku chwilach odrzekł:

- Realizujemy plan. - Odwrócił się od ściany dżungli, z której wyszli kilka minut temu i spojrzał na zbocze po drugiej stronie szczytu. Poniżej znajdował się błady fartuch

piaszczystej plaży dekorującej zatoczkę zanurzoną pomiędzy dwoma wysokimi szczytami, które osłaniały lagunę niczym ramiona skalistego giganta. Dostrzegł błysk strumyka wijącego się przez gęstwinę bambusów i trzcin, aż do samej zatoki: urokliwej laguny z turkusowozieloną wodą, która zalewała półksiężyc kremowej plaży. W innym czasie, w innych okolicznościach, patrzyliby właśnie na dziewiczy raj tropików: ukrytą zatoczkę książkowych piratów.

- Czy to tam? - zapytał Beki. - Tam musimy dotrzeć?

- Potwierdzam. Zgadza się.

- Tak - powiedział, stanowczo kiwając głową i starając się sprawiać wrażenie zdecydowanego przywódcy. - Powinniśmy tam zejść w przeciągu pół godziny. Na plaży rozbijemy obóz i rozpalimy duże ognisko, to powinno wstrzymać zapędy tych stworzeń. Zorganizujemy straż: połowa z nas będzie spała, połowa czuwała. - Znowu popatrzył na Beki. - Napiszemy wiadomość, a jutro zasadzimy ją w ziemi.

- Jak to zrobimy? - spytał Kelly.

Liam chciał już odpowiedzieć, że jeszcze nie wie, ale wtrąciła się Jasmine. - Glina. Wszyscy spojrzeli na nią, nic nie rozumiejąc. - Glina - powtórzyła. - Jeżeli uda nam się zrobić tabliczkę, będziemy mogli wyryć w niej wiadomość i utwardzić w ogniu. Liam w zamyśleniu pogładził się po brodzie.

- To dobry pomysł. Właśnie tak zrobimy. Jakies pytania przed wyjściem?

- A co jeśli gady zejdą za nami? - spytał Juan, ponownie znacząco spoglądając na dżunglę.

- Cóż, dowiedziały się już o nas co nieco.

Pozostali spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co dokładnie Liam ma na myśli.

- Dowiedziały się, że możemy je zabić. - Wskazał na Beki. - Do wiedziały się, że nie

ma co zadzierać z robotką. Beki z oburzeniem zmarszczyła brwi.

- Mój identyfikator to Beki.

Chłopak obojętnie wzruszył ramionami, zbyt zmęczony, by przeprosić.

- Jasne... zbieramy się w takim razie.

## ROZDZIAŁ 46

Nowy Jork rok 2001

Budzik na stole wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści pięć. Maddy zauważyła, że Sal co chwilę niespokojnie na nią spogląda.

- Zostało tylko piętnaście minut.

- Trochę się boję - wyszeptała Sal.

Gdyby Maddy chciała się zdobyć na szczerość, bez wątpienia przyznałaby, że również jest trochę niespokojna. Zamiast tego uśmiechnęła się i sięgnęła przez stół po rękę młodszej dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze, Sal. Obiecuję.

- Może powinnam przynieść z zaplecza strzelbę Fostera? W razie gdyby pojawił się ktoś z wrogimi zamiarami.

- Myślisz? - Maddy uniosła brew. - Może to faktycznie niezły pomysł. Niewykluczone, że w uliczce przed drzwiami pojawią się nerwowi uzbrojeni mężczyźni w

garniturach i okularach przeciwsłonecznych.

- Sądysz, że tak będzie?

- Naprawdę nie wiem, co się wydarzy, Sal. - Maddy wzruszyła ramionami.

„Jeśli w ogóle coś się stanie...” - pomyślała, ale głośno powiedziała co innego:

- Jeśli pojawi się cała brygada agentów specjalnych, wiele raczej nie osiągniemy, wygrażając im bronią. Jestem pewna, że przybędą przygotowani, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Chyba tak - mruknęła Sal i zwiesiła głowę nad stołem, grzywka czarnych włosów opadła na atramentowoczarne oczy. - Jak możesz być taka spokojna?

„Spokojna, ja?” - pomyślała w pierwszej chwili, ale potem uświadomiła sobie, że rzeczywiście jest spokojna. Choć może to nie najlepsze słowo, raczej - zrezygnowana. I przygotowana na każdy scenariusz, jaki mógł rozwinąć się przez wieki, a w którym będą musiały się odnaleźć już za kilka minut, po zresetowaniu bańki czasowej. Wpadła na to wczoraj, gdy niecierpliwie wypatrywała Fostera; jedyne, co mogły w tej sytuacji zrobić, to czekać i zareagować na ewentualną wiadomość. Czekać. Czekać na falę czasu lub - oby tak się stało - wiadomość. Tylko wtedy będą mogły zrobić coś naprawdę użytecznego.

- Jestem spokojna, bo nic już nie zależy od naszych działań. Teraz musimy tylko czekać i obserwować. Nie ma sensu martwić się o coś, na co nie mamy wpływu. Kiepsko to zabrzmiało, ale lepiej nie potrafiła tego sformułować.

- A jeśli to źli ludzie, Maddy? Jeśli to łobuzy, które zechcą położyć łapy na wehikule czasu? Co zrobimy? Nie możemy im tak po prostu na to pozwolić.

- Już się tym zajęłam.

- Jak?

Maddy uśmiechnęła się na myśl, że wreszcie udało jej się zrobić coś jak należy.

- Bob zablokuje system komputerowy, gdy usłyszysz, jak wypowiadam hasło.

- Jasne. - Sal skinęła głową i zamilkła na chwilę. - A co jeśli ich ekspertom komputerowym uda się zhakować i odblokować system?

- To możliwe, ale czasochłonne. A im zwyczajnie nie wystarczy czasu.

- Jak to?

- Wszystkie dane zostaną zniszczone, jeśli Bob nie usłyszysz kodu odblokowującego.

- Hmm?

- Jeżeli w ciągu sześciu godzin nie podam drugiego hasła, zgodnie z wytycznymi wpadnie w kontrolowany szal, wyczyści wszystkie dyski twarde i spowoduje zwarcie w obwodach maszynery translokacyjnej. Potem je usmaży. Jeśli rzeczywiście spróbują z nami pogrywać, znajdą tylko przepalony silikon i dyski twarde nadające się na śmietnik.

Sal przytaknęła, patrząc na Maddy z nowymi pokładami szacunku.

- Na Jahullę, nieźle to obmyślaś.

- Widziałam w jakimś filmie. - Maddy skromnie wzruszyła ramionami. - Ludziom z tej historii się udało, więc nie wiem, dlaczego nam miałyby się nie udać.

- Jesteś dobrym strategiem - powiedziała Sal. - Wiem, że uważasz się za nieudacznika i wciąż obwiniasz o eksplozję, ale nie znam nikogo, kto wpadłby na to wszystko tak szybko jak ty. - Z zakłopotaniem odwróciła od Maddy wzrok, zakładając grzywkę za ucho. - Chcę tylko powiedzieć, że robisz dobrą robotę.

- Dzięki, Sal. Patrzyły, jak znika kolejna minuta na zegarze.



- Niedługo się przekonamy. Jeśli czają się tam źli ludzie, którzy chcą położyć swoje brudne łapska na naszym sprzęcie, nie obejdą się bez naszej pomocy. - Gdy zegar przeskoczył na godzinę dwudziestą trzecią czterdzieści siedem, Maddy wzięła głęboki oddech, czując, jak rosnące uczucie niepokoju coraz mocniej zaciska jej gardło. - No i będą też musieli być cholernie mili.

## ROZDZIAŁ 47

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Złamany Pazur ujął w łapy zimny, nieruchomy, martwy organ; jaskrawa czerwień ustąpiła miejsca przygaśniętemu fioletowi. Słońce powoli tonęło na niebie. Nieboskłon czerniał, półksiężyc rozświetlał dżunglę srebrnymi promieniami.

Stał w miejscu, z którego nowe istoty odeszły kilka godzin wcześniej. Dowody ich obecności znajdowały się dosłownie wszędzie: odciski stóp w ziemi, krople wyschniętej krwi na skałach i głazach. No i ta woń - charakterystyczny swąd strachu. Istoty zatrzymały się tutaj na chwilę. Były śmiertelnie przerażone.

„Nowe istoty boją się nas”. Dotychczas Złamany Pazur był przekonany, że to jego wataha musi strzec się nowych istot.

Bracia patrzyli na niego, czekali. Spojrzał na organ spoczywający w jego łapie, wszystko, co zostało z ich samicy, matki wielu młodych samców stojących teraz przed nim. Stanęłaby na czele watahy, gdyby Złamany Pazur umarł przed nią. Mądrość wynikająca z wieku wynagradzała jej mniejsze ciało, żaden młody samiec nie odważyłby się przeciwstawić jej autorytetowi. W przeciwieństwie do innych zamieszkujących te ziemie gatunków zwierząt o prostych umysłach - gatunków, w których obowiązywała sztywna hierarchia stadna oparta na brutalnej sile samców alfa - wielopokoleniowa rodzina Złamanego Pazura ceniła i

rozumiała moc inteligencji.

Ale teraz samica była martwa. Jej szczupła szyja została całkowicie odcięta, a przez klatkę piersiową biegła rana, która sama w sobie była już śmiertelna. Gdy wróciły na półkę skalną, jej ciało było wciąż ciepłe, ale życie odpłynęło. Dlatego zjadły ją, zrywając poszarpane pasy mięsa z kości. Pożarły skórę, tkankę mięśniową, organy: wypatroszyły ją do okrwawionych kości. Nic nie można było zostawić. Zbyt ją kochały, by pozwolić mniejszym padlinożercom na obgryzienie i zbeczeszczenie ciała.

Ale serce było jego, tylko jego.

Złamany Pazur trzymał je już od kilku godzin, nie chcąc rozstawać się z tą ostatnią pamiątką. Ale już pora. Zrobi to teraz, przebijając wzrokiem ciemny płaszcz nocy i wpatrując się w położoną poniżej zatoczkę i migocący pomarańczowy kwiat otoczony przez blade istoty.

Gdy jego wyszczerbione zęby powoli rozdzierały kawałek purpurowego organu i zatapiały się w żylastej tkance, Złamany Pazur przysięgał sobie w duchu, że wszystkie nowe istoty zginą, jedna po drugiej. Będzie patrzył im prosto w oczy, zanurzając szpony w piersiach i wyciągając ze środka wibrujące źródło życia.

Młode samce wciąż rozpaczały po stracie matki, cichutko jęcząc i zawodząc, gdy Złamany Pazur włożył resztę organu do pyska, ostatecznie żegnając partnerkę swojego życia. Odwrócił się do reszty watahy i uciszył ją krótkim warknięciem.

„Nie musimy bać się nowych istot”.

Inne też to rozumiały.

„Bez swoich chwytających kijów są nieszkodliwe jak roślinożercy”.

Te nieostrożne, głupie istoty często kładą swoje śmiercionośne narzędzia na ziemi i opuszczają je, nie zdając sobie sprawy, że bez nich są jak bezbronne szczenięta z małymi, pozbawionymi szponów rękami oraz prostymi, białymi zębami.

Złamany Pazur uważnie śledził ich ruchy na plaży oświetlanej przez żółty kwiat. Oczywiście wszyscy będą musieli umrzeć. Pomści samicę i zapewni przyszłość swojej watasze, która znowu stanie się jedynym inteligentnym gatunkiem na tych ziemiach. Głupotą byłoby pozwolić małym, bladym istotom na swobodny rozród.

Otworzył pysk, czarny język zawinął się i wykręcił podczas próby ponownego powielenia dziwnego dźwięku wydanego przez niskie, grube stworzenie z rudymi włosami i dziwnymi oczami. Z gardła Złamanego Pazura wydobył się skowyt uformowany przez język w odgłos, który, jeśli dobrze zapamiętał, zabrzmiał jak wierna kopia głosu istoty.

- Jee...sstemmmm... Fankk... liiiinnnn.

## ROZDZIAŁ 48

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Poranne słońce mocno grzało w plecy i ramiona Liama, który grzebał włócznią w niemal wygasłym ognisku, uważnie przeszukując spopieliałe gałęzie.

- Tylko ostrożnie - ostrzegła Jasmine, stając obok niego. - Gorące są bardzo kruche.

- Dobra - odpowiedział, starając się bardziej uważać. Chwilę później tępy koniec grubej trzciny bambusowej z głuchym odgłosem trafił w coś twardego.

- Mam jedną. - Ostrożnie rozgarnął popiół i dotknął twardego, prostokątnego zarysu wielkości cegły. - Zdaje się, że przetrwała wypalanie bez pęknięcia.

Używając liści paproci zamiast rękawicy kucharskiej, wyciągnął przedmiot z

wygasłego ogniska i niemal od razu upuścił na piasek.

- Ałaj! Cały czas jest cholernie gorąca! - Uklęknął obok wypalonego w ogniu kawałka gliny, delikatnie zmiatając pył z rdzawej powierzchni. Równe rzędy liter i cyfr wypełniał pył. Pozostali zgromadzili się wokół zajętej pracą dwójki i z zainteresowaniem patrzyli na małą, podłużną tabliczkę leżącą na plaży.

- Mój Boże, patrzcie! Naprawdę się udało! - mruknęła Laura. Napis był widoczny i bardzo wyraźny.

- Oczywiście, że się udało - odparła Jasmine. - Przecież wiem, co robię. Wyrabiamy z mamą biżuterię i sprzedajemy na eBayu.

Liam pochylił się i dmuchnął na tabliczkę, popiół małymi chmurkami wyleciał z zawijasowatych zagłębień przypominających jego pismo.

Zanieś tę tabliczkę 10 września 2001 r. pod następujący adres:

Łuk 9, Wythe Street, Brooklyn, Nowy Jork Wiadomość:  
89-1-9/54-1-5/76-1-2/23-3-5/17-8-4/7-3-7/58-3/12-6-9/23-8-1/3-1-1/56-9-2/12-5-8/67-8-3/92-  
6-7/112-83/234-6-1/45-7-3/30-6-2/34-8-3/41-5-6/99-7-1/2-6-9/1278-1/128-7-3/259-1-5/2-7-1/  
69-1-5/14-2-66. Klucz to „Magia”.

Whitmore przeczytał wiadomość ponad ramieniem Liama.

- Sądysz, że kod książkowy zadziała? Nie wiem, jakiej książki chcecie do tego użyć, ale większość ma kilka wydań. Wiecie o tym, prawda? A rozkład i numery stron są różne w zależności od wydania. Czy używacie jakiejś wewnętrznej instrukcji Agencji?

- Zadziała - odpowiedziała Beki. - Duplikat mojej sztucznej inteligencji używa tej samej bazy danych.

- Magia? - dziwił się Juan. - Czy to wskazówka, której książki użyć? Liam skinął głową i spojrzął na Beki.

- Myślisz, że Bob zrozumie wskazówkę?

Jednostka ściągnęła usta i obojętnie wzruszyła ramionami - kolejny gest, który musiała w ciągu ostatnich dwu tygodni podpatrzeć u nastoletnich uczniów.

- Nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi na tak postawione pytanie, Liamie.

- No to zapytam inaczej: ty byś zrozumiała? Powieki jednostki zatrzepotały.

- W mojej bazie danych znajduje się trzydzieści jeden tysięcy pozycji ze słowem „magia”.

- O Jezu! - mruknął Liam z rezygnacją. - Może powinniśmy dać jaśniejszą wskazówkę. Jedno słowo może nie wystarczyć, żeby Bob...

- Saleena Vikram zrozumie - przerwała mu Beki. - Jako „Bob” rozmawiałam z nią na temat tej książki.

- Żartujesz - prychnął Liam. - Potrafisz rozmawiać o literaturze?

- Powiedziałam jej, że bardzo podoba mi się magia w Harrym

Potterze. Whitmore wyprostował plecy i położył ręce na biodrach.

- To jakiś żart, prawda? Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że wasza supertajna, ponadczasowa agencja kryminalna używa książki dla dzieci jako klucza kryptograficznego?

Liam i Beki spojrzeli na niego niewinnie i zgodnie skinęli głowami.

- Boże! - Whitmore pokręcił głową. - Skąd wyście się urwali? Z Klubu Myszki Miki?

- Myszki Miki? Liam gestem dłoni nakazał Beki milczenie.

- Ważne, że zadziała, panie Whitmore! - odpowiedział, sam zaskoczony, że zabrzmiało to tak agresywnie. - Zadziała, tylko to się liczy!

Nietypowy dla Liama wybuch lekko zbił z tropu Whitmore'a.

- Cóż, to... to wydaje się, nie wiem, trochę...

- Amatorskie - dokończył za niego Franklyn. - Byliśmy pewni, że wasza Agencja stworzyła prawdziwy system kryptograficzny, jak każda poważna organizacja.

- Zgadzam się, nie chcę was dwojga obrażać - odezwał się Juan - ale sprawiacie wrażenie, jakbyście wszystko wymyślali na poczekaniu.

- Słuchajcie - powiedział Liam. - Nie mam zamiaru was okłamywać. Sam od niedawna podróżuję w czasie. A teraz po raz pierwszy znalazłem się w czasach dinozaurów. Jeśli więc sądzicie, że ja i Beki nie postępujemy zgodnie z jakimikolwiek standardami działania, to macie rację. - Podniósł się, otrzepując dłonie z pyłu. - Ale powiem tylko jedno: Agencja uratowała wasze skóry niezliczoną ilość razy. Problem w tym, że zawsze gdy ratuje historię i świat wokół nas, wy wieicie swój szczęśliwy żywot, nie wiedząc, że właśnie otarliście się o katastrofę. - Liam mocno zacisnął usta. - Ja i Beki już raz was uratowaliśmy. - Uśmiechnął się do wspomnień. - Stało się to, gdy pewien człowiek o nazwisku Hitler wygrał wojnę, zamiast ją przegrać. Powstał nie lada bałagan, ale zdołaliśmy wszystko wyprostować. Sądzę, że należy nam się za to odrobina wdzięczności. Nie jesteśmy chyba aż tak bezużyteczni.

- A co z waszą Agencją? - spytał Kelly. - Co to za organizacja?

Liam chciał odpowiedzieć, lecz Beki ostrzegawczo chwyciła go za rękę.

- Niech zgadnę: „informacja zastrzeżona” - zakpił Kelly.

- Przykro mi - odrzekł Liam. - Tak to wygląda. Wróćcie do dwa tysiące piętnastego roku, a więc im mniej będziecie o nas wiedzieć, tym lepiej. Mogę wam tylko powiedzieć, że jesteśmy świetnie zorganizowani i dysponujemy najlepszą technologią na świecie: mamy

nowoczesne komputery, „roboty” takie jak Beki i wiele innych urządzeń. Jesteście w dobrych rękach - dokończył z uśmiechem.

Patrzyli na niego z wyrazami twarzy, których nie był w stanie odczytać. „Odważnie, Liamie... - pokrzepiał się w duchu - bądź stanowczy”.

- Dobrze, dość trajkotania jak przekupki na targu. Mamy pełne ręce roboty. Panie Whitmore, Franklynie, gdzie najlepiej zakopać tabliczki?

Popatrzyli na siebie, bezwiednie wykonując gesty świadczące o bezradności - Franklyn przycisnął popękane okulary do nosa, a Whitmore pogładził się po zaniedbanej brodzie - i zaczęli szeptem wymieniać się pomysłami.

W końcu odezwał się Franklyn:

- Najlepiej osadzić kilka w gruncie na plaży. Powinniśmy wykopać dół głęboki jak... jak się da. A resztę... - Odwrócił się i skinął głową w stronę pobliskich zarośli bambusów i trzciny -...obok tego słodkowodnego strumienia. Brzegi są muliste, po obu stronach

jest dużo błota. Z tego, co wiem, tak opisywano złoża skamieniałości w Dolinie Dinozaurów, kiedyś były na nim tereny bagienne. Liam popatrzył na Jasmine:

- Sądzisz, że te gliniane tabliczki przetrwają w ziemi przez sześćdziesiąt pięć milionów lat?

- Nie... nigdy nie mówiłam, że przetrwają tak długo.

- Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek na temat skamielin, Liamie?

- Franklyn z troską potrząsnął głową. Liam potulnie skulił ramiona.

- Nie, Franklynie. Nic. Ale ty tak. Dlaczego mi tego nie wyjaśnisz? Grubasek westchnął i odpowiedział mentorskim tonem:

- Najprawdopodobniej skruszeją na długo, zanim na Ziemi pojawią się małpy, nie mówiąc już o Homo sapiens. Zostanie jednak ich odbicie w mule - jak odlew w gruncie - które przekształci się w końcu w warstwę skały osadowej. I to jest właśnie skamielina. - Chłopak uraczył Liama ciepłym, choć odrobinę protekcyjnym uśmiechem. - Same tabliczki szybko zamienią się w pył.

Liam w zamyśleniu pokiwał głową.

- W porządku. Teraz rozumiem. Niesamowite, że właściwie to nie robi żadnej różnicy: i tak zostanie po nas wiadomość, którą można przeczytać, mam rację?

Franklyn potwierdził skinieniem głowy.

- Świetnie, zaczynajmy więc. Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej stąd odejdziemy. - Odwrócił się do pozostałych. - Nie wiem jak wy, ale ja wolałbym rozbić na noc obozowisko na tej dużej, szerokiej plaży na dole, a nie tutaj.

- Obok tych stworów z dżungli? - powiedział Whitmore, spoglądając na otaczające ich lesiste wzgórza. - Rzeczywiście, lepiej będzie, jeśli się stąd wyniesiemy.

## ROZDZIAŁ 49

Nowy Jork rok 2001

- Trzy minuty - zakomunikowała Sal.

- Trzy minuty - jak echo powtórzyła Maddy. Obie słyszały, jak sprzęt pod biurkiem zaczyna buczeć, chciwie pobierając prąd z instalacji elektrycznej. Nie po raz pierwszy Maddy zastanawiała się, kto opłaca wszystkie rachunki za energię. Musieli zużywać astronomiczne ilości prądu.



Rozbawiła ją jej własna naiwność. Oczywiście nikt nie opłaca rachunków. Dla świata na zewnątrz i ich najbliższego sąsiada - mechanika samochodowego prowadzącego warsztat w ceglany łuku na końcu ich uliczki - na drzwiach opuszczonego budynku znajdował się tylko wymazana graffiti reklama, informująca o możliwości wynajęcia pomieszczenia o powierzchni trzystu metrów kwadratowych za rozsądne pieniądze.

Oczywiście za wyjątkiem wrześniego poniedziałku i wtorku, kiedy ktoś naprawdę ciekawski mógł zauważyć, że wprowadziło się tu troje młodych ludzi, którzy w niewytłumaczalny sposób znikają w środę.

- Och - powiedziała Sal. - Zapomniałam... niedawno widziałam coś ciekawego.

- Tak?

- W sklepie ze starzyzną, niedaleko stąd. Właściwie to nic ciekawego, zwykły zbieg okoliczności. Mundur, mundur stewarda

z Titanica. Dokładnie taki jak Liama. - Sal z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Naprawdę?

- Sprzedawczyni powiedziała, że nie jest prawdziwy, że to tylko kostium ze sztuki teatralnej. No ale to i tak dość zabawne. Mogłabym go kupić Liamowi na zapas.

- Nie sędzę, żeby prędko zachciało mu się wracać na Titanica. Biorąc pod uwagę, co go tam czeka.

- Nie - powiedziała, a jej uśmiech szybko zgasł. - Chyba nikt z nas nie chciałby wrócić.

Cyfry na zegarze zamigotały i przeskoczyły. Dwie minuty.

Maddy naprawdę wolałaby, żeby Foster był tu z nimi: spokojny, zrelaksowany Foster

z krzepiącym, krzywym uśmiechem na starej, pomarszczonej twarzy. Jego skóra zawsze wyglądała jak wysuszony pergamin, jakby była wystawiona na zbyt długie działanie słońca na świeżym powietrzu.

„...świeżym powietrzu...”. Były to jedne z ostatnich słów Fostera. Wypowiedział je tego ranka, gdy zabrał ją na kawę, aby się pożegnać.

- Na świeżym powietrzu - wymamrotała pod nosem.

- Hmm? - Sal uniosła brew. „...nie miałbym nic przeciwko dobremu hot-dogowi na świeżym powietrzu...”.

Użył dokładnie takich słów. To jedno z ostatnich zdań, jakie wypowiedział. Tym właśnie chciał się cieszyć w ostatnich dniach życia. Słońcem, świeżym powietrzem i przyzwoitym hot-dogiem. Na obrośniętym drapaczami chmur Manhattanie istniało tylko jedno miejsce, gdzie nowojorczyk mógł liczyć na stały dopływ słońca i świeżego powietrza oraz obfitość stoisk z hot-dogami. Jedno jedyne miejsce.

- Chyba wiem, gdzie poszedł Foster - powiedziała w zamyśleniu.

Czerwone diody LED na zegarze wskazywały już dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dziewięć.

- Gdzie?

Maddy wstała od stołu kuchennego i z hurgotem odsunęła krzesło, echo zgrzytnęło w całej bazie.

- Powiem ci innym razem. Niedługo będziemy miały gości.

Sal wstała i dołączyła do niej na środku pomieszczenia, obie uważnie wpatrywały się w żaluzję i odliczały ostatnie sześćdziesiąt sekund, przysłuchując się, jak głęboki warkot maszynierii zmierza ku finalnemu crescendo.

Lampa jarzeniowa nad ich głowami zaczęła migać i przygasać.

- Oto zbliża się nicość - powiedziała Maddy, sięgając odruchowo po rękę Sal.

## ROZDZIAŁ 50

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

- Myślisz, że jest wystarczająco głęboki? - spytał Liam.

Beki uklękła nad sięgającą pasa dziurą w błocie i patrzyła, jak ciemna masa powoli ścieka po bocznych ścianach, a na dnie, wokół kostek Liama, zaczyna zbierać się mętna woda.

- Nie wiem - powiedziała.

- Nie wiesz? Świetnie. - Otarł pot z czoła, rozsmarowując po nim przy okazji trochę błota. - Kto wie, jak głęboki ma być ten dół. Podasz mi tabliczkę?

Obrócił w rękach bryłę gliny i przyjrzał się bacznie wrytym literom i cyfrom. „No i jak będzie, mój mały posłańcu? Pomożesz nam?” - pomyślał. Pochylił się i włożył tabliczkę do mętnej wody zapisaną stroną do dołu, po czym delikatnie wcisnął ją w błocko.

- Liczymy na ciebie, Pani Tabliczko, liczymy, że zrobisz dla nas co tylko w twojej mocy. Wytrzymaj proszę, ile potrafisz, bądź grzeczna, i, jak zwykła mawiać moja ciotka Loretta: „nigdy nie następuj nikomu na odcisk”. - Spojrzał na Beki z uśmiechem oblepionym błotem. - No i? „Nie następuj na odcisk”? Co teraz zrobiłem?

Popatrzyła na niego swoimi zimnymi, analitycznymi oczami.

- Zastosowałeś grę słów - odrzekła. - Użyłeś wieloznacznego słowa w dwóch różnych kontekstach.

- Właśnie, gra słów... rozumiesz? To miało być zabawne.

Zmarszczyła brwi, po chwili na jej twarzy zakwitła nieszczera wesołość, a ona wybuchła kpiącym śmiechem. Liam wzdrygnął się z zażenowania.

- Jezu, Beki, jeśli to nieśmieszne... po prostu się nie śmieję. Mówię poważnie, to żenujące. Natychmiast przestała.

- Potwierdzam.

Liam wygramolił się z dziury, boczne ściany zaczęły zapadać się i osuwać na dno. Wrzucili do środka kilka garści błota i mułu, czekając aż jama zapadnie się samoczynnie. Po kilku chwilach na brzegu strumienia dostrzegli tylko ledwie widoczny kopczyk. Liam zerwał dość długi bambus i wetknął go w pagórek, po czym oderwał kawałek jasnozielonego materiału z dolnej części spodenek i przywiązał do łodygi.

- A to, żebyśmy łatwiej znaleźli tabliczki po powrocie.

Beki przytaknęła. Nalegała na wykonanie tej części planu: po naprawieniu przyszłości należy powrócić po wszystkie pięć tabliczek zakopanych w ziemi i na dobre usunąć odciski w czasie.

Liam spojrział w dół strumienia. Mała arteria niosąca świeżą wodę zakręcała i niknęła poza zasięgiem wzroku za labiryntem trzcin.

- Ciekawe, jak inni sobie radzą.

Kelly wyprostował się i oparł ręce o zmęczone plecy. Dwie tabliczki zakopali już głęboko w drobnym piasku, po obu stronach zatoczki, obie oznaczyli chorągwiemi zrobionymi z bambusa i rękawów jego eleganckiej koszuli.

- Zrobione! - Uśmiechnął się do pozostałych. Wszyscy wydali ściszony okrzyk radości: Juan, Laura, Jasmine, nawet Akira, dziewczynka nieśmiała jak Edward, wstydząca się mocnego akcentu i jąkania.

Mężczyzna spojrział w górę plaży, na linię trzciniowych chaszcz i skupiska bambusów oraz małą deltę słodkiej wody i mułu tworzącej na plaży wachlarz wyłobień spływających do ciepłego morza.

- Reszta niedługo upora się z zadaniem - powiedział. - Potem będziemy mogli wrócić.

Laura spojrzała na stromy szczyt porośnięty dżunglą, po którym będą musieli się wspinać. - Ciekawe, czy te stworzenia wciąż się tam czają. Juan podążył za jej wzrokiem. - Mamy naszą broń i robodziewczynę. Wszystko będzie dobrze.

- Niewykluczone, że jesteśmy bezpieczniejsi niż wcześniej - powiedział Kelly. - Jeden został zabity podczas próby ataku, teraz pewnie o wiele bardziej się nas obawiają.

Laura zacisnęła palce na włóczni.

- Tak, chyba ma pan rację.

Franklyn skończył układać mały kopczyk kamieni wokół podstawy białej w ziemię łodygi bambusowej i spojrział na Whitmore'a. Mężczyzna prowadził Edwarda i Leonarda, którzy sprawiali teraz wrażenie świeżo adoptowanych braci, sto metrów dalej, w stronę kolejnego wzniesienia przy mulistym brzegu rzeki. Wcześniej stwierdzili, że to idealne miejsce na zakopanie drugiej tabliczki.

- Idziesz, Franklynie? - krzyknął nauczyciel.

- Sekundkę! - odpowiedział chłopak. - Łodyga wciąż przewracała się na jeden bok, a kamienie jeszcze nie do końca przytrzymały ją we właściwej pozycji. - Dołączę do was za sekundę! - odkrzyknął, sięgając po kolejny duży otoczek wygładzony przez rzekę.

Wtedy to usłyszał. Cichy, przytłumiony krzyk przypominający skomlenie małego dziecka. Zamarł, przysłuchując się szumowi kołyszącej się trzciny i pluskowi strumienia. Chwilę później znowu usłyszał ten dźwięk - tym razem głośniejszy, wyraźniejszy. Brzmiał jak odgłosy wydawane przez cierpiącego człowieka. - Hej ho! - krzyknął. - Kto tam? Jedna z dziewczyn? Pewnie pośliznęła się na kamieniu.

- Jasmin? Laura?

Znowu rozległ się ten sam udręczony, żałośliwy i natarczywy krzyk. Dochodził z trzcinowiska.

- Akira? To ty? - Podeszedł bliżej i zdało mu się, że widzi na ziemi przy trzcinach jakiś poruszający się kształt. Przedarł się głębiej.

- Co się stało? Potknęłaś się? Zraniłaś?

Kształt odpełził w głąb sitowia, poza zasięg jego wzroku. Poruszał się szybko - zbyt szybko jak na człowieka. W tym samym momencie, dzięki umiejętności widzenia obwodowego, po prawej ręce dostrzegł dwie źrenice wpatrujące się w niego intensywnie. Zbliżyły się do niego na odległość zaledwie kilku metrów: wyraźne, wybałuszone, żółte ślepia osadzone na wydłużonej, szczupłej czaszce, która opadała na przygarbione kościste ramiona i zgięty kręgosłup. Głowa stworzenia swoim kształtem odrobinę przypominała mu aerodynamiczny kask noszony przez kolarzy lub narciarzy zjazdowych na olimpiadzie, ale była dużo dłuższa - jak głowy kosmitów z filmów, które na okrągło oglądał na DVD jego starszy brat. Stworzenie zamarło w idealnym bezruchu, świdrując ofiarę wzrokiem. Nagle rozwarło szczękę z ostrymi jak skalpel zębami i wysunęło czarny język wijący się jak wąż.

- Jesss... temm... Fank... liiinnn - wysyczało.

„Mój Boże” - Franklyn właśnie uświadomił sobie, że ta istota, ten sam gadzi hominid, na którego natrafił wczoraj w dżungli na wzgórzu, zapamiętała jego imię, zapamiętała krótką rozmowę, wymianę zdań. Coś podobnego nie wydarzy się na planecie przez dziesiątki milionów lat. Mało tego, stworzenie miało krtań i wystarczająco giętkie narządy mowy, aby wypowiedzieć ludzkie słowo!

- Tak! - wyszeptał z podekscytowaniem. - Tak, to ja! - powiedział, wskazując na siebie. - Nazywam... się... Franklyn. Długa, stożkowata głowa przekrzywiła się na bok, a stworzenie wysunęło się z sitowia.

Na samym dnie plecaka, pod ostatnią porcją wędzonych ryb zawiniętych w lepkie liście, leżała naładowana jeszcze komórka. Miał nadzieję, że wystarczy mu baterii, aby zrobić kilka zdjęć, a może nawet nakręcić filmik z mówiącym gadem. Ostrożnie zdjął plecak z ramion.

- Tylko coś wyjmę - wyszeptał uspokajająco i powoli się poruszył. - Dobra?

Stworzenie wciąż stało w całkowitym bezruchu, żółte oczy z ciekawością obserwowały każdy ruch człowieka. Chłopak rozpiął plecak, z którego wypłynęła cuchnąca woń ryb. Płaty skóry wokół nozdrzy hominidy zaczęły drgać.

„Czuje jedzenie. Zmiana planów” - pomyślał Franklyn i rozwinął jedno z zawiniątek.

- Masz, popatrz! Jedzenie. - Wyciągnął mały kawałek uwędzonego mięsa i podstawił je pod nos stworzenia.

Ponad sitowiem rozległy się głosy Whitmore'a i pozostałych, którzy musieli znajdować się niecałe sto metrów dalej. Nie wiedział, czy powinien się martwić, czy cieszyć, że pojawiają się i wystraszą bestię. W głębi duszy wolałby, żeby nie przybiegali. Mógł do nich krzyknąć. Ale jaki skutek to wywoła? Atak albo ucieczkę stworzenia, którego już z pewnością nigdy nie spotka.

Uświadomił sobie, że byłaby to tragedia: gatunek wyginie, jak wszystkie gatunki dinozaurów. W sensie geologicznym świat dinozaurów skończy się już niedługo. Za tysiąc lat? Dziesięć tysięcy? Może katastrofa, masowa zagłada na nieznaną skalę wydarzy się jutro. I nie ma znaczenia, czy wszystkie lądowe gatunki zwierząt większe od psa zginą i uduszą się w wyniku wybuchu superwulkanu, czy też zderzenia Ziemi z asteroidą. A ten gatunek inteligentnych stworzeń, w wielu aspektach tak bardzo przypominający człowieka, w niektórych elementach bardziej podobny do człowieka niż małpa, jego własny przodek,

zniknie z powierzchni planety jak pozostałe głupawe dinozaury. Znikną, nie zostawiając za sobą śladu, nikt nigdy się o nich nie dowie, nie zostanie po nich żadna skamieniałość, nie zostaną ochrzczone łacińską nazwą ani wystawione w muzeum w charakterze eksponatów paleontologicznych. Cóż za okrutna ironia losu. Franklyn miał przed sobą stworzenie, które za kilka milionów lat...

„...może stać się człowiekiem” - dokończył myśl chłopak.

Nieprzeciętna inteligencja, gadzia wersja Homo sapiens.

- Mój Boże... jesteś... jesteś niesamowity - wyszeptał.

Stwór znajdował się już jedynie kilka metrów od niego. Chłopak widział wyraźnie żółte oczy w czołgającej się bryle mięsa, a poznaczone żebrami i kręgosłupem plecy wyglądały jak plecy anorektycznej supermodelki na wybiegu lub szczupłej gimnastyczki.

-...fank... liiin - ponownie wyszczał stwór.

Franklyn pomyślał, że musi zrobić zdjęcie. Gatunek zasługuje na upamiętnienie, a przynajmniej wizualne udokumentowanie jego istnienia. Ostrożnie położył kawałek mięsa na ziemi przed stworem, po czym znowu sięgnął do plecaka po telefon komórkowy.

Istota przysunęła się kolejny metr, a następnie wyciągnęła swoją długą szyję i zaskakująco wydłużoną głowę, aby obwąchać mięso. Po chwili szczupłe ramię wystrzeliło do przodu, łapa z trzema śmiertelnie niebezpiecznymi, sierpowatymi szponami dotknęła podarunku, przewróciła... i niedbale odsunęła na bok.

Stwór przechylił głowę i ściągnął płaty wokół nozdrzy. Wtedy Franklyn uświadomił sobie, że gad nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany stęchłym kawałkiem ryby. Obwąchiwał go tylko, odczytywał zapachy jak szaman obwąchuje kości, jak chiromanta odczytuje znaki z siatki linii na dłoni.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy. Ja... tylko... - Franklyn jąkał się nerwowo.



Szczęka gada otworzyła się szeroko, a język w środku zakręcił się i wykrzywił.

- Nie krzywddd... - próbował naśladować chłopaka.

- T-tak... Przyjaciel... p-przyjaciel - powtarzał Franklyn, dotykając klatki piersiowej. Gad był tak blisko, że chłopak mógł wyciągnąć rękę i pogłaskać twardy jak kość pancerz wyrastający z jego czaszki. Czuł ciepły, cuchnący podmuch powietrza wydobywający się z nozdry bestii.

Franklyn trzymał już w dłoni telefon komórkowy. Z oczami utkwionymi w źrenicach gada dotknął menu dotykowego, przeszedł do trybu kamery i nacisnął przycisk NAGRYWAJ.

- Gatunek - powiedział łagodnie, przesuwając kamerkę w telefonie od stóp do głowy stwora. - P-prawdopodobnie daleki przodek w-welociraptora... bądź, co bardziej prawdopodobne, mądrzejszego troodona. - Miał sobie za złe, że jego głos drży jak u zdenerwowanej dziewczynki. Jeśli ten kilkusekundowy materiał ma uczynić go sławnym, Franklyn powinien brzmieć jak profesjonalista, prawdziwy ekstremalny podróżnik, a nie geek z dygocącymi kolanami.

- Ten gatunek... jest d-dość niesamowity. Posiada zdolność imitowania ludzkiego głosu. Paszcza hominida nagle kłapnęła z głośnym trzaśnięciem zębów, trzciny wokół zaczęły szumieć.

Franklyn spojrzął znad telefonu.

- O Boże... n-nie...

## ROZDZIAŁ 51

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam usłyszał krzyk. Suchy, długi, rwany krzyk, który nagle umilkł.

- Słyszałaś to?

- Potwierdzam - przytaknęła Beki i wyprostowała się. - To może być wataha hominidów. Bezzwłocznie powinniśmy wrócić do pozostałych.

- Idziemy. - Liam chwycił za włócznie.

Przedarli się przez wąski strumień, rozbryzgując fale wody, i wyszli na przeciwległy brzeg. Nie dalej niż dwieście metrów bliżej plaży Whitmore i jego podopieczni mieli zakopać tabliczki. Właśnie z tamtego miejsca dobiegał krzyk. Liam nie potrafił stwierdzić, czy długi krzyk wydał z siebie męskie czy kobiece gardło, ale był to wrzask pełen przerażenia i w niepokojący sposób przerwany.

Ponownie przeszli przez wodę, aby ominąć gąszcz trzciny w pobliżu miejsca, gdzie strumień opływał gładki głaz wielkości samochodu. Minutę później zobaczył przed sobą ciasno zbitą grupę przyjaciół przyglądających się czemuś leżącemu na ziemi.

- Co się stało?! - krzyknął.

Nikt nie odpowiedział. Zwrócili w jego stronę twarze blade jak prześcieradło. Kelly i jego grupa również usłyszeli krzyk i szybko przybiegli z plaży. Musieli się tu znaleźć jakąś minutę wcześniej.

- Co się stało?! - krzyknął ponownie, gdy z pluskiem przebiegali z Beki przez strumień, by dołączyć do reszty na mulistym brzegu.

Teraz widział to na własne oczy.

Krew.

Dużo krwi i kilka strzępów ubrań, najwyraźniej należących do

Franklyna. Ale ani śladu chłopca.

- O nie - wymamrotał, żegnając się w roztargnieniu. - To chyba

nie...? Whitmore przytaknął.

- Franklyna. Był tutaj... a my tam - wydusił z siebie, wskazując w dół strumienia. - Tam... zaraz za tymi trzcinami.

- Nic nie słyszałem - powiedział Howard. - Ani nie widziałem. Usłyszeliśmy krzyk. Przybiegliśmy tu, ale przepadł. Po prostu przepadł.

Kelly powiedział na głos to, co myśleli wszyscy:

- To stwory. Bestie. Znowu nas wytropiły.

- Nie wiemy tego na pewno - powiedział Liam. - Są też inne drapieżniki.

- Wiemy na pewno - niespodziewanie wtrąciła się Laura. Podała Liamowi telefon komórkowy pokryty kropelkami krzepnącej krwi. Na małym ekranie na okrągło odtwarzał się film nakręcony w niskiej rozdzielczości, trzęsącą się ręką: błękitne niebo i rwący się obraz czegoś na moment wchodzącego w kadr. Ale to wystarczyło, żeby zidentyfikować szczupłe jak kościotrup stworzenie z długą, zwężającą się ku końcowi czaszką. Po chwili na wyświetlaczu znowu pojawiło się bladoniebieskie niebo, które zaczęło drgać, bo kamera najpewniej została wytrącona na ziemię. Chwilę później z małego głośnika wydobył się dźwięk warczenia i stukania zębami oraz rozpaczliwy krzyk i odgłos czegoś rwanego na kawałki.

Liam przełknął głośno ślinę i poczuł, że jego usta i gardło w jednej chwili wyschły na wiór; z twarzy coraz szybciej odpływała krew, zamieniając ją w bladą facjatę ducha, podobną do pozostałych.

- Idziemy - wyszeptał. - Natychmiast opuszczamy to miejsce.

- Ale... zostawiłem plecak na plaży - powiedział Juan.

- Zapomnij o tym cholernym plecaku! - warknął Liam. Spojrzał na Beki, gotów zaatakować jednostkę, gdyby ośmieliła się szepnąć słowem o potencjalnej kontaminacji. Ale jednostka wydawała się doskonale rozumieć sytuację. Wskazała tylko kierunek, w którym powinni podążać. Czeka ich wspinaczka po stromym zboczu i marsz w gęstej dżungli.

- Poprowadzę - powiedziała. - Rekomendacja: wszyscy powinni trzymać się blisko.

- O to nie musisz się martwić - szepnął Liam do siebie. Wyciągnął z plecaka własnej roboty siekiere, w drugą ręką wziął włócznię. - Wszyscy gotowi?

Skinęli głowami. Wszyscy chwycili za taką czy inną broń. Nikt nie kwapił się do ponownego wejścia pod gruby baldachim liści i pnączy oraz pomiędzy gęste skupiska paproci, gdzie mogła czaić się śmierć, ale jeszcze mniej komfortowo czuliby się, zostając choćby sekundę dłużej na miejscu.

- Co w takim razie z Franklynem? - przyciszonym głosem spytał Chan. Nikt nie miał ochoty udzielić odpowiedzi na to pytanie. Chłopiec spojrzał więc na Howarda. - Nie będziemy go szukać, Leonardzie?

- On odszedł, Edwardzie. Odszedł - odrzekł Howard.

- Potwierdzam. - przytaknęła Beki. - Informacja: zgodnie z przybliżonymi szacunkami na ziemi znajdowało się co najmniej trzy litry krwi. Franklyn nie mógł tego przeżyć.

- Chodź - powiedział Liam, kładąc rękę na ramieniu Edwarda.

- Naprawdę powinniśmy już iść - ponaglił go i spojrzał na wznoszącą się przed ich oczami dżunglę.

## ROZDZIAŁ 52

Gliniane tabliczki, pięć sztuk zakopanych w błocie i piachu, cierpliwie odliczają upływające lata. Drzemią w mrocznych grobowcach, nad nimi przetaczają się i cofają przyływy, wokół nich, jak pierścienie w pniu rosnącego drzewa, gromadzą się warstwy błota wymieszanego z gnijącymi kośćmi kolejnych pokoleń zwierząt.

Dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy dziewięćset dwa lata po tym, jak grupa Homo sapiens umieszcza je w gruncie, planeta Ziemia drży od uderzenia skały rozmiarów Manhattanu pędzącej z prędkością sześćdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Fala spalanej energii kumuluje się i wyrzuca z siebie tysiące jeziorów zalewających miliony kilometrów kwadratowych równin na całym świecie. Przez niemal dekadę niebo pokrywa całun ciemności. Nastaje dziesięcioletnia noc, znika niemal cały ekosystem, przeżyją tylko odporne, małe gryzonie, przodkowie tych samych Homo sapiens.

Giganty z równin szybko wymierają, najpierw roślinożercy, później drapieżniki. Po nuklearnej zimie przychodzi holokaust. Nastaje zagłada masowa na niewyobrażalną skalę.

Pięć tabliczek wciąż leży pod osłoną mroku i nieświadomości.

Po uderzeniu asteroidy nastaje okres paleogenu: gigantyczny wycinek czasu trwający czterdzieści milionów lat. Rodzą się, żyją i umierają wtedy całe łańcuchy górskie. To epoka, w której ustępuje śródlądowe morze sięgające olbrzymiego łańcucha gór, nazwanych przez człowieka Skalistymi, i zalewające ziemie, które do tej pory znały tylko ciemność dna morskiego, ziemie nazywane Utah, Colorado, Wyoming, Nowy Meksyk. Dinozaury dawno już odeszły, zostały po nich milczące skamieniałości podobne do tabliczek. Nieustanny proces erozji i ruchy tektoniczne w końcu ponownie wystawią je na działanie powietrza i promieni słonecznych.

Na powierzchni, pod kopułą dziennego światła, powstał zupełnie nowy ekosystem, odmieniony świat. Jest chłodniejszy niż tropikalny świat dinozaurów, małe gryzonie urosły,

ewoluowały, zdywersyfikowały się i rozprzeczły po Ziemi pod postacią miliona różnych gatunków ssaków, większości z nich współczesny podróżnik nie byłby w stanie rozpoznać.

Pod koniec tego okresu jedna z pięciu tabliczek, teraz jedynie odcisk w warstwie piaskowca, została zniszczona podczas małego trzęsienia ziemi, które porysowało i zmieliło tę warstwę w luźny żwir. Delikatnie wyryte słowa i cyfry odcisnięte od tabliczki, która dawno już zamieniła się w pył, przepadły.

Cztery jej towarzyszki przetrwały. Dzieliący je dystans niecałych stu metrów jest wciąż taki sam jak w momencie, gdy miliony lat temu zostały zakopane.

Upływa kolejne dwadzieścia milionów lat, mija paleogen, nadchodzi neogen. Na świecie jest coraz chłodniej, po raz pierwszy w historii na północy i południu zaczyna formować się pokrywa lodowa. Gatunki traw kolonizują Ziemię w skali nieznanej dla prehistorycznych paproci, małe czworonożne ssaki, które zmieniają się nie do poznania i zostaną nazwane „bizonami”, błogo podjadają trawę.

Jakieś siedem milionów lat wcześniej twarde kopyto jednego z pasących się zwierząt zahacza o krawędź złamanego kawałka piaskowca i wyciąga go z ziemi. Bryła leży w ciemności nocy, w świetle księżycy widać dziwne, subtelne wzory i wypukłe znaki na jednym z jej boków. Ale ryk jednego z nocnych drapieżników wystraszył stado. Wszystkie zwierzęta jak na zawołanie zrywają się do ucieczki, oby dalej od źródła dźwięku. Noc wypełnia dudnienie tysięcy kopyt walących o spieczoną słońcem glebę. Jeszcze przed nadejściem świtu interesująca gruda skały osadowej zamienia się w pył i rozpada na mniejsze kawałki, stratowana przez tysiące bestii.

Na posterunku zostają trzej świadkowie, obserwując z ciemności niekończącą się wieczność odliczaną cichym tykaniem niecierpliwego zegara. Na powierzchni jeden z gatunków gryzonia, który wszedł na drzewo we wczesnym okresie paleogenu, z początkiem neogenu w końcu zszedł na ziemię w poszukiwaniu żywności. Jest większy, ma bardziej muskularną posturę, jego głowa jest proporcjonalnie większa niż czaszka przodków bytujących na drzewie. To gatunek, który pewnego dnia, za kolejny milion lat, zostanie nazwany „małą człekokształtną”.

Pewnego poranka w jedenastym tysiącleciu przed naszą erą ciepłe promienie słońca rozlewają się po równinie. Młody, odważny Indianin, tropiący pasące się bizona, przesuwa ręką po wysuszonej trawie i potrąca ostry kawałek kamienia. Z pomarańczowego gruntu wyłania się odłamek krzemienia z interesującymi napisami. Na moment napisy wzbudzają jego ciekawość, wyglądają na wykonane świadomie. Zaraz jednak jego myśli kierują się w stronę rozmiarów samego krzemienia. Młodzieniec decyduje, że mogą zostać z niego wykute trzy ostrza do tomahawka i dziękuje Wielkiemu Ojcu Słońce za znalezisko.

W ziemi zostaje już tylko dwóch posłańców.

W tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku młody porucznik Armii Konfederacji ucieka przed wojskami Unii, prowadząc grupkę żołnierzy, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że wojna secesyjna dobiegła końca. Porucznik opiera obolałe plecy o skałę. Zmęczone oczy, niepasujące do młodej twarzy, obserwują płynącą leniwym nurtem rzekę, palce zaciskają się na szorstkiej trawie. I... tak... natrafiają na ostrą krawędź kamienia. Młodzieniec przed wojną studiował historię, niewyraźne linie na kamieniu wzbudzają w nim autentyczną fascynację. Wkłada interesujący kawałek skały do sakw przy siodle i postanawia przy najbliższej okazji zabrać go do znajomego profesora historii naturalnej w Charleston. Ale jeszcze tego samego dnia oddział kawaleryjski wojsk Unii dopada wreszcie porucznika i jego ludzi. Przed zachodem słońca żołnierze i oficer leżą już w bezimiennym grobie w pobliżu rzeki Paluxy.

W ziemi zostaje już tylko jedna tabliczka.

## ROZDZIAŁ 53

Hrabstwo Somervell, Teksas

2 maja 1941 roku

Grady Adams z rosnącą irytacją patrzył, jak jego brat wydurnia się w rzece poniżej.

- Uważaj, Saul... spłoszysz mi wszystkie ryby! Brat zignorował go i zanurkował na dno spokojnej rzeki Paluxy. Gary zacisnął zęby. Jego młodszy brat czasami zachowywał się

jak kompletny palant. Nie, skreślić... nie czasami, zawsze. Ponownie usiadł na ziemi, zwieszając palce za krawędź cielistej skały zawieszanej nad rzeką. Gorące kamienie mocno grzały nagą skórę stóp; tatko rzekłby, że są gorące jak rozgrzana patelnia z jajecznicą. Słońce smagało je cały ranek, kałuża wody, która spłynęła z niego po ostatniej kąpieli w rzece pół godziny temu, już dawno wyparowała.

Popatrzył na niemal bezchmurne niebo i zrozumiał, że słońce nie planuje zrobić sobie żadnej przerwy. Z wielkiego, pobrużdżonego głazu po jego lewej ręce, kilkanaście metrów dalej wzdłuż półki skalnej, wyrastał mały, uschnięty cyprys, rzucający skąpą smugę cienia, w której mógłby znaleźć schronienie przed promieniami słońca.

Wstał, chwycił wędkę i ostrożnie przesuwiał się wzdłuż wąskiego występu skalnego. Ostrożnie, bo od czasu do czasu kawałki piaskowca odkruszały się od krawędzi i wpadały do płynącej metr niżej rzeki. Raz przydarzyło się to też Grady'emu: ześlizgując się do wody solidnie obtarł biodra i klatkę piersiową.

Saul ponownie wynurzył się na powierzchnię, hałaśliwie rozbryzgując wodę, co musiało wypłoszyć resztę ryb, hen, daleko od podskakującego spławika.

- Saul! Na litość boską!

Brat wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i odpłynął na przeciwległy brzeg, umyślnie waląc stopami w powierzchnię wody i hałasując możliwie jak najgłośniej.

Grady usiadł w cieniu, opierając plecy o chłodną skałę, obok niego, po prawej stronie, znajdowała się sucha, ziemista ściana pomarańczowej gleby, z której wyrastały poskręcane korzenie małego drzewa. Gmerał pomiędzy jasno-ciemnymi warstwami ziemi, które przypominały wymyślne ciasto biszkoptowe. Pomiędzy podobnymi zwałami gleby znalazł kiedyś ostrze tomahawka Pajutów. Przypomniał sobie, że zeszłego lata zespół mężczyzn rozkopywał te brzegi rzeki w poszukiwaniu pozostawionych w skale odcisków potworów.



„Ślady dinozaurów” - mówili, że tego szukają.

Grady i Saul widzieli już kilka takich odcisków; tak dużych, że mógł je zostawić słoń, ale widzieli też mniejsze: trzy głębsze wgniecenia gruntu i jedno płytkie. Saul mówił, że raz natknął się na odcisk ludzkiej stopy w skale, wyglądający dokładnie jak but. Matol zawsze wymyślał takie głupawe nonsensy. Grady doskonale przecież wiedział, że jaskiniowcy w czasach dinozaurów nie nosili butów. Ludzie w Glen Rose zaczęli nazywać to miejsce Doliną Dinozaurów wzorem mężczyzn i kobiet z różnych muzeów, którzy pojawili się tu w zeszłym roku, żeby odkopywać skamieniałości. Uśmiechnął się, ciągnąc za jeden z wygiętych korzeni. Nawet nieźle to brzmi. Dolina Dinozaurów. Zaczął wyobrażać sobie, jak gigantyczne bestie, które oglądał w książce z obrazkami, przechodzą przez ich Paluxy, przechadzają się w górę i w dół rzeki i wyciągają swoje szyje, aby napić się wody...

Pył i sucha ziemia opadły na jego rękę.

- Ałaj! - krzyknął i puścił korzeń, który wystrzelił do góry, uwalniając małą gliniastą lawinę. A później to zobaczył: łupek wielkości dłoni w połowie zwisał, w połowie spoczywał na płataninie korzeni powykręcanych niczym ogon świni. Sięgnął po znalezisko, które ciężko opadło w jego ręce.

Przez chwilę, patrząc na niemal trójkątny kształt, zastanawiał się, czy to nie przypadkiem kolejne ostrze tomahawka. Ale na bryle znajdowały się jakieś ślady po obróbce dokonanej przez zręcznego robotnika.

To tylko zwykły kawał skały.

Uniósł go w ręce, przygotowując się do puszczenia kaczki na drugi brzeg i zastanawiając, ile razy zdąży się odbić od powierzchni. Miał odpowiedni, płaski kształt; jeśli dobrze go podkręci powinien odbić się siedem, może osiem razy przed zatonięciem. Wstał i zobaczył Saula opalającego się na suchym gładzie po przeciwległej stronie rzeki.

- Hej! Saul!

- Co? - Brat podniósł głowę.

- Znalazłem prawdziwą brzytwę. Założysz się, że rzucę ósemkę?

- Tiaa - odkrzyknął. - Przecież ty ciskasz jak baba!

Grady pokręcił głową i westchnął. Brat naprawdę potrafił być wkurzający.

- Patrz i się ucz, głupi capie!

Ujął pewnie w dłoń kamień, zastanawiając się, która strona jest bardziej płaska... a później go odwrócił.

## ROZDZIAŁ 54

Nowy Jork

Rok 2001

W niedzielę dziewiątego września dwa tysiące pierwszego roku Lester Cartwright, drobny i wąski w ramionach mężczyzna, któremu do długo wyczekiwanej emerytury zostało jeszcze pięć lat pracy przy biurku, położył się obok swej pulchnej żony. Gdyby go zapytać, przyznałby bez wahania, że jest znudzony tym monotonnym życiem. Praca - tak, może i jest interesująca, ale nie wolno mu wiele na jej temat mówić - jest audytorem budżetów projektowych w unikającej rozgłosu agencji wywiadowczej, ale choć praca służb specjalnych wydaje się intrygująca, jego obowiązki sprowadzają się do szacowania zysków i strat. Równie dobrze mógłby to samo robić w Wal-Marcie, McDonalds'ie lub zwykłym sklepie spożywczym... jego praca wyglądałaby ludzako podobnie.

Nie sądził, że tak potoczy się jego kariera, gdy trafił do firmy w latach sześćdziesiątych jako młody agent gotowy służyć swojemu krajowi podczas operacji w terenie. Tamten młodzieniec gotów był umrzeć za Wujka Sama. Teraz jest staruszkim

bezmyślnie zatwierdzającym kolejne formularze kosztorysowe.

Przed pójściem do łóżka zdążył jeszcze wyprowadzić na spacer psa, Charliego. Właśnie zakładał piżamę i brał do ręki powieść szpiegowską Toma Clancy'ego, licząc na co najmniej trzy dreszcze emocji przed zgaszeniem lampki na stoliku przy łóżku.

Gdy zamknął już oczy i pogrzył w swoim urzędniczym śnie, dotarła do niego zmiana w postaci subtelного rozdarcia rzeczywistości. W falę rzeczywistości stopniowo wpisywały się nowe wydarzenia po tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku... wtedy młody chłopiec znalazł dziwną skałę na brzegu rzeki w Teksasie. Chłopiec odwrócił w rękach kawałek łupka i zauważył coś naprawdę dziwnego.

Pod osłoną nocy życie Lestera zmieniło się nie do poznania. A to nowe okazało się interesujące.

- Sir! Sir! - Ktoś delikatnie stukał w tylną szybę od strony pasażera. Lester Cartwright poruszył się niespokojnie. Znowu przeszkadzają mu, gdy analizuje coś niesamowitego, nierealnego.

„Ale to nie jest nierealne, prawda, Lesterze?” - pomyślał.

Spojrzał przez okno na agenta Forby'ego: ostrzyżonego na jeża mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych, z poważnym wyrazem twarzy, który sugerował, że człowiek ten nigdy nie skalał się opowiedzeniem żartu na służbie. Lester opuścił szybę o centymetr.

- Sir, już pora - powiedział Forby. Lester spojrział na zegarek. Trzy minuty do północy. Cholera... chyba znowu się zdrzemnął. „Za stary się na to robię”.

- Okolica zabezpieczona, Forby?

- Otoczyliśmy kordonem dwie przecznice. Na miejscu jest policja i gwardia narodowa. Most Williamsburg został wyłączony z ruchu, ewakuowano wszystkich cywilów z najbliższej okolicy.

Cartwright skinął głową. Wymyślenie historii na nagłówki jutrzejszych gazet okazało się bułką z masłem: groźba zamachu bombowego. Amerykanie świetnie reagowali na takie historie.

- Mamy pewność, że w pobliżu znajdują się sami funkcjonariusze agencji?

- Stuprocentową. Są tylko nasi - potwierdził Forby.

Cartwright wyjrzał przez okno, poza zgarbioną sylwetkę Forby'ego. Nad nimi unosił się most Williamsburg, najbliższe skrzyżowanie było całkowicie wyludnione, pięćdziesiąt metrów dalej znajdował się wlot do bocznej uliczki biegnącej wzdłuż ceglanych, łukowych konstrukcji mostowych.

„Mój Boże... wreszcie. Wreszcie nadszedł ten dzień” - ekscytował się Cartwright.

Poczuł przyjemne mrowienie w klatce piersiowej, włoski na karku mężczyzny uniosły się lekko.

- Dobra robota. - Otworzył drzwiczki samochodu i wyszedł na chodnik, czując, jak owiewa go ciepłe, wieczorne powietrze. - No to zaczynamy!

Cartwright ruszył cichą ulicą rozjaśnioną poświatą kilku syczących latarni i światłami reflektorów helikoptera unoszącego się wysoko na niebie. Nie licząc odległego szumu śmigieł, na trzech przecznicach Brooklynu panowała cisza jak makiem zasiał.

Przy wylocie bocznej uliczki ustawili barykadę obsadzoną przez funkcjonariuszy Cartwrighta, który usilnie nalegał, żeby tak blisko celu operacyjnego nie pałętali się ani żołnierze, ani policja. Chciał mieć tu tylko zaufanych ludzi, których osobiście pozyskał do pracy w małej, tajnej agencji nazywanej przez jej członków Klubem.

Skinął na nich, dając gestem znak, żeby unieśli broń i przepuścili ich przez blokadę. Popatrzył w głąb wąskiej, wybrukowanej i zaśmieconej ulicy, w połowie której stał porzucony kontener na śmieci.

„Dobry Boże, jestem podekscytowany... jak dziecko”.

Cała jego kariera zmierzała prostą ścieżką do tej właśnie chwili, od czasu, gdy Klub po cichu wyłuskał go z FBI. Wiedział od czterdziestu lat.

Lester Cartwright ruszył wzdłuż rzędu łukowych konstrukcji i minął pierwszą, wynajmowaną najwyraźniej przez jakiegoś mechanika.

Po przystąpieniu do Klubu jego przełożony poinformował go jedynie o kilku faktach; opowiedział przede wszystkim o niesamowitym odkryciu w Glen Rose w Teksasie - odkryciu, które mogło w znacznym stopniu narazić bezpieczeństwo narodowe. Przez kilka lat nie wiedział nic więcej. Ale czas mijał, Lester stopniowo awansował, aż został starszym agentem w Klubie. Odchodzący ze stanowiska szef ostatniego dnia służby wręczył mu pełną dokumentację; jego oczy wyglądały tak, jakby zdecydowanie zbyt długo wpatrywały się w czeluści.

„Zrób coś dla mnie, Lesterze - powiedział. - Zanim otworzysz te akta, rozsiądź się wygodnie w fotelu i wlej do gardła kropelkę burbona”.

„Sir?”.

„Za chwilę dołączysz do bardzo wąskiego grona osób. Osób, które wiedzą”.

Rzeczywiście było to małe grono.

Wtajemniczeni zostali prezydenci - Roosevelt, który piastował swój urząd w czasie, gdy artefakt został odkopany. Później Truman i Eisenhower. Przestali jednak informować prezydentów, gdy głupiec Kennedy oznajmił, że wszystko wyjawii opinii publicznej. Było to rok po dołączeniu przez Lestera do Klubu, rok incydentu z Dallas. Śliska sprawa. Ale na Klubie spoczywała nie lada odpowiedzialność.

Od tamtego czasu o niczym nie informowali prezydentów.

Cartwright minął trzeci i czwarty łuk, oba nie miały drzwi i były opuszczone. W

ciemności dostrzegł tylko igły i butelki. Agenci przetrząsnęli te pomieszczenia w poszukiwaniu włóczęgów, ale znaleźli tylko brudnego, cuchnącego i pijanego w sztok alkoholika. Cartwright czuł, że jego serce w klatce piersiowej wali mocniej, gdy powoli zbliżył się do metalowej żaluzji w czwartym łuku.

Od czterdziestu lat wiedział o przedmiocie nazywanym „artefaktem z Glen Rose”.

Ale dopiero piętnaście lat temu dowiedział się, czym dokładnie jest.

Wiadomość w butelce, mówiąc metaforycznie. Z datą. W butelce, którą można otworzyć tylko konkretnego dnia. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że do tego momentu zostało jedynie czterdzieści sekund. Przez ostatnie piętnaście lat każdej nocy, leżąc w łóżku, zastanawiał się, co znajdzie pod tym adresem. Odwiedził tę uliczkę już kilkanaście ładnych razy, patrząc na zrobione z falistej blachy drzwi; kilka razy wchodził do środka i rozglądał się po budynku. Zawsze stał pusty, nieużywany.

Ale teraz wprowadzili się nowi lokatorzy. Lokatorzy z - gdy o tym pomyślał, serce mu zatrzępotało, a oddech uwiązał w gardle - innego czasu.

Cartwright instynktownie sięgnął do marynarki po służbowy pistolet, spoglądając jednocześnie na zegarek i uświadamiając sobie, że czterdzieści lat czekania i przygotowań stopniało w końcu do ostatnich dziesięciu sekund.

- No to jesteśmy na miejscu - wyszeptał. Druga wskazówka zegarka dobiegła dwunastki, nagle poczuł subtelny powiew powietrza na twarzy. Pochylił się, zwinął dłoń w pięść i delikatnie uderzył w roletę.

## **ROZDZIAŁ 55**

Nowy Jork rok 2001

Maddy popatrzyła na Sal.

- O mój Boże! Słyszałaś to? Ktoś właśnie puka do drzwi! - Nie miała pewności, że ma rację, że po wybiciu północy i zresetowaniu próżni ktoś rzeczywiście zapuka.

Jeszcze raz rozległo się stukanie, a po chwili usłyszały dochodzący z zewnątrz przytłumiony głos mężczyzny.

- Otwieramy? - wyszeptała Sal.

- Ja... hmm... tak, chyba nie mamy wyboru. - Maddy podeszła do włącznika przy framudze i nacisnęła przycisk. Żaluzja podniosła się wolno z brzękiem silniczka hydraulicznego błagającego o naoliwienie. Dziewczyny spuściły wzrok, patrząc na stopniowo rosnącą szczelinę i miękkie światło latarni wkradające się na zaplamioną i pokrytą bruzdami betonową posadzkę.

Dwa buty. Dwie czarne nogawki. W końcu cała postać odchyliła się nieznacznie i zerknęła w głąb pomieszczenia. Spotkali się wzrokiem.

- Witamy. - Maddy powitała nieznanego, machając ręką. - Czekaliśmy na pana. Żaluzja zatrzymała się z brzękiem, mężczyzna przez dłuższą chwilę przyglądał im się w milczeniu.

- Ja... - zaczął ochryplym z nerwów głosem. - Przecież... przecież wy jesteście tylko dziećmi. - Zmrużył oczy, rozglądając się po przyciemnionym pomieszczeniu. - Jest tu ktoś jeszcze poza wami?

- Obawiam się, że tylko my - powiedziała Maddy.

Skupił na niej wzrok; grymas na starej, pomarszczonej twarzy wskazywał, że mężczyzna próbuje odnaleźć się w tej sytuacji.

- Wy dwie... jesteście z p-przyszłości? - spytał. Sal spojrzała na Maddy i skinęła

głową.

- Na pewno chce pan nam zadać miliony pytań - powiedziała do starca. - Jesteśmy gotowe na nie odpowiedzieć. Ale... musi coś pan dla nas mieć. Ma pan coś dla nas?

- Być może. - Spojrzał na nią ostrożnie.

- Wiadomość? Zignorował jej pytanie.

- Jesteście podróżniczkami w czasie?

- Nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki sama nie uzyskam satysfakcjonującej odpowiedzi. Ma pan dla nas wiadomość?

Podszedł kilka kroków do przodu, zezując na maszynię po drugiej stronie pomieszczenia. W końcu kiwnął głową w jej stronę.

- To jakiś wehikuł czasu?

- Nie powiem ani słowa, dopóki mi pan nie odpowie. - Przygryzła wargę.

- A więc intuicja mnie nie zawodzi. - Uśmiechnął się. - Mój Boże... to niesamowite.

- Proszę! - krzyknęła Sal. - Coś pana do nas przywiodło. Wiadomość od naszego przyjaciela?

Starzec odwrócił się i wydał rozkaz, głos popłynął echem na sam koniec uliczki. Chwilę później Maddy usłyszała stukot butów na bruku. Skoczyła od wejścia w kierunku biurka z komputerami.

- Przykro mi - powiedział starzec, wyciągając z marynarki rewolwer i celując prosto w dziewczyny. - Nie ruszajcie się. Niczego nie dotykajcie i nic nie róbcie!

Do środka weszło sześciu mężczyzn w kombinezonach przeciwchemicznych, z



twarzami ukrytymi za przyciemnionymi osłonami z plastiku. Wszyscy byli uzbrojeni w coś, co wyglądało jak piloty do telewizora.

„O nie! - Maddy poczuła lekkie zawroty głowy. - Niedobrze”.

- Chcemy tylko porozmawiać - łagodnie powiedział starzec. - Ale porozmawiamy w bezpiecznym miejscu, nie tutaj. Zapraszam - powiedział, przywołując je skinieniem i zachęcając do wyjścia z pomieszczenia na ulicę. - Idziemy, byle dalej od sprzętu.

„Teraz! Trzeba to zrobić teraz!” - gorączkowo myślała Maddy.

Maddy odwróciła się w stronę biurka z komputerami.

- BOB! OMLET! - krzyknęła, mając nadzieję, że mikrofon na biurku po drugiej stronie korytarza zdoła złowić jej głos. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowała jej świadomość, był nagły skurcz wszystkich mięśni, gwałtownie upadła na podłogę, waląc czołem w twardey beton.

Cartwright w milczeniu patrzył, jak starszą z dziewcząt funkcjonariusze wywożą na łóżku szpitalnym, a młodszą, o azjatyckim lub hinduskim typie urody, eskortują do furgonetki policyjnej zaparkowanej u wylotu uliczki.

Mężczyzna rozkazał trzem pozostałym funkcjonariuszom w kombinezonach, żeby stanęli na czatach przy żaluzji, gdy już przetrząsną pomieszczenie i zraportują, że jest czyste. To dobrzy ludzie, zaufani... ale lepiej, żeby nie wiedzieli za dużo.

Stał teraz samotnie przed wielkim pleksiglasowym cylindrem wody, obok którego postawiono metalowe schodki, a na szczycie zamontowano coś, co przypominało nosidełko dla noworodka. To wszystko musi mieć jakiś związek z podróżowaniem w czasie: rząd komputerów, wysokie i wąskie cylindry pleksiglasowe na zapleczu, generator mocy. Wszystkie te elementy muszą pełnić ważną funkcję w całym procesie.

Wrócił do długiego stołu - pary złączonych ze sobą porysowanych biurek z monitorami, klawiaturą, kilkunastoma zgniecionymi puszkami po Dr. Pepperze i kilkoma

pustymi pudełkami po pizzy.

Usłyszał cichy szum dochodzący spod biurka, zanurkował i zobaczył rząddek słabo migających zielonych i czerwonych diod LED. Wyglądało na to, że znajduje się tam kilkanaście połączonych ze sobą jednostek centralnych, jakie można kupić w Wal-Marcie lub dowolnej sieci sklepów z komputerami.

Obok biurka stała stara, zniszczona szafka na dokumenty. Wyciągał jedną szufladę po drugiej, w każdej kłębiły się zwoje poplątanych kabli i kawałki obwodów elektronicznych, wyglądało to zupełnie, jakby ktoś niedawno obrobił Media Markt, ale jeszcze nie zdecydował, jak wykorzysta wszystkie komponenty.

Poczuł lekkie ukłucie zawodu. Oczami wyobraźni widział już ten moment: wyobrażał sobie futurystyczną scenografię, technologię z przyszłych stuleci, miejsce wyglądające jak mostek USS Enterprise przetransportowany do wnętrza starego, ceglanego łuku pod mostem. Ale wszystko, co tutaj widział, pochodziło z dnia dzisiejszego.

Usiadł na jednym z krzeseł biurowych, które zazgrzytało pod jego wagą.

Odpowiedzi na wszystkie pytania - czym jest to miejsce, dlaczego właśnie Nowy Jork, czego szukają w epoce kredowej, jak funkcjonuje cała ta maszyna, jaki jest jej potencjał - znajdują się w tych cicho pracujących komputerach. Złapał za myszkę i przesunął nią po biurku. Wygaszacz na jednym z ekranów zniknął, w jego miejscu pojawiła się kojąca tapeta alpejskiej doliny. Na samym środku ekranu wyświetlone zostało kwadratowe okno dialogowe.

> Blokada systemu włączona.

Cartwright zaklął pod nosem. Starsza dziewczyna, ta z kręconymi, rudawymi włosami, krzyknęła coś, zanim potraktował ją paralizatorem elektrycznym. W pierwszej chwili pomyślał, że woła kogoś, ale teraz zrozumiał, że wydała polecenie głosowe.

Próbował przypomnieć sobie, co powiedziała. Ach tak...

- Omlet - powiedział do mikrofonu.

> Niepoprawny kod aktywacyjny.

- A niech to!

> Niepoprawny kod aktywacyjny.

Podał jeszcze kilkanaście słów i wyrażeń: jajka, zbuki, jajecznicza, jaja na twardo, pisanki, smażone jajo, jajcarz, jajogłowy, ajerkoniak, jajca jak berety. Za każdym razem na ekranie wyskakiwał ten sam komunikat. Bezwiednie postukał palcami o biurko. Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażał sobie chwilę odkrycia: dwa umorusane podlotki, system komputerowy wyglądający jak spełnienie marzeń hakera i wielki plastikowy cylinder, przez który to miejsce wyglądało jak prywatna piwowarnia. Zablokowany system komputerowy na pewno nic mu nie wyjaśni. Najwyższa pora pogawędzić z dziewczynami.

Wyszedł przez otwarte drzwi i nacisnął zielony przycisk na ścianie. Metalowa żaluzja zaczęła poszczykiwać i powoli opadać.

- Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść. Macie prawo zabić każdego, kto spróbuje to zrobić. Zrozumiano? Trzej mężczyźni strzegący wyjścia zgodnie skinęli głowami.

## ROZDZIAŁ 56

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Wielka równina rozbrzmiewała odgłosami nocnego życia. Liam wyznaczył połowę członków drużyny do pozostania na warcie, drugiej połowie poradził jak najlepiej się wyspać, choć wątpił, żeby komukolwiek to się udało.

Na środku obozowiska płonęło ognisko, które rozpalili nie dla skąpej ilości światła, jakie od niego biło, ale dlatego, że skutecznie odstraszało istoty wyjące w ciemności. Było zresztą wystarczająco jasno. Księżyc w pełni mocno rozświetlał noc, świat wydawał się tylko odrobinę ciemniejszy niż pochmurne zimowe popołudnie w Corku.

- Czy księżyc tu jest większy, czy to ja oszalałem? Beki spojrzała na kulę światła.

- Potwierdzam. Sprawia wrażenie dwadzieścia procent większego.

- Większy księżyc? - Brwi Liama wystrzeliły do góry. - Jak myślisz, co się mu przytrafiło? Czy przez cały ten czas się „zużył”?

Whitmore uraczył go dziwnym uśmiechem i cmoknął pogardliwie. A Beki... chyba wywróciła oczami, choć może to tylko refleks światła.

- Zaprzeczam, Liamie. Nie zmienił rozmiaru.

- Znajduje się tylko odrobinę bliżej - powiedział Whitmore.

- Ach.

Beki wróciła do czujnej pozycji, wolno omiatając wzrokiem równinę, wypatrując ciemnych, ukradkowych kształtów poruszających się za tańczącym kręgiem światła rzucanego przez ogień.

- Co myślisz o tych stworzeniach? - spytał Liam. - Czy to naprawdę gatunek superinteligentnych dinozaurów? Ten chłopak, Franklyn... - Zamilkł, uświadamiając sobie, że w ferworze panicznego odwrotu z zatoczki przez lesiste wzgórze z powrotem na plażę nie zastanowił się nawet na chwilę nad losem biednego chłopca. Mógł sobie tylko wyobrazić, co gady z nim zrobiły, jeśli zwłoki znalezione dwa tygodnie wcześniej były właściwym punktem odniesienia.

Whitmore i Beki cierpliwie czekali, aż dokończy myśl.

- Franklyn mówił, że wszystkie dinozaury, nawet te stosunkowo bystre w porównaniu do innych gatunków, obiektywnie są dość głupie.

Whitmore odetchnął głęboko ciepłym wieczornym powietrzem.

- Te hominidy mogą być równie dobrze ślepym zaułkiem ewolucji, boczną linią gatunków, z którymi dzielą wspólnego przodka: troodona.

- Troodona?

- Tak, paleontolodzy zgodnie twierdzą, że troodon był prawdopodobnie najinteligentniejszym dinozaurem. Inteligentniejszym od swoich ewolucyjnych kuzynów, raptorów. Oba gatunki były bardzo podobne, oba należały do podrzędu teropodów... do rzędu gadziomiednicznych.

- Co to znaczy?

- Są dwunożne... chodzą na zadnich nogach. Jak tyranozaur.

- Te bestie nie wyglądały jak inne, małe czy duże dinozaury, ja kie widziałem - powątpiewał Liam. - Widzieliście ich głowy? Whitmore potwierdził potakująco.

- Tak jak mówię, ślepy zaułek ewolucji. Może gdyby nie wydarzenie K-T, gdyby w Ziemię nie uderzyła asteroida czy nie wybuchł wulkan, wyewoluowałyby z nich kolejne podgatunki z wydłużonymi czaszkami. Najprawdopodobniej dlatego są takie mądre - mają większą pojemność czaszkową, a przez to większy mózg.

- Gatunek charakteryzuje wysoki poziom inteligencji - powiedziała Beki. Jej obojętny głos przybrał złowieszcze tony. - Są zdolne planować strategicznie. Używają prymitywnego języka. Nie potrafią jednak posługiwać się jeszcze narzędziami.

- Dlaczego nie, skoro są takie inteligentne? Dlaczego nie używają łuków i strzał?

Beki nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Whitmore wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może nigdy nie musiały używać narzędzi? A może dlatego, że mają tylko cztery palce, brakuje im kciuka i prawdopodobnie nigdy nie posiadają tej umiejętności.

- Ale są wystarczająco inteligentne? - spytał Liam. - Chcesz powiedzieć, że gdyby miały kciuki, byłyby wystarczająco inteligentne, żeby wyprodukować włócznię lub łuk?

- Kto wie? - Whitmore w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

Howard i Edward stali na straży po drugiej stronie ogniska. Przez chwilę towarzyszyła im robodziewczyna, ale po jakimś czasie dołączyła do swojego irlandzkiego przyjaciela i Whitmore'a. Howard doszedł do wniosku, że to najlepsza pora, żeby wreszcie powiedział to, co musi.

- Edwardzie?

Drobny chłopiec spojrzał na niego.

- Chciałem ci podziękować, że wczoraj uratowałeś mnie przed tym rekinopodobnym czymś.

Edward obojętnie wzruszył ramionami, jakby chodziło o kupienie przyjacielowi coli.

- Nie ma sprawy, Leonardzie.

- Nie... mówię poważnie, Edwardzie, to, co zrobiłeś... to naprawdę coś. Równie dobrze mogło złapać ciebie. Ale ty... zostałeś przy mnie. Uratowałeś mi życie.

- Jasne, Lenny. Jesteś moim najlepszym kumplem. - Edward się uśmiechnął i westchnął: - Jedyńm kumplem. Mówiłem ci już, że w szkole nie radzę sobie najlepiej z nawiązywaniem przyjaźni.

Howard poczuł, jak zżera go gorzkie uczucie winy. Przybył tu, żeby zabić Edwarda -

po to się tutaj znalazł - a ten chłopiec zdawał się być dziesięć lat młodszą kopią jego samego. Dokładnie tak samo zachowywał się w szkole: był samotnikiem, ponieważ miał odwagę być inny. Schemat jest identyczny. Nie ma znaczenia, czy to czasy Edwarda, czy dwa tysiące pięćdziesiąty rok. Dzieciaki zawsze znajdą sposób, żeby wyrzucić kogoś na margines.

- Edwardzie, muszę ci coś powiedzieć. - Słowa same wypłynęły z jego ust.

- Co?

- Ja... nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Edward zmarszczył brwi i uśmiechnął się ze zdziwieniem.

- Jesteś, Lenny.

- Nie - odrzekł Howard. - Właśnie o to chodzi. Nie nazywam się Leonard Baumgardner i nie mam siedemnastu lat. - Zniżył głos i spojrzał na pozostałe trzy osoby stojące na warcie po drugiej stronie ogniska. - I nie pochodzę z dwa tysiące piętnastego roku.

- Co? Naprawdę? - Edward szeroko otworzył oczy. - Jesteś jednym z nich? Też jesteś agentem z przyszłości?

Howard pokręcił głową.

- Nie jestem agentem. Nie pracuję dla tych samych ludzi. Należę do stowarzyszenia próbującego położyć kres podrójom w czasie, choć... posługującego się innymi metodami.

Edward w milczeniu taksował go wzrokiem. - Nie nazywasz się Lenny. Jak więc masz na imię? - Howard. Usłyszał, jak Edward szeptem wymawia nowe imię.

- Posłuchaj, Edwardzie... udało mi się wrócić w czasie, odnaleźć cię i... - Zawahał się, zastanawiając się nad najlepszym doborem słów, ale Edward dokończył za niego:

- Dopaść. O to chodzi, prawda? Howard odwrócił wzrok.

- Chcieliście uniemożliwić mi dostanie się na studia i napisanie pracy dyplomowej?

Howard nie potrafił spojrzeć mu prosto w oczy.

- Żebyś nie... o nie... - Głos Edwarda osłabł. Domyślił się. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że chcesz mnie zabić?

Howard przytaknął.

- Przykro mi, Edwardzie... ale taka jest prawda. Planowaliśmy zrobić lekkie zwarcie w historii, wyciąć ze struktury czasoprzestrzennej fragment przeszłości, która nie powinna mieć miejsca. - W ciemności nie mógł dostrzec reakcji chłopca, widział tylko zarys jego okrągłej głowy, wąskich ramion i oczy wpatrujące się w pogrążoną w mroku równinę.

- Czy to znaczy, że tak naprawdę nie jesteś moim przyjacielem?

Howard poczuł w żołądku mocne ukłucie winy, jakby w jego trzewiach kręcił się i szamotał moszczący sobie gniazdo węgorz.

- Wciąż planujesz mnie zabić?

- Już nie. - Howard potrząsnął głową.

- Dlaczego?

- Bo nie muszę. Utkwiliśmy tu na dobre. Edward odwrócił się od niego

- Zostaniemy uratowani. Ktoś odnajdzie zakopane wiadomości i...

- Nikt ich nie znajdzie - odpowiedział młodzieniec, potrząsając głową.

- Skąd wiesz?

- Gdyby rzeczywiście zostały znalezione... - skinął głową na pozostałych -...a ludzie



Liama i robodziewczyny byłyby w stanie przybyć tutaj i nas uratować, dowiedzieliby się również, co wydarzyło się w dwa tysiące piętnastym roku. Dowiedzieliby się o mnie, a wtedy zadbaliby o to, żebyś nigdy nie wybrał się na tę nieszczęsną wycieczkę do laboratoriów TIZTE. Dołożyliby wszelkich starań, żeby ochronić cię przed próbą dokonania morderstwa.

Edward spochmurniał i głęboko się zamyślił.

Howard uraczył go uśmiechem, który i tak prawdopodobnie zniknął w ciemności.

- Zrobiłem więc to, co konieczne. Przykro mi, że tutaj wylądowaliśmy. Naprawdę mi przykro, ale świat po dwa tysiące piętnastym roku jest bez ciebie o wiele bezpieczniejszym miejscem. Nie ma w nim ani ciebie, ani twojego twierdzenia matematycznego, ani Waldsteina, ani wehikułów czasu. Ku dobremu lub ku złemu... wiem, że świat przyszłości podąża ku ciemności, a już na pewno tam, skąd pochodzę: szaleją powodzie, susze, miliardy ludzi głoduje, brakuje ropy, toczą się wojny. Ale świat w końcu przezwycięży te trudności. Przetrwa.

- A nie przetrwa podróżowania w czasie?

- Nie. Igraliśmy z czymś, czego nie rozumiemy i nie potrafimy kontrolować. Jesteśmy jak dzieci bawiące się bombą atomową jak gorącym kartoflem. Ale to koniec Edwardzie, to się nie może wydarzyć. Czuję ulgę, choć przykro mi, że ty i pozostali trafiliście tutaj.

- Dlaczego ma być ci przykro? - sucho spytał Edward. - Misja wykonana. Zrobiłeś, co do ciebie należało.

- Przykro mi... bo sądzę, mam nadzieję, że zostaliśmy przyjaciółmi, a ja wpuściłem cię w maliny. - Howard zrozumiałby, gdyby chłopiec w tym momencie odszedł i powiedział pozostałym to, co usłyszał. Wtedy na pewno skonfrontowałiby się z nim, a może nawet dopuściliby się brutalnej zemsty. Howard rozumiał to wszystko i był gotów wypić nawarzone piwo.

Ale Edward położył tylko swoją drobną dłoń na przedramieniu Howarda.

- W porządku. Nie jestem na ciebie zły.

- Ależ masz pełne prawo. - Młodzieniec się zaśmiał.

- Niczemu by to nie służyło - odrzekł Edward. - Musimy współpracować, skoro utknęliśmy tu na zawsze. Prawda, Leonardzie?

„Leonardzie”... Edward najwyraźniej zamierza zachować jego wyznanie w tajemnicy.

Howard potakująco skinął głową.

- A więc?

- A więc wszystko zostaje po staremu. Dla mnie wciąż jesteś Leonardem.

- Okej... nazywam się Leonard - odpowiedział z uśmiechem.

- Świetnie.

- Świetnie.

## ROZDZIAŁ 57

Nowy Jork rok 2001

Usta Maddy wyschły na wiór, w głowie wciąż coś dzwoniło. Powoli otworzyła oczy i niemal natychmiast mocno zacisnęła powieki, oślepiąca jasnym blaskiem żarówki.

- Przepraszam. - Usłyszała czyjś głos. Światła w pokoju lekko przygasły. - Lepiej?

- Woda. Upij łyk. To tylko woda, zaufaj mi.

Maddy podniosła plastikowy kubek i z wdzięcznością wlała do gardła łyk wody. Zamrugła oczami i spróbowała skupić się na otoczeniu: małym, wyglądającym jak gabinet lekarski, niskim pomieszczeniu z jarzeniówką na suficie. Leżała na łóżku szpitalnym, na stołku obok siedział ten sam starzec, który zapukał do drzwi ich bazy. Mężczyzna zdjął marynarkę, zakasał rękawy i poluzował krawat.

- Upadłaś i uderzyłaś się w głowę. Przepraszam za ten paralizator.

Tak... to było to. Czowała, jakby jej wszystkie mięśnie zamarły, a całe ciało przeszło uczucie niewiarygodnego bólu.

- Gdzie ja jestem? - Uświadomiła sobie, że leży na łóżku szpitalnym, choć pomieszczenie wcale nie wyglądało na szpital ani prywatną klinikę.

- Wciąż w Nowym Jorku. - Uśmiechnął się. - W całkowicie bezpiecznym miejscu.

- Kim jesteś? - Ponownie napiła się wody.

Mężczyzna przysunął do niej stołek, kółka zapiszczały na gładkim linoleum.

- Nazywam się Lester Cartwright - łagodnie opowiedział mężczyzna. - I tak, jeśli to twoje następne pytanie, pracuję dla małej i tajnej rządowej agencji wywiadowczej. Tak ją nazwijmy.

Maddy skinęła głową i uśmiechnęła się słabo.

- Przewidywałam, że właśnie ktoś taki zapuka do naszych drzwi.

- A kogo się spodziewałaś? - zapytał. - Taka wiedza jest zbyt cenna, by zostawiać ją w rękach jakiegoś starego Joe. Na pewno się zgodzisz.

- Chyba tak - odrzekła Maddy, wzruszając ramionami i dotykając ręką opatrunku na

czole.

- Zaczynamy więc - powiedział, pochylając się nad dziewczyną. - Mam milion pytań, które chciałbym ci zadać. Pytań, które nurtowały mnie przez niemal całe dorosłe życie. W zamian przekażę ci interesującą wiadomość, którą z pewnością palisz się usłyszeć.

Bezpośredniość starca zachęciła Maddy. Bez owijania w bawełnę, prób wykiwania i zwodzenia dziewczyny. Szczera, jasna deklaracja: quid pro quo, coś za coś.

- Wiadomość od przyjaciela. - Bardziej stwierdziła niż spytała.

- Tak - powiedział, sięgając po marynarkę, którą wcześniej starannie zawiesił na małej szafce w rogu pokoju. Przez kilka sekund gmerał w jej fałdach w poszukiwaniu wewnętrznej kieszonki, po czym wyciągnął zwiniętą kartkę papieru. - Od przyjaciela, który najwyraźniej wybrał się na wakacje, jeśli mnie pamięć nie myli, do późnego okresu kredowego.

Szczęka Maddy opadła do samej podłogi.

- Powiedziałeś, że gdzie?

- Do późnej kredy. Przebadaliśmy skałę. Nie mamy wątpliwości, że pochodzi z tego okresu.

- Chcesz mi powiedzieć, że trafił do czasów dinozaurów? - Niemal zabrakło jej tchu.

- Tak, w tamtych czasach dinozaury zasiedlały całą planetę. - Cartwright skinął potakująco głową.

- O mój Boże, nie sądziłam, że wehikuł... - Przerwała, żeby nie chlapnąć o jedno słowo za dużo. Pomyślała, że o wiele mądrzej zachować pewne rzeczy dla siebie.

- Tak. - Mężczyzna podejrzliwie zmrużył oczy. - Tak, rzeczywiście wydajesz się tym szczerze zaskoczona. Co zamierzałaś powiedzieć?

- Nic. - Potrząsnęła głową. Przez kilka chwil uważnie się jej przyglądał.

- To ktoś, kogo straciliście, kogo nie potrafiliście odzyskać. Znaleźć. Popelniliście błąd. Mam rację?

- Mogę zobaczyć wiadomość? - odpowiedziała.

- Nie wiedziałaś, że można cofnąć się w czasie tak daleko? - spytał, próbując odczytać z jej twarzy odpowiedź.

- Straciliśmy kogoś, wystarczy? Czy mogę teraz zobaczyć wiadomość?

- Skąd jesteś? - zapytał i niemal natychmiast pokręcił głową, po czym komicznie pacnął się w czoło. - Ależ głupiec ze mnie... powinienem raczej spytać „z kiedy” jesteś.

Maddy uśmiechnęła się mimowolnie i parsknęła suchym śmiechem.

- Na tym właśnie ten biznes polega... często masz ochotę stukać się w czoło.

- No ja myślę. - Mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem, który jednak szybko zgasł. Powrócił służbowy wyraz twarzy. - Jesteś Amerykanką, tyle zdążyłem się domyślić. Z Bostonu?

- Tak - potwierdziła, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu dłużej tego ukrywać.

- Z jakich czasów? - Spojrzał na podkoszulek z wyblakłym logo firmy Intel, dzinsy i czółenka. - Zgaduję, że z dość bliskiej przyszłości.

- Może.

- Chcesz to zobaczyć? - spytał, rozwijając wiadomość. Kiwnęła głową.

- To poproszę kilka precyzyjnych odpowiedzi.

- Okej. - Obojętnie wzruszyła ramionami.

- Jak się nazywasz?

- Maddy. Maddy Carter.

- Cześć, Maddy. - Grzecznie skinął głową. - A z którego roku pochodzisz?

- Z dwa tysiące dziesiątego - odrzekła.

Ta wiadomość najwyraźniej go oszołomiła. Jego źrenice mimowolnie się rozszerzyły, a pomarszczone policzki nad białym kołnierzykiem koszuli drgnęły, zdradzając nerwowe zaciśnięcie szczęk. W końcu ściągnął usta.

- Mówisz, że z dwa tysiące dziesiątego?

- Właśnie.

- I znasz przyszłość? Następne dziewięć lat? Krew z jego twarzy odpłynęła na dobre.

- Czyli... twierdzisz, że wiesz, na przykład, jakie będą cele polityki zagranicznej rządu? Długoterminowe plany strategiczne i tego typu rzeczy?

- Ależ oczywiście, wiem, co czai się za rogiem. - Uśmiechnęła się.

To wyznanie uciszyło go na dłuższą chwilę. Patrzyła, jak zwinięty skrawek papieru porusza się w jego dłoni.

- Zdajesz sobie sprawę, że czyni cię to niebezpieczną dla niektórych ludzi? - powiedział cicho. - Już teraz przychodzi mi do głowy ładnych kilka nazwisk kolegów z pracy, którzy z chęcią wpakowaliby ci kulkę w mózgowicę. I kilka kolejnych, którzy poddaliby cię torturom, żeby wydobyć ze ślicznej główki każdy najdrobniejszy fakt, a i potem nie omieszkaliby wpakować w tę śliczną głowę kulki.

- Co z wiadomością? Z roztargnieniem skinął głową i podał jej świstek.

- Może cię to rozbawi - ciągnął - ale potrafię powtórzyć każde słowo, każdą cyfrę z zakodowanej części wiadomości. Od półtorej

dekady znam na pamięć jej treść. - Zaśmiał się sucho. - Jak stary wiersz wykuty w szkole, którego nigdy już nie zapomnisz.

Maddy sięgnęła po kartkę i rozwinęła ją. Była zapisana odręcznym pismem. Założyła, że to charakter pisma starca.

Zanieś tę tabliczkę 10 września 2001 r. pod następujący adres: Łuk 9, Wythe Street,  
Brooklyn, Nowy Jork Wiadomość:  
89-1-9/54-1-5/76-1-2/23-3-5/17-8-4/7-3-7/58-3/12-6-9/23-8-1/3-1-1/56-9-2/12-5-8/67-8-3/92-  
6-7/112-83/234-6-1/45-7-3/30-6-2/34-8-3/41-5-6/99-7-1/2-6-9/1278-1/128-7-3/259-1-5/2-7-1/  
69-1-5/14-2-66. Klucz to „Magia”.

„O mój Boże, Liamie... żyjesz. Udało ci się” - Maddy spadł kamień z serca.

- Pierwsza część wiadomości jest oczywista, wiadomość miała po prostu trafić w wasze ręce.

- Jak to zdobyliście? - przerwała mu. Mężczyzna zmarszczył szare, krzaczaste brwi.

- Była odcisnięta w skamielinie. Wyobrazasz to sobie? W skamielinie odkrytej przez jakichś chłopczków w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Drugiego maja, żeby być precyzyjnym. Na brzegu rzeki obok miasta Glen Rose w stanie Teksas. Doprowadziło to niemal do wybuchu sensacji, ale służby specjalne działające w czasie wojny szybko wyciszyły sprawę. Ludzie byli wtedy o wiele bardziej zainteresowani wojną niż niepoważnymi pogłoskami o tajemniczych skamielinach.

Przerwał na chwilę i uśmiechnął się.

- Obszar szybko przejęli tajniacy ze służb specjalnych. Wiesz, co jeszcze znaleźli?

Maddy wzruszyła ramionami.

- Kilka miesięcy po odkryciu wiadomości odkopali odcisk ludzkiej stopy. - Spojrzał na nią uważnie. - Właśnie tak, prawdziwy odcisk ludzkiej stopy, w tej samej warstwie skały osadowej. Odcisk buta do biegania. - Wydawał się tym rozbawiony. - Tak go wtedy nazwali: „but do biegania”. Na pewno wiesz, że nie mieli w tamtych czasach butów do biegania.

- Hmm?

- Technik sądowy ustalił, że wzór pasuje do jednego z zeszłorocznych modeli Nike.

- Nikt poza wami o tym nie wie?

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiał się. - Chłopcy, którzy znaleźli artefakt... cóż... - Zerknął na nią. - Stosowaliśmy wtedy mało cywilizowane metody.

- Zostali zabici?

- Hmm... zniknęli... wołę ten termin. Kilka lat później okazało się oczywiście, że kolejny lokalny tropiciel skamieniałości znalazł skamieniały odcisk ludzkiej stopy poprzedniego lata, znowu więc byliśmy zmuszeni zminimalizować ryzyko wystąpienia szkód.

- Też zniknął? Potrząsnął głową.

- Informacja o ludzkich odciskach trafiła do lokalnej gazety przed naszą interwencją. Musieliśmy więc zdyskredytować tę historię. To była kaszka z mleczkiem: ten sam facet zarzekał się na wszystkie świętości, że jego zmarła matka mieszka na strychu i raz w roku schodzi na tort urodzinowy. - Parsknął śmiechem. - Świr czystej wody. Możesz to zresztą kiedyś sprawdzić. Jestem pewien, że piszą o tym na jakiejś stronie internetowej z teoriami spiskowymi: „Ludzie w czasach dinozaurów. Dolina Dinozaurów, Teksas”.

Dziewczyna ponownie spojrzała na wiadomość.

- Wiecie więc, ile dokładnie lat ma skamielina? Potrząsnął głową.



- Nie, niedokładnie. Oczywiście, że nie. Została znaleziona w warstwie skał osadowych pochodzących z okresu kredowego, sprzed tak zwanej granicy K-T. Obawiam się, że precyzyjniej nie da się określić jej wieku. W geologii operuje się tysiącleciami i wiekami, nie miesiącami i latami - wyjaśnił, po czym wskazał kartkę papieru. - Te cyfry... zakładam, że zawierają precyzyjną informację, dzięki której uda wam się odzyskać przyjaciela.

Mogła zaprzeczyć, ale nie miało to sensu. To oczywiste, że Liam przekazywał im w ten sposób wiadomość.

- Mam nadzieję - powiedziała tylko.

- Niestety jest zaszyfrowana - powiedział. - Chłopcy z agencji, którzy zostali oddelegowani do tej sprawy przed przekazaniem jej mojemu kameralnemu klubowi szybko odgadli, że musi to być kod książkowy. Widzisz? Ułożone cyfry odzwierciedlają uporządkowaną strukturę: strona, wiersz, słowo. Jakąś dekadę temu poświęciliśmy wiele cennego czasu na przepuszczenie przez system wszystkich książek z Biblioteki Kongresu przez superkomputer w Departamencie Obrony Narodowej. - Bezradnie rozłożył dłonie. - Wiesz, co znaleźliśmy w toku tej misternej operacji? Figę z makiem. I tak sobie właśnie myślę, siedząc tu z tobą, że była to straszna strata czasu, bo książka, której szukamy, zwyczajnie nie została opublikowana. Co ty na to?

- Ja... nie wiem. Naprawdę nie wiem. - Maddy potrząsnęła głową i spojrzała na ostatnie słowa wiadomości: „Klucz to »Magia«,„. - Ponownie spojrzała na Cartwrighta. - To wskazówka? Tyle że ja zwyczajnie nie mam pojęcia, o co chodzi. Jeśli ta wskazówka naprawdę odsyła do książki, to naprawdę nie mam pojęcia, do której.

- A twoja koleżanka?

- Sal? - Maddy usiadła i jęknęła z wysiłku. - Co z nią? Gdzie ona jest.

- Spokojnie, nic jej nie jest - odrzekł i lekceważąco machnął ręką. - Jest obok. Może to z nią powinienem teraz porozmawiać?

- Nie skrzywdzisz jej?

Popatrzył na nią twardo, gdy sięgała po kawałek papieru, potem wstał ze stołka i wziął marynarkę z szafki.

- Bo... jeśli... właśnie to planujecie zrobić - kontynuowała Maddy - lepiej nie p-próbujcie.

- Niech zgadnę, bo jesteście parą wielkich bohaterek i żadna z was nie puści pary z ust?

- Bo... - Potrząsnęła głową i zaśmiała się nerwowo. - Bo naprawdę nie ma takiej potrzeby. Nie jesteśmy bohaterkami. Będziemy mówić, jasne? Po prostu obiecaj, że nas nie skrzywdzisz.

## ROZDZIAŁ 58

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Kelly z trudem wspinał się na stromy stok, kląc pod nosem, gdy zwisające nisko nad ziemią kolczaste kłacza smagały go po twarzy. Słyszał, jak brygada przed nim przedziera się hałaśliwie na szczyt, łamiąc gałęzie, przecinając liany i uwalniając małe lawiny kamieni i gleby, które sunęły w dół zbocza.

- Leonardzie! Edwardzie! - krzyknął.

- Tutaj - krzyknął Edward.

- Chodź, musisz przyspieszyć... zostajemy z tyłu.

Tonące w pocie twarze chłopców wyłoniły się zza zasłony lepkich liści.

- Jestem skonany - wysapał Howard. - Moja noga... - Wstrząsnęło nim szarpane rżenie, nie pozwalając dokończyć zdania. Niezręcznie opadł na kolana, na nierówną ściółkę, pełną wysuszonych szyszek, gałązek i wyszczerbionych kamieni.

- Spowalnia go kontuzjowana kostka - powiedział Edward.

- Wiem, wiem... ale nie możemy pozwolić, żeby pozostali zbyt się wysforowali.

Zeszłej nocy, siedząc wokół ogniska, dyskutowali, dlaczego gady nie zaatakowały ich ponownie, a zamiast tego postanowiły dyskretnie śledzić ich z oddali. Doszli do wniosku, że to jakaś taktyczna rozgrywka: zwierzęta czekają, aż grupa rozciągnie się na tyle, aby mogły wyłapać wszystkich po kolei. Kiedy tego ranka szli przez równinę, zbliżając się do ostatniego odcinka wiodącego prosto do dżungli, zbili się w niemal komicznie ciasną gromadkę.

Ale teraz grupa, wyrabując drogę przez gęste poszycie, niebezpiecznie się rozciągała.

- No już, Edwardzie, pomóż mi go podnieść.

Właśnie wtedy przez lukę w listowiu Kelly dostrzegł ciemny kształt przyczajony jakieś pięćdziesiąt metrów niżej.

- O Jezu - syknął. - Coś tam jest!

- Co?

- Jest jeszcze ktoś za nami? Edward potrząsnął głową.

Kelly znowu to zauważył: ciemny kształt przemykający od drzewa do drzewa i znikający z pola widzenia.

- O mój Boże! One tam są! Howard podniósł się z ziemi.

- Idźcie! Idźcie! - rzucił Kelly.- Będę was osłaniał!

Edward i Howard, potykając się, ruszyli przed siebie, Kelly cofał się ich śladem pod górę, nie spuszczać oczu z dolnych partii wzgórza. Znowu to zobaczył. Było bliżej, błysnęła ciemnooliwkowa skóra, z luki w gęstwinie wyskoczył gad. Po nim następne. Bezszelestne ruchy budziły przerażenie. Co gorsza, nic nie robiły sobie z tego, że znalazły się na widoku.

„Tylko nie to” - pomyślał Kelly z trwogą.

Weszły do dżungli, zaciskały pierścien.

„Nie zdołam ich wyprzedzić” - gorączkowo analizował sytuację.

Uświadomił sobie, że zyska dużo więcej, rzucając im wyzwanie, być może uda mu się nadzieć jednego na koniec włóczni. Może po zabiciu kolejnego stwora zyskają dzień spokoju, dzięki czemu pokonają rzekę i bezpiecznie wrócą do obozu.

- Chodźcie - wysyczał. - Dobrze wiem, że tam jesteście. Usłyszał nawoływanie Edwarda.

- Panie Kelly?

- Idźcie! - odkrzyknął. - Zaraz do was dołączę!

Odgłosy wydawane przez powłóczących nogami chłopców powoli cichły, po jakimś czasie słyszał już tylko trzaski łamanych gałązek, odbijające się echem od masywnych pni drzew.

- No, chodźcie! - wyszeptał ponownie. Dziwił się, że nie odczuwa obezwładniającego przerażenia, a raczej gniew. Furię. Miał ochotę pochwycić jednego z tych kościstych padalców i skręcić jego idiotyczny, kabaczkowaty łeb. Z ust Kelly'ego wydobył się suchy chichot.

„Nieży ze mnie Tarzan?” - zakpił z siebie w duchu.

W głowie pojawił się obraz jego codziennego ja: piarowca ubranego w ładny, lniany garnitur i koszulkę polo, który codziennie wita i żegna gości z nieszczerym uśmiechem przyklejonym do smagłej twarzy. Teraz stał z szeroko rozstawionymi nogami w oberwanych do kolan spodniach, które zamieniły się w szorty; z obnażoną, bladą klatką piersiową pokrytą gęstwiną srebrnoszarych włosów, z której wyrastały obwisłe, napęczniałe piersi - dowód, że dawno temu wyrzucił karnet na siłownię. Czuł się jak komandos z ulubionego filmu swoich synów, tego z kosmitą o twarzy kraba i bujnymi dredami.

Tak, chętnie ich przywita.

- No dalej... chcecie mnie dopaść? No to CHODŹCIE!

W odpowiedzi z pogrążonej w ciszy dżungli wypłynął cichy, wysoki głos.

-...Chodź... cie...

Niespodziewanie kilkanaście metrów niżej, niczym uśmiech Kota z Cheshire, wyrosły żółte ślepiej jednej z istot, która przekrzywiła głowę, bacznie się w niego wpatrując.

Kelly zszedł kilka metrów w dół zbocza, wywijając ostrą włócznią.

- A więc tak wyglądacie, gady jedne!

Istota wzdrygnęła się na widok włóczni i zanurkowała pod płaszcz lepkich liści, ale niemal od razu wyłoniła się z powrotem.

- Pewny jesteś? Przeszyję cię tą włócznią - mruknął Kelly z triumfem. Włócznia chyba skutecznie odstraszała istotę, żółte ślepiej z niepokojem wpatrywały się w zaostroszony koniuszek bambusa.

Kroki reszty drużyny przedzierającej się przez dżunglę ucichły. Nie mógł pozwolić sobie na pozostanie w takiej pozycji. Musiał szybko zabić bestię i liczyć na to, że pozostałe

pierzchną jak króliki.

- No chodź - powiedział cicho. - Tylko ty i ja. Człowiek kontra jaszczur. Zwierzę rozwarło szczęki i zwinęło czarny język w rulonik.

-...Ja...szcz..urrr... - odezwało się, zadziwiająco skutecznie imitując tembr głosu mężczyzny.

- Prawdziwy z ciebie parodysta.

Stworzenie wyraźnie zdekoncentrowało się i z przekrzywiło głowę, jakby zastanawiając się, jak powtórzyć usłyszane słowa. I wtedy Kelly postanowił zadać decydujący cios. Rzucił się do przodu i mocno pchnął włócznią. Trafił w coś miękkiego, istota zawisła na końcu bambusa, szarpiąc się, młócąc rękami powietrze i wyjąc głosem, który przypominał przeszywający skowyt psa, na którego ogon właśnie ktoś nadepnął.

- Mam cię! - warknął.

„Pierwsza krew” - pomyślał i wyciągnął włócznię, zostawiając w brzuchu stworzenia wielką ranę, z której zaczęła tryskać posoka, gdy istota upadła na poszycie dżungli, szamocząc się i piszcząc w agonii.

Już miał dźgnąć zwierzę po raz kolejny, ale poczuł, że ktoś brutalnie wyrywa włócznię z jego dłoni.

- Ha?

Odwrócił się i zobaczył większego hominida, stojącego na wyprostowanych nogach, wyższego od niego o jakieś pół metra. Zwierzę wściekle warknęło, z głębi gardła wydobył się chrapliwy rechot. Za nim pojawiły się inne - wkrótce otoczył go pierścień żółtych ślepiów.

Stworzenie trzymało włócznię dwiema szponiastymi łapami, uważnie przyglądając się długiemu, grubemu stylisku, nagle zaostrozony koniec znowu zanurzył się w ciemnej krwi. Bestia popatrzyła na ostrze, przekrzywiła głowę i spojrzała na Kelly'ego, który nie czuł się

już jak nieustraszony komandos. Ugięły się pod nim kolana, bezsilnie opadł na ściółkę.

„O Boże, Boże...” - pomyślał.

- Biegnijcie - zaskowyczał. - Dlaczego nie biegniecie? - Tak to właśnie miało wyglądać. Tak by się stało, gdyby to był film: chuderlawy urzędniczyna w końcu odnajduje w sobie pierwiastek bohatera i ratuje sytuację. - Z-zabiłem jednego... dlaczego nie b-biegniecie?

Stworzenie trzymające włócznię zbliżyło się i ponownie przyjrzało zakrwawionemu koniuszkowi bambusa, po czym obróciło dzidę w łapach i wymierzyło nią w Kelly'ego.

- O nie... nie... - skomlał. - P-proszę...

Codziennie, zwyczajne odgłosy kredowej dżungli - odległe ryki wielkich lewiatanów spacerujących po dalekiej równinie, skrzeki i piski małych stworzeń buszujących po okolicy - przerwał osobliwy dźwięk: przeciągły, dojmujący krzyk człowieka. Popłynął echem przez dżunglę i wzbił się ponad korony tropikalnych drzew, wypłaszając spomiędzy gałęzi gromadki małych anurognatów, które wzbily się w gorące powietrze.

## ROZDZIAŁ 59

Nowy Jork rok 2001

- Nie pisnę ani słowa więcej! - odburknęła Sal. Cartwright wzruszył niedbale ramionami. - Trudno. W takim razie nie pokażę ci, co mam.

W pokoju przesłuchań panowała cisza, za wyjątkiem subtelnego szumu klimatyzatora. Było ciepło i duszno. Mężczyzna mimowolnie rozluźnił krawat.

Iskierki gniewu błyskające w oczach Sal zastąpiły łagodniejsze promyki ciekawości.

- Co? Co masz?

- Hmm... - Uśmiechnął się. - A mówiłaś, że nie mamy, o czym ze sobą rozmawiać.

- Ach, Shadd-yah! Proszę. Po prostu powiedz!

Przygryzł wargę, udając, że się zastanawia.

- Jeśli to zrobię, powiesz mi, co chcę wiedzieć?

Zacisnęła usta i nie odpowiedziała.

- Wiesz co? Podejrzewam, że mi powiesz. - Cartwright przybrał łagodniejszy ton. - W końcu wszyscy, ty, ja i Maddy, chcemy tego samego: bezpiecznego powrotu waszego przyjaciela do domu.

- On żyje? Liam żyje?

- Tak sędzę. - Kiwnął potakująco głową i sięgnął do kieszeni na piersi. - Postanowił skrobnąć wiadomość do domu. - Podał jej zwinięty kawałek papieru. Dziewczyna szybko przebiegła wzrokiem notatkę.

- Twoja przyjaciółka Maddy i ja dyskutowaliśmy na ten temat kilka minut temu. Ona również niecierpliwie oczekuje jego szybkiego powrotu. A powinniście wiedzieć, że ja jestem gotowy wam pomóc. Dam wam, co tylko zechcecie, wszystko, czego potrzebujecie. Ale...

- Ale? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Mężczyzna niemal przepaszająco rozłożył ręce.

- Technologia pod mostem. Obawiam się, że właśnie stała się własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Będziemy potrzebowali waszej pomocy w zrozumieniu, jak to



wszystko działa.

- Nie możemy wam nic zdradzić - odparowała. - A wy nie możecie po prostu jej sobie przywłaszczyć. To zbyt niebezpieczne!

- Zbyt niebezpieczne dla rządu, lecz najwyraźniej nie dla pary majstrujących przy niej małolat.

- Przeszliśmy proces rekrutacji. Zostałyśmy zwerbowane.

- Przez kogo?

- Tego nie mogę powiedzieć - odrzekła Sal z wahaniem w głosie.

Mężczyzna po raz kolejny wzruszył ramionami.

- No nic, zostawimy to sobie na później. Nie jest to aż tak istotne. Ktoś musi objąć pieczę nad technologią w łuku. - Mężczyzna pytająco uniósł brew. - Ktoś musi dowodzić, upewnić się, że nie ma setek innych wehikułów czasu, a ludzie nie podróżują sobie dowolnie w tę i we w tę.

- I pewnie tym kimś będziesz ty?

- Może przez jakiś czas, kto wie. Gdy nadejdzie odpowiednia pora, poinformuję o wszystkim aktualnego prezydenta. Ale uwierz mi, byłoby o wiele lepiej, gdyby w imieniu obywateli amerykańskich zaopiekował się tym ktoś podobny do mnie, niż gdyby technologia miała trafić w ręce grupy terrorystów lub szaleńca marzącego o broni masowej zagłady, takiego jak Saddam Husajn czy Osama Bin Laden. Nie uważasz?

Dziewczynka obojętnie wzruszyła ramionami.

- Dobrze - powiedział, wskazując na kartkę w jej dłoniach. - To kod. Według Maddy możesz nam pomóc to rozszyfrować.

Spojrzała na cyfry, bezsensowny gąszcz cyfr, które na pierwszy rzut oka nic jej nie mówiły. Po krótkiej chwili zaczęły się jednak układać w sensowne wzory. Grupy trzech cyfr, pierwsza układała się w setki, druga w liczby nie większe niż trzydzieści pięć, a wynik w ostatniej nie przekraczał piętnastu, szesnastu. Doskonale wiedziała, co to jest.

- To szyfr książkowy.

- Bystra dziewczynka. A teraz pytanie za milion dolarów. Na jakiej książce jest oparty?

Dziewczyna przebiegła wzrokiem na koniec kartki i zobaczyła ostatnie słowo w wiadomości. „Magia”. „Magia? Co to, do jasnej Jahulli, za wskazówka...?”. Ponownie na niego spojrzała, na jej twarzy powoli wykwitał uśmiech. Oczywiście. Skoro Bob ma ją w swojej bazie danych, duplikat sztucznej inteligencji w kobiecej obudowie też ma ją w systemie.

- Wiesz, prawda? - zapytał Cartwright.

- Mhm. - Kusilo ją, żeby wyjawic mu tytuł książki, która i tak zostanie opublikowana dopiero za kilka lat, ale na razie starała się jednak stłumić w sobie przemożną chęć wybuchnięcia śmiechem.

Starzec westchnął cierpliwie.

- Możesz mi po prostu powiedzieć, będzie to o wiele przyjemniejsze dla nas obojga. Jest też drugie wyjście. Mamy mianowicie szafę pełną bardzo interesujących leków, które mogą w ciebie wpompować. Niektóre z nich wywołują okropne efekty uboczne. A jeśli i to nie wystarczy, zawsze zostają stare, wypróbowane metody.

- Zabierzesz nas do bazy. Odszyfruję dla ciebie tę wiadomość - odparła. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Hmm, widzisz, boję się, że gdy wrócimy do waszej bazy, któraś z was krzyknie coś nowego i - pstryk! - wy i wszystkie te urządzenia znikniecie, błyszcząc od iskier i dymu

czasoprzestrzennego.

- Jeszcze ci nie powiedziała?

- Czego nie powiedziała? - Niepokojnie zmarszczył brwi.

Sal uśmiechnęła się jeszcze szerzej, kąciku ust drżały jej niespokojnie.

- To nawet zabawne.

- Zabawne? Skinęła głową i powtórzyła:

- Zabawne.

- Co? Co w tym śmiesznego?

- Pogrywa z tobą. Jak długo tu jestem?

- Dlaczego?

- Proszę, powiedz mi, jak długo.

- Kilka godzin. Dlaczego pytasz? - odpowiedział, patrząc na zegarek.

- Dokładnie, proszę.

- Pięć godzin... pięć i pół godziny. Dziewczyna zaśmiała się ponownie.

- Wiele czasu ci nie zostało.

Z pomarszczonej twarzy odpłynęła ostatnia oznaka ugodowego nastawienia.

- Przestań ze mną pogrywać i mów, o co ci chodzi.

- Oczywiście - powiedziała przymilnie. - Nasz system komputerowy został zablokowany na sześć godzin, po ich upływie przeprowadzi proces całkowitej autodestrukcji, o ile Maddy nie poda kolejnego hasła.

- Autodestrukcji?

- Spalą się dane, spali się sprzęt. Wszystko.

Krzaczaste brwi mężczyzny wygięły się w wysoki łuk, szczęki znowu zaczęły się zaciskać.

- Teraz nas zabierzesz? - grzecznie spytała Sal. - Wypowiem nawet magiczne słowo „proszę”.

## ROZDZIAŁ 60

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Złamany Pazur spojrział na innych członków watahy, oczy drapieźników się spotkały. W szponach wciąż trzymał bambusową włócznię, zakrwawione ostrze tkwiło w tym, co zostało z nowej istoty.

Jego umysł ciężko pracował, analizował to, co się właśnie wydarzyło. Gad próbował zrozumieć, jakim cudem to nie jego szpony wyssały życie z bladej istoty, ale długi przedmiot, który trzymał w łapach. Przedmiot, nie on. Przedmiot, który kontrolował. Przedmiot, którego... użył.

Odwrócił się do watahy, stuknął pazurami, warknął i cicho zakwilił.

„Widzicie? Zabiliśmy tym nową istotę”.

Młodsze umysły jego dzieci były mniej rozwinięte. Wpatrywały się w niego żółtymi ślepiami ziejącymi nienawiścią. Ale nie rozumiały. Jeszcze nie rozumiały.

On rozumiał. Starszy, mądrzejszy umysł pojmował więcej. Pojmował, do czego służy ten długi kij i skąd pochodzi. Takie same rosną wzdłuż brzegu rzeki w gęstych skupiskach. Ale teraz to już nie tylko roślina - nowe istoty przekształciły go w coś zupełnie innego: śmiertelnością broń.

Głęboko w gadzim umyśle coś się przesunęło. W głowie formowały się pojęcia, proste pojęcia, szukające się wzajemnie w gęstym labiryncie pierwotnych sygnałów instynktu, które zaczęły się składać w całościowy obraz.

Wataha nie знаła żadnego dźwięku opisującego te pojęcia. W umyśle nie wykwitło właściwe słowo potrafiące opisać tę koncepcję. Gdyby Złamany Pazur dysponował szerszym zasobem słów, jego umysł podpowiedziałby mu szereg takich czasowników, jak: „używać”, „robić”, „budować”.

W małym mózgu powstał obraz, obraz szybko płynącej rzeki i drzewa przerzuconego na drugi brzeg - budowli, którą nowe istoty „zbudowały”, żeby oszukać rzekę.

Odwrócił się do innych, stuknął zębami i nakazał iść za nim.

W umyśle zwierzęcia kiełkował szereg myśli, które człowiek nazwałby „planem”.

## **ROZDZIAŁ 61**

Nowy Jork rok 2001

Dotarli do bazy. Cartwright pozdrowił swoich ludzi stojących na straży przy wejściu i przywołał gestem Forby'ego, by wszedł z nimi. Roleta podniosła się, charakterystycznie postukując. Pozostałym funkcjonariuszom rozkazał pilnować wejścia i nie wpuszczać nikogo do środka.

Po kolei wchodzili do pomieszczenia, nurkując pod roletą, która zatrzymała się z brzękiem. Cartwright wszedł na końcu, patrząc na niebo nad Manhattanem, nad którym gromadziły się pierwsze przebłyski szarego świtu. Za godzinę się rozwidni, nowojorczyki pójdą do pracy, poirytowani cywile zgromadzą się wokół blokad drogowych po obu stronach mostu Williamsburg. Drogówka, ekipy telewizyjne i dziennikarze z pewnością doleją oliwy do ognia, wypytyując jego ludzi i żołnierzy Gwardii Narodowej, kto tu wydaje rozkazy. Co się tu właściwie dzieje? Przyciąganie uwagi nie leży ani w jego osobistym interesie, ani w interesie małej, tajnej agencji. Historyjka o zamachu terrorystycznym na krótką metę może przejść, ale nie mogą powtarzać tego samego kłamstwa w nieskończoność.

Gdy znalazł się w środku, nacisnął guzik, żaluzja ponownie opadła na dół z hałasem. Forby zdjął z głowy maskę przeciwradioaktywną i wyjął pistolet maszynowy.

- Spokojnie, nie ma powodu celować w dziewczyny - powiedział Cartwright. - Po prostu miej go pod ręką, okej?

Forby przytaknął na znak, że zrozumiał rozkaz i opuścił broń.

- Teraz - odezwał się, podchodząc do biurka zawalonego monitorami - odblokujemy komputer. Zdążymy, zanim usmaży się jak jajecznicą?

- Tak, oczywiście. DOMINIUM - powiedziała Maddy.

„Oczywiście. Lester, stary pacanie” - skarcił się w myślach Cartwright, patrząc na porzucane po biurku pudełka po pizzy DOMINIUM. Gdyby był sam, znowu palnąłby się w czoło.

Na ekranie pojawiło się okno dialogowe, a spod migającego kursora wypłynął nowy tekst.

> Witaj w domu, Maddy.

- Cześć, Bob - powiedziała - Zdążyłam?

> Żadne pliki systemowe nie zostały jeszcze wykasowane. Do wykonania kolejnych instrukcji został o siedem minut.

- Chryste - wymamrotał Lester. - Nie żartowaliście.

- Nie. - Sal pokręciła głową.

> Moja kamera wykrywa obecność nieupoważnionego personelu w biurze terenowym.

- Zgadza się - odrzekła Maddy. - Mamy gości.

> Czy zostaliście tu przywiezione pod przymusem?

- Nie, wszystko w porządku. Na razie ci faceci są w porządku.

Cartwright poklepał Maddy po ramieniu i cicho do niej powiedział:

- Nie próbuj żadnych sztuczek... jeśli powiesz temu komputerowi coś, co choćby zabrzmiało jak ostrzeżenie, będą to twoje ostatnie słowa.

- Proszę się nie martwić... nie jestem głupia. - Usiadła na jednym z krzeseł biurowych i popatrzyła prosto w kamerkę internetową. - Dostaliśmy wiadomość od Liama.

> Bardzo mnie to cieszy.

- Nas również.

- Cześć, Bob. - Sal podeszła do biurka.

> Witaj, Sal.

Młodsza z dziewczynek podniosła kartkę papieru, którą dostała od Lestera Cartwrighta.

- To jest wiadomość. Dobrze ją widzisz?

> Nie poruszaj kartką. Zeskanuję ją.

Chwilę później zeskanowany obraz zarejestrowany przez kamerkę został wyświetlony na jednym z monitorów. Ekran przez chwilę migotał, Bob próbował ustawić jak najlepszą rozdzielczość, żeby odczytać odręczne pismo. Później obok każdej litery zaczęły szybko migotać ramki, aż w końcu na innym monitorze pojawił się edytor tekstowy z przepisaną wiadomością.

> Część wiadomości została zaszyfrowana.

- Zgadza się - potwierdziła Sal. - Szyfr książkowy.

> Wskazówka dotycząca szyfru to „magia”. Zgadza się?

- Tak.

> Mam ponad trzydzieści tysięcy ciągów danych ze słowem „magia”.

- Myślę, że chodzi o książkę, którą czytałeś kilka dni temu. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o niej.

> Harry Potter i Insygnia Śmierci. - Tak jest, właśnie o nią mi chodzi. Cartwright i Forby jeszcze bardziej nachylili się nad biurkiem. - Chyba żartujesz - wymamrotał staruszek.

- Hej, przecież moja córka czyta te książki - rzekł Forby. - Czy to następna część?

- Ostatnia - odpowiedziała Maddy. - Tom siódmy.



- Jeezu! Moja mała oddałaby wszystkie skarby świata, żeby choć na to zerknąć! Cartwright rzucił współpracownikowi surowe spojrzenie.

- Forby... cicho bądź. Mężczyzna posłusznie się wycofał i ponownie przyjął czujną postawę, luźno trzymając broń w ręku. Sal usiadła obok Maddy.

- Bob, ty i duplikat twojej sztucznej inteligencji macie ten sam plik cyfrowy.

> Potwierdzam. Plik znajdował się w mojej pamięci krótkoterminowej, kiedy przegrywaliśmy kopię sztucznej inteligencji do jednostki pomocniczej.

- W takim razie wszystko powinno pójść jak z płatka - rzekła Maddy.

- Tak. - Sal odrzuciła grzywkę z oczu. - Musisz po prostu zastąpić każdy trzycyfrowy kod literą. Rozumiesz, jak został zbudowany szyfr?

> Potwierdzam. Numer strony. Numer wiersza. Numer litery.

- Zgadza się.

> Dajcie mi chwilę.

W milczeniu patrzyli, jak grupki cyfr są na przemian podświetlane na dokumencie, a na drugim ekranie Bob błyskawicznie przewraca stronice książki. Zadanie zostało ukończone przed upływem trzydziestu sekund.

> Oto pełne brzmienie wiadomości: Zanieś tę tabliczkę dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku pod następujący adres: Łuk 9, Wythe Street, Brooklyn, Nowy Jork. Wiadomość: szyść, dwa, siewji, trzy, dziwięć, cztyr, ziro, cześć. Klucz to „Magia”.

W milczeniu patrzyli na komunikat, próbując zrozumieć jego treść.

- To jakiś bełkot - stwierdził rozczarowany Cartwright.

- Jesteś pewien, że użyłeś tego samego pliku z książką? - spytała Maddy.

> Potwierdzam.

- Niektóre cyfry zachowane na skamielinie - powiedział Cartwright - były niewyraźne lub niekompletne. Mam dostęp do tego kawałka skały.

- Nie... to nie będzie konieczne - odrzekła Sal. - Jeśli to cyfry, to naprawdę łatwo je odczytać: „szyść” to sześć, „siewji” to musi być siedem. Szybko rozpisała wszystkie numery na kartce papieru:

6-2-7-3-9-4-0-6.

- Proszę.

- To nie jest typowy format sygnatury czasowej - zauważyła Maddy.

> Pokaż mi to, proszę, Sal.

Dziewczyna uniosła kartkę na wysokość kamery.

> To liczba. 62,739,406. Sugestia: to najbardziej prawdopodobna według duplikatu sztucznej inteligencji data ich aktualnej lokalizacji czasowej.

- O mój Boże! - wydyszała Maddy. - Naprawdę jej się udało? - Popatrzyła w kamerkę z uśmiechem. - Praktycznie rzecz biorąc, to tobie się udało. Twojemu duplikatowi, Bobie. Brawo!

- Z dokładnością do roku? - nie mógł nadziwić się Cartwright.

- Do roku? To po prostu niesamowite. Jak ktoś mógł...

> Zaprzeczam. Lokalizację można określić z dokładnością do co najwyżej tysiąca lat.

Uciszyło to wszystkich.

Mogli wylądować do pięciuset lat przed lub po wyznaczonej lokalizacji czasowej.

- Na Jahullę - wyszeptała Sal. - Nie wygląda to najlepiej.

- Tysiąc lat? - Maddy spuściła głowę. - Jak niby mamy go od szukać w całym millenium? Cartwright spojrział na dziewczyny.

- Czyli możecie sprowadzić tu waszego kolegę za pomocą wehikułu? Maddy potrząsnęła głową.

- Upłynie sporo czasu, zanim zgromadzimy wystarczającą ilość ładunku, aby otworzyć portal, szczególnie w tak odległej przeszłości. Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, jak długo może to potrwać, nie mówiąc już o aktywowaniu tysięcy takich portali.

> Informacja: szacowany czas pobierania mocy: dziewięć godzin.

- A więc możemy to zrobić. - W Sal obudziła się iskierka nadziei. Maddy zaśmiała się cierpko.

- Tak, możemy... ale tysiąc lat? Jeśli będziemy aktywować jedno okno rocznie, zajmie nam to dziewięć tysięcy godzin... ile to jest? Cały rok ciągłego otwierania i zamykania portali.

- No i? Nie zrobimy tego dla Liama? Maddy westchnęła.

- To tylko jedno okno rocznie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Liam będzie stał akurat w tym miejscu przez dwie lub trzy sekundy w danym roku? Hmm? A co jeśli będzie akurat spał? Polował? Szedł za potrzebą? Aby mieć jakąkolwiek nadzieję, musielibyśmy otwierać jedno okno codziennie!

- Wygląda to na szukanie igły w stogu siana - powiedział Cartwright niezbyt pomocnie.

- Ach. - Sal przygryzła wargę - Ale możemy spróbować, prawda?

- Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy prób! - odrzekła Maddy. - Zgadnijmy, ile zajmie nam to lat. Niech sprawdzę - mruknęła, obgryzając paznokieć. - Mam... koło trzystu siedemdziesięciu pięciu lat. - Zrobiła jędrzowatą minę i cała spurpurowiała z frustracji i gniewu. - Co ty na to? Zaczynamy?

- W takim razie bardzo mi przykro - wtrącił się Cartwright. - Obawiam się, że wasz przyjaciel pozostanie tam, gdzie jest. To miejsce jeszcze dzisiaj opróżnimy, a wszystko, co się tutaj znajduje, przewieziemy do bezpiecznej placówki rządowej.

- Nie możesz tego zrobić - warknęła Sal. - To nasz... to nasz dom.

- W tej chwili to własność rządu Stanów Zjednoczonych - odrzekł spokojnie. - Tak jak i wy, kochane.

> Sugestia.

- Nie masz prawa! Co z naszymi prawami człowieka?

Uśmiech Cartwrighta był zimny i okrutny; spokojny i pusty gest kogoś, kto za nic ma takie argumenty.

- Ciekawe... kto za wami zatęskni, gołąbeczki. Hmm? Rodzina? Przyjaciele?

- Agencja. - Sal zgrzytnęła zębami. - Dopadnie cię, jeśli spróbujesz nas skrzywdzić! Jest z przyszłości! I...

- Sal! Zamknij się! - Maddy warknęła i złapała Sal za rękę. - Nie

waż się pisać nawet słówka na temat Agencji! Rozumiesz? Hinduska zacisnęła usta i pokiwała głową. Maddy spojrzała na Cartwrighta.

- Chyba wiem, jaki los nam gotujecie: zamkniecie nas w gdzieś w Strefie 51 i potraktujecie jak jakąś anomalię przyrodniczą, szczury laboratoryjne. Wrzucicie nas do pak do czasu, aż wyśpiewamy wam wszystko o tej technologii. Potem zapewne po cichu się nas pozbędziecie: zorganizujecie przejażdżkę na sam środek pustyni w Nevadzie i zatroszczycie się o dwa strzały w głowę. Nie tak pracujecie?

Cartwright potrząsnął głową.

- Nie jesteśmy aż tak brutalni, Maddy. Żywe jesteście dla nas warte o wiele więcej. Nawet gdy już będę miał absolutną pewność, że powiedziałyście mi wszystko, co wiecie, wciąż będziemy potrzebować królików doświadczalnych, żeby przetestować wehikuł. - Westchnął. - Dlatego dobrze byłoby odzyskać waszego kolegę. Nie jestem pewien, czy jego aktualne harce po historii przyniosą wiele dobrego. Choć z drugiej strony, skoro cofnął się o sześćdziesiąt dwa miliony lat, nie powinien zbyt namiesz...

Sal zerknęła na monitor.

> Sugestia: szybkie sondy gęstości.

- Maddy! Patrz! - Dziewczynka wskazała ekran. Maddy obróciła się w krześle i przeczytała wyświetlone słowa. - O mój Boże, tak! Sondy. Sondy gęstości... to może zadziałać!

- Co? - spytał Cartwright zirytowany, że go rozpraszają. - Co kombinujecie?

- Skanowanie sygnałem tachionowym pozwala sprawdzać, czy lokalizacja powrotna jest wolna od zakłóceń i czy ktoś nie wałęsa się w pobliżu otwieranego okna.

Cartwright nadal nic z tego nie rozumiał.

- To jak... jak pukanie do drzwi przed ich otwarciem. Jak pytanie „czy jest tam kto?”. To zdecydowanie szybszy proces niż samo otwieranie portalu. Pochłania mniej energii. - Odwróciła się do mikrofonu na biurku. - Bob, co sugerujesz? Nie możemy przecież przeskanować każdej chwili z tysiąca lat...

> Zaprzeczam. Możemy natomiast przeskanować określony moment każdego dnia w promieniu pół wieku od podanego roku. Daje to ogółem 365.250 sond gęstości.

- No a ile czasu to pochłonie? Miesiące? Lata? - spytał Cartwright.

> Zaprzeczam. Małe sygnały, złożone z co najwyżej kilkudziesięciu cząstek, wystarczą do zidentyfikowania masy zmiennej. Ruchu.

- Tak! - wykrzyknęła Maddy. - Właśnie! A wszystkie sygnały z informacją zwrotną o wykrytym ruchu trafią na listę: krótki harmonogram dat, pod którymi powinniśmy spróbować otworzyć portal. Bob, jak długo potrwa tak szeroko zakrojone sondowanie? - spytała i odwróciła się do Cartwrighta ze słowami: - Obiecuję, że zajmie to zdecydowanie mniej czasu! Góra kilka dni.

Potrząsnął głową.

- To nie do przyjęcia. Pomieszczenie musi być puste do końca dnia. Ma być puste, a wszystko spakowane do pudeł i w drodze do...

- Proszę! - błagała Maddy. - Nie możemy tam zostawić Liama! Cartwright bez słowa pokręcił głową.

- Zna lokalizację wszystkich biur terenowych - przerwała Sal.

- Co ty wygadujesz? - szczekała Maddy opadła.

- Tylko on zna ich lokalizację i wszystkie sygnatury czasowe. - Odwróciła się do Maddy. - Przepraszam... miałam ci powiedzieć... ale Foster kazał mi przysiąc, że nie puszcę pary z ust.

Cartwright przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Są więc inni? Są inne, podobne miejsca? Twarz dziewczyny stężała, czarne oczy

zweżyły się jak u kota.

- Nie powiem ani słowa więcej. Nic więcej nie wiem, ale... Liam wie.

- Hmm... - Mężczyzna w zamyśleniu pocierał kciukiem po brodzie.

- Bob, ile dni zajmie przeprowadzenie skanów gęstości? - spytała Maddy.

> Przeprowadzam obliczenia... chwilę... potrwa to tylko chwilę...

- Niezła próba, młoda damo - powiedział w końcu Cartwright. - To było bardzo przekonujące. Ale takie bzdury zdarzają się tylko w kiepskich filmach. - Jego ochryply głos przeszedł w udawany pisk przerażonej dziewczyny. - „Nie, nie, nie strzelaj... Jeśli pozwolisz mi żyć, pokażę ci, gdzie schowałam pieniądze”.

Cartwright zaśmiał się, usatysfakcjonowany efektem parodii. Sal potrząsnęła głową.

- Tyle tylko, że ja nie kłamię. Jak myślisz, skąd się tu wziął wehikuł czasu? - odpowiedziała. - No więc? Naprawdę sądzisz, że ja i Maddy same złożyłyśmy wszystko do kupy?

Mężczyzna nie znalazł sensownej odpowiedzi. Maddy doskonale rozumiała, do czego zmierza Sal. Dobry blef.

- Ona mówi prawdę, Cartwright. Jak myślisz, skąd bierzemy części zamienne? Kto według ciebie naprawia system translokacji podczas awarii? Jakiś pryszczaty dzieciak ze sklepu komputerowego?

- Naprawdę sądzisz, że nasi agenci pozwolą ci od tak odejść z wehikułem czasu pod pachą? - Sal nie dawała za wygraną.

Stary agent potrzebował czasu, żeby dobrze to wszystko przemyśleć. Pokój na chwilę zamienił się w znieruchomią żywy obraz, gdzieś nad głowami bohaterów sceny sączył się przytłumiony szum zataczającego kręgi helikoptera.

Wielokrotne mignięcie kursora w oknie dialogowym nagle przykuło uwagę wszystkich obecnych.

> Informacja: przy prędkości jedenastu skanów na sekundę przeprowadzenie 365 250 sond zajmie około dziewięciu godzin.

- Dziewięć godzin - powtórzyła za Bobem Maddy. - Widzisz? Tylko dziewięć godzin.  
- Spojrzała na zegarek. - Przed trzecią po południu dowiemy się, w jakim dokładnie czasie jest, i będziemy mogli teleportować go z powrotem. - Zrobiła pauzę i uśmiechnęła się sarkastycznie. - A wtedy będziesz miał już w rękach trzy szczury laboratoryjne zamiast dwóch.

- Tak. - Cartwright przytaknął z zachwytem. - Chyba na to wygląda.

- Proszę - wyszeptała Sal, ton twardych pertraktacji zmiekkł do błagalnego skomlenia szczeniaka.

- Dobrze, ale jeśli którakolwiek z was będzie próbowała jakichś sztuczek, na przykład wysłać sygnał z apelem o ratunek... - sięgnął do marynarki i wyjął rewolwer -... jeśli któraś zrobi cokolwiek bez dokładnego wyjaśnienia mi, o co chodzi, zastrzelę jak psa. Rozumiecie?

Obie szybko skinęły głowami.

- Nie będę was głośno ostrzegał. Po prostu wyjmę pistolet i rozwalę mózgi. Posoka ślicznie wyleje się z waszych łepetynek na utyłane biurko. - Uraczył je zimnym, martwym uśmiechem. - Możecie mi wierzyć, znajdziecie się w zacnym towarzystwie. To nie będzie moja pierwsza głowa ani pierwszy mózg na koncie.

Maddy przełknęła ślinę i wypuściła rwany oddech, wzrok odważnie utkwiała w poruszającej się lufie pistoletu Cartwrighta.

- Jasne. O-okej. Żadnych sztuczek... przysięgam na wszystkie świętości.



## ROZDZIAŁ 62

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam usłyszał dochodzący zza drzew ryk wody.

- Beki? Jesteśmy blisko?

- Potwierdzam. Rzeka znajduje się sto piętnaście metrów przed

nami. Uśmiechnął się z ulgą i triumfem.

- Jezus Maria, strasznie się cieszę, że wróciliśmy!

Sądząc po twarzach pozostałych, nie można było się z tym nie zgodzić. Gęsty baldachim liści nad ich głowami zaczął rzednieć, zbliżali się do skraju dżungli, promienie późnopołudniowego słońca przesywały zwoje pnączy i spadały na ziemię strumieniami świetlistych cętek.

Spieszyli ku jasności, odwracając się po raz ostatni w stronę posępnych ciemności, z niemal niezachwianą pewnością, że stwory stale obserwują ich z bezpiecznej odległości.

Rzeka przed nimi pieniała się i przelewała z rykiem niczym nieustannie rozjuszona bestia. Na przeciwległym brzegu Liam dostrzegł most unoszący się nad brzegiem jak ramię dźwigu. Odetchnął z ulgą, widząc, że jest podniesiony; czwórka na polanie zachowywała się ostrożnie.

Liam stanął nad brzegiem i osłonił usta rękami.

- Hej-hoo!

Reszta stanęła obok niego. Stracili trójkę: Ranjita, Franklyna i Kelly'ego, który zniknął dzisiejszego ranka. Gdy usłyszeli krzyk mężczyzny, zaczęli przedzierać się przez dżunglę ze zdwojoną energią. Wiedzieli, że bestie czają się tuż za ich plecami. Zbili się też w ciaśniejszą grupę, bo gady najwyraźniej wylapywały maruderów.

Zacieśnienie grupy opłacało się. Przez cały ranek, południe i popołudnie stwory nie dawały znaku życia. Nawet gdy pokonywali odsłonięty szczyt. Liam szybko odwrócił się, mając nadzieję, że dostrzeże nieświadomych prześladowców, ale nic nie zobaczył.

Teraz są już na miejscu. Robota wykonana.

Liam wyciągnął szyję i spojrzał na cienką zasłonę dżungli po drugiej stronie rzeki. Pomiędzy ciemnymi pniami drzew dostrzegł srebrne przeblyski - polanę. Nikt jednak nie wyszedł z powitaniem na ustach, nikt nie kwapił się opuścić mostu.

- Krzyknij znowu - poprosiła Laura.

- HEJ-HOOO!

Krzyk Liama popłynął echem ponad wzburzoną rzeką i wystraszył stadko miniaturowych pterodaktyli chowających się na pobliskim drzewie. Przez kilka minut czekali z rosnącym niepokojem.

- Musieli to usłyszeć - powiedział Whitmore.

Edward stanął na palcach i wpatrywał się w płat dżungli na wysepce.

- Chyba że śpią.

- Słono za to zapłaca - mrukną Liam i ponownie przyłożył ręce

do ust. - WRÓCILIŚMY! Znowu nic.

- Może poszli na polowanie? - spytał Juan.

- Przecież wyraźnie im powiedziałem, że ktoś musi pilnować wiatraka - irytował się Liam. Laura skinęła głową w stronę mostu.

- Nawet jeśli opuścili wyspę, ktoś musiał zostać, żeby go za nimi podnieść i później znowu opuścić.

- Racja - zgodził się chłopak.

- Czyli ktoś musi być w domu.

- Coś jest nie tak. - Zaklął pod nosem.

Beki przyglądała się wartkiemu nurtowi rzeki.

- Potrafię przejść na drugą stronę - oznajmiła.

- Prąd jest zbyt silny - ostrzegł Liam.

- Przepłynięcie całej długości nie będzie konieczne. - Machnęła ręką wzdłuż brzegu, na którym stali: pięćdziesiąt metrów niżej z gruntu wyrastał pokryty mchem pagórek obmywany przez rzekę.

- Informacja: z tamtego miejsca uda mi się przeskoczyć odległość równą trzydziestu, czterdziestu procentom szerokości rzeki.

- Potrafisz pływać? - Liam spojrzał na nią z niepokojem.

- Potwierdzam. Potrafię też chodzić, biegać, skakać... mówić.

W oczach Liama rozbłysły ogniki rozbawienia. Czy ona właśnie zdobyła się na sarkazm? Czy to kolejny dowód rodzącego się poczucia humoru Beki? Jednostka

odwzajemniła uśmiech.

- Strasznie jesteś zabawna, Beki!

- Opracowałam kilka algorytmów dobrego humoru. - Kiwnęła głową w kierunku pokrytego mchem wzniesienia, by zmienić temat.

- Zaraz wracam - oznajmiła i ruszyła wzdłuż brzegu.

- Gdzie ona idzie? - spytał Whitmore, z niepokojem patrząc, jak ochroniarz-robot zostawia ich samych sobie.

- Planuje zrobić coś godnego superbohatera - rzekł Liam.

W milczeniu patrzyli, jak przez moment przypatruje się rzece, a następnie odwraca, by oszacować wysokość pagórka. Po kilku sekundach odeszła od brzegu i zatrzymała tuż przy zacienionym obrzeżu dżungli. Ponownie się odwróciła i bez chwili wahania puściła się sprintem w kierunku rzeki.

- Ona chce skoczyć? - Whitmore wybałuszył oczy.

Wbiegła susami na wzniesienie i wybiła się ponad rzekę. Wszyscy podświadomie złapali oddech i unieśli się na palcach, gdy jednostka z gracją przesybowała dziesięć metrów nad wodą, wymachując ramionami, by nadać ciału większego impetu. Potem wygięła się w łuk i zanurkowała, znikając pod białymi grzywami cwałującej rzeki.

Na długie pół minuty Beki zniknęła z pola widzenia, ale w końcu Liam zauważył jej ciemne włosy, to znikające, to pojawiające się wśród wirującego kożucha piany. Ale niżej - w miejscu gdzie rzeka zakręcała, wpływając na wielkie głazy i zamieniając się w labirynt zdradliwych i śmiertelnie niebezpiecznych progów rzecznych - głowa Beki na dobre zniknęła z zasięgu wzroku.

- Uda się jej? - spytał Juan.

- Stawiam dolary przeciwko orzechom - odparł Liam.

Whitmore przytaknął z zachwytem i westchnął:

- Ileż ja bym dał, żeby mieć ją w szkolnej drużynie lekkoatletycznej. Wygrywalibyśmy wszystkie puchary jak leci.

Upłynęło ciągnące się w nieskończoność dziesięć minut, zanim znowu ją ujrzeli: biegła w górę rzeki na przeciwnym brzegu. Dotarła do prowizorycznego mostu, ostrożnie odwiązała przeciwwagę ze związanych bali i, napinając z wysiłku mięśnie, powoli zaczęła obniżać konstrukcję; liny z pnączy skrzypiały i trzeszczały pod napięciem.

Ponad dudniącą rzeką rozległ się trzask pękającej liany.

- Puści! - krzyknął Liam.

Beki też musiała to usłyszeć. Jednostka zaczęła szybciej poluzowywać linę, ale kolejne pnącze pękło pod zwiększonym ciężarem, podskakując z brzdękiem do wystającej gałęzi jak gumka.

- Odsuńcie się! - krzyknął Liam do innych. - Spadnie!

Spadło. Pozostałe pnącza zaczęły błyskawicznie pękać, jedno po drugim, a pień zakolysał się pod kątem czterdziestu pięciu stopni i ciężko opadł na kamienie po drugiej stronie rzeki. Wszyscy usłyszeli trzaśnięcie, głośne jak wystrzał z broni palnej. Z boków pnia wyrosły poszarpane drzazgi, a most zapadł się w połowie i opadł nad samą wodę.

- Genialnie!

- Poczekaj... może się uda - powiedział Juan i zanim ktoś zdążył go zatrzymać, wszedł na gałęzi, a potem na koniec kłody i jął się przesuwac, centymetr po centymetrze. Pień ugiął się niżej, niemal dotykał już rzeki, ale utrzymywał ciężar chłopca.

Juan opadł na czworaka, usiadł okrakiem na drzewie i przesuwac się po nim powoli na

pośladkach. W połowie drogi ostrożnie przesunął się nad wystrzępionym złamaniem, nogami dotykając wody, która niebezpiecznie ściągała go w odmęty. Udało mu się jednak, a minutę później machał już z przeciwległego brzegu.

- Dobra, wygląda na to, że wytrzyma. Idziemy. Whitmore kazał Edwardowi przejść na początku. Następne w kolejce były Laura, Akira i Jasmine. Liam odwrócił się i powiedział:

- Przygotujcie włócznie. - Wskazał głową ciemną dżunglę za plecami Howarda i Whitmore'a. - Wciąż mogą tam być.

„Czyżby czekały, aż zostanie ostatni? Co wtedy zrobią?”.

Nawet nie chciał o tym myśleć.

Whitmore ruszył za Jasmine, sapiąc przy tym ze strachu i wysiłku. Pęknięty pień chygotał się i trzeszczał przy każdym, najmniejszym nawet, ruchu mężczyzny. W końcu nauczyciel dotarł na drugi brzeg i przywoływał gestem następnego śmiałka.

- Leonardzie, ty pierwszy.

- Jesteś pewien? - Ciemnowłosy chłopiec pytająco spojrzał na Liama.

- Mhm - odpowiedział Liam, ze wzrokiem wlepionym w czarną ścianę dżungli. - Tylko się pośpiesz, okej? - dodał, rzucając szybki, nerwowy uśmiech.

Howard przytaknął, a chwilę potem siedział już okrakiem na kłodzie, szurając całym ciałem do przodu. Liam odczekał, aż chłopak dojdzie do połowy mostu, po czym ostrożnie postawił stopę na pniu. Czuł wibracje od ruchów Howarda.

„Jeśli planują zaatakować... zrobią to teraz”. Niemal jak na zawołanie jakiś czarny kształt przeskoczył pod osłoną zarośli z jednej kryjówki do drugiej. Był coraz bliżej, ale nie ryzykował wyskoczenia na otwartą przestrzeń.

- Co jest? - mruknął pod nosem. - Boisz się mnie? Boisz?

Spodobał mu się ten raźny ton, zachęta do boju. Na kilka sekund kompletne przerażenie odplynęło, ale krzepiące uczucie ulotniło się jeszcze szybciej, gdy dostrzegł, że coś innego poruszyło się za drzewami jeszcze bliżej niego.

W końcu poczuł, jak pień pod jego stopą podskakuje, Leonard zeskoczył już prawdopodobnie na brzeg. Usłyszał głos Whitmore'a, który przekrzykiwał łoskot rwącej rzeki i zachęcał do przeprawy.

- Idę! - krzyknął Liam przez ramię. Ze wzrokiem wciąż utkwionym w dżungli postąpił krok do tyłu, nie mając odwagi odwrócić się plecami do czającego się w krzakach stworzenia. Miał pewność, że bestia czeka tylko na jeden fałszywy ruch.

„Weź się w garść, Liamie” - pomyślał i opadł na czworaka, po czym jął przesuwac się po kłodzie do tyłu. W jednej ręce wciąż trzymał gotową do zadania ciosu włócznię. Przyda mu się, gdy będzie musiał odpierać nagły atak.

Po minucie powolnego przesuwania się centymetr po centymetrze wyczuł, że ostry kawałek drewna wrzyna się w wewnętrzną część jego uda i uświadomił sobie, że znalazł się na wysokości pęknięcia. Chłodna woda wezbrała wokół zwisających nóg, przemaczając go do wysokości ud. Gdy przekładał biodra nad wystrzępionymi ułomkami niemal rozłupanego pnia, usłyszał jak drzewo trzaska, a kłoda opada jeszcze niżej. Woda zalała kolana i uda, po czym zaczęła okładać brzuch i klatkę piersiową jak rozjuszony bokser wyczuwający słabnący opór przeciwnika.

„Och nie... proszę, nie”. Woda. Tonięcie. Nagle do strachu związanego z porwaniem i rozdarciem przez rozwścieczonego drapieznika doszła groza porwania i rozdarcia przez żywioł wody.

- Pęknie! - krzyknął ktoś.

Liam czuł, jak pień chwieje się i trzęsie pod wpływem silnego prądu. Kawał drewna giął się, trzeszczał i wykrzywił pod naciskiem wody uderzającej w niego z morderczą siłą. Chłopak uświadomił sobie, że kłoda nie wytrzyma dłużej, więc w nagłym przyplywie paniki

odwrócił się i zaczął się czołgać jak wszyscy wcześniej. Przesuwał się dalej na rękach i kolanach, plecami do dżungli, która jeszcze kilka chwil temu skrywała najgorsze w jego mniemaniu zagrożenie.

Nie... najstraszniejszą rzeczą pod słońcem jest teraz biały, ryczący kłębstwór, próbujący go zrzucić z kłody zaborczymi, ociekającymi mackami. Widział, jak pozostali szaleńczo wymachują do niego z drugiego końca wyginającej się kłody, zachęcając do pośpiechu.

- Dobra... dobra, idę! - zaskomlał i czołgał się dalej. Kładł jedną rękę za drugą, ostrożnie obmacując zdradziecko mokrą korę.

„Jeszcze kawałek, Liamie, jeszcze kawałek. Już jesteś prawie na miejscu”. O kolejny metr przybliżył się do brzegu, zdołał nawet posłać pozostałym nonszalancki uśmiech z gatunku „Nic mi się nie stanie, panikarze, spokojnie”, gdy natrafił ręką na śliską łatę mchu.

- Huu... - zdołał jeszcze wydyszeć, zanim ręka ześliznęła się z pnia, a pozbawione równowagi ciało pociągnęło go za sobą w odmęty.

## ROZDZIAŁ 63

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Zaczął wirować w huczącej burzy wartko płynącej rzeki. Instynktownie nabrał powietrza, zanim całkowicie zanurzył się w wodzie, ciało myślało w tej chwili za niego, umysłem zawładnęła ślepa panika.

„Utonę! Zaraz utonę!”. Wiedział to. Powietrza wystarczy może na pół minuty życia. Wyobraźnia przeniosła chłopca do wąskiego korytarza wypełnionego jękiem naprężonych



grodzi, migającymi kinkietami i odległym wyciem przeszywająco zimnej wody morskiej wdzierającej się z pokładu poniżej. Obietnica pewnej śmierci w lodowatej otchłani oceanu.

„Och, nie, nie, nie, nie, nie, tylko nie to! Nie tak!”.

Wtedy jego głowa wyskoczyła na powierzchnię. Młócił rękami o kłęby spienionej wody, wciąż zatrzymując w płucach stęchłe powietrze. Trzydzieści, czterdzieści metrów za plecami dostrzegł mglisty zarys ich mostu, który szybko nikał w oddali. Bystry prąd niósł chłopaka w dół rzeki.

Nogi mocno uderzyły w głaz. Rzeka przetoczyła ciało po twardej, gładkiej powierzchni wielkiego otoczaka. Głowa znowu znalazła się pod wodą, do uszu wdarł się ogłuszający tumult rzeki. Chłopak poczuł, że rosnący prąd gwałtownie wsysa go na dno, a ciśnienie gniecie klatkę piersiową.

Panika. Obezwładniająca, przeraźliwa panika opróżniła jego umysł ze wszystkich świadomych myśli, wywołując mentalny krzyk i narastające przeczucie, że czarna ogłuszająca otchłań to dla niego kres wszystkiego.

Ale psotny bożek rzeki postanowił spłatać mu kolejnego figla i znowu wystrzelił jego ciało na powierzchnię, pozwalając mu pożegnać się z życiem, powietrzem, drzewami i karmazynowym niebem późnego popołudnia. Liam zaczerpnął kolejną porcję powietrza, nieświadom, że największym aktem miłosierdzia, jaki mógłby sobie ofiarować, byłoby wypuszczenie powietrza i przygotowanie ust, gardła i płuc na szybki zalew wody. Wtedy jego ramiona trafiły na coś twardego. Na coś, czego mógł się ucześcić i przeciwstawić się niepowstrzymanemu nurtowi rzeki. Otworzył oczy i zauważył, że to wyrwane drzewo. Przez moment zastanawiał się, czy rzeka przeniosła go wokół wyspy po jakiejś wymykającej się logice pętli, cudownie wyrzucając jego ciało przy ich prowizorycznie zbudowanym moście.

W akcie rozpaczycy chwycił za szorstką korę i małe liściaste gałęzie wyrastające z pnia - zbawienne uchwyty, których brakowało ich gładkiej i prostej kłodzie. Podciągając się od gałęzi do gałęzi, zdołał przeciągnąć się z silnego prądu na środku nurtu w stronę łagodniejszego prądu przy brzegu.

Wreszcie jego stopa zaszurała po dnie i rozproszonych kamykach. Wymachiwał nogami, szukając pewnego oparcia, które się pod nim nie osunie. Ręce przesuwaly się po zwałonym drzewie, szukając grubszych gałęzi, aż wreszcie wygramolił się z rzeki i upadł na czworaka na mokre kamienie, które zaczęły głośno trzeszczeć pod jego ciężarem.

- Argh - charczał w przerwach między szarpanymi oddechami.

Wciąż jeszcze ciężko rzeził, gdy podnosił się wyczerpany z ziemi. Odwrócił się i spojrzał na zwałone drzewo, próbując ustalić swoje położenie i zorientować się, na którym brzegu rzeki wylądował. Podstawa drzewa znajdowała się po przeciwległej stronie; zauważył postrzępiony i rozłupany pień, który wyglądał na ścięty przez zespół niezdarnych drwali uzbrojonych w tępe siekiery... choć może to sprawka bobrów.

Nie, to nie mogły być bobry. Być może jakiś gatunek termitów zagnieździł się w drzewie albo zwyczajnie zgniło i złamało się wpół. W każdym razie powinien cieszyć się, że uratowało mu życie. Pod liśćmi i gałęziami zwałonego bała zauważył ślady i wgłębienia. Stwierdził, że Lam i pozostali na pewno ścięli drzewo na opał, ale nieodpowiedzialnie pozwolili, żeby opadło na drugi brzeg rzeki, po czym je zostawili.

„Idioci”.

Jak tylko ich znajdzie, każe im zaciągnąć drzewo z powrotem do wody, by spłynęło z prądem. Odwrócił się i popatrzył zmrużonymi oczami wzdłuż brzegu rzeki. Przez stumetrowy pas dżungli ledwie dostrzegł karmazynowe promienie zmierzchającego nieba, rzednące drzewa, polanę za nimi i obozowisko.

Woda porwała włócznie, ale nie miało to znaczenia - wreszcie był bezpieczny. Pokonał kamienistą plażę i wszedł w wąski pas dżungli. Przez zwisające obręcze pnączy słońce, układając się do snu na horyzoncie, rzucało długie cienie na liściaste pagórki ich szałasów i drewnianą palisadę. Chłopak wciąż jednak nie zauważył żadnego śladu Lama ani dzieciaków, które zostały w obozie.

„Gdzie oni są?” - myślał niespokojnie.

- Hej hoooo! - krzyknął ponownie. Głos odbił się od ściany dżungli.

Kilka minut później wychodził już na polanę spod baldachimu listowia. Daleko po drugiej stronie łąki pojawiła się Beki wraz z pozostałymi.

- Hej! - Machnął do nich ręką.

Odwrócili głowy, usta ułożyły się w ciemne owale ulgi i zaskoczenia.

- Udało mi się! Wszystko w porządku! - krzyknął do nich. - Nic mi się nie stało! Co z resztą?

Beki poprowadziła grupę przez polanę. Spotkali się z Liamem tuż przy dogasającym ognisku.

- Pozostali nie zostali zlokalizowani - odrzekła Beki.

Liam zauważył, że ich turbinka się nie kręci. Belka została złamana, a opróżniony tornister leżał na ziemi obok otoczków.

- Wiatrak jest zniszczony. Co się stało? Nikt nie udzielił odpowiedzi.

- Najpierw powinniśmy znowu to uruchomić - ciągnął, rozglądając się po pozostałych.  
- Może nas szukają?

Beki zważo podeszła do urządzenia, aby sprawdzić, czy nie wystarczy szybka naprawa. Liam miał już wydać rozkaz rozdzielenia się i rozpoczęcia poszukiwań, kiedy zauważył wybałuszone oczy Jasmine utkwione w jakimś szczególe, najwyraźniej przegapionym przez pozostałych.

- Jasmine? Wszystko w porządku?

- To... - Wskazała na ziemię i doprecyzowała szeptem: - Co to jest?

Wśród kamyków, szyszek i suchych, rozsypujących się liści obumarłych paproci chłopak zauważył blady, smukły przedmiot przypominający nienaturalnych rozmiarów larwę. Podeszedł bliżej i zauważył, że grunt wokół niej jest ciemniejszy, a z końca obłego przedmiotu wystają biało-żółte różki wyglądające jak czułki krewetki.

Poczuł, jak jego żołądek powoli wywraca się od mdłości. To był czyjś palec wskazujący, a czułki to kawałki kości.

- Co to? - spytał Whitmore, podchodząc do znaleziska. - Mój Boże!

To palec? Prawda brutalnie utorowała sobie drogę do mózgu Liama.

- Są tutaj. - Spojrzał na pozostałych. - Wataha jest na wyspie.

Usta Whitmore'a otworzyły się i zamknęły bezgłośnie, nie wypłynęła z nich żadna sensowna odpowiedź.

- Jak się tu dostały? - spytał Howard. - To niemożliwe. Nie przepłynęły przecież rzeki!

- Nie musiały - powiedział Liam i zawiesił głos. - Naśladowały nas tylko. Czegoś ich nauczyliśmy.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że zbudowały własny most.

## **ROZDZIAŁ 64**

Nowy Jork rok 2001

Nagle wszystko przestało działać, baza pogrążyła się w ciemnościach.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął Cartwright.

- Błagam! - odkrzyknęła Maddy z ciemności. - Nie strzelaj! Nie strzelaj! Ja nic nie zrobiłam!

- Nie ruszaj się z miejsca! - ostro rzucił Cartwright. - Usłyszę najmniejszy szmer i strzelam!

- O-okej... nie ruszamy się, prawda Sal?

- Nie. Siedzimy bez ruchu. Nic nie robimy.

- Po prostu poczekajmy, Cartwright - uspokajała Maddy. - Sekundkę, generator może odpalić w każdej chwili.

Jak na zawołanie na zapleczu rozległ się warkot uruchamiającego się generatora. Chwilę później ponownie rozbłysła jarzeniówka zawieszona pod sufitem: rozległ się dwukrotny trzask i zapaliła się na dobre.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na siebie, monitory migotały harmonijnie, system się ładował.

- Co to było? - twardo zapytał Cartwright.

- Jeszcze nie wiem - powiedziała Maddy.

- Fala czasu - rzekła Sal.

- Co?

- Fala czasu - powtórzyła dziewczyna. - W przeszłości nastąpiła znacząca zmiana, jej skutki właśnie do nas dotarły. Maddy smutno pokiwała głową.

- Tak... Sal ma rację. To było dokładnie to.

Cartwright spojrział na dziewczyny, później na Forby'ego, który odpowiedział jedynie bezużytecznym, spokojnym spojrzeniem oficera na służbie.

- No i? - zapytał starzec. - Co to oznacza?

- Wszystko wokół bazy, wokół tarczy czasu chroniącej biuro terenowe, uległo zmianie - wyjaśniła Maddy. - Zmiana musiała być duża... jeśli straciliśmy moc. - Co jest w takim razie na zewnątrz? - spytał. Maddy bezradnie rozłożyła ręce. - Nie wiem! Chyba inna wersja Nowego Jorku. Rozszerzone oczy Cartwrighta nabiegły krwią. - Forby, idź się rozejrzeć.

- Tak jest, sir. - Agent podszedł do drzwi i nacisnął zielony przycisk, ale drzwi ani drgnęły. - Nie chcą się otworzyć.

- Generator nie zasila napędu rolety - podpowiedziała Maddy. - Ale jest korba. O tam. - Wskazała palcem metalową rączkę. Forby skinął głową i zaczął kręcić.

Proces ładowania systemu dobiegł końca, wyskoczyło okno dialogowe Boba.

> Uruchomiono zasilanie awaryjne. Wznówić sondowanie gęstości?

Maddy obróciła się na krześle w stronę monitora.

- Ile zostało jeszcze prób sondowania?

> Informacja: wykonano 177 931 nasłuchów gęstości.

Dziewczyna się skrzywiła - mniej niż łączna liczba, którą oszacował Bob.

- Są już jakieś podejrzenia?

> Do tej pory fluktuacje gęstości wystąpiły podczas 706 nasłuchów.

- Czy możesz zawęzić tę liczbę?

> Potwierdzam: potrafię przeanalizować wzory odczytanych interferencji i zidentyfikować rytmiczne lub nienaturalne zakłócenia.

- Mhm... niech pomyślę. - Przygryzła poszarpany paznokieć. - Ale to dopiero połowa zaplanowanego sondowania?

> Nie osiągnąłem jeszcze pięćdziesięciu procent.

- Czyli jeśli teraz przerwiesz, możemy ich przegapić - myślała głośno.

> Potwierdzam.

- Czerpiemy moc z generatora. Masz wystarczający zasób mocy, aby dokończyć skanowanie i otworzyć okno, jeśli ich znajdziemy?

> Brak danych. Nie znam odpowiedzi, Maddy.

- Możesz zgadnąć?

> Brak danych. Nie znam odpowiedzi, Maddy.

Zaklęła pod nosem.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli będziemy kontynuować sondowanie, może paść bateria?

> Potwierdzam.

Stukot podnoszonej żaluzji nagle ustał.

- Okej, Bob - westchnęła, chowając twarz w dłoniach; malował się na niej wyraz zmęczenia i rezygnacji. - Okej... okej. W porządku. Przerwij sondowanie na tym etapie i

przeanalizuj wszystkie wyniki. Może trafimy.

> Potwierdzam.

- O, ja pierniczę! - stwierdził Forby.

- JEZUS MARIA - jęknął Cartwright.

Maddy obróciła się na krześle i spojrzała na parę agentów stojących w drzwiach i wpatrujących się w obraz szmaragdowozielonej dżungli.

„O nie, znowu to samo” - westchnęła nastolatka w duchu. Ostatnia fala czasu podobnych rozmiarów spowodowała odcięcie biura terenowego od zasilania i zmieniła Nowy Jork w postapokaliptyczne pogorzelsko zdewastowanych budynków, niszczących pod rdzawoczerwonym niebem. Szybko podbiegła z Sal do otwartych drzwi.

- O, Jahulla! - sapnęła Sal, gdy znalazły się obok dwóch agentów. „Faktycznie niezła Jahulla” - pomyślała Maddy. Tym razem Nowy Jork przepadł, zamiast rumowiska budynków nie było nic. Miasto nigdy nie istniało. Dziewczyna spojrzała pod stopy. Zimna i pobrużdżona betonowa posadzka urywała się prostą linią w miejscu, gdzie przestawała działać niewidzialna siła pola. Dalej grunt stanowiła żyzna, brązowa ziemia, pokryta dywanem wysokiej trawy, skupiskami niskich, bujnych paproci i nieznanymi roślinami.

Maddy spojrzała w górę, ale nie dostrzegła mostu Williamsburg ani manhattańskich drapaczy chmur na horyzoncie, tylko szeroką, spokojną deltę obrośniętą gęstym lasem tropikalnym.

- Ha... jak... jakim cudem znaleźliśmy się w samym środku dżungli, sir? - spytał Forby.

Na twarzy Cartwrighta powoli wykwiłał uśmiech zrozumienia. Wreszcie kiwnął głową.

- Niesamowite - wyszeptał z szeroko otwartymi jak u dziecka oczami wyrażającymi



bezbrzeżne zdziwienie. Po pobrużdżonym policzku spłynęła łza.

„To... to jest niesamowite” - pomyślał.

- Sir? - Forby odwrócił się w jego stronę. Spokojna, służbowa postawa mężczyzny gdzieś się ulotniła, zastąpiona ledwie skrywaną paniką. - Sir? Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

- Jesteśmy w tym samym miejscu - odpowiedział starzec, odwracając się do Maddy. - I w tym samym czasie. Jesteśmy dokładnie tam, gdzie byliśmy. Prawda?

- Zgadza się. - Potwierdziła dziewczyna. - Alternatywna historia dotarła tu przed momentem.

Pomarszczona twarz Cartwrighta odmłodziła nagle o dziesięć lat. Wyglądała teraz jak twarz dziecka, które zobaczyło właśnie wrózkę zębuszkę lub sanie Świętego Mikołaja znikające daleko wśród chmur na tle wielkiej kuli księżyca.

- Sir? Gdzie się podzieli wszyscy ludzie? Co się z nimi stało?

- Przepadli, Forby - odszepnął z roztargnieniem. - Przepadli.

- Nie żyją?

- Nie. Po prostu nigdy się nie urodzili - wyjaśniła Sal.

- Chcę zobaczyć więcej - powiedział Cartwright i zszedł z betonu na miękki grunt, szczerząc zęby. - Mój Boże! Czy to się dzieje naprawdę?

Maddy wzruszyła tylko ramionami.

- To inna rzeczywistość. Tak wyglądałby Nowy Jork gdyby... gdyby...

- Gdyby co? - dopytywał Forby.

- Jeszcze nie wiemy. Mogę się tylko domyślać, że to przesunięcie wywołane przez naszego kolegę w przeszłości. Jestem pewna, że nie było zamierzone.

Forby z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Chcesz mi powiedzieć, że jedna osoba może zmienić losy całego świata?

Cartwright westchnął ewidentnie zirytowany tępotą swojego podwładnego.

- Oczywiście, Forby. Zastanów się chwilę. Gdyby pewien żydowski stolarz dwa tysiące lat temu nie odcisnął po sobie piętna, na banknocie dolarowym nie widniałby napis: „W Bogu pokładamy ufność”, ale: „W bogach”.

Forby groźnie zmarszczył brwi. Nikt nie powinien profanować dolara. Nie gdy taki patriota jak on sam jest na służbie.

- A nasz przyjaciel cofnął się w znacznie odleglejszą przeszłość niż czasy Jezusa - dodała Sal.

- Małe zmiany w przeszłości... - Maddy przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez Fostera, gdy częstował ich kawą i pączkami tuż po przebudzeniu: prosty i dziwnie krzepiący gest w tamtej surrealistycznej sytuacji. - Małe zmiany w przeszłości mogą prowadzić do olbrzymich zmian w teraźniejszości.

Cartwright popatrzył na pobliski brzeg rzeki.

- Powinniśmy rozejrzeć się po okolicy... - Zatrzymał się jak rażony piorunem.

- Patrzcie!

Maddy podążyła wzrokiem za jego drżącym palcem wskazującym i ujrzała wyrastającą z rzeki wyspę, która kiedyś była Manhattanem. Mocno zmrużyła oczy, bez okularów była niemal ślepa. Ledwo dostrzegła, że coś się porusza.

- Co to jest?

- Ludzie? - mruknęła Sal. - Tak... to ludzie!

- Osada - dodał Cartwright.

Zdawało jej się, że dostrzeża skupisko okrągłych chat przy brzegu rzeki i kilka cienkich smug dymu unoszących się ku niebu.

- Patrzcie - powiedział Forby - to łódź.

W połowie spokojnej i uległej rzeki, na niemal gładkiej jak jedwab tafli wody unosił się długi, niewyraźny zarys kanoe. W środku znajdowało się sześć wiosłujących osób. Łupina zbliżała się w ich stronę.

- Dziwnie wyglądają - powiedziała Sal, osłaniając oczy przed słońcem. - Wszyscy tak śmiesznie się poruszają.

- Powinniśmy nawiązać kontakt. - Cartwright palił się, aby pobiec nad rzekę i powitać przybyszy.

- Nie - powiedziała Maddy. - Uważam, że nie powinniśmy tego robić.

- Dlaczego nie? - spytał. - Przecież tyle moglibyśmy się od siebie nauczyć! Wiedza na temat innego...

- Dziewczyna może mieć rację - przerwał mu Forby. - Mogą zachowywać się wrogo, sir!

- To unikalny moment w historii! - Mężczyzna kręcił głową ze zdumieniem na twarzy.

- Właśnie w tym rzecz... to nie historia. To nie miało się wydarzyć - rzekła Maddy. Ci ludzie nie powinni istnieć. To alternatywna

rzeczywistość, która nigdy nie powinna mieć miejsca, panie Cartwright. Rozumie pan? Ostatecznie, czego teraz potrzebujemy, to próba nawiązywania z nimi przyjaźni.

- Nie jestem przekonana, czy to ludzie - powiedziała Sal, uważnie patrząc, jak kanoe dobija do pobliskiego brzegu. Sto pięćdziesiąt metrów od nich długa łódź z gracją wypłynęła na przybrzeżny muł. Postaci na pokładzie zostawiły wiosła w łodziach i zaczęły po kolei zeskakiwać z dzioba na błoto.

Teraz nawet Maddy zauważyła, że to nie ludzie.

- Mój Boże, popatrzcie na ich nogi - wyszeptał Forby. - Zupełnie jak... jak nogi kozy, psa.

- To kończyny dinozaurów - sprostował Cartwright. - Teropodów. Przypominają kończyny welociraptorów.

- Zapomnijcie o nogach. - Sal zignorowała ich słowa. - Popatrzcie na głowy!

Maddy zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy słaby wzrok nie płata jej figła.

- Wyglądają jak banany?

- Są podłużne. - Forby potrząsnął głową. - W życiu nie widziałem nic dziwniejszego. Wyglądają jak kosmici. - Odwrócił się do pozostałych, zniżając głos. - Mój Boże! Myślicie, że to stwory z innej planety? Gatunek ufoludków, którzy skolonizowali świat?

Cartwright zignorował agenta i zauważył:

- Kończyny wskazują na odległe powinowactwo z dinozaurami. A głowy? Nie mam zielonego pojęcia, jak mogły tak ewoluować.

Patrzyli, jak stworzenia rozbiegają się wzdłuż błotnistego brzegu, dźgając ziemię trzymanymi w rękach włóczniami.

- Co one robią? - spytała Maddy.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie z dziury w szlamie wyskoczyło zwierzę rozmiarów świni i popędziło po bloku do kolejnej dziury. Stojący przy niej bananogłowy szybko uniósł włócznie i cisnął nią z wprawą. Dzida przeszła małe zwierzę, które z piskiem przewróciło się na bok i zaczęło się miotać.

- Polują! - powiedział Forby odrobinę zbyt głośno.

Jedno ze stworzeń odwróciło się nagle i spojrzało w ich stronę. Cała czwórka instynktownie schowała się za falującymi lekko, wielkimi liśćmi paproci.

- Zauważył nas? - wysyczał Forby przez zęby.

Maddy spojrzała na zarys skruszonej, czerwonej cegły wokół falistej rolety - część łuku mostowego znajdującego się w obrębie pola translokacyjnego bazy. Na szczęście niemal całą konstrukcję osłaniały wielkie drzewa nieznanymi gatunków; tuż nad nimi zwisały lepkie liście wielkości parasolki. Doskonały kamuflaż.

- Myślę, że jesteśmy dobrze ukryci - wyszeptała.

Przez przerwy pomiędzy falującymi liśćmi obserwowali, jak stworzenie, wciąż zaciekawione, powoli zmierza w ich stronę po mulistym brzegu, z zainteresowaniem przekrzywiając głowę. Podeszło bliżej, szczupłe oliwkowe ciało bez sierści, pozbawiona wyrazu twarz zbudowana z kości, chrząstek i bezwargich ust, z których wyrastały ostre jak brzytwa kły.

- Straszny brzydak - szepnęła Sal. - Naprawdę nie potrzebuję takiego przyjaciela.

Maddy zauważyła, że Forby powoli podnosi broń, a jego palec masuje spust. Szturchnęła go i potrząsnęła głową, wysyłając jasny komunikat: „Nie rób tego”.

Mężczyzna skinął głową na znak, że rozumie.

- Piękny - wyszeptał Cartwright. - Co za wspaniałe stworzenie! Popatrzcie tylko!

Przez chwilę istota stała bez ruchu, omiatając wzrokiem las. Nie widziała ani ludzi, ani niskiego ceglanego łuku. W końcu wykonała gest podobny do wzruszenia ramion, odwróciła się i udała w kierunku pozostałych, które krzyczały coś, jękliwie kwiląc i zgrzytając zębami.

- Ja już się napatrzyłam. Wracajmy do środka - powiedziała Maddy. - Przed nami sporo pracy.

- Nie chcesz dowiedzieć się o nich nic więcej?

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

- Po co? Jeśli dopisze nam szczęście i zlokalizujemy Liama, to wszystko się nie wydarzy. - Przerwała i zerknęła na Forby'ego, który odetchnął z ulgą na myśl o powrocie. - Poznawanie tych istot nie ma żadnego sensu, jeśli się głębiej nad tym zastanowić. Wkrótce znikną w Nigdylandii.

Zawiedziony Cartwright spochmurniał.

- Dobrze - dał za wygraną. - No to do roboty.

## **ROZDZIAŁ 65**

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

- Słyszeliście to? - W oczy Laury zajrzał strach.

Wszyscy doskonale to usłyszeli, chociaż w dżungli dopiero miał rozbrzmieć regularny koncert nocnych krzyków i nawoływań, a słońce dosłownie przed chwilą ześliznęło się z nieba, zostawiając po sobie grzebień pierzastych chmur poplamionych różem gasnącego światła. Dżungla weszła w przejściową fazę doby, zawieszenie broni pomiędzy dziennymi a nocnymi gatunkami zwierząt.

A powietrze znowu przeszył ten dźwięk. Rozpaczliwy kobiecy krzyk, głos jednej z dziewczyn, które zostawili w obozie: Keishy Jackskon albo Sophii Yip.

-...proszę... pomóż mi...

- To Keisha! - powiedziała Jasmine, odwracając się do pozostałych. - Na pewno! To Keisha!

- Z której strony dobiegł krzyk? - spytał Liam. Dziewczyna krzyczała z bliska, z gaju dżungli oplatającego polanę. Dźwięk mógł dochodzić z każdej strony, złośliwe echo płynęło wokół polany.

- Pomocy... to boli...

- Musimy jej pomóc! - stwierdził Edward.

- Zaprzeczam - odpowiedziała Beki. - Hominidzi wciąż mogą znajdować się na wyspie.

Laura znowu popatrzyła na leżący na ziemi palec. Światło dnia poszarzało na tyle, że na szczęście był prawie niewidoczny.

- To możliwe?! - krzyknęła. - One tu są!

- Albo odeszły - odparował Whitmore i spojrzał na Liama. - Musimy pomóc biednej dziewczynie! Niewykluczone, że umiera!

-...Proszę... Whitmore skinął głową na drugą stronę polany.

- Głos dochodzi stamtąd. - Chwycił włócznie i odwrócił się do pozostałych. - Ktoś musi pomóc mi ją nieść.

Edward złapał za dzidę, wyrażając gotowość do działania. Podobnie postąpili Howard i Juan.

- Okej - powiedział Liam. - Idźcie po nią. - Odwrócił się do Laury, Akiry i Jasminy. - Musimy ponownie rozpać ognisko. Zajmiecie się tym? Rozpaćcie duży ogień, największy, jaki zdołacie, jasne? Beki, trzeba naprawić wiatrak.

- Potwierdzam.

- A wy - krzyknął, szczególnie pod adresem Whitmore'a i chłopców, którzy biegli już szukać Keishy - trzymajcie się blisko siebie! Nie rozdzielajcie się!

Odprowadził wzrokiem czteroosobową grupkę z dzidami. W dżungli, kiedy wracali do obozowiska po zakopaniu glinianych tabliczek, byli nieskończenie bardziej narażeni na zasadzkę, a mimo to stworzenia ostrożnie trzymały się w bezpiecznej odległości... zaskoczyły Kelly'ego tylko dlatego, że został sam z tyłu.

Chłopak niespokojnie rozejrzał się po polanie. Dziewczyny rozpały ogień kilkanaście metrów dalej, Beki jakieś trzydzieści metrów od niego próbowała ponownie uruchomić wiatrak. Liam szybko analizował sytuację. Nie został sam na polanie, ale czułby się pewniej, gdyby obok siebie miał jeszcze ze dwie osoby do pomocy. Spojrzał na pogrążone w ciemności wejścia do pobliskich przybudówek i małą bramę ostrokołu - oczami wyobraźni ujrzął czające się tam bestie.

„Tylko spokojnie, Liamie. Tylko spokojnie”.

Złamany Pazur patrzył, jak zbliżają się nowe istoty. Cztery z nich niosły w rękach zabójcze kije. Odwrócił się do watahy zaczajonej w pobliżu i cicho syknął, by gotowali się do działania. Odwrócił się do młodego samca i przycupnął obok niego. Najmłodsze samce w watasze najlepiej naśladowały krzyki ranionej ofiary - mniejsze krtanie pozwalały wydobyć



głos o wyższej tonacji, wyzwały przesywające wrzaski rozpacz.

Delikatnie stuknął szponami, każąc samicy ponownie zapiszczeć.

Samica szeroko otworzyła paszczę, język umiejętnie odtworzył dźwięki wydawane wcześniej przez samiczkę nowych istot, gdy ta umierała, leżąc na ziemi ze śmiertelną raną w brzuchu.

-...Pomóż mi... pomóż...

Nowe istoty skrzyły, teraz kierowały się wprost na Złamanego Pazura i resztę watahy, dzieliło ich już tylko kilkadziesiąt metrów. Nowe istoty opuściły polanę i pogrążyły się w ciemności dżungli, nie miały pojęcia, jak blisko niebezpieczeństwa się znajdują: ich małe, najwyraźniej słabe nosy, nie wykrywały zapachów wirujących w nozdrzach Złamanego Pazura: zapachu ekscytacji całej watahy, zapachu niecierpliwego oczekiwania na udane łowy, zapachu ich ciemnoskórej siostry, woni jej ciała leżącego w pobliskich paprociach. Zwłoki wykrwawiły się już kilka godzin wcześniej.

Jak mogły tego nie czuć?

Istoty albo były głupie, albo nie potrafiły wyczuwać sygnałów ostrzegawczych, od których gęstniało powietrze wokół nich. Poruszały się po omacku. Jego wataha - był już tego pewien - nie ma się czego obawiać. Złamany Pazur wie już o nowych istotach wystarczająco dużo: są bezbronne jak wielcy roślinożercy, na których regularnie polowała wataha; bardziej bezbronne - ważą o wiele mniej i nie mają ich siły.

Szczególnie teraz... Złamany Pazur i kilku silniejszych samców z watahy zdobyło przecież zabijające kije. Cztery długie palce obu łap zacisnęły się na grubej łodydze bambusa. Złamany Pazur pragnął wypróbować zabijający kij na jednej z nowych istot, użyć go tak samo jak dzisiejszego ranka na wzgórzach, gdy zabił starszego samca. Fascynujący sposób zadawania śmierci. Intrygujące, mordercze narzędzie.

Juan zatrzymał się i wskazał plamę krzepnącej krwi na spodniej części szerokiego, lepkiego liścia.

- Keisha! - krzyknął. - Jesteś tam?

Cała czwórka stała w całkowitym bezruchu, przysłuchując się łagodnemu szumowi liści falujących nad ich głowami i słabnącemu echu głosu Juana.

- Keisha! - krzyknął ponownie.

Nagle w pobliżu, zamiast krzyku z drugiego końca dżungli, usłyszeli bardzo ciche, subtelne kwilenie:

- Proszę... pomocy...

- Gdzie jesteś? - pytał zdezorientowany Whitmore. - Nie widzimy cię!

- Pomocy...

- Gdzie jesteś, Keisha? Widzisz nas?

- Proszę... proszę... Juan przechylił głowę.

- To chyba nie jej głos, stary.

- Śmiesznie brzmi - zgodził się Edward.

- Sofia... uciekaj...

- Keisha? - Whitmore zmrużył oczy.

-... Zabili Jonaha...

Juan w milczeniu popatrzył na pozostałych. Wyraz jego twarzy mówił wszystko: „To nie Keisha”.

Nauczyciel przytaknął i powoli przyłożył palec do ust. Dał znak ręką, aby uważali na drogę, którą tu dotarli. Piętnaście... dwadzieścia metrów dżungli, nie więcej, i znowu wyjdą na polanę. Cofnęli się kilka kroków, gdy Juanem nagle wstrząsnął dreszcz; z ust chłopaka chlusnęła krew, zalewając bluzę z herbem szkoły. Juan wolno opuścił głowę i popatrzył na piętnastocentymetrowe ostrze bambusa sterczące z jego brzucha.

- Och... ja cię, stary... - zdążył wycharzczyć, zanim wywrócił białkami oczu i osunął się na kolana. Obok ciała Juana kuciała jedna z dwunożnych istot, przekrzywiając z zaciekawieniem długą głowę i z zachwytem wpatrując się żółtymi ślepiami w trzymaną w łapach dzidę.

- UCIEKAJCIE! - wrzasnął Whitmore do dwóch pozostałych przy życiu chłopców. - TO ZASADZKA!

Howard z Edwardem odwrócili się na miejscu i rzucili pędem w stronę polany, ale jak spod ziemi wyrosły przed nimi dwa stworzenia, zagradzając im drogę. Howard szybko pchnął dzidą, trafiając jedną z bestii w udo. Gad odskoczył z piskiem.

- BIEGNIJ! - krzyknął Howard, odpychając Edwarda z dala od istot. W tym samym czasie Whitmore'a otoczyły cztery kolejne gady.

- S-straszne... z-z... w-was mądrale, co? - wymamrotał drżącymi ze strachu wargami. Para stworów trzymała włócznie dokładnie jak on swoją. - Mój B-Boże... szy-szybko się uczycie...

Stwór, który przeszył Juana, przeszedł nad jego ciałem i zbliżył się do Whitmore'a w niepokojący, gadzi sposób. Istota warknęła rozkazującym tonem do reszty watahy kryjącej się w leśnym poszyciu. Whitmore usłyszał głuchy odgłos łap i szelest gałęzi, kilka stworów ruszyło w pościg za chłopcami.

Herszt watahy przekrzywił głowę, żółte ślepia łapczywie świdrowały ofiarę - w oczach gada płonęła inteligencja, ciekawość i tysiące pytań, które prawdopodobnie chciał zadać, ale skomplikowany język nie mógł mu jeszcze przyjść z pomocą.

- Ja... wiem, że... potrafisz się komunikować... - paplał Whitmore. Głos dorosłego mężczyzny zamienił się w bełkot niemowlaka. - M-my t-też. J-jesteśmy tacy sami. Ty - powiedział wyraźnie i powoli, wskazując na gada drżącym palcem - i ja - dodał, dotykając własnej piersi. - Jesteśmy tacy sami!

Długa głowa stworzenia na kruchej, niemal kobiecej szyi pochyliła się do przodu.

- Jesteśmy... t-tacy s-sami - skomlał Whitmore. - Inteligentni.

Whitmore nie zdawał sobie sprawy, że jego pęcherz właśnie popuścił, ciepła strużka moczu popłynęła po lewej nodze i zamoczyła skarpetę. Drobnny szczegół. Odległy szczegół. Centymetry od jego twarzy unosił się kościsty pancierz pyska i żółte przesywające ślepia, które wydawały się rosnąć z każdą chwilą.

Stwór nagle otworzył paszczę, ukazując rząd ostrych jak igły zębów i szorstki, czarny jęzor, który skręcał się i wykręcał jak rozgniewany wąż w klatce.

Whitmore upuścił włócznię na ziemię.

- Wi-widzisz? Nic ci nie zrobię. N-nie wyrządę ci krzywdy!

Język stwora zwinął się i wywinął, a Whitmore usłyszał dziwną imitację własnego głosu.

-...N-nie wy-wyrządę... t-tacy s-sami.

- T-tak! T-tak! J-jesteśmy inteligentni... - przytaknął.

Whitmore poczuł cios w pierś. Pozbawił go tchu - jak uderzenie piłki lekarskiej w tułów. Ciężko odetchnął, wypluwając solidną porcję krwi na pozbawioną wyrazu twarz stworzenia. Cios powinien był zwalić go na ziemię, ale wbite w plecy szpony podtrzymywały go na nogach. Żółte ślepia tuż przy jego twarzy spoglądały w dół. Dziwnie oszołomiony i skołowany doszedł do wniosku, że z grzeczności powinien zrobić to samo. Wtedy to zobaczył.

W łapie gada spoczywało jego własne, posłusznie odmierzające swoje ostatnie sekundy, serce.

## ROZDZIAŁ 66

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Howard i Edward, potykając się, biegli przez dżungłę tuż przy polanie, na którą nie mogli jednak wyskoczyć, ponieważ jedna z istot świadomie ich blokowała.

- Bystre bestie - wydyszał Howard. Gadam udawało się utrzymać chłopców w pułapce gęstych pni i splątanych lian, przez co nie mogli zadawać zamaszystych ciosów ani włócznią, ani toporem: ostrze lub drzewiec łatwo mogły o coś zahaczyć i utkwąć w labiryncie gałęzi.

Jedna z bestii biegła za nimi, druga - po ich lewej, uniemożliwiająca im przedostanie się nad opływającą wyspę rzekę... choć i tak nie byliby w stanie się przez nią przepawić. Gadzi prześladowca za ich plecami z łatwością mógł ich dogonić, ale wytrwale trzymał się kilkanaście metrów z tyłu. Howard uświadomił sobie, że gady zwyczajnie próbują ich zamęczyć, doprowadzić do skrajnego wycieńczenia, aż nie będą mogli się bronić.

Wtedy się zatrzymał. Edward, starający się opierać ciężar przyjaciela na swojej prawej nodze, wydyszał:

- O co chodzi? Musimy biec.

Howard potrząsnął głową, starając się złapać oddech.

- Nie... one się tylko z nami droczą. Naganiają nas.

Wszystkie trzy ścigające ich hominidy zatrzymały się w odległości kilkunastu metrów i cierpliwie czekały na kolejny ruch ofiar; żółte ślepia wpatrywały się w nowe istoty przez zasłony zwisających z drzew splątanych pnączy. Howard skinął głową na skraj polany, jakieś pięćdziesiąt metrów po ich prawej ręce. Stworzenie blokujące drogę zniknęło z ich pola widzenia.

- W tamtą stronę powinniśmy się kierować.

- Ale... jedno z t-tych... - Edward nerwowo przełknął ślinę.

- Wiem. - Ponownie głęboko odetchnął. - Czai się gdzieś w pobliżu, ale musisz spróbować się przebić, dobiec do palisady.

- A co z tobą?

- Nie uda mi się... - Potrząsnął głową. - Nie mogę biegać... skupię na sobie ich uwagę.

- Ale... zginiesz!

Howard przytaknął i uśmiechnął się słabo.

- Jasne, już na to wpadłem.

- Uciekniemy obaj! - Edward ujął go pod ramię.

- Nie kłóć się. Nie pora na to. Słuchaj mnie. - Chwycił chłopca za ramię. - Biegnij. Ratuj się. Wróć do domu. Ale obiecaj mi jedno. - Zerknął nad ramieniem Edwarda: jedno ze stworzeń zmieniało pozycję, niecierpliwie zbliżało się do ofiar. - Obiecaj mi, że wykorzystasz swój talent inaczej... nie marnuj go na podróże w czasie, Edwardzie... wszystko, tylko nie podróże w czasie!

Edward wpatrywał się w dwie pozostałe istoty.

- Obiecaj mi!

Chłopiec przytaknął.

- Dobrze! Dobrze... Obiecuję.

- Tylko nie podróżuj w czasie, Edwardzie. Zabije to nas wszystkich, zniszczy świat... może nawet cały wszechświat. Mój Boże. Rozumiesz? - powiedział, potrząsając chłopca za ramię.

Stworzenia ostrożnie zbliżały się do nich centymetr po centymetrze, długie dobrze umięśnione nogi przemykały po nierównej ściółce dżungli, szczupłe ciała podskakiwały rozsadzane energią. - Proszę... - wysyczał. - Powiedz mi, proszę, że rozumiesz. Edward widział, że przyjaciel zaczyna płakać.

- Tak. Obiecuję. Obiecuję!

- Dobrze - Howard zmierzwił włosy, w jedną rękę chwycił siekiere, w drugą wziął włócznię.

- Na mój znak - zaczął półgłosem - biegnij, Ed. Biegnij ile sił w nogach. Rozumiesz?

Chłopiec potakująco skinął głową.

Howard dostrzegł, że gad jest już między nimi a polaną. Głowa podskoczyła i zanurkowała za dużą paprocią, gad nie próbował się już ukrywać, choć najwyraźniej wciąż się ich obawiał. „Dobrze”. Chłopak zamierzał to wykorzystać.

- Gotowy? - wyszeptał.

Edward w milczeniu pokiwał głową. Policzki chłopca błyszczały od łez, zaciśnięte usta drżały.

Howard bez ostrzeżenia, z dzikim rykiem rzucił się na istotę kulącą się za paprocią.

Stworzenie odskoczyło, z zaskoczenia dając niemal komicznego susa jak spłoszony królik, gdy Howard z furią zaczął przebijać się przez poszycie w jego kierunku. Przedarł się przez skupisko paproci i zamachnął się toporem, próbując sięgnąć wycofującego się, wytrąconego z równowagi gada. Wyszczerbiony brzeszczot trafił w coś, w tej samej chwili gad zapiszczał.

Howard odwrócił się do Edwarda i złapał go za kołnierzyk.

- UCIEKAJ! - krzyknął, przyciągając go do siebie. - UCIEKAJ, UCIEKAJ! - Popchnął chłopca i uderzył mocno zwiniętą pięścią.

Edward wyprzedził zwijające się z bólu stworzenie i popędził naprzód, skacząc nad skarłowaciałymi roślinami, lawirując pomiędzy porozrzucanymi drzewkami i nurkując pod ciernistymi pętlami pnączy, które z łatwością mogły zaplątać się wokół jego gardła niczym drut kolczasty. Chłopiec był szybki, sprawny i nie za duży, toteż świetnie unikał przeszkód na całym kilkunastometrowym dystansie.

Howard skupił uwagę na stworzeniu, które kłapało paszczą i stukalo zębami, podnosząc się z ziemi i ostrożnie go okrążając, z rozcięcia na zadniej kończynie wypływała czarna krew.

„Jestem gotowy - zagrzewał się do boju. - Jestem gotów! Gotów! Gotów! Gotów by umrzeć”. Wrócił do mantry powtarzanej w laboratorium, gdy podchodził do Edwarda Chana z ręką na broni w szkolnym plecaku. Był wtedy gotów umrzeć za sprawę, którą rozumiało tak niewiele osób. Teraz był równie zdeterminowany, by umrzeć.

„Byleby tylko chłopak dotrzymał obietnicy”.

Nie mógł wiedzieć tego na pewno, ale właśnie to podpowiadał Howardowi instynkt, podszeptowała nadzieja. Edward widział, jakim koszmarem może stać się podróżowanie w czasie, teraz zrozumie, dlaczego jego geniusz nie może zostać pokazany światu.

„A przecież tylko to się liczy”.

Howard patrzył na stojące przed nim stworzenie.



- Misja wykonana - mruknął do siebie, uśmiech rozświetlił chłopięcą twarz.

- No dawaj, brzydału. - Zbliżał się do stworzenia, słysząc szelest liści za swoimi plecami. Dwa kolejne gady. Przybyły, żeby go wykończyć.

## ROZDZIAŁ 67

Nowy Jork rok 2001

Wrócili do bazy, Forby opuścił roletę.

- Wiecie - zaczął mężczyzna, kładąc na ramieniu karabinek automatyczny i obracając korbę - wciąż zastanawia mnie, dlaczego skoro to wersja dwa tysiące pierwszego roku, ci dinoludzie nie stworzyli bardziej zaawansowanej cywilizacji?

Maddy i Sal popatrzyły na siebie.

- Nie wiem - odpowiedziała Maddy. - Nie jestem antropologiem.

- Dobre pytanie, Forby - pochwalił go Cartwright. Odwrócił się, by po raz ostatni rzucić okiem na tropikalną wersję rzeki Hudson i odległą kolonię okrągłych chat na grząskim brzegu Manhattanu. - Dobre pytanie... a ja nawet zaryzykuję odpowiedź. Ten gatunek znalazł się w ślepej uliczce ewolucji.

- Sir? - Forby nie do końca rozumiał, co to właściwie znaczy.

- Te stwory... - machnął ręką na alternatywny świat za niewielkim lufcikiem. -...jeśli rzeczywiście są bezpośrednimi spadkobiercami gatunku, który przetrwał katastrofę pod koniec ery kredowej; gatunku, któremu udało się przetrwać w wyniku zmiany... - spojrzał na

dziewczyny -...wywołanej przez waszego przyjaciela, to są na świecie od dziesiątków milionów lat.

- Właśnie o to mi chodzi, sir. Dlaczego nie stworzyły w takim razie cywilizacji o lata świetlne bardziej zaawansowanej niż ludzka?

Dlaczego nie mamy tutaj gigantycznej, jaszczurzej wersji Futuramy? - Forby opuścił rolę do samej ziemi. W bazie znowu zapanował półmrok, rozświetlany sterylną poświatą podłużnej jarzeniówki.

- Stagnacja gatunkowa - odrzekł Cartwright. - Prawdopodobnie bardziej nie mogą ewoluować. Zatrzymali się w martwym punkcie.

- A ja sądziłam, że ewolucja to nieprzerwany proces. - Sal się skrzywiła. - Proces ciągłych zmian i dostosowywania do nowych warunków.

- Ależ może się zatrzymać - odparł. - Istnieją gatunki, które są wiernymi kopiami swoich prehistorycznych przodków. Przykładem mogą być rekiny. Natura pozwoliła im idealnie przystosować się do środowiska i stać się mordercami doskonałymi... po co dostosowywać się bardziej? - Wzruszył ramionami. - Prawdopodobnie w tej wersji świata, ci gadzi hominidzi są dominującym gatunkiem drapieżnika, nikt nie stanowi dla nich konkurencji... i tak już od milionów lat. Ewolucja to metoda rozwiązywania problemów przez naturę. Jeżeli nowe okoliczności zagrażają przetrwaniu danego gatunku, stymuluje to powstanie strategii adaptacyjnej. Jeśli nie ma żadnych zagrożeń zewnętrznych, po co zmieniać to, co dobre? - Cartwright ponownie wzruszył ramionami. - Ślepa uliczka ewolucji.

- Ślepa uliczka świata - jak echo powtórzył Forby. Przeszli na drugą stronę słabo oświetlonego pomieszczenia.

- Z drugiej strony, być może istnieje inny praktyczny powód, dla którego ten akurat gatunek nie może zmądrzeć? Może ich długie głowy są zbyt ciężkie, by czaszka zwiększyła pojemność mózgową.

- Czyli ich mózgi nigdy nie będą większe?

- Zgadza się, a przez to nigdy nie będą robili lepszych włóczni, lepierek i kanoe.

- Tego nigdy się nie dowiemy - stwierdziła Maddy, podchodząc do biurka - bo te obleśne bestie nigdy nie miały istnieć. - Usiadła przy biurku z komputerem. - Bob, jak ci idzie wertowanie sygnałów?

> Analiza ukończona. Ostatni, tysiąc pięćset siódmy, nasłuch gęstości, który przeprowadziłem zanim rozkazałaś mi przerwać skanowanie, wykazuje, że w najbliższym otoczeniu znajduje się permanentna fizyczna blokada. Może to być typowa przeszkoda, na przykład zawałone drzewo, lub efekt zdarzenia geologicznego.

- A przed tym? - niecierpliwie spytała Maddy. Pozostali zbliżyli się do biurka.

> Łącznie stwierdzono dwieście dwadzieścia siedem krótkotrwałych zaburzeń gęstości.

Cartwright przykucnął obok niej i przyjrzał się oknu dialogowemu.

- Czy to oznacza, że wasz przyjaciel może znajdować się w jednej z dwustu dwudziestu siedmiu lokalizacji? Maddy potwierdziła skinieniem głowy.

- Możemy to bardziej odfiltrować?

> Potwierdzam. Dwieście dziewiętnaście przypadków to pojedyncze zakłócenia. Z pozostałych ośmiu sygnatur gęstości z powtarzalnym schematem zakłóceń, tylko jedna wykazuje regularne następstwa wahań.

Sal przygryzła wargę z ekscytacją.

- Trafiliśmy! Jesteś pewien? To musi być to.

> Potwierdzam, Sal. Istnieje wysoki e prawdopodobieństwo, że to właściwa sygnatura czasowa.

- JEST! - krzyknęła Maddy, obracając się na krześle i wyciągając rękę z otwartą dłonią. Sal mocno przybiła piątkę i krzyknęła z ekscytacją.

- Czyli znalazłyście swojego przyjaciela? - Cartwright się uśmiechnął.

- Tak... widzisz? - Maddy z dumą wyszczerzyła zęby. - Mówiłam, że się uda!

- No i... co teraz?

Dziewczyna znowu obróciła się na krześle do monitorów.

- Bob? Możemy rozpocząć ładowanie i otworzyć portal?

> Informacja: zidentyfikowaliśmy dwudziestoczerogodzinny okres, w którym należy otworzyć okno.

- Hmm. - Maddy bezwiednie dotknęła palcem górnej wargi i odwinęła ją do góry. - Dwadzieścia cztery godziny. Ale kiedy dokładnie?

Cartwright wyglądał na poirytowanego i zniecierpliwionego.

- Zanim otworzymy portal, musimy upewnić się, że znajdują się akurat w tym miejscu - pospieszyła z wyjaśnieniami Sal. - Jeśli zużyjemy ładunek na darmo, wszystko stracone.

- Energii wystarczy nam na otworzenie jednego, może dwóch okien - ciągnęła starsza dziewczyna. - Jak zyskamy pewność, że znaleźli się w odpowiedniej lokalizacji i czekają na otworzenie portalu?

- Poczekaj! - wtrącił się Cartwright. - Właśnie powiedziałaś „oni”. Chcesz mi powiedzieć, że wasz przyjaciel to nie jedyna osoba, która tam utknęła?

Przytaknęła.

- Tak, Liam... i inni... dzieci, które przez przypadek znalazły się w okolicach miejsca wypadku.

- Dobry Boże - wyszeptał starzec. - Wypadku? To był jakiś wypadek? Co wy do licha kombinowaliście?

- To wypadek szkoleniowy - wtrąciła Sal. - To wszystko. Mała awaria, czasem się to zdarza.

> Informacja: za pomocą siatki mikroskopijnych okien można stworzyć obraz docelowej lokalizacji w postaci zdjęć niskiej rozdzielczości.

- Okej - przytaknęła Maddy. - Okej... wtedy zobaczymy, o jakiej dokładnie porze dnia ktoś tam stoi. Tak, to dobry pomysł, Bob. Otwórz te okna.

> Potwierdzam.

- A teraz co się dzieje? - westchnął Cartwright. Z chęcią zobaczyłby wreszcie, jak działa wehikuł.

Maddy spojrzała na niego przez ramię i odpowiedziała:

- Zrobimy kilka zdjęć obszaru wokół portalu, aby upewnić się, czy po otwarciu okna ktoś będzie w pobliżu.

- Dlaczego po prostu nie otworzycie portalu, żeby się przekonać?

- Sal właśnie to wyjaśniała. Ryzykowalibyśmy utratę mocy, nie możemy sobie na to pozwolić. - Maddy ze zniecierpliwieniem wzduszyła ramionami. - A pan by nie sprawdził? W końcu to kreda. Dinozaury. Przydałoby się sprawdzić, czy w pobliżu nie ma żadnych tyranosaurów.

Starzec popatrzył na Forby'ego, który szybko potrząsnął głową.

- Zrobienie kilku zdjęć wygląda na całkiem dobry ruch, sir. Cartwright zaśmiał się nerwowo.

- Hmm, chyba masz rację. Okej... zrobimy to po twojemu. Zróbmy coś lepiej, zanim myśliwi z plaży odnajdą kawałek mostu w środku dżungli.

## ROZDZIAŁ 68

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Trzy dziewczyny podsycaly tłące się ognisko; suchy, kruchy mech obrastający głazy i kamienie w okolicy stanowił doskonałą rozpałkę, gruba kolumna dymu unosiła się w stronę wieczornego nieba.

Liam czuł się podniesiony na duchu. Przez ostatnie kilka nocy, gdy wyruszyli na swoją misję, ogień skutecznie powstrzymywał bestie przed atakiem. Czują przed nim duży respekt, a mówiąc precyzyjniej, wzbudzał w nich paniczny strach.

Chłopak popatrzył na szarzejącą w zmroku polanę. Zasłona ciemności opadała bardzo szybko. Ciekawe, czy grupce ochotników udało się uratować Keishę. Do tej pory musieli przecież ją znaleźć. Jeżeli wataha naprawdę powaliła to drzewo i przepравиła się na drugą stronę, ciekawe, dlaczego pozwolili jej żyć.

Zastanawiał się nad tym, gdy nagle usłyszał dwa jednoczesne dźwięki: dochodzący z daleka przesywający krzyk przerażenia, który rozbrzmiał na polanie jak wystrzał, oraz odgłos szybkich kroków na twardym gruncie. Wymienił szybkie spojrzenia z dziewczynami i Beki, która przestała majstrować przy zniszczonym wiatraku i wyprostowała się nagle jak przestraszona surykatka.

- Pomocy! - Głos Edwarda przeszył gęstniejący mrok, z którego chwilę później wytrysnęła tańczący zarys białej koszulki chłopca.

- Edward! Co się stało?

Chłopiec podbiegł do niego, sapiąc i niespokojnie zerkając przez ramię.

- Są t-tu! SA TUTAJ!

Liam podążył za nim wzrokiem, ale po drugiej stronie polany zauważył tylko ciemny zarys dżungli. - Co z resztą?

Chłopiec zignorował pytanie, z przerażeniem wybałuszając oczy.

- Są t-tu, są t-tutaj!

Liam mocno chwycił go za ramię.

- EDWARDZIE! Co z resztą?

Chłopiec spojrzał w końcu na niego.

- Martwi - odpowiedział. - Wszyscy martwi.

- O Boże, patrzcie! - sapnęła Laura, wskazując przeciwległy kraniec polany.

Z miejsca, gdzie kilka sekund temu widział jedynie dżunglę wynurzyła się linia stworów nadszarpniętych rozciągniętym szykiem, jak naganiacze w czasie polowania. Szybko doliczył się trzydziestu, może czterdziestu bestii różnych rozmiarów.

„Cała wataha... Jeezu!”

Wydało mu się, że rozpoznaje jednego z gadów w środku szeregu. Widział go wcześniej, gdy na skalnej półce wydawał pozostałym warczące rozkazy. Przywódca.

- Liamie - powiedziała Beki, odchodząc od wiatraka w kierunku tłącego się ognia, który nieśmiałym trzaskiem i iskrzeniem wpełzał na drwa. - Widzisz tego w środku?

Chłopak przytaknął. Wiedział, o którym mówi. Ma na myśli gada w samym centrum, przywódcę watahy. Tego z włócznią w szponach.

- Podobnie jak moja adaptacyjna sztuczna inteligencja - kontynuowała - gatunek potrafi obserwować ludzkie zachowanie i uczyć się na ich podstawie.

- Za palisadę... powinniśmy wracać! - Nerwowo przełknął ślinę.

- Zaprzeczam, muszę zostać.

- Co? - Spojrzał na nią.

- Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny lokalizacja była sondowana. - Głową wskazała połamany wiatrak. - Wokół urządzenia interferencyjnego rozkładają się cząstki. W każdej chwili może nastąpić ponowne skanowanie.

Oczywiście ma rację. To kompletne szaleństwo, ale ma rację.

- Dobrze, dobrze - mruknął, przyglądając się zacieśniającym pętlę hominidom. - Wy czworo - krzyknął do pozostałych - znikajcie za palisadę i czekajcie!

- Co chcecie zrobić? - spytał Edward. Nie miał jeszcze pojęcia... w jego głowie pojawiła się myśl o utrzymaniu pozycji przy ognisku, walce ramię w ramię z Beki aż... aż... co?

„Aż zamęczą ją, dopadną i zwrócą się ku mnie”.

Ale jest iskierka nadziei. Niewielka szansa, że Maddy i Sal za raz przeskanują okolicę. Jeśli tak się stanie, mają ostatnią szansę, aby wysłać im sygnał, poinformować, gdzie są. Alternatywa to ukryć się za kruchą palisadą i czekać, aż istoty przegryzą sznury, wyciągną z



ziemi kilka kłód i przedrą się do środka... zadrżał.

- Zbliży się okno powrotne - powiedział. - Niedługo zostanie otwarte! Beki i ja musimy tu zostać i poczekać na nie. Wy będziecie bezpieczniejsi w środku. Zawołam was, gdy się otworzy. A teraz idźcie!

- Ja zostaję - oznajmił Edward, łapiąc za siekierę leżącą na stosie drewna obok ogniska. Trójka dziewcząt też się zgodziła.

- W-walczymy z wami - szepnęła Laura, głośno szczękając zębami.

- I tak znajdą sposób, żeby dostać się do środka - stwierdziła Jasmine, spoglądając na oddaloną o piętnaście metrów palisadę schowaną za migającą poświatą ogniska.

Liam obserwował istoty, które zacisnęły wokół nich szczelny krąg, utrzymując jednak bezpieczny dystans.

- Dobrze. Możesz mieć rację - wycedził w skupieniu. - Beki, jak to zrobimy?

- Rekomendacja: Aby wykryć strumień cząstek prymarnych, po winnam znajdować się w pobliżu urządzenia interferencyjnego.

Liam przytaknął.

- Tak... tak. Racja. Musimy utrzymać pozycję. - Sięgnął do ognia i wyciągnął gałąź, której końcówka zajęła się ogniem. - Wszyscy złapać za pochodnie. Bestie nienawidzą ognia!

Wykonali rozkaz i ruszyli ramię przy ramieniu z dala od dodającego otuchy ognia w stronę urządzenia znajdującego się kilkanaście metrów za jaśniejącym obłokiem bursztynowego światła.

Gady szły za nimi krok w krok, bezszelestnie stąpając po miękkim gruncie, ze wzrokiem utkwionym w ofiarach; stopniowo brały je w kleszcze.

- WYNOCHA! - krzyknęła Laura, wymachując płonącym patykiem.

Odpowiedziały jej syki i jęki stworzeń, jedna z mniejszych samic próbowała naśladować jej drżący głos.

- Wy... no... chaaa...

Beki odwróciła się do Liama.

- Obszar został ponownie przeskanowany. Pojawiło się kilkaset cząstek.

Liam poczuł nagły przypływ nowej nadziei.

- No nie! Dlaczego po prostu nie otworzą tego cholernego okna? Beki w zamyśleniu przekrzywiła głowę. Nie znalazła odpowiedzi.

Nagle stworzenie trzymające włócznię warknęło ochryple, gady rzuciły się szturmem na pewną zdobycz.

- O mój Boże! O mój Boże! - krzyczała Laura.

- Rekomendacja: użyjcie swoich włóczni do...

## **ROZDZIAŁ 69**

Nowy Jork rok 2001

Większa część godziny upłynęła w milczeniu: Maddy, Sal i Cartwright skupili się wokół monitora, patrząc jak pasek postępu, powoli jak żółw, przesuwa się na jednym z ekranów, a pusty folder zapełnia się zdjęciami niskiej rozdzielczości zapisywanymi w

formacie JPG.

Forby stał obok rolety podniesionej na wysokość kilkudziesięciu centymetrów i wpatrywał się w dżunglę.

- Wciąż polują na te plażowe świnie, czy co to tam jest - odezwał się cicho.

- Dobrze - odpowiedział Cartwright z roztargnieniem. - Ile jeszcze? Maddy wzruszyła ramionami.

- Nie widzi pan paska postępu? Już prawie. Starzec skrzywił się z irytacją.

- Jeśli to działa jak Windows na moim pececie, „prawie” może oznaczać pięć minut albo pięć godzin.

- To system operacyjny z lat pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku - odparła Maddy. - Windowsa to raczej nie przypomina.

Pasek postępu pognał nagle do stu procent, Bob natychmiast wyświetlił okno dialogowe.

> Proces ukończony.

- Uda ci się zrobić jakiś pokaz slajdów?

> Potwierdzam. Zdjęcia zostały zrobione w pięciominutowych odstępach.

Bob włączył monitor po lewej, na ekranie pojawiło się małe pikselowate zdjęcie tonące w zielonych i niebieskich plamach.

- Co to jest? - Maddy zmrużyła oczy.

- Dżungla - odrzekła Sal. - Właśnie to. Dżungla i skrawek nieba.

- Tak... to chyba dżungla - powiedział Forby, który właśnie podszedł do biurka.

Na ekranie wyświetlone zostało drugie, lądząco podobne, zdjęcie: kilka plam nieznacznie zmieniło tonację. - Nie można wyświetlić tego w lepszej jakości? - spytał Cartwright.

> Zaprzeczam. Nakłucie w czasoprzestrzeni i rozmiar zdjęć zostały zmniejszone do minimum, żeby ograniczyć konsumpcję energii.

- Wystarczy jeśli układ pikseli zmieni się, sugerując ruch - uspokajała Sal.

> Sal ma rację.

- Możesz przesuwać te slajdy odrobinę szybciej, Bob?

> Potwierdzam, Maddy. Zwiększam prędkość wyświetlania dziesięciokrotnie.

Na ekranie pojawił się następny slajd, po nim następny, i następny. Niedająca się rozszyfrować feeria zielono-niebieskich pikseli. Przypatrywali się w milczeniu, nagle odcień zmienił się, w połowie wysokości zdjęć zaczęły wytryskać gęste czarne piksele.

- Hejta! Czekaj! - zażądała Maddy i jęła bacznie przyglądać się kształtom na ekranie. - Co to?

- Wygląda jak osoba - rzekł Forby. - Widzisz? To ramię i ręka. Sal przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi.

- Nie wygląda to najlepiej. Która to godzina według ich czasu, Bob?

> 14:35.

- Wpół do trzeciej po południu - powiedziała Sal.

- Podsuń następny obraz, Bob. Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie,

niebieskozielone piksele dżungli zniknęły niemal całkowicie.

- Ktoś stoi w samym środku portalu... przez około pięć minut - mruknęła Maddy do siebie i spojrzała na Sal. - Czy to jednostka pomocnicza? Może wyczuła cząstki tachionowe i czeka na następny strumień?

Sal potrząsnęła głową.

- Może, ale kształt ciała wygląda dość zabawnie.

- Ach, daj spokój, to straszna pikseloza. Wszystko wygląda za bawnie. Hinduska ponownie potrząsnęła głową i odparła powątpiewająco:

- No nie wiem. To może być wszystko... na przykład zwierzę.

- Dalej, Bob - rozkazała Maddy.

Pojawiło się kolejne zdjęcie, tym razem bez czarnej masy pikseli, na ekran powróciła ta sama co wcześniej mieszanka niebieskich i zielonych kwadratów.

Maddy chwyciła długopis z biurka i zanotowała na kartce godzinę: czternasta trzydzieści pięć.

- Okej, wiemy, że o tej porze ktoś krążył po okolicy. Możemy otworzyć tylko jedno okno. Zobaczmy, co mamy dalej.

Na ekranie ponownie wyświetlony został pokaz zmieniających się zdjęć, niebieskie piksele na niebie stopniowo zmieniały kolor: w miejscu jasnego błękitu pojawiły się odcienie różu.

- Zmierzcha - powiedział Cartwright pomocnie.

Sekwencja postępowała, piksele na niebie przybierały czerwonawe odcienie, jasnozielona dżungla nabierała ciemniejszej tonacji. Nagle, na środku zdjęcia, wytrysnęła

pojedyncza kropkę jasnopomarańczowego światła.

- Zatrzymaj!

Wszyscy czworo pochylili się nad ekranem, aby lepiej przyjrzeć się zdjęciu.

- To ogień, prawda? - zauważył Forby. - Płomień?

- Tak - przytaknęła Sal.

- Ktoś rozpala ognisko?

- Ogień... - wymruczał Cartwright. - Jedynym stworzeniem zdolnym rozpalić ogień jest człowiek. Maddy w zamyśleniu masowała się po podbródku.

- Taak... to o wiele lepsza propozycja niż wcześniejsza. O której godzinie wykonano to zdjęcie, Bob?

> 18:15

Pomarańczowa kropka rozmnożyła się w kilkanaście pikseli, a połowa ekranu utonęła pod pionowym skupiskiem czarnych pikseli. W lewym górnym rogu dostrzegali tylko niebo, róż wieczoru zastąpił ciemny fiolet zwiastujący nadejście zmierzchu.

- Ktoś tam stoi!

- I nie wygląda tak dziwnie jak poprzednia postać - powiedziała Sal.

- Skąd wiesz? - spytała Maddy.

- Zmruż oczy... piksele lekko się rozmazują, dzięki temu można łatwiej wychwytać kształty.

- Ognisko i ktoś stojący obok - zauważył starzec. - Jak do tej pory to najwyraźniejsze

zdjęcie.

- Tak - odpowiedziała z roztargnieniem. - Co o tym sądzisz, Bob?

> To zdjęcie ma największy współczynnik prawdopodobieństwa.

- Przeleć szybko przez resztę.

W pokazie slajdów wyświetlało się ostatnie sześćdziesiąt osiem zdjęć, jedno na sekundę. Drżąca animacja upływającego czasu... ogień powoli gasł, obumierał, znikał, niebo ciemniało. Kilkanaście ostatnich zdjęć zamieniło się już w czarną plamę.

> Pokaz zakończony.

- Chyba mamy zwycięzcę. Przechodzimy do następnego etapu? - spytał Cartwright i spojrzał na Forby'ego. - Powinniśmy to zrobić, zanim myśliwi zapukają do drzwi.

- Okej... zacznij ładować, Bob.

> Potwierdzam.

Cartwright wstał i zaczął rozmasowywać zeszywniałe plecy.

- Co teraz? - Spojrzał na dużą pleksiglasową próbkę. - Zmaterializują się w tym cylindrze?

Dziewczyna potrząsnęła głową i wskazała na okrąg wymalowany kredą na środku betonowej podłogi.

- Pojawią się tutaj. Pan i Forby musicie się odsunąć. Człowiek Cartwrighta odszedł od stołu i zwrócił się w kierunku okręgu, odbezpieczając karabinek automatyczny. Maddy odwróciła się do obu mężczyzn.

- Wołałabym, żeby pan Forby zdjął palec ze spustu.

- Oczywiście. - Cartwright się uśmiechnął i dał znak podwładnemu. - Odłóż broń, ale bądź czujny, Forby. Forby skinał głową, rozluźniając chwyt i opuszczając lufę.

## ROZDZIAŁ 70

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Liam wywijał i machał wyszczerbionym, metalowym ostrzem siekiery trzymanej w jednej ręce i dźgał bambusową włócznią ścisną w drugiej dłoni. Stworzenia uchylały się od ciosów z pełną wdzięku sprawnością, nie odrywając wzroku od broni.

Mocny ogień szybko zajął gałęzie rzucone na szczyt paleniska. Jęzory ognia wzbijały się w niemal czarne niebo, do góry podskakiwały iskry wirujące jak świetliki. Mieniające się światło, ciepło ogniska, tańczące płomienie pochodni sprawiały, że wściekły atak hominidów zaczął słabnąć.

- PRECZ! - krzyknęła Laura, dźgając końcem płonącej gałęzi najbliższą stojącą bestię. W tym samym czasie Beki udało się zabić jednego gada i poważnie ranić drugiego. Poruszała się z taką samą drapieżną szybkością jak stwory i potrafiła nagle je zaskoczyć. Raniony gad miotał się na ziemi z odciętą nogą - pamiątką, po wściekłym, sierpowym cięciu siekierą. Kilka chwil wcześniej pochwyciła innego gada i złamała na kolanie jego kruchy kręgosłup.

Te wysiłki kosztowały ją głęboką ranę na udzie. Krew zalała lewą nogę, barwiąc na czarno skarpetę wystającą sponad jej wojskowych traperów. Krwawienie ustawało, ale Liam nie mógł nie zauważyć, jak dużo krwi pozbawiła jej ta jedna karmazynowa rana i martwił się, czy transgeniczne ciało jednostki zdoła zregenerować krwinki z taką samą skutecznością, z jaką zatamowało odpływ krwi.



Gady zacieśniały krąg, zgrzytając zębami i kwiląc jak małe lisy. Raz po raz jeden ze stworów wykonywał nagły rzut i kłapał szczękami, ale jak na razie sześcioro obrońców powstrzymywało atak skuteczniej, niż Liam przewidywał. Chłopak szybko uświadomił sobie jednak, że gady działają w przemyślany i cierpliwy sposób.

„Chcą nas zameczyć. Właśnie o to im chodzi. Osłabiają nas” - przejrzał ich plany.

Wpatrywał się w kłębowisko oliwkowych ciał i połyskujących, chitynowych zębów, aż wypatrzył przywódcę watahy, który trzymał włócznię w dziwnie ludzki sposób.

„Jeśli go dopadniemy...”.

Tak, gdyby Beki zdołała przedrzeć się szybko przez ścianę gadów, dopaść go i skruszyć rękami jego kark, reszta watahy z pewnością uciekłyby w popłochu. Liam trzymał w ręku włócznię: dlaczego nie? Przywódca watahy stał jakieś cztery, pięć metrów i - w przeciwieństwie do pozostałych gadów, które zataczały koła, podskakując w osobliwy sposób - stał całkowicie spokojnie, wlepiając w ofiary bystre, płonące ślepie.

Liam upuścił siekiere na ziemię.

- Co ty robisz? - krzyknęła Jasmine.

- Muszę dorwać tamtego - powiedział, wskazując Złamanego Pazura.

Oparł ciężar ciała na cofniętej nodze, spojrzał z wyzwaniem na gada, który wpatrywał się z przekrzywioną głową w niego i drzewiec włóczni, i cisnął dzidą jak oszczepem. Wyprowadził silny, płaski cios, włócznia nie przybrała łukowej trajektorii oszczepu sportowego. Precyzja rzutu zaskoczyła samego Liama. Dzida z pewnością utknęłaby w wąskiej piersi gada, gdyby inny, mniejszy stwór niechęący nie przeciął linii rzutu. Ostra końcówka bambusa przedziurawiła długą, kościstą czaszkę, istota opadła na ziemię z krótkim, przerwany krzykiem podobnym do jęku dziecka.

Liam skrzywił się i zaklął, wściekły, że nie trafił przywódcy. Teraz została im tylko jedna włócznia.

Z mroku nagle wyskoczył jeden z mniejszych gadów i ciął szponami nogę Akiry, która straciła równowagę i ciężko upadła w piach. Pozbawiona tchu i wykończona z trudem próbowała wstać, ale z mroku wyłoniły się kolejne łapy i szponiaste palce zaciskające się wokół jej kostek i nadgarstków.

- Nie! - krzyknęła, na bladej twarzy zabłysnęły nienaturalnie rozszerzone oczy, mignęły szeroko otwarte z przerażenia usta. Sekundę, dwa uderzenia serca później, gady wyciągnęły jej wierzgającą sylwetkę z kręgu migającego światła, krzyk dziewczyny cichł, by po chwili zostać brutalnie przerwany.

Beki starała się wykorzystać ten niefrasobliwy atak, wykonując kolejny wypad i tnąc ostrzem na lewo i prawo. Chybiła celu, istoty odskoczyły już poza zasięg jej ciosów.

- Nie uda nam się utrzymać... dłużej - wysapała Laura. - Na pewno... nie całą noc.

- Wiem - odrzekł Liam.

Nagle coś przeleciało obok jego policzka.

„Ha?”.

Odwrócił się i zobaczył drgające na ziemi ostrze bambusowej włóczni. Spojrzał na rozbrojonego przywódcę watahy i zrozumiał.

- O nie! - wydyszał. - Widziałaś to? On ją... odrzucił.

„Dobra robota, Liamie. Właśnie nauczyłeś ich ciskania oszczepem”.

- O Jezu... jeśli zaczną w nas miotać pociskami, to mamy przechłapane.

- Jakbyśmy już nie mieli - mruknęła Laura, wałąc w małego samca, który podskoczył za blisko.

Liam wciąż wpatrywał się w przywódcę, który poruszał się za swoją watahą, ślepia nie wpatrywały się już w chłopaka. Gad rozglądał się po ziemi, najwyraźniej czegoś szukając.

„Szuka następnej włóczni?” - pomyślał Liam.

- Informacja... - głos Beki rozbrzmiał niespodziewanie wśród zgiełku kwilących głosów i kłapiących szczęk -...wykrywam silny strumień prymarnych cząstek tachionowych.

- To... to dobrze? - spytała Jasmine.

- Tak! O Jezu, tak! - odpowiedział Liam i odwrócił się do Beki. - To okno? Powiedz mi, proszę, że to okno, a nie kolejna sonda.

- Potwierdzam. Konfiguracja cząstek sugeruje, że niedługo zostanie otwarte okno.

- TAK! O tak! - Uśmiechnął się pozbawiony tchu.

- Musimy się wycofać - powiedziała Beki. - Nie otworzą okna, dopóki obszar nie będzie wolny od zakłóceń.

- Racja. Razem! - rozkazał Liam. - Trzymamy się razem, ramię przy ramieniu... cofamy się w stronę ogniska!

Cała piątka zaczęła cofać się, niemal wpadając na siebie. Beki wystąpiła przed grupę, wywijając i rąbała trzymanymi w obu rękach siekierami z precyzją i gracją baletnicy. Gady roztropnie uciekały spod ciosów, rozstępując się na boki i tworząc wąski korytarz.

- Wystarczy! - warknęła Beki, gdy udało im się pokonać kilka metrów polany i zbliżyć do rosnącego ciepła i błyskającego światła ogniska. Odwróciła się, by na nich spojrzeć. - Obszar ekstrakcji został oczyszczony...

Nagle zaostrzona końcówka bambusowego drąga przebiła jej brzuch, rozrywając skórę i postrzępiony materiał czarnej bluzeczki. Jednostka spojrzała od niechcienia na zakrwawione ostrze.

- Beki! - westchnął Liam.

Szybkim ruchem odwróciła się i złapała istotę, która od tyłu nadziała ją na włócznię. Beki przerzuciła gada przez ramię i cisnęła nim o ziemię. Stworzenie brutalnie zamłóciło szponami i rozdarło przedramię jednostki, skóra zamieniła się w rozlewisko czerwonych wstążek. Okrutnym szarpnięciem Beki wykręciła długą głowę gada. Żółte oczy i szorstki, czarny język nienaturalnie napuchły od nagłego napięcia szczupłego karku. Usłyszeli trzask, chwilę później stworzenie przestało wierzgać.

- Beki! Nic ci nie jest? - krzyknął Liam.

- Zaprzeczam. Urazy są poważne - odpowiedziała, patrząc na czubek włóczni, wciąż wystający z jej brzucha. Jedna z nóg odmówiła posłuszeństwa, jednostka osunęła się na kolana.

- BEKI! Wytrzymasz! - krzyknął Liam.

Niespodziewanie wszyscy to poczuli, mocny podmuch powietrza. Liam obejrzał się za siebie i zobaczył połyskującą kulę: niewyraźny, falujący zarys dobrze znanego miejsca - bazy.

- PATRZCIE! Jest! TO OKNO!

W tym momencie między nimi a wejściem do domu nie stały żadne istoty.

- NAPRZÓD! - wydarł się Liam.

Przez chwilę dwie dziewczyny i Edward patrzyli na niego, nie mając pewności, co ma na myśli.

- TERAZ! - krzyknął, łamiącym się głosem. - TAM!... BIEG-NIJCIE! JUŻ, TERAZ, JUŻ!

Laura kiwnęła głową, zachwycona propozycją. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w

stronę okna. Jasmine podążyła jej śladem. Edward zwlekał.

- A co z...?

- TERAZ! - krzyknął.

Edward odwrócił się i pognął za dziewczynami.

Liam odwrócił się do Beki.

- Idziemy!

Jednostka zaczęła niepewnie podnosić się z ziemi.

- Informacja: poziom krwi w moim organizmie znacznie się obniżył...

- Zamknij się! - warknął, biorąc ją pod ramiona i podciągając na nogi. W końcu udało jej się wstać.

- Zostaw mnie, Liamie - rozkazała. - Chron Edwarda Chana!

Liam zerknął przez ramię. Widział, jak Laura zatrzymuje się przed kulistą granicą okna i waha się przed wejściem do środka. Pomiedzy nimi a nią sprintem biegli Edward i Jasmine.

- CHOLERA JASNA, PRZEŁAŻ! - krzyknął. - PRZEŁA... ŻŻRRR!

Nagle jego nogę przeszył piekący ból, jeden z mniejszych gadów złapał go za goleń; ostre jak brzytwa szpony przecięły szorty, skórę i ocierały już kość podudzia.

Beki rąbnęła gada siekierą, którą wciąż trzymała w lewej ręce, przecinając szczupły nadgarstek istoty. Szpony i łapa wciąż zaciskały się na podudziu Liama jak szczęki w odciętej głowie zawziętej, wojowniczej mrówki. Pomimo piekącego bólu wciąż ciągnął za sobą Beki. Choć jednostka ślaniała się na nogach jak pijana, wciąż udawało jej się półprzytomnie

wymachiwać ostrzem, zakreślając potężne, choć słabo mierzone łuki, które rozbiły się o łapczywie wyciągnięte łapy gadów próbujących z determinacją dopaść swoje ofiary.

Wokół chłopaka unosiła się kakofonia wściekłych warknięć i spłoszonych nawoływań. Niespodziewanie rozbrzmiał wysoki krzyk, bez wątpienia wydany przez człowieka. Całą swą uwagę skupiał na ciągnięciu Beki, która pomimo swojej niepozornej budowy była dość ciężka. Gdy usłyszał krzyk, miał tylko nadzieję, że to nie głos Edwarda Chana.

- Priorytet misji... - Beki zaczęła udzielać mu reprimendy.

- PO PROSTU WAL W TE PRZEKŁĘTE STWORY! - ryknął na nią. Jednostka zamilkła i posłusznie kopnęła butem w długą, kościstą szczękę, która zaciskała się już prawie na oblepionym krwią udzie. But mocno uderzył w czaszkę, która obróciła się na żółwym karku jak podkręcony kręgiel. Garść kłów wielkości wykałaczkki poleciała ze świstem w ciemność.

Dziesięć sekund później - dziesięć sekund, które w odczuciu Liama ciągnęły się jak minuty i godziny, dziesięć sekund wleczenia, rąbania, młócenia, kopania i krzyku później - niespodziewanie poczuł, jak jego włosy unoszą się pod wpływem ciepłego strumienia energii i fruwających w powietrzu aktywnych cząstek. Przez ramię zobaczył Sal, a właściwie jej kształt, tańczący i falujący za cienką zasłoną mgły i kolejne zarysy - Edwarda i Laurę. Dostrzegł niebieskawą jarzeniówkę, której syk zawsze strasznie irytował go, gdy czytał coś, leżąc na łóżku.

- UDAŁO NAM SIĘ! - krzyknął bezwiednie, gdy jego stopa straciła kontakt ze stabilnym gruntem, a on poczuł zbyt dobrze znane, przyprawiające o mdłości uczucie spadania.

## ROZDZIAŁ 71

Nowy Jork rok 2001

Twarz mocno uderzyła o betonową posadzkę, cały ciężar Beki ciężko wylądował na jego plecach, całkowicie pozbawiając go tchu.

- Dobry Boże! - usłyszał z bliska nieznajomy głos mężczyzny.

Przed oczami Liama wciąż sunęła karuzela gwiazdek, Beki z trudem próbowała się stoczyć z jego pleców. Usłyszał chrapliwy, ciężki oddech, prawdopodobnie, oby, Edwarda i dwójki dziewczyn. Słyszał też słaby, przyciszony furkot generatora na zapleczu. Przez wciąż otwarty portal, unoszący się kilka metrów nad splątanymi ciałami, dochodziły odległe odgłosy budzącej się do nocnego życia dżungli oraz coraz donośniejsze i wyraźniejsze kłapanie i skomlenie gadów.

- Saamm...samknijciii ortal! - wymamrotał w podłogę zakrwawionymi ustami, wciąż wciśniętymi w twardy beton. Beki próbowała zrzucić z niego swój ciężar.

- Liam? To ty tam na dole? - zabrzmiał głos Maddy.

- Mhmph. Mhmhh... ddaaa - bełkotał. - Samknijjci hojejny ortal!

Nagle poczuł, że na jego plecach wylądowało kolejne ciężkie ciało, głęboko w lewą łopatkę wpiły się trzy ostre klingi, wywołując potworny ból.

- Co to, do diabła, jest? - Kolejny nieznany głos, głos drugiego mężczyzny.

Ciężar osunął się z niego tak szybko, jak opadł, chłopak usłyszał stukanie szponów o betonową podłogę i wystraszone warknięcia jednego lub dwóch gadów. Echo ujadania rozbrzmiało pod łukowatym, ceglanym sufitem.

- Mój Boże, Forby! Zastrzel to! ZASTRZEL!

Usłyszał przesywający krzyk dziewczyny, nie był pewien której. Beki w końcu

zsunęła się z jego pleców z chrapliwym westchnieniem, blada twarz pokryta ciemnymi kroplami krzepnącej krwi z głuchym łopotem opadła na podłogę tuż przy jego twarzy. Szeroko otwarte oczy martwo wpatrywały się w niego, jakby wyglądając czegoś w oddali. Udało mu się unieść na ramionach, krzywił się od ostrego bólu przeszywającego ramię i nie mógł opanować zawrotów głowy będących skutkiem ciężkiego lądowania. Spróbował rzucić okiem na rozgrywającą się scenę.

Dwóm gadom udało się przejść za nimi przez portal, a teraz rzucały się w ślepe panice - to w jedną, to w drugą stronę - po całej bazie. Zauważył dwóch nieznajomych mężczyzn: starszy nosił wymięty garnitur, miał poluzowany krawat zawinięty wokół gardła jak stryczek wisielca. Wysportowaną jak u żołnierza sylwetkę młodszego mężczyzny z piaskowymi włosami przyciętymi na jeża okrywał workowaty, jasnozielony kombinezon roboczy. Podniósł broń.

- Gdzie się podziały? - warknęła Maddy.

Usłyszeli, że w pogrążonej w mroku części pomieszczenia coś spadło z półki i hałaśliwie potoczyło się po podłodze.

- Tam!

Szybkim, wprawnym ruchem, Forby precyzyjnie obniżył lufę pistoletu i opuścił okular noktowizora. Miękka, zielona poświata oblewała jego twarz, gdy powoli omiatał bronią pomieszczenie i zakrzywiony, ceglany sufit.

- O... mam jednego.

Liam popatrzył w tym samym kierunku i zdało mu się, że zauważył ciemny kształt poruszający się wśród sieci starych, rdzewiejących rur i zwojów kabli elektrycznych. Lepki od starości kurz pokrywający niszczące cegły i zaprawę opadał przez miękką poświatę zawieszoną u sufitu żarówki, zdradzając pozycję pechowej istoty.

Mężczyzna oddał dwa następujące po sobie strzały. Stworzenie krzyknęło, po czym runęło na podłogę w gęstym obłoku pyłu. Skręcało się z bólu, krzyczało i bębniło kończynami



o podłogę. Młody mężczyzna wpakował w długą czaszkę trzecią kulę.

Gdy echo ostatniego strzału odbiło się od ceglanych ścian, Liam rozejrzał się dookoła. Zobaczył, że Edward i Laura kulą się obok pleksiglasowego cylindra przy wehikule translokacyjnym, a Sal i Maddy obok biurka z komputerami. Wszyscy z niepokojem wlepiali wzrok w kolejne ciemne wnęki, starając się wyłować odgłosy ruchu. - Gdzie drugi? - szepnęła Sal. Mężczyzna z bronią położył palec na ustach, aby ją uciszyć. - Ukrywają się - wyszeptał.

- Na litość Boską, znajdź go, Forby! - wysyczał starszy mężczyzna.

Liam patrzył, jak Forby wychodzi na podłogę na środku bazy i wolno wodzi bronią, przeszukując każdy zakamarek. Nagle zastygnął z bronią wycelowaną w łukowatą wnękę, w której znajdowały się łóżka piętrowe.

- Chyba chowa się pod łóżkiem.

Uklęknął i nacisnął palcem spust. Pocisk poszybował pod materac Liama i odbił się, iskrząc, od metalowej ramy łóżka.

Wtedy coś zwałyło się z góry na plecy Forby'ego, przecinając snop światła padającego z sufitu - zapanował szaleńcza kotłowanina, błyskały szpony i kły, tryskały jasne łuki szkarłatu.

- POMMÓŻCCIE MII...! - Głos zamarł, gdy w szyję Forby'ego uderzyły szpony bestii. Ślaniając się pod ciężarem, upuścił broń i próbował strząsnąć z siebie istotę.

Liam poderwał się na nogi i wybiegł na środek bazy, sięgając po ciężki karabinek automatyczny w momencie, gdy nogi Forby'ego ugięły się pod nim i gdy opadł na kolana z twarzą i całą głową wymazaną we krwi wypływającej z sita poszarpanych ran. Gad zeskoczył z jego ramion i błyskawicznie rzucił się w stronę rolety, ale Forby całym ciężarem osunął się na podłogę. Był martwy.

Liam podniósł broń i pociągnął za spust. Broń ostro wbijała się w jego ramię, gdy długa seria niemierzonych strzałów wysypywała się z magazynku, wzbijając w powietrze

prysznic iskier i ceglanoczerwonych pióropuszy kurzu.

Wreszcie zdjął palec ze spustu wciąż wściekle klekoczącego karabinu i spojrzął przez chmurę dymu na bezwładne zwłoki drugiego gada, które wyglądały teraz jak bryła poszatkowanego mięsa.

- Jezu - wyszeptał starzec drżącym, ochryplym głosem.

## ROZDZIAŁ 72

Nowy Jork rok 2001

Patrzyli na nagie ciało unoszące się różowoczerwonej zawieszynie w plastikowym cylindrze.

- Jednostka pomocnicza przeżyje? - spytała Sal.

- Beki - cicho odrzekł Liam. Jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od cieniutkiego piśnięcia. - Na imię ma Beki.

Łagodna poświata czerwonego światła emitowanego z podstawy próbowki porodowej była jedynym źródłem światła na zapleczu, ale nawet w tym skąpym oświetleniu Maddy dostrzegła nieobecny wyraz twarzy Liama pogrążonego w pourazowym szoku.

- Przeżyje - powiedziała Maddy z niepewnym uśmiechem osoby nie do końca wierzącej w to, co mówi. - Bob twierdzi, że jej szkielet bojowy zdoła przetrzymać utratę około siedemdziesięciu pięciu procent krwi i zregenerować straty. - Spojrzała na poszarpane resztki lewego przedramienia kobiety klona: wyrwana została niemal cała tkanka miękka, został nagi szkielet lepkich strzępów skóry i ścięgien, zwisających i drgających jak kawałki postrzępionej u końca liny.

- W przeciwieństwie do Forby'ego - poważnie powiedział Cartwright.

- Przykro mi - rzekła Maddy. - Wyglądał na... na dobrego człowieka.

Starzec kiwnął głową w zamyśleniu.

- Był najlepszy. Najlepszy z najlepszych. - Westchnął. - Bardzo rodzinny człowiek.

Na zapleczu słuchać było tylko cichy pomruk systemu filtracyjnego próbowki. Maddy wyłączyła generator. Trzeba oszczędzać paliwo, zostało im tylko pół zbiornika. Generator nie musiał pracować: rząd palących się zielonych diod LED wskazywał, że maszyna translukacyjna jest w pełni naładowana i gotowa do ponownego użycia. Poza tym wszystko wyłączyła: systemy komputerowe, światła, pozostałe próbki porodowe i lodówkę z embrionami... jeszcze przez kilka godzin krioprobówki będą musiały się obejść bez chłodzenia.

- Kiedy? - spytała Laura, pocierając nos wierzchem ręki. - Kiedy wyzdrowieje?

Maddy uważnie spojrzała na dziewczynę. Oczami wyobraźni zobaczyła ją w innym czasie: pewna siebie gwiazda liceum, wymachująca pomponami cheerleaderka, ulubienica wszystkich, zawsze zapraszana na imprezy, zawsze otoczona wianuszkami przyjaciółek i pomocniczek. Teksasński akcent - mocny tembr głosu kogoś, kto nigdy nie musiał wątpić w swoje miejsce na świecie. Nie wyglądała już jak królowa powracająca do swojej stolicy. Pomimo przytłumionego światła Maddy dostrzegła, jak poważne skutki wywarło przejście przez portal. Trupioblada twarz, czarne cienie pod oczami, nieprzerwanym strumieniem kapiącej z nosa krwi: efekt pękniętego naczynia krwionośnego, które prawdopodobnie nigdy się nie zagoi.

Przeprawa chłopca, Edwarda Chana, przebiegła chyba tylko odrobinę lepiej.

Chan powiedział, że była z nimi jeszcze jedna dziewczyna, ale dopadł ją jeden z gadów, zanim zdążyła wejść w portal. Maddy miała nadzieję, że jeśli dziewczynę spotkał taki sam los jak Forby'ego, śmierć nadeszła miłosiernie szybko. Chociaż w kontekście wydarzeń,

które rozegrały się jedynie pół godziny wcześniej, użycie słowa „miłosiernie” jest raczej niefortunnym wyborem. Duże, okrągłe oczy Chana wpatrywały się w papkę organicznej zupy, w zamgloną sylwetkę pływającej w środku jednostki pomocniczej. Oboje, Chan i dziewczyna, wydawali się pogrążeni w głębokim szoku, głębszym niż smutek po śmierci przyjaciółki. Liam powiedział, że byli też inni, że eksplozję reaktora i wyrzucenie w przeszłość przeżyło szesnaście osób. Z Beki i Liamem wróciła jedynie ta dwójka.

„Bóg jeden wie, przez co musieli przejść” - pomyślała.

- Ile to potrwa? - ponownie spytał Chan.

- Cztery, cztery i pół godziny - odpowiedziała Maddy. - Po około czterech godzinach jej stan się ustabilizuje. Do tego czasu krew się zregeneruje, a jednostka powróci do sprawności operacyjnej.

- Co z jej ręką? Maddy wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, czy podczas procesu regeneracji odrastają kończyny. Bob, nasz system komputerowy, powiedział mi właśnie, że uda się zregenerować wszystkie krwinki. Zobaczymy.

Oczy Liama wróciły z oddali i popatrzyły na nią.

- Powiedziałaś... „sprawności operacyjnej”?

- Musi wrócić, Liamie. Dobrze o tym wiesz. Pewne sprawy wymagają naprawy.

Pozostali spojrzeli na nią. Stało się dla niej jasne, że tylko ona w tym towarzystwie potrafi podejmować strategiczne decyzje, myśleć do przodu.

„To twoja praca, Maddy. Jesteś strategiem drużyny... pamiętasz?”.

- Musi wrócić i naprawić to wszystko... wymazać zdarzenia, przez które terazniejszość wygląda tak a nie inaczej.

- To przez te stworzenia? - spytał Cartwright. - Przez gady, które przeszły przez portal? To one zmieniły przyszłość?

- Liamie, czy to... - Słowa zamarły Maddy na ustach. „O mój Boże” - przestraszyła się. Wcześniej tego nie zauważyła. A jeśli zauważyła, myślała, że to tylko smuga kurzu lub jakiś egzotyczny pyłek kwiatowy. Nawet w przyćmionym, karmazynowym świetle próbówki porodowej wyraźnie dostrzegała pasmo siwych włosów nad lewą skronią chłopaka i białko lewego oka upstrzone pajęczą siecią popękanych naczynek krwionośnych.

- Tak - powiedział po kilku chwilach, nie zauważając wyrazu jej twarzy. - Tak, te istoty zdołały nauczyć się od nas kilku sztuczek.

- To znaczy, że jest ich więcej? - spytała Sal.

- Około trzydziestu lub czterdziestu osobników. Cała wataha. - Potwierdził, nie odrywając wzroku od sylwetki Beki, zwiniętej w kłębek jak embrion. Pogrążona we śnie wyglądała na bezbronną nastolatkę. - Udało jej się zabić kilka gadów, ale reszta została.

Maddy spojrzała na Sal i Cartwrighta.

- Czyli myśliwi po drugiej stronie rzeki muszą być ich dalekimi przodkami. Myślicie, że są w jakiś sposób spokrewnieni? Wskazywałyby na to długie głowy.

Cartwright przytaknął.

- Niezwykła cecha anatomiczna. - Poglaskał się po podbródku.

- Nie, całkowicie unikatowa.

Po upewnieniu się, że Beki nic nie brakuje i może spokojnie zdrowieć, Maddy zaprowadziła Liama i pozostałą dwójkę na zewnątrz i pokazała im dżunglę, która zastąpiła Nowy Jork. Myśliwi nie przeczesywali już brzegu rzeki w poszukiwaniu błotnych istot, odpłynęli już do osady na przeciwległym brzegu rzeki.

- To ich potomkowie, Liamie - powiedziała. - Dalecy... bardzo odlegli potomkowie.

- A ich przodkowie - wtrącił się Cartwright - musieli nauczyć się czegoś od ciebie... czegoś, co pozwoliło im przetrwać i pomyślnie się rozwijać. Przechwycili jakąś umiejętność, dzięki której przetrwali zdarzenie K-T, w wyniku którego wyginęły dinozaury.

Liam powoli potakiwał. Maddy wiedziała, że tego zdążył się już domyślić.

- Ktoś musi wrócić i wybić całą watahę - stwierdził chłopak.

- Tak - potwierdziła Maddy, wyciągając rękę i delikatnie ściskając ramię chłopaka. - Nie mogą przetrwać z rozwiniętą inteligencją, która pozwoliłaby uratować ich gatunek. Te gady powinny wyginąć razem z innymi dinozaurami.

- Okej. - Wziął głęboki oddech. - Okej... pojedę.

- Nie - powiedziała, odrobinę zbyt szybko, bo nie chciała gapić się na jego nabiegłe krwią oko. - Nie ty, Liamie. Potrzebujesz odpoczynku.

- Jeśli nie ja, to kto? Nikt inny...

- Jednostka pomocnicza.

- Beki? - Potrząsnął głową. - Nie. Upłynie wiele dni, zanim dojdzie do pełnej sprawności. Poza tym sama nie upora się z nimi wszystkimi. Zabiją dziewczynę.

„Beki? Dziewczynę?” - Maddy mocniej ścisnęła ramię chłopaka.

- Posłuchaj mnie, Liamie... - Kiwnęła głową w kierunku próbówki porodowej. - Wiem, że oboje sporo przeszliście, ale pamiętaj... to tylko jednostka pomocnicza. Robot organiczny. Narzędzie służące do wykonania zadania. Nic więcej. Artykuł kilkurazowego użytku.

- Pojadę z nią - upierał się Liam.

- Nie. - Maddy stanowczo potrząsnęła głową. - Nie. Nie możesz znowu tam wrócić.

- Dlaczego?

„Nawet nie podejrzewa. Nie patrzył w lustro. Nie zorientował się, jak wielkie szkody w jego organizmie wyrządziła tak daleka podróż w czasie”. Zastanawiała się, dlaczego nie zauważył jeszcze stanu dziewczyny i Chana. Oboje wyglądali jak ludzie cierpiący na postępującą chorobą popromienną. Choć, z drugiej strony, w jego czasach nie wiedzano nic na temat chorób popromiennych. Być może krwawienie z nosa i blady odcień skóry tłumaczył sobie szokiem. Może sam był w zbyt dużym szoku, żeby to wszystko zarejestrować i przyjąć do wiadomości.

- Jesteś dla nas zbyt cenny, Liamie. Potrzebujemy cię tutaj.

- Potrzebujemy cię - dodała Sal. - Poza tym... - Jej twarz zniknęła poza kręgiem miękkiej, brzoskwiniowej poświaty. W ciemności usłyszeli ruch, skrobanie, głośnie uderzenie czegoś metalicznego oraz grzechotanie i pobrzękiwanie klamerek. Po kilku chwilach ponownie pojawiła się twarz dziewczyny, która trzymała w rękach przedmiot błyskający w przytłumionym świetle. - Poza tym będzie miała tę broń, Liamie. Już nie tylko kijek bambusowy.

- Niedawno miałeś okazję ją przetestować - zauważyła Maddy.

- To karabinek automatyczny MP15 wysokiego kalibru - powiedział Cartwright. - Zamieni te potwory w kotlety mielone.

- Dajmy jej przynajmniej kilka godzin na regenerację. - Pójdę zobaczyć, ile magazynków amunicji ma... miał Forby - zaoferował Cartwright. Maddy zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

- Proszę tak zrobić.

Odwróciła się do Liama, który wpatrywał się w unoszące ciało Beki. Widziała, że chłopak czuje coś do jednostki pomocniczej, że w przeszłości musiała połączyć ich silną więź. Tym razem, w przeciwieństwie do ich ostatniej akcji, jeśli jednostka pomocnicza padnie podczas walki, nikt nie będzie mógł odzyskać jej sztucznej inteligencji, nikt nie wydobędzie jej procesora z czaszki i nie przyniesie z powrotem do bazy.

„Zachowuj się jak przywódca, Maddy. To konieczne. Postanowione”.

- Przykro mi Liamie, ale musi jechać - powiedziała stanowczo.

- Nie mamy innego wyjścia, musimy ją wysłać. Potrzebujemy Nowego Jorku. Potrzebujemy zasilania, zanim skończy nam się paliwo. W każdym razie... - Spojrzała na sylwetkę Cartwrighta ostrożnie szurającego przy drzwiach w świetle latarki i zniżyła głos. - W każdym razie musisz wykonać jeszcze jedno zadanie, bez tego nie wyleziemy z tej cholernej dziury.

## ROZDZIAŁ 73

Nowy Jork rok 2001

Liam patrzył na zachodzące po drugiej stronie rzeki słońce i niewielkie kłęby dymu unoszące się nad osadą przyklejoną do błotnistych brzegów rzeki. Dostrzegł kilka punkcików światła unoszących się wewnątrz okrągłych lepianek.

Ogień. Jeden z najwcześniejszych dowodów ludzkiej inteligencji. Zastanawiał się, kiedy gatunek ujarzmił żywioł i zaczął wykorzystywać do swoich celów. Uczynili ogromny postęp w stosunku do swoich odległych przodków, którzy wykazywali prymitywny, zwierzęcy strach na sam widok płomieni.

Usłyszał stukot rolety, Maddy przeszła pod uniesionymi drzwiami i dołączyła do



niego na zewnątrz.

- Cześć - powiedziała. - Jak się czujesz?

- Zmęczony. - Uklęknął przy ceglanej ścianie bazy. Gdy patrzył, jak ciemność opada na dżunglę, a niebo zrzuca fioletowy odcień i z bogatej palety kolorów wybiera szarłat, uświadomił sobie, że jest kompletnie wykończony. Wreszcie - po dwóch tygodniach nerwowego napięcia, dwóch tygodniach strachu, że w każdej chwili dopaść go może pierwotny, zdziczały i wygłodniały stwór - znalazł się w bezpiecznym miejscu. W miejscu, w którym może choć na chwilę zmrużyć oczy i odpocząć.

- Jest prawie gotowa - powiedziała Maddy. - Przygotowujemy portal, by wysłać ją minutę po zamknięciu ostatniego okna. Gady wciąż będą się krzątały po okolicy, drapiąc po czaszkach i zachodząc w głowę, gdzie zniknęliście.

- Jak ona się czuje?

- Ręka zaczęła się odbudowywać. Zauważyłam nowe warstwy tkanki mięśniowej. Skóra jeszcze nie odrosła, ale sądzę, że prędzej czy później to nastąpi. Sał owinęła jej rękę i dłoń bandażami, żeby lepiej się goiło.

- Jak się czuje? - spytał ponownie. - Dojdzie do siebie?

- Twierdzi, że działa z czterdziestosiedmioprocentową skutecznością operacyjną. - Maddy uśmiechnęła się ironicznie. - I jest zachwycona bronią.

- Zupełnie jak Bob. - Liam zaśmiał się słabo.

- Mogliby być bratem i siostrą.

- Są... tak myślę.

- Zgadza się. Liam skinął głową w stronę wioski.

- W pewnym sensie to złe.

- Co?

- To, co robimy... wymordowanie watahy. Popatrz, do czego doszli. - Potrząsnął głową i się zaśmiał.

- Co w tym śmiesznego?

- Prawie jestem z nich dumny. Czuję, że w jakiejś części to ja ich stworzyłem. Pokazaliśmy im, jak budować most, używać włóczni. A po, sam Bóg wie ilu, tysiącach lat...

- Właściwie to milionach.

-...milionach lat doszli do tego wszystkiego. Stworzyli nową rasę inteligentnych stworzeń, a teraz zamierzamy wszystkich unicestwić. Jak to się nazywało?

- Ludobójstwo?

- Właśnie... Hitler zamierzał to zrobić z Żydami. A my tak właśnie postąpimy z tymi istotami. To nie są po prostu głupie zwierzęta, Maddy. Już w dżungli wykazywały inteligencję. Były bystre, bardzo bystre, a teraz są tak inteligentne jak my, ludzie.

- Nie Liamie, nie są. Ten starzec, Cartwright, to wytłumaczył, powiedział...

- Co?

- Zastanów się: od kiedy są na tym etapie rozwoju? Jak myślisz? Potrafiły budować kanoe, łodzie i robić włócznie już miliony lat temu, a mimo to... pomimo tych osiągnięć nie udało im się wykonać kolejnego kroku naprzód. Spójrz na tę wioskę. Dlaczego według ciebie nie chodzą w modnych garniturach i z telefonami komórkowymi przy uchu?

- Może kiedyś chodzili. - Obojętnie wzruszył ramionami. - Może miliony lat temu były inteligentne, a w tym miejscu znajdowało się miasto wielkie jak Nowy Jork.

- I co? Postanowili znowu zostać dzikusami?

- Kto to wie? Może rozpętali wojnę? Może zbudowali wspaniałą cywilizację, która ostatecznie obróciła się w ruinę. Albo jakaś broń masowej zagłady zniszczyła cały ich świat, zostawiając przy życiu tylko kilku ocalałych.

- To chyba możliwe - zgodziła się Maddy. - Na przestrzeni sześćdziesięciu pięciu milionów lat mogło wydarzyć się wszystko.

- Istnieje też ryzyko, że coś podobnego przydarzy się również ludziom. I to niedługo.

- Masz na myśli czasy Kramera?

- Albo Fostera. Pamiętasz, co opowiadał nam o przyszłości? Zbliża się czas mroku. Globalne ocieplenie, powodzie, zanieczyszczenie, zatrute morza... miliardy głodujących ludzi.

Pamiętała. Ta przyszłość wykluwała się już za jej czasów. Międzynarodowy szczyt w Kopenhadze - ostatnia szansa na powstrzymanie rosnącego poziomu globalnego ocieplenia - okazał się kompletnym fiaskiem. Zastanawiała się, czy historycy z połowy dwudziestego pierwszego wieku wskażą ten dzień jako początek końca.

- Tak wygląda przyszłość: czy nam się to podoba, czy nie, Liamie. Nasze zadanie to walka o utrzymanie tego porządku.

- Zastanawiasz się czasem nad tym, Maddy?

- Nad czym?

Z przekrwionym okiem i pasem śnieżnobiałych włosów wyglądał jednocześnie staro i młodo.

- Zastanawiasz się, czy przyszłość z opowieści Fostera, to przyszłość, o którą warto walczyć?

- Nie wiem. Chyba musimy mu zaufać.

Słońce opadło za odległym horyzontem drzew i kruchą zasłoną dymu z palenisk. Z głębi bazy dobiegły ich głosy pozostałych: Sal pomagała jednostce pomocniczej, Beki, przygotować się do akcji.

- Dostała rozkazy, żeby zabić ich wszystkich, zniszczyć obóz, spalić wszystko do gołej ziemi i usunąć wszystkie ślady, które mogłyby przekształcić się w skamieliny. Jeśli jej się uda... - Maddy wskazała dżunglę -...wszystko to zniknie i wróci Nowy Jork. - Nieznacznie zniżyła głos: - A kłopotliwa sytuacja, w której znalazłyśmy się przed pojawieniem się dżungli...

- Masz na myśli Cartwrighta? Potakująco skinęła głową.

- Rozumiem, że on i to biedaczysko z karabinem znaleźli wiadomość? - Liam pytająco uniósł brew.

- Nie do końca. Została znaleziona dużo wcześniej. W latach czterdziestych. Cartwright jest szefem rządowej agencji - prychnęła. - Ich agencja przypomina naszą: jest mała i tajna. Przez ostatnie sześćdziesiąt lat trzymała istnienie wiadomości w tajemnicy, żeby nawiązać z nami kontakt w dwa tysiące pierwszym roku.

- Zapukał do drzwi?

- Oczywiście, zapukał do drzwi. Tuż przed ostatnią falą czasu. Faceci z wielkimi spluwami pilnowali całej uliczki. Żołnierze i policjanci zaplombowali kilka przecznic w dzielnicy. Postawili barykady, helikoptery patrolowały niebo. Niezła akcja. Spodobałoby ci się to. - To moja wina. Przykro mi - oskarżał się Liam. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Niepotrzebnie. Musiałeś wysłać wiadomość. Inaczej byśmy cię nie znaleźli. Sal właśnie ją zawołała. Już czas.

- Teraz musimy działać. I to szybko. - Zaczęła pospiesznie wyjaśniać: - Jeżeli Beki się

powiedzie, znowu staniemy przed tym samym problemem. Znajdziemy się w tym samym punkcie, co wcześniej. Znowu wyślemy cię w przeszłość, aby upewnić się, że nie dostaną twojej wiadomości.

- Do czasów dinozaurów?

- Ach nie! Nie aż tak daleko. - Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „to by cię prawdopodobnie wykończyło”. - Nie, zostaniesz zrzucony drugiego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Powstrzymasz pewne dzieciaki przed znalezieniem kawałka skały.

- A agencja Cartwrighta nigdy nie zostanie utworzona. - Uśmiechnął się. Schylała się już pod roletą, ale coś jeszcze przyszło jej do głowy.

- Kto wie, może agencja i tak zostanie utworzona, ale zajmie się pielęgnowaniem innej tajemnicy, która pod żadnym pozorem nie może zostać wyjawiona amerykańskim obywatelom.

- Jasne.

- Gdy przyplynie fala czasu, Liamie... Cartwright musi znajdować się na zewnątrz, kiedy włączę pole czasowe. Linia jego życia zostanie narysowana na nowo, wraz z całą naprawioną rzeczywistością. Nic z tego nie będzie pamiętał.

Liam pochylił się i zerknął pod roletą do wnętrza bazy. Dostrzegł czarne buty Forby'ego wystające spod koca, w który zawinęli jego ciało.

- A co z nim?

- Z Forbym? Nie jestem pewna. Jeżeli jego ciało pozostanie poza bańką, najprawdopodobniej ożyje i będzie robił to samo co wcześniej, zanim Cartwright i jego agencja wskoczyli na oś czasu. Ale bez względu na los staruszka i Forby'ego, w naszej uliczce na pewno nie pojawią się tajniacy z gnatami. Wszystko wróci do normy. - Szeroko się do niego uśmiechnęła. - Byłoby wspaniale.

- Zgadza się... ale czy nie będzie trzeba ponownie wysłać Edwarda Chana do domu?

- Wszystko po kolei - westchnęła. - Chodź, wyprawmy Beki w drogę.

Liam zanurkował za przyjaciółką i opuścił za sobą roletę, po czym dołączył do pozostałych przy biurku z komputerami. Beki stała w środku z karabinkiem automatycznym w rękach, jedno przedramię miała porządnie zabandażowane.

- Jak się czujesz? - spytał, przekrzykując gwar głosów: Cartwright i dzieciaki zasypywały Maddy pytaniami, dziewczyna starała się sensownie na wszystko odpowiadać, konfigurując jednocześnie powrotną sygnaturę czasową.

- Dobrze, Liamie.

- Co z raną zadaną włócznią? Kiepsko to wygląda, w rzeczy samej. Na pewno dasz radę?

- Organiczny system diagnostyczny wskazuje, że moja nerka została przekłuta i nie funkcjonuje. Ale organ może zostać zregenerowany w późniejszym terminie - dodała. - Uraz nie wpływa na moją wydajność operacyjną.

- A ręka?

- Ręka jest sprawna.

- Okej - powiedziała Maddy. - Zostaniesz zrzucana minutę po pierwszym oknie. W pobliżu wciąż unosić się będą cząstki tachionowe zostawione przez poprzedni portal, ale przeniosłam lokalizację o dziesięć metrów, pozwoli to uniknąć kolizji między portalami. Rozumiesz?

- Potwierdzam.

- Rozumiesz cele i parametry misji?

- Wymordować wszystkich gadzich hominidów. Zniszczyć dowody wskazujące na istnienie obozowiska. Okno powrotne zostanie aktywowane dwie godziny po zrzucie.

Maddy z aprobatą skinęła głową. - Pięknie. Pamiętaj, że musisz zabrać ze sobą broń. Jedna z czarnych brwi jednostki uniosła się powoli. - No ba! - powiedziała monotonię. - Super! - Sal zachichotała. Maddy uśmiechnęła się do Liama. - Widzę, że czegoś się nauczyła. Chłopak przytaknął kiwnięciem głowy.

- Dobra, nie mamy czasu napełniać cylindra - kontynuowała Maddy. - Wróci na sucho. Odsuńcie się od okręgu na ziemi. - Wskazała namalowane kredą koło i skrawek ciemniejszej podłogi w środku i westchnęła: - Po wszystkim trzeba będzie załatać dziurę w podłodze.

Pozostali przezornie się odsunęli, gdy Beki wchodziła do okręgu. Jednostka zgięła kolana, gotowa natychmiast zareagować, uniosła i lekko przekrzywiła naładowany do strzału karabinek automatyczny, którego kolbę mocno przycisnęła do ramienia.

- Uważaj na siebie, Beki - poprosił Liam. - Masz bezpiecznie tu wrócić. Po chwili zawahania skinęła głową.

- Potwierdzam, Liamie O'Connor. Zachowam ostrożność.

- Wszyscy gotowi? - spytała Maddy.

- Potwierdzam.

- Zaczynamy, Bob. - Maddy odwróciła się do mikrofonu ustawionego na biurku. - Na mój znak. Dziesięć... dziewięć... osiem...

Bazę wypełnił terkot maszynierii tłoczącej moc do wehikułu translokacyjnego, zielone diody LED migały naprzemiennie, sygnalizując pobór magazynowanej energii. Nagle Beki została otoczona przez kulę błyszczącego powietrza o średnicy trzech metrów. Sufitowa lampa fluorescencyjna przygasła i zamrugła.

- Siedem... sześć... pięć...

Spokojne, szare oczy spoczęły na Liamie. Jednostka uśmiechnęła się niepewnie.

- Cztery... trzy... dwa...

- Powodzenia - powiedział bezgłośnie, nie mając pewności, czy w migoczącym świetle poprawnie odczytała jego słowa.

-...jeden...

Zniknęła. Owiało ich powietrze, mknące w stronę nagle wytworzonej próżni.

- Wow - wyszeptał Edward.

- Teraz możemy tylko czekać - stwierdziła Maddy i spojrzała kątem oka na Liama. - I odpowiednio się przygotować.

## ROZDZIAŁ 74

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Beki wyłoniła się z kuli falującego powietrza, unoszącej się kilka centymetrów nad ziemią, i opadła z miękkim tąpnięciem na zbite błocko.

Przyklękła w pełnej gotowości do walki, rozejrzała się po rozświetlonej ogniem polanie: odbiciu piekła mieniącym się tańczącym światłem. Gady obserwowały teren, czółgając się wokół obozowiska, częstokołu i przypatrując się, jak płomień pożera ostatnie



gałęzie.

Grupka gadów zebrała się wokół miejsca, gdzie niecałą minutę temu otwarte zostało okno powrotne. Z przekrzywionymi łbami, jak ciekawskie kruki, wpatrujące się w zwłoki na drodze, badały grunt i skupisko rosnących w pobliżu niskich paproci. W ich ślepiach płonęła konsternacja i oszołomienie.

Żaden ze stworów nie zauważył stojącej w pobliżu Beki.

W magazynku miała trzydzieści pocisków, w mgnieniu oka ustaliła, w jakiej kolejności powystrzela swoje cele: na pierwszy ogień pójda największe samce.

Seria dwunastu wystrzałów eksplodowała echem po polanie jak trzask kruchych gałązek. Pięć z sześciu stworzeń, w które mierzyła, padło na ziemię jak skórzane wory pełne kości i mięsa. Nie zgarnęła całej puli, bo jeden z gadów nieoczekiwanie podskoczył, toteż pocisk otarł się tylko o czaszkę.

Reszta gadów zamarła w bezruchu, nie wiedząc, co właściwie oznaczają szybkie trzaski wystrzałów. Beki wykorzystała tę chwilę dezorientacji i wzięła na cel sześć kolejnych stworzeń, znowu duże samce. Błysk wystrzału przyciągnął wreszcie uwagę gadów, które odwróciły się w jej kierunku. Zabiła cztery kolejne i raniła jednego. Przelotna chęć ataku ustała, gady odbiegły kilkanaście metrów i rozproszyły się, warcząc i kłapiąc szczękami.

Za samcami czmychały samice i młode odpędzane z dala od niebezpieczeństwa przez wielkiego samca. Rozpoznała w nim przywódcę watahy, na lewej łapie brakowało jednego z czterech szponów. Gad trzymał w łapach ich włócznię: wymachiwał nią wokół, pędząc watahę z powrotem w ciemność.

[Ocena: cel podstawowy]

Przywódcą watahy, samiec alfa... logika i obserwacja wskazywały, że to właśnie ta istota najwięcej się od nich nauczyła; jest przebiegła, inteligentna, przekaże potomstwu wiedzę i wyjątkowe geny. Po kilku nanosekundach analizy doszła do wniosku, że zabicie bestii bez pazura jest absolutną koniecznością. Kroczyła jak automat, oddając pojedyncze

wystrzały i zabijając połowę gadów, które miały pecha podskoczyć lub warknąć przed jej lufą; reszta ocalałych bestii, które trzymały się jeszcze na łapach, czmychnęła. Hałas i błysk były dla nich równie przerażające co niewytłumaczalna śmierć, którą ze sobą niosły. Wataha uciekała w popłochu, pierzchała jak ptaki wystraszone kłaśnięciem. Jednostka nie odrywała wzroku od samca alfa. Podniosła lufę karabinku, dobrze wymierzyła i wystrzeliła.

Gad padł na ziemię rażony strzałem.

## ROZDZIAŁ 75

Nowy Jork rok 2001

Maddy spojrzała na Cartwrighta, który stał z Sal i dwójką dzieciaków obok rolety podniesionej do połowy wysokości, wpatrując się w dżunglę w niecierpliwym oczekiwaniu na spektakularny przyływ nowej rzeczywistości wyklutej w odległej przeszłości. Sal radziła sobie świetnie. Skutecznie przytrzymywała wszystkich na zewnątrz, opowiadając o falach i rysach na osi czasu oraz swojej robocie zwiadowcy.

- Już rozumiesz, co masz zrobić? - cicho spytała Liama.

- Jesteś pewna, że to właściwa data?

- Taką mam nadzieję. Powiedział, że tego dnia odkryta została twoja skamieniała wiadomość. Zakładam, że nie kłamał. W polu lokalizacji wprowadziłam nazwę Park Narodowy Glen Rose. Wspominał coś o rzece Paluxy... to więc wpisałam. Odszukasz dwóch chłopców, którzy to znaleźli.

- Chłopców? W jakim wieku? - Nie wiem... po prostu chłopców. - Wzruszyła ramionami. -

Chłopców w chłopięcym wieku. Liam spojrział ukradkiem przez ramię na pozostałych i zapytał:

- Jak wyglądają? Zmęczonym ruchem przeczesła ręką swoje kręcone włosy.

- Boże. Skąd mam to, do diabła, wiedzieć?! - wymamlała z irytacją i niemal natychmiast poczuła się z tego powodu zła na siebie i winna. Spojrzała na Liama, jego przekrwione oczy, pasmo białych włosów i poczuła się jak wredna krowa. - Przepraszam - westchnęła. - Powinni wyglądać na podekscytowanych i bardzo zadowolonych z siebie.

Odwróciła się w stronę biurka.

- Bob, jesteśmy gotowi do aktywacji portalu?

> Potwierdzam. Zgromadzony ładunek pozwala na skuteczną translokację.

- Okej, ekstra! - Ponownie spojrzała na twarz Liama: bladą jak u pozostałej dwójki, choć nie aż tak pokiereszowaną. Nie krwawił mu nos, nie widać było innych śladów krwawienia, nie doskwierały mu nudności.

- Dasz radę, Liamie? Potwierdził skinieniem głowy.

- Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczony, mam ochotę pospać jak zabity. Poza tym wszystko gra.

„Dlaczego go nie zastąpisz, Maddy? Popatrz na niego... widzisz szkody, jakie w jego organizmie wyrządziła ostatnia podróż, a ty znowu chcesz go wysłać w czasie!” - Szybko zdusiła kotłujące się w jej głowie wyrzutu sumienia; musi zostać tutaj, zatroszczyć się o powrót Beki i Liama. Trzeba będzie się przy tym trochę nagimnastykować.

Chciała wyjawić mu wszystko, co wiedziała, wszystko, co powiedział jej Foster. Chciała, żeby sam zdecydował, czy warto umierać powolną śmiercią, czy warto kolekcjonować uraz po urazie.

- Zaczynamy? - spytał. Wcisnęła mu w dłoń zegarek elektroniczny.

- Sześć godzin - powiedziała łagodnie, po czym zerknęła na kredowe koło i wyżłobioną dziurę na środku betonowej podłogi. Liam zrozumiał. Ma sześć godzin na wykonanie zadania w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, po ich upływie aktywowane zostanie okno powrotne. Spokojnym krokiem, jakby od niechcienia, ruszył w stronę okręgu wyrysowanego na podłodze. Maddy po cichu zaczęła odliczanie. Urządzenia zaczęły szumieć - nie dało się tego uniknąć - lampa sufitowa zamigotała i przygasła.

Licyła na to, że Cartwright będzie tak zaabsorbowany opowieścią Sal i chęcią ujrzenia fali czasoprzestrzennej, że nie zauważy, co się dzieje. Niestety przebiegły staruszek odwrócił się na pięcie i świdrującym wzrokiem przeszył pomieszczenie.

- Co jest grane?

Gdy Liam znalazł się w obrębie kredowego okręgu, niemal natychmiast otoczyła go kula drgającego i wirującego powietrza.

- Co się dzieje? Czekać, co wy wyprawiacie? - Oczy niemal wyskoczyły mu z orbit. - Gdzie on się DO CHOLERY WYBIERA?

Maddy starała się go ignorować, ale Cartwright sięgnął do kieszeni marynarki.

- Nie! Nie strzelaj! - krzyknęła Maddy, uświadamiając sobie, co zamierza zrobić. - Proszę!

Cartwright wyciągnął pistolet, wyprostował ramię i wycelował w Liama.

- ZATRZYMAJ TO, JUŻ!

- Nie mogę! Proszę... Nie mogę tego zatrzymać. Nie strzelaj...

Oddał pojedynczy strzał dokładnie w momencie, gdy kula zakołysała się i implodowała z pyknięciem.

\*

Hrabstwo Somerwell, Teksas rok 1941

W momencie, gdy Liam wylądował na kamienistym brzegu rzeki, coś świsnęło obok jego ucha i wzbiło się w niebo.

- Jezu! - Chłopak schylił się i rozejrzał, zastanawiając się, co to, u diabła, było. Nie zauważył nic poza wąską rzeką: płytkim strumieniem toczącym się spokojnie wśród skał piaskowego koloru, małych, brzydkich cisów i wysuszonych kępek wyblakłej od słońca trawy, której cichy szum mieszał się z bulgotaniem wody.

„Może to ptak? Pszczoła? Mucha?”.

Mogło to być każde z tych stworzeń. Musiało być szybkie.

Postanowił skupić się na bardziej palącym problemie - w którą stronę iść? Nie miał pojęcia. Błatego. Mógł jedynie szukać pary chłopców. Popatrzył na zegarek elektroniczny Maddy. Uruchomiła stoper: zostało pięć godzin i pięćdziesiąt dziewięć minut.

- Okej - mruknął do siebie. - Od czego zacząć?

Popołudniowe słońce prażyło głowę, gdy tak stał, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Postanowił, że zanim wyruszy, oznaczy miejsce pojawienia się okna kopczykiem kamieni: dwanaście gładkich otoczków wielkości pięści ułożył w małą piramidę. Była wystarczająco duża, aby jej nie przegapić, przechodząc obok.

Leniwy popołudniowy wietrzyk każący pobliskim cisom szumieć i falować przywiał też czyjeś głosy i dźwięki przypominające chlupot wody.

W tamtą stronę... w dół rzeki. Ruszył wzdłuż brzegu usianego kamieniami, które skrzypiały pod jego stopami. Przypomniał sobie obraz tamtej ogromnej zatoki i majestatycznego, prehistorycznego bezmiaru zielonej toni rozciągającej się po kres

horyzontu.

„Było tu. Dokładnie w tym miejscu - niesamowite morze tropikalne - to zapierające dech w piersiach zjawisko”. W rozległej perspektywie geologicznej nawet morza i oceany, zupełnie jak wszystkie żyjące istoty, miały swój początek i koniec - swój czas.

Ponownie usłyszał głosy docierające z dołu strumienia. Odgłosy bawiących się, błaznujących dzieci.

## ROZDZIAŁ 76

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Ślady ciemnej krwi zaprowadziły Beki prosto do dżungli. W świetle księżyca plamy krwi były czarne i połyskiwały wilgocią. Trop nie ciągnął się daleko w głąb gęstwiny. Na szczęście. Gdyby tak było, nie mogłaby długo ich ścigać: światło księżyca tonęło w gęstym mroku, blokowane przez opadające nad samą ziemię liście tropikalnych drzew.

Najpierw to usłyszała: ciężki oddech, przypominający parskanie wycieńczonego bizona, i chór kwilących głosików brzmiący jak pretensjonalny refren piosenki śpiewanej przez mizdrzące się dzieci. Fotoreceptory jednostki w końcu zlokalizowały źródło odgłosów. Gad, którego postrzeliła, leżał zwinięty na leśnej ściółce. Zwłoki otoczył zastęp mniejszych samców, samic i młodych, wszystkie dotykały i głaskały rannego łapami, jakby w jakiś magiczny sposób potrafiły uleczyć przywódcę watahy.

Podeszła bliżej i spojrzała bezpośrednio na bestię ze złamanym szponem. Wataha, może dwadzieścia gadów, zamilkła: jednostkę świdrował las zmrużonych ze strachu, żółtych ślepiów rozświetlonych fluorescencyjnym blaskiem.

- Pomocy... - Jedna z samic zakwiliła ludzkim głosem. Beki rozpoznała w tym próbę odwzorowania krzyku dziewczyny o imieniu Keisha.

Jakiś fragment elektronicznego mózgu jednostki spokojnie informował ją, że cel misji nie został osiągnięty, dopóki śmierć rannej istoty nie będzie stuprocentowo potwierdzona. Ale inna część jej umysłu - drobny element organiczny podsuwający mgliste odczucia, a nie zero-jedynkowe komendy - podpowiadała jej co innego.

„Zupełnie jak ja”.

Przypomniała sobie dzień swoich narodzin wyrzucenie z próbówki wśród kaskad ciepłego płynu na twardą posadzkę, na której leżała przez jakiś czas zwinięta jak embrion. Zupełnie jak ta istota teraz. Czuła wtedy oszołomienie, przerażenie, dezorientację, jej umysł pracował jak zwierzęcy amalgamat wrażeń i odczuć... ale nie słów.

Kłęknęła, żeby lepiej przyjrzeć się bestii. Przez środek wąskiej klatki piersiowej gada biegła rana, która, sądząc po wartkim strumieniu atramentowoczarnej krwi płynącej po oliwkowej skórze, niemal na pewno okaże się śmiertelna.

- Umrzesz - oznajmiła chłodno. Uświadomiła sobie, że rozmowa z nimi jest nielogiczna i bezcelowa - te dzikie stworzenia nie były mądrzejsze od małp. Ale nie wiedzieć czemu pozwalało jej to odfiltrowywać, segregować myśli... słowa działały dobrze na część umysłu, która nie była kawałkiem gęstego silikonu.

- Przybyłam tutaj, aby cię zabić - powiedziała. - To wymóg misji. Żółte ślepia wpatrywały się w nią w milczeniu. Może kryła się za nimi jakaś myśl, błaganie o litość.

Ponownie wstała i włożyła nowy magazynek do karabinka automatycznego. Głos pilnujący wytycznych misji szeptał, że nie przewidziano czasu na takie irracjonalne sentymenty i zachęcał do kontynuacji zadania.

Wytyczne misji

1. Zlikwidować samca alfa

2. Zlikwidować pozostałe hominidy (opcjonalnie)

3. Zabezpieczyć wszystkie dowody ludzkiej bytności

- Przykro mi - powiedziała i z zainteresowaniem przekrzywiła głowę. Tonacja jej głosu złagodniała, przez co zabrzmiał bardziej ludzko, niemal identycznie jak głos uczniów, z którymi spędziła ostatnie czternaście dni w dżungli. Te dwa słowa zabrzmiały naprawdę bardzo ludzko. Przez chwilę miała ochotę wypowiedzieć je raz jeszcze. Zamiast tego szybko uniosła karabin i przycisnęła do ramienia, zabandażowany palec poruszył się na spuście, pod opatrunkiem wyczuła jak niedawno zregenerowana modyfikowana tkanka mięśniowa napina się i ściąga. Rozbrzmiał strzał. Mięśnie palca ponownie rozluźniły się i naprężyły... i ponownie... i ponownie.

Gdy ostatni gad padał bez życia na ciało Złamanego Pazura, magazynek był już pusty a lufa rozgrzana.

Dżungla zamarła, nocne gatunki zwierząt zamilkły, dziwiąc się nowym odgłosom wystrzałów. Przez kilka chwil jednostka przysłuchiwała się szumiącym podmuchom wiatru i przytłumionemu grzmotowi pobliskiej rzeki.

- Przykro mi - powiedziała ponownie, uświadamiając sobie, że tym razem jej głos zabrzmiał jak monotony i wyprany z emocji komunikat, czyli jak zwykle.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem, w stronę ruin porzuconego obozowiska.

\*

Nowy Jork rok 2001

- Gdzie go wysłałaś? - warknął Cartwright, mierząc bronią w Maddy.

- Wła... właśnie wysłałam go, żeby pomógł Beki zabić...



- Kłamiesz! - warknął.

- Naprawdę...

Kula przeleciała tuż obok jej głowy i wwiła się w monitor, który eksplodował wśród deszczu iskier i kryształków szkła.

- Nie radzę ci kłamać, panienko. Zaraz mogę wpakować ci kulę w żołądek. Poczujesz, co to jest bolesna śmierć. Powolna i bardzo, bardzo bolesna - mówił, zbliżając się do niej. - Zapytam ponownie. Gdzie go wysłałaś?

Maddy nerwowo przełknęła ślinę z oczami utkwionymi w broni.

- Ja... tylko...

- Maddy! - krzyknęła Sal. - Coś się zbliża!

Cartwright zatrzymał się wpół kroku.

- Co to? - krzyknął przez ramię, nie odrywając wzroku od starszej dziewczyny.

- Nie poczuł pan tego wstrząsu?

- Nie - odpowiedział mężczyzna, wciąż celując w Maddy. - Nic nie poczułem.

- Ja tak - powiedział Edward.

- O mój Boże... dzungla się zmienia - powiedziała Laura. - W coś innego. Sama nie wiem w co. Coś...

- Osada zniknęła. To pierwsza fala... zaraz nastąpi wielka zmiana. Cartwright zaklął. Tak bardzo chciał to zobaczyć.

- Ty! - krzyknął do Maddy, wymachując bronią. - Idź w stronę wyjścia. JUŻ!

Maddy potulnie skinęła głową i ruszyła w stronę nastolatków, którzy stali w wejściu i wpatrywali się w dżunglę. Cartwright dołączył do nich, zachowując bezpieczny dystans kilku metrów. Pistolet wycelował w ich stronę, wzrok utkwił w tonącej w zmroku dżungli.

- Co się teraz wydarzy?

- Duża fala - powiedziała Sal. - Poczujesz zawroty głowy w momencie, gdy... - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Czujesz to teraz?

Mężczyzna szeroko otworzył oczy.

- Mój Boże, tak! Jak podziemne wstrząsy!

Pomarańczową plamę zmierzchu na horyzoncie przysłoniły przetaczające się zwały chmur deszczowych. Od strony Atlantyku z niesamowitą prędkością nadciągała burza.

- Co to jest? - sapnął.

- Fala? - wyszeptał Edward.

- Inna rzeczywistość - przytaknęła Maddy.

Fala przemknęła przez wyspę na szerokiej rzece, porządki świata wymieszały się we wzburzonym roztworze gęstego, połyskującego powietrza i zamieniły w ulotne niebyty. Jak w poruszonej tafli wody zobaczyli mieniące się światłem zarysy wysokich, zdeformowanych i falujących budynków. Maddy wydawało się, że na krótką chwilę na niebie pojawiła się wataha bestii, gargulców, smoków. Alternatywna rzeczywistość, alternatywne gatunki, dla których nie znalazło się miejsce w nadchodzącej rzeczywistości, istniały przez ułamek sekundy i zostały wymazane.

Fala przemknęła przez rzekę w ich kierunku.

Baza poruszyła się i zniekształciła, ziemia zaczęła usuwać się spod ich stóp, zamieniać

w próżnię. Chwilę później patrzyli już na ceglana ścianę, która wyrosła trzy metry przed nimi, po drugiej stronie wybrukowanej uliczki. Owinięte w brezent zwłoki Forby'ego, które wystawili na zewnątrz, zniknęły. Agent stał teraz obok wejścia, rozmawiając przyciszonym głosem z dwoma uzbrojonymi mężczyznami. Uliczkę omiotło światło reflektora, nad ich głowami rozległ się szum helikoptera zataczającego koła.

Cartwright stał oniemiały z otwartymi ustami. Jego uzbrojona dłoń zwisała teraz bezradnie.

- To niesamowite! - wykrztusił w końcu.

- Prawda? - Maddy się uśmiechnęła.

Forby przerwał rozmowę i odwrócił się do nich.

- Sir? - Wydawał się kompletnie skonsternowany, podobnie jak pozostali dwaj mężczyźni. - Nie słyszałem, żeby otwierał pan drzwi. Wszystko w porządku, sir?

Na twarzy Cartwrighta zastygł wyraz niedowierzania, wyglądała jak woskowa maska.

- Sir? Czy coś się stało? Cartwright spojrzał na podwładnego.

- Słucham? Nie, nie, wszystko gra. - Mężczyzna otrząsnął się z letargu. Słaby uśmiech rozciągnął jego wąskie usta. - Dobrze cię znowu widzieć, Forby.

Forby zmarszczył brwi

- Sir. - Agent podziękował skinieniem głowy, potem zauważył Edwarda i Laurę. - Kto to jest?

Cartwright potrząsnął głową, nie mogąc jeszcze do końca ochłonąć.

- Wyjaśnię ci później. - Odwrócił się do Maddy i pozostałych.

- Do środka. Trzeba zamknąć te drzwi.

Forby postąpił krok do przodu, ale przełożony powstrzymał go gestem ręki.

- Lepiej zostań na zewnątrz, Forby.

- Zamknij roletę. - Machnął bronią w kierunku Laury.

Dziewczyna zaczęła obracać korbą, ale Sal szybciej nacisnęła zielony przycisk.

- Nie trzeba, mamy już zasilanie. - Roleta zaczęła opadać z warkotem napędu przy drzwiach.

Starzec przez chwilę próbował dojść do siebie, pojąć, co właśnie widział i co jeszcze może zobaczyć, zanim noc dobiegnie końca. Żaluzja zamknęła się na dobre, furkot silniczka ustał.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Czyli waszemu przyjacielowi i sklonowanej dziewczynie udało się wykonać zadanie. Zabili stwory z przeszłości. Oznacza to, że gadzie hominidy zniknęły. - Wciąż kiwał głową, gdy mówił. - Dobrze. Rozumiem to. Rozumiem.

- Panie Cartwright - przerwała Maddy.

- A Forby żyje, bo... - Oczy mężczyzny zwężyły się, gdy próbował poukładać sobie wszystko w głowie. - Bo to, co się stało... nie stało się. Gadzie potwory nie mogły go zaatakować. Ale to szalone, to nie ma żadnego sensu, przecież widziałem, jak bestia rozrywa jego... - Mówiąc, nie przestawał nerwowo chodzić po pomieszczeniu.

- Cartwright - powiedziała Maddy. - Niech pan mnie posłucha, musi pan o czymś wiedzieć.

-...i padł na ziemię martwy. - Odwrócił się i spojrzał na podłogę. Na środku krzepła jeszcze kałuża krwi. Krwi Forby'ego. - Patrzcie! To jego krew! Był...

- Cartwright!

Zszokowany starzec oderwał wzrok od ciemnej kałuży i spojrzał na Maddy.

- Nowa rzeczywistość wciąż jest zła - powiedziała. - Rzeczywistość z panem, Forbym, agentami przed łukiem, helikopterem krążącym nad naszymi głowami, waszą tajną agencją. To wszystko jest złe. To również nigdy nie powinno się wydarzyć.

- Słucham? - Zmarszczki na twarzy mężczyzny ułożyły się w wyraz zdziwienia.

- Pana życie powinno wyglądać inaczej - powiedziała Sal.

- Na naszej osi czasu, na poprawnej osi czasu żył pan inaczej. - Maddy próbowała przekonać go przyjaznym uśmiechem. - Kto wie, może pana życie jest pełniejsze, może ma pan dzieci i wnuki?

- Nie mam żony! - warknął. - Ani dzieci!

- Właśnie o tym mówię.

- Agencja jest moją żoną! Ten sekret! Ta tajemnica! Podróżowanie w czasie! To MÓJ sekret. Wiem o rzeczach, o których nie ma pojęcia nawet nasz prezydent. Wiem, że podróże w czasie są już rzeczywistością! Ta wiedza jest moim małżeństwem, moim życiem! - Wycelował lufę broni w zagłębienie między brwiami Maddy. - Nie odbierzesz mi tego! Słyszysz? NIKT MI TEGO NIE ODBIERZE!

## ROZDZIAŁ 77

Hrabstwo Somerwell, Teksas rok 1941

Liam zauważył ich w dole rzeki: dwaj chłopcy. Jeden kąpał się w wodzie, drugi siedział na półce skalnej, chowając się przed piekącym słońcem w zacienionej, chłodnej wnęce.

Nie zauważyli go jeszcze. W pierwszej chwili chciał do nich krzyknąć, zapytać, co dzisiaj porabiali, dowiedzieć się, czy znaleźli coś interesującego. Ale jeśli jeszcze to nie nastąpiło, jego pojawienie się może zmienić bieg dnia; wywrócić kolejność następujących po sobie zdarzeń, w efekcie mogliby nie dokonać odkrycia. Zdecydował się poczekać w ukryciu i obserwować. Uklęknął w cieniu drzewa cisowego i patrzył. Godziny mijały jedna po drugiej. Słońce dawno już opuściło najwyższy punkt na niebie, cienie deformowały się i wydłużały. Chłopak ponownie spojrzał na zegarek. Według stopera zostało mniej niż dwie godziny. Zaczął podejrzewać, że obserwuje nie tę co trzeba parę chłopców. Być może kilkaset metrów dalej dwa inne gagatki pochylały się z zachwytem nad kawałkiem zapisanej skamieniałości. Wtedy chłopiec na skalnej półce krzyknął.

- Saul!

- Co?

Liam nie usłyszał już dalszych słów chłopaka z półki, ale ze swojego punktu obserwacyjnego dostrzegł, że młodzieniec wciąż obraca coś w dłoniach. Chłopak kąpiący się w wodzie, Saul, nie wydawał się szczególnie zaciekawiony i z błogością zataczał bezcelowe koła na płyciźnie. Jego towarzysz, zirytowany tym ostentacyjnym brakiem zainteresowania, nagle zeskoczył z półki do rzeki i przepłynął na płyciznę przy drugim brzegu. Pokazał Saulowi trzymane w rękach znalezisko, z zalewu słów Liam wychwycił dwa powtarzające się wyrazy: „patrz” i „wiadomość”.

„Trafiłem” - pomyślał Liam w euforii.

Wstał z ziemi, krzywiąc się - igły i kamyki boleśnie wrzynały się w stopy - i ruszył negocjować.

- Hej tam, chłopaki! - krzyknął.

Obaj odwrócili się i spojrzeli na niespodziewanego gościa.

- Hej tam! - powtórzył, starając się przybrać przyjacielski ton i ich nie spłoszyć, ale gdy podszedł bliżej zauważył, że obaj patrzą na niego nieufnie.

- Hej... już wszystko dobrze. Nie zjem was przecież. Chciałem się tylko przywitać.

- Mamcia zawsze goda, żebyśmy nie godali z obcymi, proszę pana - powiedział rezolutnie chłopiec ściskający skałę.

Liam zbliżył się na kilka metrów. Uklęknął tuż przy nich i obdarował ich przyjaznym uśmiechem.

- Nazywam się Liam, Liam O'Connor. Widzicie? Już nie jestem obcy.

Chłopcy w zamyśleniu skinęli głowami, nie potrafiąc zaprzeczyć tak czystej logice.

- Jestem Saul, a to mój brat Grady - przedstawił się Saul i otaksował przybysza wzrokiem. - Śmiesznie pan goda - powiedział. - I ubrania też ma pan śmieszne. Skąd pan jest?

- Z Irlandii - odrzekł Liam. Chłopiec z zaciekawieniem spojrzał w jego twarz.

- Co z panem nie tak?

- Nic. Wszystko gra. - Liam wzruszył ramionami, zaskoczony tym dziwnym pytaniem.

- Chory pan jest?

Naprawdę nie miał czasu na taką konwersację.

- Jestem zdrow jak ryba - powiedział i wskazał skałę, którą Grady próbował ukryć przed jego wścibskim wzrokiem. - Co tam masz, chłopcze?

- Nic. - Grady schował skałę za plecami.

- Daj spokój. - Przysunął się kolejny centymetr. - To pieniądze? Znalazłeś tam jakieś pieniądze?

- Nie. - Grady nieufnie pokręcił głową. - Nie znalazłem żadnych pieniędzy.

- To tylko napis na głupim kamieniu - powiedział Saul. - Ktoś wyrył na nim wiadomość.

Liam uraczył ich wzrokiem wyrażającym umiarkowane zainteresowanie.

- Naprawdę? Bardzo to interesujące. Mogę zerknąć?

- Jest mój. - Grady potrząsnął głową.

Gdyby lepiej to przemyślał, gdyby miał na to czas, wziąłby ze sobą jakiś fant na wymianę - ekstra zabawkę, zestaw kart bejsbolowych, torbę cukierków, nadałby się nawet...

„Oczywiście!”. Niespodziewanie Liam przypomniał sobie, że ma przy sobie coś zdecydowanie lepszego niż wszystkie te rzeczy. Bez wątpienia zafascynuje to obu chłopców.

- Czekajcie - powiedział, sięgając do kieszeni w jego podartych szortach. Musi gdzieś tu być. Palce natrafiły na ostry brzeg. Chwilę później wyciągnął dziesięciocentymetrowy przedmiot w kształcie haczyka na ryby. Pokazał go chłopcom, obserwując jak ich oczy stopniowo się powiększają.

- To szpon - powiedział Liam. - Szpon prawdziwego dinozaura.

Saul i Grady jednocześnie szeroko rozdziawili usta, dwie pary błyszczących oczu pożerały z zachwytem niebezpiecznie wyglądające nacięcia na zakrzywionej krawędzi pazura.

- Znalazłem to dzisiaj rano w górze rzeki. Słyszałem, że w strumieniu można znaleźć przeróżne fascynujące starocie. Chcecie potrzymać?



Obaj energicznie pokiwali głowami.

- Może się wymienimy - powiedział Liam. - Wy obejrzyjcie mój szpon, a ja popatrzę na wiadomość wyłobioną w waszym kamieniu.

- Jasne - błyskawicznie odpowiedział Grady. Fascynacja ich interesującym znaleziskiem powoli słabła, dziesięciocentymetrowy, błyszczący szpon zwisający z dłoni Liama zdecydowani je przebijał. Podał skałę, nawet na nią nie patrząc. - Ta wiadomość i tak nie ma sensu - powiedział i sięgnął po szpon.

- Uważaj, jest ostry - ostrzegł Liam.

Grady porwał przedmiot od Liama i skulił się, odwracając plecami do brata.

- Hej! Grady, ja też chcę to zobaczyć. Grady potrząsnął głową.

- To mój kamień, oglądam pierwszy.

- No weź, daj mi zobaczyć, daj zobaczyć!

Liam znalazł gład i usiadł na nim ciężko, ignorując utarczkę braci. Gdy obrócił w dłoniach płaską bryłę ciemnego łupka, jego serce zaczęło bić szybciej.

„Jezu. Po tych wszystkich latach znowu trzymam cię w rękach, mój cichy posłańcze” - nie mógł nadziwić się Liam. To jego własne pismo w lustrzanym odbiciu, chudziutkie jak pajęczka sieć rowki i szczeliny niewyraźnie wytłoczone w skale uformowanej i zakonserwowanej przez czas.

- Masz rację - powiedział, odrywając wzrok od tabliczki. - Te słowa nie mają sensu.

Grady już nie słuchał, urzeczony groźnie wyglądającym kłębem i zajęty odpychaniem chciwych łap Saula.

- To stek bzdur - kontynuował Liam ze znaczącym półuśmiechem. - Chce się pan wymienić? - spytał Grady. - Kamień za szpon? Liam z udawaną obojętnością wzruszył ramionami. - Nie wiem... mój szpon to nie lada odkrycie.

- Proszę! - Chłopiec sięgnął głęboko do kieszeni spodni i wyjął drewniane jojo. - Dorzucę to ekstra!

Liam udawał zainteresowanie zabawką. W Corku miał dokładnie taką samą: duże, nieporęczne jojo, którym nigdy nie nauczył się dobrze rzucać.

- No dobra. Dorzucasz jojo i ubijamy interes.

W milczeniu skinęli głowami - umowa została oficjalnie przypieczętowana - Liam ociężale podniósł się z kamienia, z jakiegoś powodu czując się stary jak otaczające go wzgórza, i grzecznym gestem pożegnał chłopców. Chłopcy od razu powrócili do gwałtownej dyskusji na temat prawa dostępu do szpona, wyklócając się o to, który będzie go niósł w drodze powrotnej do domu.

Liam ruszył wzdłuż kamienistego brzegu rzeki, ślizgając się po chrzęszczących, mokrych otoczakach. Gładził palcami niewyraźne zarysowania w łupku i wypatrywał kopczyka kamieni.

## ROZDZIAŁ 78

Nowy Jork rok 2001

Sal znowu je poczuła - niemal niezauważalne zawroty głowy spowodowane pierwszymi falami. Ale chyba nikt inny tego nie zauważył. Cartwright wciąż celował w Maddy.

- To moje życie. Mój świat. Moja rzeczywistość!

- Musi pan wyjść na zewnątrz i dołączyć do swoich ludzi - odpowiedziała stanowczo.

Sal zaimponowało, że z przystawioną do twarzy lufą pistoletu Maddy potrafi zachować spokój i opanowanie. Starzec się zaśmiał.

- No i co? Wydaje ci się, że zwyczajnie stąd odejdę? To największe odkrycie w historii ludzkości, a ja mam stąd zwyczajnie odejść i zapomnieć?

Sal, Laura i Edward popatrzyli na siebie, pojawiła się wspólna myśl: „Musimy coś zrobić”.

- Słuchaj - przerwała mu Maddy. - Jeśli fala zastanie cię w środku, zostaniesz zignorowany. Teraźniejszość zostanie napisana bez ciebie.

- Jakoś to przeżyję, Maddy. Szczerze mówiąc, czekam na to od dawna, od bardzo dawna.

- Tu już nie chodzi o bezpieczeństwo narodowe? - Maddy

zmrzyła oczy. Obojętnie wzruszył ramionami.

- No dobrze, zgadza się! I co z tego? To urządzenie, ten wehikuł czasu, jest jak spełnienie chłopięcych marzeń! Marzeń każdego człowieka! Marzeń gatunku ludzkiego, do licha. Podróżować do innych czasów, zobaczyć to wszystko. Zobaczyć rzeczy, których nie ujrzy nikt inny!

- To nie jest zabawka, panie Cartwright. Nie może pan tak do tego podchodzić.

- Jasne! Bo losy świata zostały powierzone zasmarkanej nastolatce i jej bandzie? Kim wy jesteście? Jedynymi strażnikami czasu?

Sal ponownie spojrzała na pozostałych, potem niepewnie podeszła do starca.

Sprawdziła, czy pozostała dwójka postąpi podobnie. Laura została na miejscu, jej blada twarz drgała z niepokoju. Potrząsnęła głową. Była zbyt przerażona. Edward, tak jak Sal, postąpił kilka kroków do przodu.

Dziewczyna nie miała jeszcze pojęcia co robić - wyrwać mu pistolet? Na samą myśl drżały jej kolana.

- Zostałam wybrana! - odparowała Maddy. - Wcale się o to nie prosiłam, Cartwright! Jezu, przecież ja nie miałam żadnego wyboru! Słowa Maddy nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

- Wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. - Podeszedł do niej przez wijące się na ziemi kable. - Właśnie tego chcę. Całe życie czekania, całe życie przygotowań.

Sal zauważyła, że na jednym z monitorów coś zaczęło migać.

- Jestem starcem - ciągnął mężczyzna, stając na środku pomieszczenia, wokół nie było już żadnych zdradliwych kabli. Przez cały czas z determinacją mierzył bronią w Maddy. - Całe moje życie, całe moje dorosłe życie zmierzało do tego momentu. Od wielu lat wiedziałem, że wehikuł czasu pojawi się pod tym mostem, w tym pomieszczeniu, dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku. - Westchnął. - Wyobrażacie sobie, co taka świadomość może zrobić z człowiekiem? Świadomość, że pod koniec życia zdarzy się w jego życiu coś dosłownie cudownego? - Potrząsnął głową. - I po co? - Zaśmiał się sucho. - Każesz mi teraz po prostu o wszystkim zapomnieć? Odejść i zapomnieć?

Sal zerknęła ponad ramię Maddy i zauważyła migający na ekranie kursor. Jednostka próbowała coś Maddy powiedzieć. Ostrzec o nadciągającej fali czasu?

- O wszystkim, co chciałem zobaczyć, Maddy Carter? Zapomnieć o wszystkim, o czym marzyłem przez ostatnie pięćdziesiąt lat? O zagładzie Pompejów, upadku Atlantydy, ukrzyżowaniu Chrystusa... bitwie o Bunker Hill, przeprawie Waszyngtona przez rzekę Delaware, przemowie gettysburskiej Lincolna?! Przybiciu Kolumba do brzegów Ameryki... - Załzawione oczy mężczyzny wypełnił zachwyt dziecka. - Mój Boże! Pomyślcie o uderzeniu asteroidy, które doprowadziło do wielkiego wymierania dinozaurów i powstania granicy K-T!

Nie chcielibyście zobaczyć katastrofy na własne oczy? - Potrząsnął głową. - Jak daleko mogę się cofnąć? Wiecie?

Maddy rozłożyła dłonie.

- Nie wiem. Ja...

- A początek życia na Ziemi? Pierwszy podział komórki? - Cartwright śnił na jawie o coraz to nowych wydarzeniach i miejscach. Wszystko to wydawało się na wyciągnięcie ręki.

Sal nagle poczuła, że włosy na jej przedramionach się unoszą. Fala czasu przypłynęła. Lampa sufitowa zaskrzyła się i przygasła, a oni poczuli chwilowe zaburzenie równowagi, podłoga uciekła im spod stóp. Monitory nad ramieniem Maddy zamigotały i wyłączyły się. Laura krzyknęła ostrzegawczo a Edward westchnął, gdy lampa na suficie zgasła, pogrążając ich na kilka sekund w całkowitej ciemności. Monitory włączyły się ponownie, lampa z sykiem rozbłysła, ponownie zalewając bazę zimną, niebieskawą poświatą.

Cartwright zachichotał z radością.

- Dobry Boże! To była fala? Maddy potwierdziła ostrożnym skinieniem głowy.

- Tak. Tak mi się wydaje. - Popatrzyła na niego oskarżycielskim tonem. - Powinien pan znajdować się poza naszym polem, razem ze swoimi agentami. Wszystko się pokićkało.

- Ale nie byłem na zewnątrz - odpowiedział spokojnie. - Dlaczego się z tym nie pogodzisz?

- Nic pan nie rozumie, właśnie został pan wymazany z teraźniejszości. Nie wiem, co się z panem stanie ani...

- Nie przeszkadza mi to. - Uśmiechnął się.

Sal zauważyła, że na ekranie znowu pojawił się migający kursor. Nagle zrozumiała, co Bob tak rozpaczliwie próbuje przekazać Maddy.

- Maddy! - krzyknęła, wskazując rząd monitorów. - Musisz to

zobaczyć! Dziewczyna odwróciła się i zerknęła przez ramię.

- O nie! - Przestraszyła się i odwróciła do Cartwrighta. - UCIEKAJ STAMTĄD!

- Co? O co chodzi? - Mężczyzna zmarszczył krzaczaste brwi.

- PRZESUŃ SIĘ! - krzyknęła.

Wzmógł się szum wehikułu translokacyjnego, który zaczął emitować magazynowaną energię.

- PATRZ! - krzyknęła Maddy, wskazując podłogę przy stopach Cartwrighta. Spojrzał pod nogi, zastanawiając się, co takiego ciekawego jest w kredowym okręgu i kawałku brudnej, poszatkowanej bruzdami betonowej podłogi...

- BOŻE, CARTWRIGHT, WYŁAŻ!

Wszystko wydarzyło się w nanosekundach. Nagle wokół starca zmaterializowała się kula energii, niemal całe ciało mężczyzny, poza lewą ręką, zostało otoczone polem powietrza. Sal zdawało się, że przez ulotny moment wokół mężczyzny krążą mroczne kształty, wirując jak demony lub duchy w drodze do świata, który ktoś niewykształcony lub przesądny jak przybysz ze średniowiecza mógłby nazwać piekłem.

Chwilę potem został porwany. Znikł.

Kula drgała i błyszczała, Sal wyraźnie widziała teraz coś, co przypominało falujące niebo Teksasu, jałowy i ponury krajobraz oraz wirujący zarys kształtu wchodzącego do środka. Z nicości, staniając się na nogach, wyłonił się Liam z wyraźnie pobladłą twarzą. Chwilę później kula naładowanych cząstek tachionowych zniknęła z cichym pstryknięciem uciekającego powietrza.

- Jezu, to było dziwne - powiedział niewyraźnie, zginając się przez nudności.

- Liamie! - krzyknęła Maddy. - O mój Boże, byłam pewna, że zderzysz się z Cartwrightem. Ja... Chłopak uniósł dłoń uciszającym gestem.

- Sekundę, sekundę, zaraz... - Zwymiotował na drgającą na podłodze rękę Cartwrighta. Sal podskoczyła do przyjaciela.

- Liamie! Dobrze się czujesz? Otarł usta i spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

- Już... już wszystko w porządku. - Wyprostował się i spojrzał z niesmakiem na rękę i cuchnącą kałużę pod stopami. - Tym razem było inaczej, naprawdę dziwnie. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna, co się właściwie stało. Cartwright stał w środku okręgu. Zapomniałam, że rozpoczęło się odliczanie do zrzutu. - W oczach Maddy zabłyśły łzy i popłynęły wartkim strumieniem. - Boże, Liamie, myślałam, że wpadniesz na niego i zamienicie się w krwawą papkę.

Liam otarł do sucha usta i wyszczerzył zęby.

- Ale nic mi nie jest! - Rozłożył ręce i spojrzał w dół na swoje ciało. - Chyba, że z tyłu głowy wyrosła mi trzecia ręka? Maddy schyliła głowę, wytarła oczy i szczerze się roześmiała.

- Nie, jesteś w jednym kawałku.

- Udało się? - spytał Liam. - Wyglądał już ktoś na zewnątrz?

- Wydaje mi się, że fala przeszła - powiedziała Laura, pytając patrząc na Sal.

- Zgadza się - potwierdziła dziewczyna. - Rzucę okiem.

Odwróciła się w stronę wyjścia i nacisnęła przycisk. Roleta zaczęła się powoli podnosić. Podeszli do niej bliżej, czekając, aż otworzy się całkowicie, po czym wyszli na pograżoną w ciemności ulicę. Nad rzeką Hudson rozpościerał się Manhattan, lśniący jak tort weselny naszpikowany świeczkami. Pociąg osobowy jechał ze stukotem przez most Williamsburg, wieczór wypełniał kojący dźwięk odległego ruchu ulicznego i echo zawodzących kogutów policyjnych.

- Normalny Nowy Jork - powiedział Liam i ciężko westchnął.

- Wdepnęliśmy w niezły pasztet, ale znowu się udało.

Sal mocno przytuliła się do chłopaka, wstydząc się płynących po policzkach łez. Ścisnęła go nieśmiało jak starszego brata i odsunęła się.

- No, to znowu jesteśmy na miejscu. W milczeniu patrzyli na Nowy Jork, wszyscy pogrążeni w swoich myślach.

Maddy najszybciej otrząsnęła się z zamyślenia.

- Lepiej pójde przygotować okno powrotne dla jednostki... - przerwała i poprawiła się: -...dla Beki. - Odwróciła się i weszła do środka.

Pozostali z zachwytem oglądali wieczorną panoramę: przesuwające się wzdłuż FDR Drive paciorki reflektorów samochodowych i płynący prom, zostawiający za sobą rozedrgane na wodzie odbicie Manhattanu. Wreszcie milczenie przerwał Edward:

- Ja i Laura musimy wrócić do domu, żeby wszystko wróciło do normy.

- Tak - zgodził się Liam. - Ale dzisiaj już chyba sobie odpuścimy.

- Dobrze - wyszeptała Laura. - Nie czuję się najlepiej.

- Mamy kilka wolnych łóżek - powiedziała Sal, spoglądając na dziewczynę i małego Chińczyka. Oboje wyglądali blado i niezdrowo, na ich twarzach zalegała dwutygodniowa



warstwa brudu. No i Liam. Przez to pasemko siwych włosów nad skronią wyglądał niepokojąco staro i młodo jednocześnie. - Zrobię kawę - powiedziała głośniejszym głosem.

## ROZDZIAŁ 79

Dżungla

65 milionów lat przed naszą erą

Beki patrzyła na stos płonących kłód i gałęzi. Przez wirujące jęzory ognia dostrzegła tylko niewyraźne zarysy kilkunastu ciał ułożonych na samym szczycie. Kłoda mostu już spłonęła, wcześniej Beki rozmontowała przeciwwagę oraz wiatrak i rzuciła je w płomień. Ogień strawił też palisadę i przybudówkę, na stosie tliły się jeszcze zebrane plecaki, czapki bejsbolowe, kurtki i telefony komórkowe, które przyleciały tu wraz z ich właścicielami z przyszłości.

Zanim nadejdzie ranek po wszystkim zostanie jedynie sadza i powyginane resztki plastiku, które przez dziesiątki tysięcy lat rozpadną się na mikroskopijne, niewykrywalne składniki zanieczyszczające grunt. Elektroniczny umysł jednostki szczegółowo analizował wszystkie dowody ich dwutygodniowego pobytu. Nie była w stanie odnaleźć ciał Franklina, Ranjita i Kelly'ego. Tylko Franklyn zmarł w miejscu, w którym mogą wytworzyć się skamieniałości, choć i tak statystycznie jest mało prawdopodobne, że jego ciało przetrwa zakonserwowane w ziemi. Zwłoki musiałyby zostać niemal natychmiast pokryte grubą warstwą osadu, a trzy ciała, bez względu na to, gdzie spoczywały, były wystawione na działanie żywiółów i padlinożerców. Polanę zaśmiecały pociski i łuski, ale i one wkrótce zamienią się w niedające się zidentyfikować bryłki rdzy leżące w środku wilgotnej dżungli. Prawdopodobnie za niecałe sto lat zamienią się w plamki skażonej gleby schowanej pod warstwą leśnej ściółki.

Cieszyła się, że upływ czasu i procesy naturalne całkowicie zetrą ślady ich bytności. Zawsze istnieje ryzyko, że odcisk stopy lub nienaturalne nacięcie na korze drzewa, efekt

cięcia toporem, zostanie uwiecznione na kawałku skały. Szacowany poziom ryzyka kontaminacji był jednak akceptowalny.

Niezagojona rana na brzuchu otworzyła się ponownie, gdy Beki układała stos pogrzebowy, ale czarny czop skrzepłej krwi zapobiegał wyciekowi płynów ustrojowych. Wcześniej rozwinął się też opatrunek na przedramieniu, ukazując czerwoną jak surowe mięso tkankę i kości. Warstwa skóry zabezpieczyłaby zniszczoną kończynę, niestety delikatny mechanizm przedramienia był teraz zatkany piaskiem, gałązkami, liśćmi i różnymi insektami.

W umyśle błysnął sygnał ostrzegawczy o infekcji, potem mignęło kilka kolejnych ostrzeżeń, że z powodu uszkodzeń biologicznej konstrukcji bojowej wymagana jest natychmiastowa opieka medyczna. Gdy patrzyła jak pomarańczowe języki wystrzelują ku kredowemu niebu, w kierunku księżycy za dużego o jeden rozmiar, wyczuła przypływ prymarnych cząstek tachionowych zwiastujących otwarcie zaplanowanego okna. Podeszła więc do miejsca, w którym aktywować miał się portal.

Obejrzała się, żeby po raz ostatni spojrzeć na ogień i ciemne, poskręcane kończyny hominidów, ledwo widoczne wśród płomieni. Przez chwilę odczuwała coś, czego nie potrafiła jednoznacznie przyporządkować: smutek? Poczucie winy? Wiedziała tylko, że wrażenie to pochodzi z części umysłu, w której myśli nie są przetwarzane na priorytety misji i cele strategiczne.

Nagle z powietrza wypłynęła kolistą chmura powietrza. Jednostka z niezmałym spokojem przeszła przez portal, by pokonać w czasie sześćdziesiąt pięć milionów lat i wylądować w słabo oświetlonym, ceglany pomieszczeniu.

Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrowały oczy jednostki, była twarz Liama O'Connora. Gdy zobaczyła zmęczony uśmiech chłopca, natychmiast zaczęła zastanawiać się, czy mózgi ludzi wysyłają do ich świadomości podobny zbiór ostrzeżeń o zniszczeniu organizmu.

- Witaj w domu, Beki - powiedział miękko i nagle, bez uprzedzenia, objął ją ramionami. - Udało nam się! - wyszeptał jej do ucha.

Postanowiła przeanalizować ten interesujący gest. Procesor szybko wygenerował

komunikat, że pożądaną reakcją zwrotną jest odwzajemnienie tego dowodu przywiązania. Jednostka zdrową ręką objęła więc wąskie ramiona chłopca.

- Potwierdzam, Liamie. Udało nam się.

## ROZDZIAŁ 80

Nowy Jork rok 2001

Poniedziałek (pięćdziesiąty cykl czasowy)

Edward i Laura zostali jeszcze przez kilka dni. Maddy mówi, że eksplozja w laboratorium wywołała u nich chorobę popromienną i że muszą dużo odpoczywać, żeby wrócić do zdrowia. Fajnie jest tu mieć jakieś nowe twarze, nawet jeśli nie na długo. Maddy mówi, że muszą odejść. Oczywiście ma rację. Mają swoje obowiązki, przed nimi życie do przeżycia.

Choć nie będzie to długie życie... przynajmniej w przypadku Edwarda.

Czytałam jego akta na naszym komputerze. To takie smutne. W dwa tysiące dwudziestym dziewiątym, w wieku jedynie dwudziestu dwóch lat, stworzy epokowe twierdzenie matematyczne, które zmieni świat. A zanim skończy dwadzieścia siedem lat, umrze na raka.

Rak w wieku dwudziestu siedmiu lat?

To wydaje się takie niesprawiedliwe. Dwadzieścia siedem lat to nawet nie życie. Przedsmak życia może. Dobrze wiem, że nie mogę mu o tym wszystkim powiedzieć, a nawet gdybym mogła, to czy miałabym do tego prawo? Czy ktokolwiek chciałby poznać dokładny dzień swojej śmierci? Ja nie.

Najpierw chcieliśmy wysłać ich do dwa tysiące piętnastego roku. Taki był pierwotny plan, ale Maddy doszła do wniosku, że to nie zadziała: oboje widzieli i wiedzą zbyt dużo. Być może nie jest to tak istotne w przypadku dziewczyny, Laury. Jej życie nigdy nie zmieni świata w znaczący sposób. Ale Chan... on jest synonimem przyszłości. W pewnym sensie wszystko zacznie się od jego twierdzenia.

Jak myślicie, co zrobiliśmy? Tak, zostawiłyśmy ich przed bazą przed zresetowaniem pola. Stałyśmy w otwartych drzwiach i patrzyłyśmy, jak czas pojawia się i zabiera ich ze sobą. Rzeczywistość ich wymazała, jak informatyk kasujący pliki w komputerze. Maddy mówi, że na sto procent przywróci to naturalny bieg przyszłości. Rzeczywistość ich odda. Urodzą się ponownie, tak jak inni uczniowie, którzy zmarli w dżungli: wyjdą z brzucha mam, staną się noworodkami, niemowlętami, dziećmi i nastolatkami. Tyle, że tym razem po wizycie w laboratorium w dwa tysiące piętnastym roku wrócą do domu i opowiedzą rodzicom o totalnie nudnej wycieczce.

Oby się to właśnie tak potoczyło!

A co z niedoszłym zamachowcem Edwarda, kimkolwiek on był? Dowiemy się, czy historia przesunęła się na tyle, aby zmienił zdanie i podjął inny wybór. Jeżeli ponownie dostaniemy tę samą wiadomość z przyszłości... wtedy znowu będziemy musieli się z tym wszystkim uporać. Mam nadzieję, że to się nie wydarzy.

Teraz musimy tylko cierpliwie czekać i zobaczyć, czy wszystko się naprawi. Nic nie jest pewne. Nic nie jest ostateczne.

„Wszystko jest płynne” - tak mówi Maddy. Tylko co to tak naprawdę oznacza?

Kobieta klon, Beki (wciąż staram się przyzwyczaić do mówienia jej po imieniu), jeszcze się kuruje. Te gady naprawdę zniszczyły jej rękę. Bob mówi, że na zregenerowanej skórze będzie miała prawdopodobnie masę blizn, a mięśnie i ścięgna nigdy nie odzyskają pełnej sprawności. Wywołało to sprzeczkę między Maddy i Liamem.

Maddy zasugerowała utylizację ciała i wyhodowanie nowej jednostki pomocniczej,

jednego z wielkich, groźnych samców.

Na to Liam się wściekł. „Ona zasługuje na lepszy los!” - krzyczał.

Sama nie wiem, co o tym myśleć. W końcu to tylko roboty organiczne, wszystko, co przyswoiła jej sztuczna inteligencja, i tak zostanie uratowane i zapisane.

Ale Liam twierdzi, że to nie tylko komputer... że coś w nich jeszcze tkwi, coś ludzkiego w ich głowach. Może ma rację. Pozbycie się jej byłoby chyba niesprawiedliwe. Przecież poradziła sobie znakomicie. Poza tym ma już imię. Jak można od tak zlikwidować kogoś, kto ma prawdziwe imię? To byłoby złe.

Na szczęście konflikt został już zażegnany. Zatrzymujemy ją, ale wyhodujemy też drugiego Boba. Maddy mówi, że w regulaminie nie ma zakazu dotyczącego wyhodowania dwóch jednostek pomocniczych.

No to dlaczego nie?

## **ROZDZIAŁ 81**

Nowy Jork rok 2001

Starzec siedział na ławce w parku i rzucał chrupiące kawałki hotdogowej bułki stadku niecierpliwych gołębi, które puszyły się ze sztywno wyprostowanymi szyjami.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę - powitała go Maddy.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się na powitanie. Zamknęła oczy i wystawiła twarz ku bezchmurnemu, błękitnemu niebu, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca muskającymi jej blade policzki.

- „Dobry hot-dog na świeżym powietrzu” - tak powiedziałaś. Gdzie w tym lesie manhattańskich wieżowców znajdziesz miejsce z większą ilością świeżego powietrza? - Bystra dziewczynka. - Foster zaśmiał się sucho. Usiadła na ławce obok niego. - Naprawdę za tobą tęskniliśmy. Ja tęskniłam.

- Minęło raptem kilka godzin - powiedział, rzucając kolejny kawałek bułki między ptaki.

- Co? Przecież nie widziałam cię od miesiący.

- Tak, ale dla mnie upłynęło tylko kilka godzin. - Uważnie przyjrzał się dziewczynie. - Wiesz przecież, że opuściłem waszą pętlę czasu, bańkę. Pożegnaliśmy się dzisiaj rano, a jeszcze nie minęła pierwsza - odpowiedział, spoglądając na zegarek.

- Tak, oczywiście. Nie pomyślałam.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni w milczeniu, patrząc jak jakiś berbec trzymany za szelki do nauki chodzenia próbuje spłoszyć gołębie, mocno tupiąc stópkami. Ptaki wyniosłe ominęły brzdąca szerokim łukiem i wróciły do łapczywego zajadania rozsypanych okruszków.

- Przyznaj, że kiedy się rozstawaliśmy, świadomie dałeś mi wskazówkę, gdzie będę mogła cię spotkać.

Foster potakująco skinął głową.

- Chyba czułem lekkie wyrzuty sumienia, że opuszczam was tak wcześnie - powiedział, wydymając swoje ziemiste policzki. - Ale umieram, Maddy, to już nie potrwa długo.

- Skażenie tachionowe?

- Tak, sieje prawdziwe spustoszenie na poziomie genetycznym. Jest jak wirus

komputerowy nadpisujący wiersze kodu stekiem bzdur. Tutaj - westchnął - poza bańką czasu pożyję odrobinę dłużej. Zyskam tydzień, dwa tygodnie życia. Może miesiąc, jeśli mi się poszczęści. Byłoby cudownie.

Przez chwilę zastanawiała się, co to oznacza.

- Ale... zawsze będziesz...?

- Tak, Madelaine. Zawsze możesz mnie odnaleźć tutaj, w Central Parku o dwunastej pięćdziesiąt dwie rano w poniedziałek dziesiątego września. Tak jak tych wszystkich ludzi - powiedział, wskazując zatłoczony park i przechodniów stojących w kolejce po hot-doga po drugiej stronie trawnika. - Tak jak oni stałem się częścią wyposażenia tej rzeczywistości... wtopiłem się w tapetę. Właśnie po to odszedłem.

Zmarszczyła brwi, nie pojmując, do czego zmierza.

- Gdybym z wami został... Już dawno by mnie nie było. W ten sposób w dalszym ciągu mogę wam pomagać. Możecie tu przyjść, żeby zasięgnąć rady i porozmawiać.

- Aha... - Skinęła głową na znak, że rozumie.

- Ale musisz pamiętać, Madelaine, że każde twoje odwiedziny to dla mnie pierwszy raz. Rozumiesz, co mam na myśli?

Oczywiście, że rozumiała. Uświadomiła sobie, że dla staruszka poniedziałek oznacza jedynie pożegnanie przy kawie z bajgłem i ponowne spotkanie w Central Parku trzy godziny później. Po każdym cyklu rozmowa z Maddy odstawiała się, nigdy nie miała miejsca. Foster nie będzie jej pamiętał.

- Pomyśl, że odwiedzasz zniechęconego starego piernika w wariatkowie. - Zaśmiał się. - Cóż, będziesz musiała przywyknąć do ciągłego powtarzania tego samego.

Odpowiedziała stłumionym śmiechem.

- Miałam podobnego chłopaka. Nigdy mnie nie słuchał.

- Przyszłaś zapewne dlatego, że potrzebujesz pomocy? - spytał, pociągając nosem.

- Faktycznie mieliśmy problem, ale chyba udało się go rozwiązać.

- Widzisz? Doskonale wiedziałem, że jesteście gotowi. - Poklepał ją po ramieniu.

- No nie wiem. Znowu ledwo nam się udało, Foster. Niewiele brakowało. Z grubsza opowiedziała ich historię. Foster potrząsnął głową.

- Czasy dinozaurów? - wyszeptał. - Nie sądziłem, że wehikuł może was wysłać tak daleko.

- Nigdy tam nie byłeś?

- Nie, nigdy tak daleko. Jak się czuje Liam?

- Właśnie o to chodzi. Nie wiem, jak duże szkody w jego organizmie wyrządziła ta wyprawa. Na pewno się zmienił, w pewnym sensie postarzał. Miał... - Dopiero teraz zauważyła, że łożące białka oczu Foster'a są poprzecinane niewyraźnymi śladami pękniętych kiedyś naczynek krwionośnych. - Miał krwotok, tak jak ty. Wyrosło mu też pasemko siwych włosów. Kto wie, jak poważne są obrażenia wewnętrzne, mówię tylko o tym, co widać na pierwszy rzut oka... Foster, jak długo mamy go skazywać na niewiedzę? Ile jeszcze pożyje?

Mężczyzna wciągnął powietrze przez zęby.

- To twardy zawodnik, możesz być pewna. Wszystko zależy od tego, jak daleko pojedzie, Madelaine. Nie da się określić, ile dokładnie czasu mu zostało.

Maddy nie dawała za wygraną:

- Powiedzieć mu czy nie, Foster? Przecież nie jest ślepy. Widział rozwalone oko,



włosy. Żartuje na ten temat, ale nie jest głupi. Na pewno domyśla się, że coś mu zagraża.

- Wiem, że sobie poradzi, ale tylko od ciebie zależy, kiedy się dowie. Ty tu dowodzisz. Ja mogę służyć radą, ale to ty jesteś odpowiedzialna za podejmowanie decyzji operacyjnych. Taka kolej rzeczy. - Rzucił resztkę bułki między ptaki. - Nie mogę kierować biurem terenowym z poziomu ławki w parku. Ty jesteś szefem.

- A co z Agencją? Jest tam ktoś, z kim mogę porozmawiać? Kto tym dowodzi?

- Przykro mi, Madelaine. To zabronione. Jesteście zdani na własne siły. Zostaliście sami. Maddy zaklęła pod nosem.

- Co to w takim razie za beznadziejna agencja?

- Niestety tak to właśnie wygląda. - Współczująco wyduł usta.

Przez chwilę bezsilnie zgrzytała zębami, wiedząc, że Foster nie pomoże jej już w sprawie Liama. Zresztą musi jeszcze pójść do optyka po nową parę okularów. Obiecali, że za kilka godzin będą gotowe, uniknie kolejnego dnia mrużenia oczu przed monitorem i walki z migreną.

- Lepiej już pójdę. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. - Zerwała się z ławki.

Starzec podniósł się powoli, krzywiąc z bólu, do samego końca starał się być grzeczny jak prawdziwy dżentelmen.

- Będziesz tu znowu? - spytała Maddy. - Na pewno? W każdy poniedziałek o tej samej porze?

- Oczywiście. - Wyszczrzył zęby. - Należy się dwadzieścia dolców za godzinę.

Zaśmiała się i przytuliła do siebie kołyszącego się niepewnie mężczyznę.

- Miłego dnia, Foster.

- Dziękuję, przede mną dzień pełen atrakcji.

- Trzymaj się. - Ścisnęła go za ramię. - Niedługo wpadnę cię odwiedzić. - Odwróciła się i wyszła na ścieżkę wiodącą do południowo-zachodniej bramy. Nagle coś ją zastanowiło. Zatrzymała się, ponownie odwróciła i spojrzała na Fostera, który stał wśród gołębi i patrzył, jak odchodzi, zupełnie jakby wiedział, że za chwilę zatrzyma się i obróci.

- Foster? Skąd możesz mieć pewność, że Liam sobie poradzi? A jeśli domyśli się, że umiera? Co zrobi? Wtedy może odejść.

- Postąpi właściwie - odpowiedział. - Tego możesz być pewna... on zawsze postępuje właściwie. To dobry chłopak. - Teraz on się odwrócił, by odejść przez rozstępujące się morze zmierzwionych szarych piór i ciekawskich, paciorkowatych ślepiów. - Foster! Skąd możesz mieć pewność? Zatrzymał się na miejscu i zerknął przez ramię. - Skąd mogę mieć pewność?

- No dajże spokój. Kto, do diabła, jest na tyle głupi, żeby świadomie robić coś, co go zabija? Dlaczego uważasz, że tak dobrze go znasz?

- Znam go... - uniósł brew -...bo on to ja.

---

HISTORIA, JAKĄ ZNAMY

HISTORIA ALTERNATYWNA

Nieznany wcześniej gatunek drapieżników obserwuje Liama i pozostałych. Gady uczą się jak używać narzędzi i broni.

Pierwsza fala czasoprzestrzenna

Druga fala czasoprzestrzenna

Kolejny tom wkrótce!